



Bóg zwierząt

Aryn Kyle

Kyle Aryn

Bóg zwierząt

Kiedy jej starsza siostra ucieka z domu, by poślubić kowboja, na barki Alice Winston spada ciężar rodzinnych problemów: cierpiąca na depresję matka, powściągliwy, przepracowany ojciec i podupadłe ranczo. Trwa właśnie nadzwyczaj upalne lato, rośnie stos rachunków, Alice z jednej strony marzy o ucieczce od samotności swego wypełnionego obowiązkami życia, z drugiej zaś pragnie pomóc ojcu, który stara się jakoś zachować w całości i rodzinę, i ranczo.

Aby związać koniec z końcem, Winstonowie zajmują się rozpieszczonymi końmi bogatych sąsiadów. Alice pierwszy raz w życiu ma okazję zetknąć się z władzą i bezpieczeństwem, które zapewniają pieniądze. Ponieważ losy i pomyślność jej rodziny splatają się z życiem klientów, dziewczyna zostaje wciągnięta w dorosły świat tajemnic i trudnych prawd, a wkrótce odkrywa, że ludzie - w tym również ona - mogą być okrutni, mogą kłamać i oszukiwać, choć czasem potrafią także zrobić coś bezinteresownego i poruszającego serce. W końcu Alice wraz ze swoją rodziną musi przetrwać serię wstrząsających, burzliwych wydarzeń, które wystawią na próbę jej miłość i dowiodą potęgi wybaczenia.



rozdział pierwszy

Pół roku przed tym, jak Polly Cain utonąła w kanale, moja siostra Nona uciekła z domu i poślubiła kowboja. Ojciec stwierdził, że dawniej to by ją zatrzymał, a ja nie wiedziałam, czy ma na myśli ten etap naszego życia, kiedy jeszcze była mu posłuszna, czy też ten etap w historii, kiedy grupa pościgowa z Biura Szeryfa Desert Valley mogłaby z pochodniami w dłoniach ruszyć za nią w pogoń, by zaciągnąć ją za żółte włosy z powrotem do domu. Ojciec należał do grupy pościgowej jeszcze przed moim przyjściem na świat. Mawiał, że od masonów pościgowcy różnią się jedynie tym, że nie składają dziewic w ofierze. Opłacali składki, występowali konno na paradach oraz pilnowali porządku na rodeo, gdzie właśnie moja siostra poznała kowboja. Tylko raz od wielkiego dzwonu wzywano ich do zadań naprawdę ważnych, takich jak usunięcie zwalonego drzewa z tropu myśliwskiego czy wyciągnięcie martwej dziewczynki z kanału.

Polly Cain zniknęła w środę po południu i z początku ludzie mówili, że ją porwano. Jedenastolatki nie uciekają z domu, uzgodniono więc, że ktoś musiał ją uprowadzić. Potem jednak na drodze gruntowej biegnącej nad kanałem znalazł się jej tornister i wkrótce wezwano mojego ojca. Grupa pościgowa przeszukiwała kanał przez dwa dni i na ten czas panowie zamienili swoje białe koszule galowe oraz czarne filcowe stetsony na sięgające im po pachy gumowe wodery, w których jeden przy drugim brnęli przez brązową wodę. Minęłam ich w drodze ze szkoły. Choć był dopiero kwiecień, nad wodą zaczęły się już wylegać jętki, i patrzyłam, jak mój ojciec strzepuje je z twarzy. Pomachałam mu i zawołałam go z brzegu, ale on zacisnął zęby i nawet na mnie nie spojrzał.

- Znaleźliśmy tę dziewczynkę - oznajmił, kiedy wrócił do domu następnego popołudnia. Przygotowywałam właśnie w plastikowym dzbanku oranżadę w proszku. Ojciec wsadził do środka palec, po czym go oblizał. - Utknęła w kracie.

- Nie żyje? - zapytałam, a on wbił we mnie wzrok.

- Trzymaj się z dala od tego kanału w drodze do domu, Alice - odparł.

- Będzie pogrzeb? - Wyobraziłam sobie scenę niczym z filmu, jak stoję na pogrzebie w czarnej sukni i ciemnych okularach, zbyt smutna, by płakać.

- Co cię to obchodzi?

- Pracowałyśmy razem na zajęciach technicznych. Robiłyśmy latarnię. - Prawdę mówiąc, Polly robiła latarnię, a ja się temu przyglądałam. Okazała się wtedy równiactwą i pozwoliła mi trzymać ją, kiedy przechodził nasz nauczyciel, pan McClusky, tak aby myślał, że ja również się przyłożyłam do wykonania dzieła.

- Nie mam czasu wozić cię na pogrzeb, Alice - powiedział ojciec, kładąc mi dłoń na głowie. - Za dużo tu roboty. Już i tak straciłem dwa dni.

Kiwnęłam głową i zamieszałam oranżadę drewnianą łyżką. Zawsze było za dużo roboty. Mój ojciec miał stajnię. Pomiedzy spotkaniami pościgowców dawał lekcje jazdy, hodował i sprzedawał konie ludziom, którzy karmili je plasterkami jabłek położonymi na dłoni i mówili do nich „kochanie”. Co rano, jeszcze przed świtem karmiliśmy z ojcem zwierzaki, po czym szłam do szkoły, strząsając siano z włosów i z ubrania oraz drapiąc się po klatce piersiowej, bo drobinki siana wpadły mi za koszulkę. Popołudniami sprzątałyśmy boksy, oporządzaliśmy i trenowaliśmy konie. Był sezon żrebień i ojciec ani na chwilę nie chciał zostawiać stajni, na wypadek gdyby któraś z klaczy zaczęła rodzić. No i dobrze. I tak nie miałam czarnej sukienki.

- Stary wyga z ciebie, mała - mówił. - Kiedy twoja siostra wróci, wszystko się uspokoi.

Ciągle to robił - opowiadał, jak to moja siostra wróci do domu i wszystko będzie takie jakie dawniej. Przez chwilę zastanawiałam się, czy aby nie ma racji. Tamte wydarzenia potoczyły się tak szybko. Nona poznała Jerry'ego w niedzielę, a w czwartek spakowała cztery kartony i plecak, po czym wyjechała jego furgonetką. Jerry ujeżdżał mustangi

na rodeo i poślubił moją siostrę w urzędzie stanu cywilnego w Kansas. Ojciec powiedział, że Jerry skręci sobie kark przy tym ujeżdżaniu, a Nona przez resztę życia będzie go wozić na wózku inwalidzkim i trzymać mu miseczkę, do której on będzie się ślinił. Ona nie należy do amaterek małżeństwa, mówił ojciec. Siedzieć na tyłach i wiwatować na czyjaś cześć to nie dla niej.

Mijały jednak miesiące, a w listach Nony wciąż roilo się od uśmiechniętych buziek i wykrzykników. W porównaniu ze światkiem zawodów jeździeckich, pisała, rodeo to bajka. Jedli z Jerrym steki na obiad i spali w motelach, co oznaczało wielki postęp w stosunku do konkursów, na których żywiliśmy się batonikami musli, piliśmy wodę sodową, a spaliliśmy z końmi w stajni, żeby nikt ich nocą nie ukraść.

Jej listy zawsze były zaadresowane do mnie. Zaczynały się od „Moja mała Alice”, a kończyły na „Ucałuj ode mnie mamę i tatę”. Zostawiałam listy na blacie kuchennym, żeby tata do nich zajrzał, czego chyba nigdy nie zrobił, a po kilku dniach zanosilaam je do pokoju mamy i czytałam jej na głos.

Moja matka niemal całe moje życie spędziła w swoim pokoju. Nona mówiła, że przed naszym przyjściem na świat mama była gwiazdą na zawodach jeździeckich, zgarniała wszystkie nagrody i nawet ukazało się jej zdjęcie w gazecie. Mówiła, że pewnego dnia, kiedy byłam jeszcze niemowlęciem, mama podała mnie jej, oznajmiła, że jest zmęczona, i poszła na górę odpocząć. Nigdy nie zeszła już na dół. Ojciec przeniósł się do pokoju gościnnego, tak żeby jej nie przeszkadzać, i wszyscy zawsze zdejmowaliśmy buty, mijając jej pokój. Nie robiła za dużo zamieszania. Nie wołała o dodatkowe koce, o kruszony lód ani o ciszę. Po prostu leżała w łóżku przy zaciągniętych zasłonach i oglądała telewizję z wyłączonym dźwiękiem. Łatwo było zapomnieć, że w ogóle tam jest.

Siadałam na jej łóżku i czytałam listy Nony przy niebieskim świetle telewizora, a mama poklepywała mnie po nodze i mówiła „To miło, naprawdę miło, prawda, Alice?”.

Oddychałam przez usta, by nie czuć kwaśnego, wilgotnego zapachu jej żółtej skóry i tłustych włosów. Mama kazała mi podawać nazwę każdego miasta, z którego nadchodził list, i opowiadać, jak moim zdaniem ono wygląda. Wyobrażałam sobie rodeowe miasta jako suche, zakurzone miejsca z brudnymi motelami i rzędami fast-foodów, ale

siliłam się na pomysłowość: w McCook w Nebrasce przy każdej ulicy rosły kasztanowce. Marion w Illinois słynęło z purpurowych zachodów słońca. W Sikeston w Missouri znajdował się park ze stawem, nad którym ludzie karmili kaczki. Kiedy już nie mogłam nic wymyślić, mówiłam, że muszę iść do łazienki albo że muszę pomóc ojcu w stajni, i wymykałam się z jej pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Po wyjeździe Nony ojciec powiedział, że na szczęście mamy Sheilę Altman. Mieszkała po drugiej stronie Desert Valley i chodziła do nowej szkoły z komputerami i klimatyzacją. Sheila Altman miała niebieskie oczy i łagodny głos. Mówiła „chciałabym”, „czy mogłabym” i zawsze pamiętała o „przepraszam” i „dziękuję”. Miałam ochotę garściami powyrywać jej słodziutkie blond włoski. Kiedy matka przyjechała z nią do nas, Sheila popędziła do stajni ucałować konie i nakarmić je przywiezionymi z domu marchewkami. Pani Altman wysiadła z samochodu z aparatem fotograficznym oraz książeczką czekową i patrzyła, jak jej córka ładuje się do stajni.

- No, panie Winston - oznajmiła - czeka pana dzisiaj mnóstwo pracy.

Pani Altman powiedziała mojemu ojcu, że przez kilka ostatnich lat wydała tysiące dolarów, żeby wysłać Sheilę na obozy konne, gdzie ta przez tydzień dbała o konia jak o własnego, karmiła go, oporządzała i sprzątała mu boks. Mój ojciec zażartował, że pozwoliliby Sheili posprzątać całą stajnię za połowę tej sumy, ale kiedy pani Altman zachłysnęła się i powiedziała „Naprawdę?” bez zajknięcia odparł:

- Tej dziewczynce? Absolutnie.

Od tej pory pani Altman codziennie po szkole wiozła Sheilę z drugiego końca doliny i płaciła mojemu ojcu, żeby pozwalał jej oporządzać konie i sprzątać boksy. W obecności Sheili ojciec był radosny i beztronski. Mówił jej, że jest niesamowitym twardzielem i że bez niej byśmy sobie nie poradzili. Po jej odjeździe głaskał mnie po plecach i mówił:

- Spełniaj każdą zachciankę tej dziewczyny, Alice. Wciskaj jej w tyłek słodkie słówka. Sheila Altman to nasz bon żywnościowy. I ma zupełnie inne nastawienie niż twoja siostra.

Ojciec zawsze powtarzał, że Nona ma cięty język i niewdzięczne serce, ale zazwyczaj mówił to z uśmiechem. Dostawała szału jak nikt na świecie. Kiedy chciało jej się pić, wrzeszczała. Kiedy było jej gorąco, płakała. A kiedy była wściekła na ojca, jej twarz nieruchomiała

i tak tężała, że wyglądała, jakby miała się zaraz rozpaść na dwie części.

Ojciec starał się być miły, kiedy powiedział, że nie mam usposobienia do zawodów, bo tak naprawdę chodziło mu o to, że nie mam talentu. Nie umiałam zapamiętać, że jednocześnie mam się uśmiechać, opuszczać pięty, a palce u stóp kierować do wewnątrz, trzymać łokcie przy sobie, plecy zaś prosto. Kiedy skupiałam się na uśmiechaniu, zapominałam o wodzach, kiedy natomiast pamiętałam o postawie, moje stopy wysuwały się ze strzemion. Ojciec mówił, że i tak bardziej mnie potrzebuje poza areną, ale rozumiałam, o co chodzi. Musieliśmy dbać o renomę i zarabiać na życie. Koniec końców nie przynosiłam korzyści.

Ale Nona była tak dobra, że wystarczała za nas dwie. Uśmiechała się, śmiała w głos i puszczała oko do sędziów. Poza areną pozwalała małym dziewczynkom z publiczności siadać na swoim koniu. Kiedy pokazywała im, jak trzymać wodze i gdzie wsadzać nogi, do ich rodziców mówiła: „Urodzona amazonka!”. Potem obdarzała promiennym uśmiechem odpowiednią mamę i mówiła: „Mój tata daje lekcje. Musicie kiedyś do nas przyjechać”.

Yellow Cap był ostatnim koniem, którego ojciec dla niej kupił. Był to palomino¹ - najbardziej olśniewający, największy, najpiękniejszy rumak na arenie. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, byłam pewna, że zabije moją siostrę, ale Nona dosiadła go bez trudu. Potrząsnęła wodzami i powiedziała: „Dobry chłopczyk”. Yellow Cap wygiął szyję w łuk, wyokrąglił grzbiet i objechał arenę, jakby byli na pokazie. Ojciec przyglądał się im, stojąc na uboczu z przyszłym klientem:

- Ten koń stanie dla niej na rżęsach - powiedział.

Nazajutrz po tym, jak Polly wyciągnięto z kanału, nie mieliśmy zajęć technicznych. Całą szóstą klasę zebrano natomiast na sali gimnastycznej i zaproszono do dobrowolnych modlitw. Potem kazano nam iść do domu i porozmawiać z rodzicami o tym, co czujemy.

¹ Palomino - koń o charakterystycznym, złotym umaszczeniu (zwanym również izabelowatym). W Stanach Zjednoczonych „palomino” oznacza nie tylko kolor sierści, ale również rasę koni, które muszą spełniać określone wymogi dotyczące budowy ciała, typu oraz pochodzenia (przyp. red.).

W domu zastałam panią Altman i mojego ojca wraz z Sheilą, która miała na sobie kostium mojej siostry.

- No, nie wiem - mówiła pani Altman. - Nie jestem pewna, czy to odpowiedni kolor.

- To samo sobie pomyślałam - odparł mój ojciec. - Dokładnie to samo.

- Lepiej jej w czerwonym. - Pani Altman zatoczyła palcem kółko, a Sheila posłała mi nieśmiały uśmiech i obróciła się, by zaprezentować się matce z drugiej strony.

- Mamy czerwoną koszulę - przypomniał sobie mój ojciec. - Alice, idź do pokoju Nony i przynieś czerwoną koszulę. - Sheila wbiła wzrok w ziemię, a ja rzuciłam tornister i ruszyłam wykonać polecenie.

Musiałam przedrzeć się przez stopy wstęg i trofeów, żeby dostać się do szafy, a kiedy ją otworzyłam, nie wyczułam w ubraniach Nony jej zapachu. Przyciskałam twarz do różnych tkanin, próbując znaleźć ślad siostry, zakurzoną, słodką woń jej dezodorantu, owocową nutę jej balsamu do ciała, ale bezskutecznie. Nic nie zostało.

Niosąc czerwoną koszulę na wieszaku, minęłam uchylone drzwi pokoju matki.

- Alice, to ty?

Otworzyłam drzwi i przygotowałam się na falę stęchłego powietrza. Matka siedziała oparta o trzy poduszki, a światło z ekranu telewizora migotało na jej twarzy. Ustawiłam stopy w progu, starając się nie przekroczyć linii, w miejscu gdzie wykładzina korytarza przechodziła w wykładzinę sypialni.

- Bądź tak miła i zamknij okno. - Poderwała bladą dłoń i westchnęła. - Wlatują tu te małe robaczki. Boję się, że mnie gryzą podczas snu.

- Jętki nie gryzą, mamó - zaoponowałam, ale przeszłam przez pokój i zamknęłam okno.

- Nie cierpię ich - powiedziała. - Paskudztwa. Z tej ohydnej wody. W blasku telewizora jętki wyglądały szaro i niezdrowo. Próbowałam przegonić je za okno. Czułam na karku spojrzenie matki.

- Może zostaniesz i opowiesz mi, co dzisiaj było w szkole? - poklepała łóżko obok siebie.

Podniosłam czerwoną koszulę.

- Muszę to zanieść tacie.

Przez chwilę patrzyła na mnie, mrugając powiekami, a potem odwróciła wzrok w kierunku telewizora. - No to się pośpiesz.

Sheila rzeczywiście o wiele lepiej wyglądała w czerwonym i mój ojciec sprzedał pani Altman koszulę Nony za sumę dwukrotnie wyższą niż ta, którą sam kiedyś zapłacił.

Na zajęciach technicznych nie wiedziałam, co robić z niedokończoną latarnią. Bałam się spawać, a coś mi się wydawało, że nie zdołam skleić poszczególnych części taśmą. Ale chłopcom ciągle było mało spawania i kilku licytowało się, który dokończy moją latarnię. Ostatecznie przyjąłem ofertę trzech dolarów i pepsi, a potem patrzyłam, jak spajają elementy dzieła.

Pan McClusky zasugerował, że miło byłoby dać latarnię matce Polly, więc po szkole układałam sobie w głowie, co mogę powiedzieć, kiedy zadzwonię do drzwi jej domu. Ledwie znałam zmarłą koleżankę, a nigdy nie widziałam jej matki, ale taki serdeczny gest może doprowadzić ją do łez. Może poprosi, żebym weszła na chwilę. Zrobi mi herbatę i poczęstuje pierniczkami, głaszcząc mnie po włosach. „Możesz do nas przychodzić w każdej chwili - powie. - Jeśli chcesz, zostań na noc”.

Ale kiedy ćwiczyłam właściwy sposób wykonania swojego gestu, zauważyłam na latarni miejsca, w których rozmazałam farbę, sprawdzając, czy już wyschła. Matka Polly zapewne miała dom wypełniony doskonałymi przedmiotami, które zrobiła jej córka: starannie zszyte woreczki na fasolkę z zajęć gospodarstwa domowego, symetryczny gliniany pojemnik na ołówki z zajęć plastycznych, wszystkie te rzeczy, które spod moich rąk wychodziły koślawe albo nierówne. Podarunek w postaci byle jakiej latarni tylko wprawi tę kobietę w zakłopotanie. Nie zaniósłam więc latarni do domu Polly, tylko zawinęłam ją w kartkę papieru i wsadziłam do tornistra. Ruszyłam drogą nad kanałem, pijąc pepsi i żałując, że nie pozwoliłam chłopcom również pomalować latarni.

Kiedy dotarłam do domu, ojciec siedział przed stajnią, polerując siodło konkursowe Nony. Twarz miał czerwoną, a skóra wokół ust wyglądała na ściągniętą i napiętą.

- Twoja matka cały dzień płacze - powiedział na mój widok.

- Gdzieś ty była?

- W szkole, a gdzie miałam być?

- Nie mów do mnie takim tonem. Wbiłam wzrok w ziemię.

- Idź na górę i bądź miła dla matki. Powiedz, jak bardzo ją kochasz. Niech poczuje się wyjątkowa. A potem wróć mi pomóc. Trzeba zrobić tysiące rzeczy. Ja już mam dość tej całej roboty.

Spojrzałam na niego. Nona nie wróci. Nigdy.

- Może Sheila Altman to zrobi, kiedy przyjdzie.

Ojciec wstał. Sprawiał wrażenie wielkoluda. Przez chwilę myślałam, że mnie uderzy, i próbowałam oszacować odległość od domu. Może zdołam mu się wymknąć. On jednak schował twarz w dłoniach, a ramiona mu opadły.

- Proszę, Alice - jęknął przez palce. - Proszę.

Poszłam na górę. Na twarzy mojej matki widniały ślady łez, a kosmyki włosów przylgnęły do mokrych plam na policzkach.

- Dlaczego płaczesz, mamó? - zapytałam od progu. Chciałam, żeby w moim głosie zabrzmiała słodycz, ale zabrzmiało tylko znużenie.

- Źle się czujesz?

Krzyknęła na mój widok.

- Chodź do mnie. - Każda część mojego ciała zesztyniała, ale pomyślałam o ojcu z twarzą schowaną w dłoniach, więc wstrzymałam oddech i ruszyłam do niej. Wciągnęła mnie do łóżka i przycisnęła moją głowę do swojego ramienia.

- On cię tu przysłał, prawda? Miał dzisiaj ze mną utrapienie.

- Tata martwił się o ciebie - powiedziałam.

Jej włosy spadły mi na twarz. Próbowałam unieść głowę, żeby jakoś oddychać.

- Kiedyś na mój widok się uśmiechał - wyszeptała. - Patrzył na mnie jak na gwiazdę filmową. Wyobrażasz sobie? - Westchnęła i wyprostowała się. Potem zagryzła wargę i spojrzała na swoje dłonie. - Była sprytna - dodała cicho. - Na tyle sprytna, że wyjechała, póki jeszcze mogła.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Tutaj szybko by się zużyła. Szybko by się postarzała i szybko wykończyła. A teraz jeździ w nowe miejsca i poznaje nowych ludzi. - Odwróciła ode mnie głowę.

Jej koszula nocna była pognieciona, a w świetle telewizora skóra wyglądała na matową i grubą.

- Zrobiłam coś dla ciebie - powiedziałam. - W szkole.

- Naprawdę? - Otworzyła usta i przyłożyła rękę do piersi. - Sama zrobiłaś?

Sięgnęłam do tornistra.

- To latarnia - ciągnęłam. - Widzisz? Tu wsadzasz świeczkę i możesz to powiesić, żeby sobie oświetlić pokój.

Matka zachłysnęła się, kiedy podałam jej latarnię. Przesunęła palcami po spawanych krawędziach i pomazanym farbą wnętrzu.

- Ty to zrobiłaś? Dla mnie? - Yhm.

- Och, kochanie - uściskała mnie. - My dwie zatroszczymy się o siebie nawzajem, dobrze?

Wstałam i wycofałam się w stronę drzwi.

- Teraz muszę pomóc w stajni. Tata kazał.

Na dworze pani Altman wypisywała czek dla ojca. Kiedy podeszłam do niego, podniósł brwi, a ja kiwnęłam głową.

- Nic jej nie jest - oznajmiłam, a on westchnął.

- Komu? - zapytała pani Altman z promiennym uśmiechem. - Pani Winston? - Ojciec i ja wymieniliśmy spojrzenia. - Chętnie bym ją poznała.

- Moja żona unika ludzi - wyjaśnił ojciec z zakłopotaniem, nie odrywając oczu od czeku.

- Jest chora - dodałam, a oni oboje spojrzeli na mnie.

- Na co? - Pani Altman zerknęła na ojca.

- Ma uczulenie na słońce - ciągnęłam. - I na świeże powietrze. - Ojciec rozchylił usta.

- Potworność! - wykrzyknęła pani Altman. - Czym się to objawia?

- Puchnie jej głowa - wyjaśniłam, a oni gapili się na mnie. - I dostaje wysypki. I gorączki. I czasami mdleje. - Ojciec mnie szturchnął.

Pani Altman złożyła dłonie.

- Jakie to straszliwe! - jęknęła. - Biedactwo!

Kiedy już wręczyła ojcu czek i podażyła za córką do stajni, ojciec przyjrzał mi się uważnie.

- Jesteś niegodziwą, niepoprawną kłamczuchą, Alice Winston - powiedział. Ale uśmiechał się przy tym.

Sheila Altman pomogła nam wyprowadzić konie sportowe ze stajni, żeby zrobić miejsce dla żrebných klaczy, które w czasie porodu musiały mieszkać pod dachem. Kiedy sprowadzaliśmy ciężarne klacze z pastwiska, Sheila pisnęła i klasnęła w dłonie.

- Nie mogę się doczekać maluszków! - powiedziała do mnie. Nasze klacze nosiły proste imiona, takie jak Misty, Lucy, Ginger

oraz Sally. Były powolne i spokojne, miały długie łby, splątane grzywy i zniekształcone brzuchy. Sheila przykładła dłonie do ich beczkowatych brzuchów i mówiła, że czuje, jak żrebak rusza się w środku.

- Kopnął! - krzyknęła do mnie. - Przysięgam, że poczułam jego kopnięcie.

Po jej odejściu wzięłam Yellow Capa z zagrody i usiłowałam rozczesać mu splątaną grzywę i ogon. Ojciec mi się przyglądał. Kiedy wyciągałam włosy ze szczotki i upuszczałam je na ziemię, odchrząknął.

- Pani Altman chce kupić Yellow Capa dla Sheili - powiedział. Moje palce zlodowaciały. Udawałam, że dalej wyciągam włosy ze szczotki.

- Ona sobie z nim nie poradzi.

Ojciec skubnął niewidzialną nitkę z koszuli.

- Chcesz w tym roku wziąć udział w zawodach? Wbiłam w niego wzrok.

- To zachowaj swoje zdanie dla siebie.

Pogrzeb Polly Cain miał się zacząć o siedemnastej w czwartek, na cmentarzu naprzeciwko aąaparku. Po powrocie ze szkoły ćwiczyłam przed lustrem smutny wygląd i skruchę. Może ojciec zmieni zamiar i zabierze mnie, a potem mama Polly wyłowi mnie z tłumu jako bliską koleżanką zmarłej córki. Podejdę do niej powoli, a ona mnie do siebie przyciągnie. Wpatrując się w swoje odbicie, wyobraziłam sobie popołudnia, które spędzam z mamą Polly przy kuchennym stole, a przed nami leży album rodzinny. Ona wskaże zdjęcia Polly w kostiumach na Halloween i na recitalach fortepianowych. „Widzisz?” - powie. - „Widzisz, jaka jesteś do niej podobna?”. Ja oprę głowę na jej ramieniu, a jej włosy będą pachniały truskawkami i cytrynami. Powiem jej, jak bardzo tęsknię za Polly, jak nieodwracalnie wszystko się zmieniło

po jej odejściu, ona zaś ucałuje moje powieki i palce i zapłacze w moje dłonie. „Była moją najlepszą przyjaciółką, najwspanialszą na świecie” - powiem. I może to wcale nie będzie kłamstwo. Nikt nie udowodni, że nie była moją najlepszą przyjaciółką. W końcu już nie żyła.

Nie zdażyłam jednak przekonać ojca, żeby mnie zabrał, bo nasza Lucy zaczęła rodzić pierwszego w tym roku źrebaka i wiedziałam, że nie będzie mnie na cmentarzu, by oddać ostatni hołd koleżance. Pomogłam ojcu zawinąć bandażem ogon Lucy, tak żeby młode się weń nie zaplątało. Na kolanach sprzątnęliśmy wokół klaczy, usuwając trociny spod jej nóg, aby nie dostały się źrebakowi do nozdrzy. Maluch wyskoczył chudy i mokry, rozrywając worek płodowy swoimi słabymi białymi kopytkami.

- To ogierek - oznajmił ojciec, uśmiechając się szeroko. - Popatrz no tylko. - Przyłgnęłam do ciała źrebaka, żeby utrzymać go nieruchomo, podczas gdy ojciec odcinał pępownię, a potem patrzyliśmy, jak młody próbuje stanąć na swoich maleńkich, cieniutkich nóżkach.

Ojciec poklepał mnie po karku.

- Dobra robota, Alice - rzekł. - Jesteś prawdziwym zawodowcem. Czekaliśmy w drzwiach stajni, dopóki źrebak kołysał się na drżących nogach. Przez chwilę mieliśmy wrażenie, że dzięki nam dokonało się coś wielkiego.

Kiedy usłyszeliśmy, jak minivan Altmanów zatrzymuje się na podjeździe, ojciec przymknął oczy.

- Jezu - westchnął. - Nie mam na to dzisiaj siły.

Pani Altman wysiadła z auta i zaczęła przyglądać się osłonie chłodnicy.

- Wszędzie tu pełno maleńkich białych robaczków - powiedziała do nas. - Oblepiły mi cały samochód.

Ojciec pokręcił do mnie głową i poszedł zerknąć.

- Jętki - oznajmił. - Wylęgają się nad kanałami. Jak wyciągnęliśmy z wody tamtą dziewczynkę, miała we włosach chyba całą ich setkę.

Pani Altman wzięła ręcznik z tylnego siedzenia i próbowała wytrzeć przód samochodu.

- Tam dalej na drodze jest ich tyle, że wyglądają jak śnieżyca. - Spojrzała na mnie i zamilkła. - Na Boga, Alice. Co się stało?

Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że mój tiszert jest zakrwawiony w miejscu, gdzie oparłam się o źrebaka.

- Dzisiaj po południu urodził się nasz pierwszy źrebak - oznajmił ojciec, wskazując na stajnię.

- Nie do wiary, że mnie to ominęło - zawyła Sheila. - Powinniście po nas zadzwonić!

Ojciec odwrócił się do mnie i wznosił oczy do nieba.

- Jeszcze dużo ich się urodzi - rzekł.

Sheila z matką cisnęły się do boksu Lucy, cmokając i gruchając do młodego. Lucy odsłoniła zęby i położyła uszy. Ojciec starał się odciągnąć Sheilę.

- Dajmy im chwilę, niech się oswoją. Matki są z początku trochę zazdrosne i nadopiekuńcze.

- A ja zapomniałam aparatu - jęknęła pani Altman. - Ależ zapominalski dzień.

- Może jeszcze dzisiaj urodzi się następny - powiedziałam. - Czasami się pojawiają jeden za drugim.

- Mamo, mogę zostać? Proszę... - Sheila przycisnęła rękę do piersi i wspięła się na palce. - Jeśli pan się zgodzi, oczywiście - dodała, zerkając na mojego ojca.

Zaklinałam go w myślach, żeby odmówił, ale on na mnie nie spojrzał.

- Może zostać na noc - powiedział do pani Altman. - My z Alice i tak do rana będziemy na nogach, żeby doglądać klaczy.

- Och, proszę, mamo - błagała Sheila. - To będzie jak pizama-party.

Pani Altman poprawiła kołnierzyk.

-Jutro jest szkoła, ale z takiej okazji... to taka szkoła życia i chyba jest nawet ważniejsza. Musisz zobaczyć cud narodzin. To najpiękniejsza rzecz na świecie, prawda, Alice?

Chciałam jej powiedzieć o krwi, zapachu i odgłosach, które wydaje klacz, kiedy jej ciało zaczyna się rozdzierać wokół otworu dla źrebięcia. Chciałam powiedzieć jej o naszej gniadej klaczy sprzed kilku lat, której macica wyszła na zewnątrz w czasie porodu i wisała jej z tyłu jak worek galaretki. Chciałam powiedzieć, jak klacz krzyczała niczym człowiek, ale stała, dygocząc, żeby nakarmić źrebię. Chciałam, żeby wiedziała, że kiedy przyjechał weterynarz ją uspić, Nona zasłoniła mi oczy, ale i tak słyszałam pęknięcie kości, kiedy klacz padła na ziemię.

Żrebię jeszcze przez całe trzy dni płakało słabiuśkim rzeniem. Ale uśmiechnęłam się tylko.

- Tak. Najpiękniejsza.

Pani Altman zostawiła nam pieniądze, żebyśmy zamówili pizzę, i oznajmiła, że odbierze Sheilę rano. Kiedy wsiadała do swojego minivana, zapytała mnie, czy mogłabym pożyczyć jej córce ubranie, tak żeby nie zakrwawiła swoich ładnych ciuszków. Pomyślałam o pogrzebie Polly, który właśnie się zaczynał po drugiej stronie miasta. Jej matka już zajmowała miejsce. Ludzie parkowali samochody i z powagą witali się skinieniem głowy, idąc przez trawnik. Nigdy jeszcze nie byłam na pogrzebie, ale wyobrażałam sobie, że wszyscy kroczą w milczeniu, dostojni i pełni szacunku w szykownych czarnych sukniach i uroczystych garniturach. Siedzieli sztywno pomimo bólu, ale w miarę jak ceremonia trwała, zmieniali pozycję. Ich ciała miękły, a potem opierały się o siebie, ręce obejmowały talie i ramiona, palce się spletały, kiedy ją opuszczano do ziemi.

Zjedliśmy pizzę na papierowych serwetkach i graliśmy w remika w siodłami. Na zmianę obchodziliśmy stajnię, by doglądać kłaczy, aż o drugiej nad ranem Sheila wróciła biegiem.

- Ginger się kładzie! - wrzasnęła. - Strasznie się poci.

- Idziemy - polecił ojciec, a my pomaszerowałyśmy za nim przez stajnię. Ojciec rzucił mi bandaż i wskazał ogon Ginger. Uklęłam za nią i zobaczyłam, że jej ogon już jest mokry od krwi i śluzu. Mięśnie całego ciała przeżyły się, a tylne nogi kopały trociny.

- Ona cię kopnie - wyszeptała Sheila do swoich palców.

- Nie może kopnąć, kiedy leży, głupku - powiedziałam. Ojciec uszczypnął mnie w ramię. - To znaczy... nic się nie stanie. - Zgarnęłam mokry ogon Ginger do bandaża i zapięłam agrafkę.

Sheila cofnęła się o krok.

- Pospiesz się, Alice - wyszeptała.

Ojciec ukląkł przy łbie Ginger, trzymając ręce na jej szyi. Głaskał ją po grzywie, mówiąc cicho:

- Grzeczna dziewczynka. No dalej, maleńka.

Na ogół ojciec zwracał się do kłaczy słowami „dziwki” albo „szkapy”, ale kiedy rodziły, cmokał i szeptał do nich jak do dzieci.

- Właśnie tak - mruczał. - Dzielna jesteś.

Sheila zakradła się obok niego i zaczęła oddychać głośno i płytko, jak w telewizji robiły to rodzące kobiety.

- Mów do niej - rozkazał Sheili, a ona pochylała się, by dotknąć pyska Ginger. Ojciec poklepał ją po ramieniu i dodał: - Tylko uważaj, bo jak rzuci głową, to może wybić ci zęby.

Słyszałam, jak inne konie chodzą na zewnątrz, bijąc kopytami ziemię. Ogrodzenie stukotało i ojciec kazał mi sprawdzić, co się z nimi dzieje. Ginger zaczęła jęczeć, a Sheila wycofała się z boksu z rękoma przyciśniętymi do ust.

- Pójdę z tobą - wyszeptała.

Klaczę sportowe zebrały się przy ogrodzeniu pastwiska, a wokół nich roило się od jętek. Klacze leżały na ziemi, z wywróconymi gałkami ocznymi i ciałami pokrytymi potem. Podnosiły łby, po czym waliły nimi o trawę, stękając i parskając, ich mięśnie drgały, a ogony smagały chmury natrętnych owadów.

- Co się z nimi dzieje? - zapytała Sheila.

- Starają się urodzić - wyjaśniłam i przez sekundę sama myślałam, że to prawda. Jej usta zadrzały.

- Ale one nie są w ciąży.

-Poczuły zapach - powiedziałam. - Czują zapach nowych źrebiąt i próbują rodzić. - Zerknęłam, by sprawdzić, czy mi wierzy. Za niespełna miesiąc klacze sportowe wrócą do stajni, wyczyszczone i ostrzyżone, przygotowane na sezon. Do tego czasu Sheila może się znudzić końmi, może się przerwuci na fortepian albo na gimnastykę, albo na łyżwiarstwo figurowe. Mogliśmy ubrać Sheilę Altman w ciuchy mojej siostry i sprzedać jej konia, ale co ona mogła z tego wszystkiego zrozumieć? Sheila Altman - co ona mogła rozumieć o pragnieniu?

Twarz Sheili zamarła, ona sama zakryła uszy dłońmi. Czułam, jak w środku wzbiera mi cudowna złośliwość.

- Piękne są, prawda?

Sheila zadrzała i odwróciła się.

- Nie mogę na nie patrzeć - powiedziała.

Wzdłuż podjazdu wałachy ciężko waliły kopytami w ziemię i uderzały pierśią w bramy swoich zagród. Zadzierały dziko łby, w białkach oczu odbijało się światło księżyca, kiedy jętki latały wokół nich. Yellow Cap zarżał, a ja pobiegłam do jego zagrody. Sheila patrzyła.

- Już dobrze, Cap - uspokajałam go.
- On świruje - rzuciła Sheila nerwowo. - One wszystkie świrują.
- Nic mu nie jest. - Wyciągnęłam rękę, żeby go poklepać, ale on skoczył i się odsunął. - No chodź, mały - zawołałam i otworzyłam zasuwkę, żeby wejść do niego.

Uchyliłam bramę, a Yellow Cap stanął dęba, uderzając mnie barkiem, tak że upadłam na ziemię. Usłyszałam, jak metalowa brama uderza o ogrodzenie, a potem dźwięk kopyt na żwirze, kiedy koń biegł ku szosie.

- Zatrzymaj go! - zawołałam do Sheili, ale ona tylko patrzyła za nim skamieniała. Wstałam, ale moje biodro i noga wydawały się gumowe i wiotkie, ręce mi się trzęsły, kiedy dla zachowania równowagi chwyciłam się ogrodzenia. - Muszę go dogonić.

- Alice, krew ci leci z twarzy. - Czułam smak krwi i pył w ustach. Dotknęłam ich ręką. Nie umiałam rozpoznać, skąd leci mi krew. Całą twarz miałam odrętwiałą.

- On może wpaść pod samochód - powiedziałam.

- Pobiegł w stronę kanału. Powinniśmy pójść po twojego tatę. Minęłam ją, ale ona chwyciła mnie za rękę.

- Możemy mu powiedzieć, że to ja wypuściłam Yellow Capa. Na mnie się nie wścieknie, chyba nie. Albo możemy pójść po twoją mamę. - Spojrzałam na nią. - Jest noc, chyba może wyjść na dwór. Daj spokój, Alice, strasznie leci ci krew. Pójdę z tobą, dobrze?

Jeśli mogłam przysporzyć sobie większych kłopotów niż te, które mnie czekały za zgubienie Yellow Capa, to tylko gubiąc Sheilę Altman. Jej usta się wykrzywiły, jakby miała się rozplakać, a ja gwałtownie odsunęłam od niej rękę.

- Zaraz wrócę, Sheila. Nie bądź dzieckiem.

Biegłam, aż poczułam, że za chwilę wypluje płuca. Dwa razy potknęłam się na poboczu. W końcu musiałam zwolnić. Zawołałam Yellow Capa i cmoknęłam. Ciekło mi z nosa, słyszałam tylko swój ciężki oddech. Wytarłam nos grzbietem dłoni i potarłam piekący łokieć, na którym podrapałam sobie skórę wskutek upadku. Jętki latały przede mną, odpędzałam je, machając ramionami. Widziałam miejsce, gdzie powinna znajdować się woda, ale nad nią wisiała połyskująca mgła. Owady całymi milionami podnosiły się znad kanału, ich półprzezroczyste ciała i papierowe skrzydełka unosiły się nad

wodą niczym śnieżycą. Ruszyłam drogą, ale uszłam ledwie kilka metrów i musiałam się zatrzymać, żeby zakryć oczy przed gęstwą insektów.

Czułam bicie serca w gardle i w uszach. Nie mogłam dojrzeć wody, ale czułam jej chłód wszędzie dookoła. Oddaliłam się od drogi na tyle, na ile mogłam. Machałam ręką, ale owady wzbierały niczym kłęby pary. Zaciśniłam usta, żeby nie dostały mi się do środka, i jak najmocniej potrząsnęłam głową. Wymacałam drogę, schylając się w pół, by koniuszkami palców dotykać traw.

- Cap, tutaj! Tutaj, malutki! - Mój głos, piskliwy i ochryply, zagubił się w chmarze jętek. Machałam przed sobą rękami, ale owady wpadały mi do nosa i uszu i musiałam stanąć, żeby strzepnąć je z twarzy. Kiedy przez szron skrzydełek zobaczyłam zarys sylwetki Yellow Capa, pomyślałam, że to złudzenie, ale brnęłam ku niemu z wyciągniętymi ramionami.

Położyłam ręce na jego boku i przesuwałam je, aż dotarłam do łba. Yellow Cap stał nieruchomo jak skała, z zablokowanymi kolanami i napiętymi mięśniami. Oczy miał szeroko otwarte, chrapy rozdęte i parskał na chmarę jętek.

- Dobry chłopczyk - powiedziałam, a on rzucił łbem, odpychając mnie w tył. Nie pomyślałam, żeby wziąć kantar albo linę, więc ciągnęłam go za grzywę i uszy, by za mną poszedł. Ale oczy Yellow Capa znieruchomiały ze strachu, a nogi stały sztywno na ziemi. Nie mogłam dojrzeć, w którym miejscu drogi się znajdujemy, a wszędzie dookoła czułam wodę, która zabiła Polly Cain. Może się po prostu potknęła i wpadła do kanału. Może coś upuściła. Przypomniałam sobie, jak kiedyś przypadkowo zachłysnęłam się na basenie - od wody czułam w oczach przeszywający ból, miałam straszliwe torsje. W pobliżu nie było żadnych domów. Może nikt nie usłyszał jej krzyków.

Kopnęłam Yellow Capa w nogę, a on się zjeżył.

- No już! - krzyknęłam. - Dalej, głupku. Ruszaj!

Ciągnęłam z całej siły. Wykręcałam mu ucho palcami i obejmowałam ramionami szyję, żeby go pociągnąć, ale moje ciało zwisało z niego bezużytecznie w białym roju. Nigdy go nie zaprowadzę z powrotem. A on się rzucił do wody. Kopyta utknęły mu w kracie. Nogi się połamały. Płuca wypełniły się wodą. A ja nie zdołałam temu zapobiec. Nawet nie zdołałam tego zobaczyć - tylko to usłyszę.

- Błagam! - wrzasnęłam. - Ty durny koniu! Błagam! - Próbowałam podnieść jego przednią nogę i przesunąć ją o krok, ale nie umiałam rozpoznać, w którym kierunku mogę to zrobić bez obaw.

Kiedy przez szum owadzych skrzydełek usłyszałam głos ojca, pomyślałam, że mi się zdaje. Po chwili znowu go jednak usłyszałam.

- Alice!

- Tato, tutaj! Mam go. Tutaj jesteśmy!

- Nic, cholera, nie widzę!

- Tutaj! - krzyknęłam znowu, dławiąc szloch. Dotknął mojego ramienia.

- Jezu Chryste! Co ty tu robisz, do diabła?

- Yellow Cap uciekł. Bałam się, że wpadnie pod samochód albo że się zgubi, albo wpadnie do wody. - Palce miałam wplątane w jego grzywę i obracałam nimi, by je wyswobodzić.

Ojciec pchnął mnie mocno, a potem złapał mnie za ramię, zanim się przewróciłam.

- Mógłbym cię zabić - powiedział. - Mógłbym cię zabić za to, że byłaś taka głupia. - Próbowałam się odsunąć, ale zatoczyłam się w białej chmarze i chwyciłam kieszeń spodni ojca, żeby złapać równowagę.

Zdjął koszulę i owinał ją wokół szyi konia. Musiał mocno ciągnąć, ale Yellow Cap w końcu ruszył. Staraliśmy się spędzać mu owady z oczu, prowadząc go do drogi. Ojciec szedł z przodu, trzymając mnie za rękę, a ja cmokałam, zachęcając konia do marszu. Jętki kłębiły się wokół nas niczym ciepła, sucha śnieżycyca, a kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, jak wznoszą się do czarnego nieba.

W końcu chmara się przeredziła i dotarliśmy do drogi. Stanęliśmy bez tchu. Ramię bolało mnie w miejscu, w którym trzymał je ojciec. Zobaczył, że się krzywię, i puścił mnie. Potarłam to miejsce.

- Sheila nie powinna była ci mówić. Nic by mi się nie stało.

- Akurat - odparł, ale spokojnym głosem, i poluzował chwyt na koniu, by pozwolić mu poskubać trawę. Obejrzał się na chmury nad wodą, kręcąc głową.

Podniosłam dłonie i dotknęłam delikatnych ciałek kłębiących się znad kanału owadów, ich białych jak papier skrzydełek. Muskały moje dłonie i rozplywały się w ciemnościach. W świetle księżycyca naga klatka piersiowa mojego ojca wydawała się blada i gładka w porównaniu z ciemną opalenizną ramion.

- Co z klaczami? - zapytałam. - Chyba nie powinieneś ich zostawiać?

- Alice, konie rodzą od zawsze. Gdyby człowiek musiał im przy tym pomagać, już dawno by wymarły.

Szliśmy drogą z powrotem, prowadząc między sobą Yellow Capa, który opuścił łeb nisko niczym pies.

- No to dzisiejszej nocy Sheila Altman się przydała - rzekł w końcu mój ojciec.

- Nie cierpię jej - odparłam. Nic mnie już nie obchodziło.

- Wiem przecież. - Uśmiechnął się i pociągnął Yellow Capa.

- Nie cierpię cię za to, że dałeś jej konia Nony. Ojciec milczał chwilę.

- Ten koń jest wart kupę pieniędzy, Alice. Więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. - Westchnął. - Jeśli go sprzedam, stać mnie będzie na wynajęcie pomocnika.

Zatrzymałam się.

- Masz Sheilę - powiedziałam, a on się roześmiał. Dotknęłam szyi Yellow Capa.

- Masz mnie.

Ojciec ruszył dalej, szybciej, aż musiałam biec, by dotrzymać mu kroku. Drogą przejechał samochód, a kiedy nas minął i znalazł się przed nami, zobaczyłam za nim smugę jętek. Ich martwe ciała obsiały bruk.

Dotarliśmy do drogi prowadzącej do naszego gospodarstwa. Ojciec podniósł wzrok na dom.

- W pokoju twojej matki się świeci - powiedział, wskazując ręką. Światło było niewielkie i żółte. Świeca. Chmara jętek ciągnęła do niego, kłębiąc się przy szybie w oknie.

- To latarnia, którą dla niej zrobiłam.

- Zrobiłaś dla niej latarnię?

- Tak jakby. - Zwinne palce Polly Cain leżały nieruchomo pod warstwą suchej, pylistej ziemi. Ja tylko pomalowałam tę latarnię.

- Dlaczego to zrobiłaś? Spojrzałam na okno.

- Ona coś chciała. A miałam tylko to.

Przesunął kciukiem po mojej wardze, po czym wewnętrzną stroną nadgarstka starł krew z mojej twarzy.

- Może pójdziesz teraz do łóżka? - Odwróciłam twarz w stronę jego dotyku i oparłam brodę w jego dłoni. Pachniał potem, sianem

i skórą. - Nie przydasz mi się, jeśli wszyscy będziemy wykończeni. Prześpij się trochę. - Spojrzał w stronę zagród, ciągnąc za koszulę na szyi Yellow Capa.

- Nie jestem zmęczona - powiedziałam. - Naprawdę. Ani trochę.

Nie położę się.

Zanim wyszedł z zagrody, podrapał konia pomiędzy uszami i poklepał go po szyi. Brama zamknęła się z brzękiem, a kiedy ojciec mnie mijał, pokręcił głową.

- Każda inna dziewczynka poszłaby do łóżka. - Objął mnie i ścisnął. - Ani chyba jesteś twardsza od całej reszty.

Ramię wciąż mnie pobolewało w miejscu, gdzie ścisnął mnie nad kanałem, ale napięłam mięśnie, żeby były twarde jak stal. Czekałam, aż ojciec coś powie, ale Sheila Altman nadbiegła od strony stajni, machając rękami nad głową.

- Udało się jej - krzyczała, podskakując. - O mój Boże. Jest doskonały. Chodźcie zobaczyć!

Żrebak był mały i mokry, jak wszystkie żrebaki na świecie. Stanęliśmy blisko siebie, żeby go zobaczyć ponad drzwiami boksu. Pod słabym, żółtym światłem stajni leżał z podkulonymi rachitycznymi nogami. Klacz stała nad nim, przymykając oczy, i pochylała łeb, by obwąchać swoje dziecko. Niebo na zewnątrz szarzało, chłód stał się bardziej przenikliwy. Dokoła nas w powietrzu unosiły się drobinki siana i kurzu, kiedy staliśmy w milczeniu w stajni, wdychając zapach krwi, ziemi i nocy, i patrzyliśmy, jak zwierzęta wyciągają szyje, by po raz pierwszy się dotknąć.

rozdział drugi

Miałam siedem lat, kiedy ojciec kupił mojej siostrze Yellow Capa. Dwóch mężczyzn o potężnych karkach wiozło go aż z Kentucky, a kiedy go wyprowadzili z przyczepy, Cap rzucił głową, niemal obalając ich na ziemię. Nona miała niespełna dwanaście lat, ale podeszła do niego bez wahania i wyciągnęła rękę. Mięśnie na klatce piersiowej Capa zadrżały, tupnął kopytem, obsypując mojej siostrze nogi żwirem.

- Uważaj - rzucił jeden z karków, ale Nona ani drgnęła.

Po chwili Cap opuścił łeb. Cała reszta patrzyła, jak Nona głaszcze konia po nosie, cmoka i skręca mu grzywkę w zakrętas pomiędzy oczyma.

- No proszę - powiedziała. - Nie jesteś taki trudny.

Chwila, w której Yellow Cap przeszedł na własność Sheili, nie była ani trochę taka niezapomniana. Pani Altman wręczyła ojcu czek, on zaś podał jej dokumenty. Koń ani na chwilę nie wyszedł poza ogrodzenie. Potem ojciec zabrał mnie na cheesburgery i stwierdził, że to będzie niezmierny rok - on to czuje. Uśmiechał się, podrygując nogą pod stołem.

- Weź sobie deser - polecił z pełnymi ustami. - Jaki chcesz. Ojciec powiedział, że nasza stajnia wkrótce wypełni się klientami.

Przyjaciółki Sheili przyjadą popatrzeć, jak ona jeździ. Kiedy ją zobaczą, dumną i pełną wdzięku na pięknym nowym koniu, też będą chciały mieć lekcje, a potem własne piękne konie. I to będą dziewczynki jak Sheila, dodał. Bogate dziewczynki. One wszystko zmieniają.

- Nonę zaczęło to wszystko nudzić, rozleniwiała się. - Ojciec wysiorbał resztę wody sodowej i wyciągnął do mnie rękę przez cały stół. - Ale Sheila jest taka nowa. Jest podekscytowana... diabelnie.

Sheila Altman rzeczywiście była nowa. I na pewno podekscytowana - podskakiwała więcej niż jakakolwiek znana mi osoba. Ale „diabelnie” pasowało do dziewcząt takich jak Nona, które występowały całe swoje życie, do dziewcząt z wysuniętą szczęką, zmrużonymi oczyma i ramionami niczym węzły lin. Kiedy nie były na arenie, siedziały niedbale na swoich koniach i w czasie przerw popalały papierosy za budką prezentera. Dziewczyny, które były zrzucane, tratowane i ciągnięte, dziewczyny, pod którymi konie się przewracały albo nad którymi się przewalały. Jako trzynastolatki miały już niezłą biografię: obojczyk złamany, po tym jak kopnął je żrebak, kolano rozerwane, kiedy spłoszona klacz przetarła bokiem o słup ogrodzenia, miednica roztrzaskana, kiedy koń się położył i przetoczył, przywalając amazonkę. Sheila Altman miała gładką skórę i różowe policzki. Na nikim nie zrobi wrażenia.

- Co? - zapytał ojciec i podniósł jedną brew, bardziej ostrzegawczo niż pytająco.

- Nic - odparłam. - Po prostu w ogóle nie chcę deseru.

W szkole woźni sprzątnęli biurko Polly i zdrapali naklejki z jej szafki. Dyrektor przez radiowęzeł podziękował szóstej klasie za oszałamiającą frekwencję na pogrzebie i powiedział, że kiedy się zrobi trochę cieplej, cała klasa szósta ku czci Polly zasadzi drzewo na podwórku. Do tego czasu - oznajmił - będziemy dalej się uczyć, śmiać i punktualnie oddawać wypracowania. Tego właśnie chciałyby bowiem Polly.

Za życia Polly Cain nie cieszyła się nawet odrobiną tej popularności, którą zyskała po śmierci. Dziewczynki chodziły ubrane na czarno albo przynajmniej na granatowo. Każdy, kto choćby otarł się o nią na korytarzu, miał teraz co opowiadać: w czasie sprawdzianów ortograficznych pożyczła ołówki, pożyczła też ćwierćdolarówki do automatu z napojami. W klasie zawsze podnosiła rękę, zanim się odezwała, a kiedy widziano ją, jak podnosi papierek, to zawsze był cudzy papierek. Nikt sobie nie przypominał, żeby Polly kiedykolwiek zakłęła albo podstawiła komuś nogę, albo kogoś przezwała. Teraz nie żyła. Można było to wytłumaczyć tylko w jeden sposób: hojna, uczynna i przejęta środowiskiem naturalnym - była za dobra dla tego świata.

Niewielki krąg dziewczynek, które przyjaźniły się z Polly, od razu zyskał sławę. W dniach po pogrzebie ludzie tłoczyli się wokół nich na korytarzach, pytając, jak sobie radzą, i proponując pomoc w nadrobieniu materiału, w którym narobiły sobie braków, oddając się żało-

bie. Przyjaciółki Polly były zwyczajne i ciche, nienawykłe do takiego szumu. Patrzyłam, jak pokonują korytarze z pochylonymi ramionami i głowami. W nieco innym świetle mogłabym być jedną z nich.

Po kolei poznawałam szczegóły pogrzebu. Kiedy myłam ręce w łazience dla dziewcząt, dowiedziałam się, że Polly pochowano w różowej trumnie. Przebijając się na WF, usłyszałam, jak dwie dziewczyny rozmawiały o wierszu, który odczytano na początku nabożeństwa, a słuchając, udawałam, że rozplątuje supeł w sznurówkach. Ale to w kolejce po lunch trafiłam na najzasobniejsze źródło informacji.

W normalnych okolicznościach Janice Reardon należała do osób, z którymi pozostali ludzie unikali rozmowy. Błada, pyzata, z ciasto-watymi ramionami i trądzikową wysypką na czole, Janice zwykle nosiła kostiumy w dni, kiedy nie było żadnej zabawy, i wdawała się w rozmowy z przedmiotami nieożywionymi. Dzisiaj Janice miała na sobie plastikowy diadem i opowiadając mi szczegóły pogrzebu Polly, przerywała, by przywitać się z każdym przedmiotem na tacy:

- Cześć, widelczyku. Nie za bardzo dzisiaj łnisz.

Ale ona była na pogrzebie, a ja nie. Uśmiechnęłam się więc, kiwnęłam głową i udawałam, że nie zauważam, że ona mówi do sztućców.

Janice powiedziała mi, że to wujek Polly czytał wiersz na początku nabożeństwa - wiersz był o kwiecie. Mama Polly miała na sobie zieloną sukienkę i niosła jedną białą różę. Kiedy słońce zaszło, z projektora wyświetlono zdjęcia Polly od wczesnego dzieciństwa, a chór szosto-klasistek śpiewał *Candle in the Wind*.

- To było druzgocące - rzekła Janice. Stałyśmy ze swoimi tacami, aż ona skinęła w stronę pustego stolika. - Chcesz ze mną usiąść?

Niektóre z plastikowych klejnotów odpadły z diademem Janice. Widziałam miejsca, w których pokolorowała puste wgłębienia czerwonym flamastrem. Obejrzałam się, czy ktoś nas widzi, ale Janice wpatrywała się tylko w moją twarz.

- Jeszcze ci wszystkiego nie powiedziałam - uprzedziła. - Właściwie dopiero prześliznęłam się po powierzchni.

Kiwnęłam głową i podążyłam za nią do stolika.

Polly nie miała rodzeństwa, a jej ojciec zmarł, kiedy miała cztery latka. Janice rozłożyła papierową serwetkę na kolanach, powtarzając mi historie, które poznała na pogrzebie, i opisując widziane sceny - Polly w bożonarodzeniowy poranek z czerwoną kokardą na czubku głowy.

Polly na łyżwach. Polly pijąca mleko czekoladowe przez skręcaną słomkę.

- Jej mama płakała? - zapytałam, a Janice zatrzymała hot doga w połowie drogi do ust.

- Ba - odparła. - To był pogrzeb jej dziecka.

- Jak wyglądała? - zapytałam, a ona wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Jak kobieta. Jak czyjaś matka.

Kiwnęłam głową, myśląc o mojej matce, która czasami płakała zupełnie bez powodu.

- Wszyscy płakali - ciągnęła Janice. - Kiedy już pogrzeb się skończył, widziałam, jak pan Delmar prawie szłocha w swoim samochodzie.

Pan Delmar uczył siódmą klasę angielskiego. Próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądał, próbowałam sobie wyobrazić dorosłego mężczyznę samego w stojącym samochodzie, płaczącego cicho z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Polly nawet nie miała z nim lekcji - powiedziałam.

- Była w drużynie tenisowej - wyjaśniła Janice. - Pan Delmar ich trenował.

- Jest drużyna tenisowa? - Nasza szkoła miała kort, ale na jego popękanej nawierzchni rosły chwasty i nie było tam siatki.

- To bardziej klub. Nie sądzę, żeby się spotykali za często. -1 pan Delmar był taki smutny?

Janice otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Widziałam na jej języku kulki częściowo przeżutego hot doga.

- Był zdruzgotany!

Wpatrywałam się w swoją tacę, nie dotykając jej. Nawet przypadkowi nauczyciele rozpadali się na kawałki, przytłoczeni perspektywą świata bez Polly. Wszystkie te lata Polly i ja szłyśmy tą samą drogą do domu, a nawet nie wiedziałam, że ona gra w tenisa.

Rozejrzałam się po stołówce, aż znalazłam stolik, przy którym Polly jadała lunch, i puste krzesło, na którym siadała. Podczas gdy Janice dalej mówiła o pogrzebie, kto miał co na sobie i kto gdzie siedział, ja z ukosa przyglądałam się przyjaciółkom Polly, w nadziei że pomiędzy kęsami kanapki a łykiem mleka może podniosą wzrok i mnie dostrzegą. Chciałam, żeby wiedziały, że nie są same, że choć zapewne nie rozumiem w pełni ogromu ich straty, to jednak chętnie podałam im pomocne ramię. Ich grupa była teraz o jedną osobę mniejsza. Mogłabym słuchać ich

opowieści, pomóc, gdy będą wylewać swój ból. Trzy to niedobra liczba, jeśli chodzi o przyjaciółki - każdy to wiedział. Mogłam ją wyrównać.

- Muszę iść - mruknęłam, a usta Janice zamarty w pół zdania. Przeszłam długą drogę przez stołówkę. Kiedy szłam do ich stolika,

wydawało mi się, że czuję, jak tłum rozstępuje się przede mną, gdy widmowa ręka Polly prowadzi mnie w stronę przyjaciółek. Spojrzymy sobie w oczy i wszystkie poczujemy więź, wartość naszego spotkania. Poproszą, żebym się do nich dosiadła. Poproszą, żebym została. Od tej chwili zawsze będę z nimi, strzegąc je przed wścibskimi pytaniami naszych kolegów i koleżanek, wypełniając pustkę, którą pozostawiła Polly.

Kiedy jednak zatrzymałam się przed ich stolikiem, wszystkie trzy przyjaciółki Polly podniosły na mnie puste, szkliste oczy, nie mówiąc ani słowa.

- Jestem Alice - powiedziałam.

- Wiemy, kim jesteś - odparła Sharon Hill i wetknęła placek ziemniaczany w kupkę keczupu. - Czego chcesz?

Przełożyłam tacę do drugiej ręki i próbowałam nadać twarzy wyraz otwarty i szczery, żeby dostrzegły prawdziwość moich uczuć.

- Chciałam tylko powiedzieć, że było mi bardzo przykro, że jest mi bardzo przykro. No wiecie, chciałam powiedzieć, że bardzo przeżyłam śmierć Polly.

Colleen Murphy oparła brodę na dłoni, a Abigail Wilson skubnęła skórę przy paznokciu. Próbowałam wymyślić, co jeszcze mogę powiedzieć o Polly, jakiś sekret, który wyszeptała, składając w całość naszą latarnię w pracowni, jakąś zabawną historię, którą usłyszałam z jej ust, coś o wyjątkowym talencie, niedocenionym, który mógł wpłynąć na jej życie, gdyby żyła na tyle długo, aby go rozwinąć. Ale przez wszystkie te popołudnia spędzone ramię w ramię pośród narzędzi i kawałków metalu Polly się nie odzywała, jeśli nie liczyć odczytania na głos wskazówek albo pokazania, które kawałki gdzie trafią. Odeszłam od ich stolika i opuściłam stołówkę.

Janice Reardon dogoniła mnie i uszczypnęła w ramię.

- Widziałam, że próbowałaś z nimi gadać - powiedziała. -1 co z tego?

- Nie możesz oczekiwać, że te dziewczyny będą miłe. - Przyspieszyła, żeby dotrzymać mi kroku. - One są zdruzgotane.

- Niczego nie oczekiwałam - odparłam. - Chciałam się tylko przywitać.

- One i tak niczego nie wiedzą.

Stałam. Janice uśmiechnęła się i zgięła tłusty palec, przywołując mnie, żebym wysłuchała jej sekretu.

- Ludzie widzieli różne rzeczy - wyszeptała. - Na kanale. Białe cienie nad wodą.

- Kto? - zapytałam. - Kto je widział?

Janice zacisnęła usta w cienką linię, zbliżyła do nich palce i zakluczyła je niewidzialnym kluczykiem, który następnie wyrzuciła za siebie. Takie właśnie rzeczy pasowały do Janice Reardon jak ulał. W czwartej klasie mówiła, że duch Karen Carpenter przyszedł do niej po operacji migdałków i zabrał ją na wycieczkę do nieba. Przez kilka tygodni Janice błagała ludzi, żeby na przerwie usiedli z nią w kręgu, zapewniając, że jeśli będą się trzymać za ręce i śpiewać *Close to You*, Karen wróci i pokaże wszystkim to, co pokazała Janice.

- To debilne - powiedziałam i Janice zrzędała mina.

Za nami rozległy się ciche kroki, a kiedy się obejrzałam, zobaczyłam, jak Abigail, Colleen oraz Sharon wychodzą ze stołówki. Cofnęłam się o krok, by zademonstrować, że nie jestem z Janice.

Przyjaciółki Polly minęły nas, nie podnosząc wzroku. Kiedy zniknęły, Janice splotła ręce na piersi.

- To nie twoja wina - powiedziała w końcu. - No wiesz, jak mogłabyś to zrozumieć? Nawet nie byłaś na pogrzebie.

Szłam do domu drogą nad kanałem, rozglądając się, czy nie widać gdzieś jedwabistego zarysu dziewczęcej twarzy na powierzchni, szepczącego białego cienia. Ale woda była płaska i niewinna, zwyczajna. Lepkie ciała padłych jętek przepływały przez kraty i przyklejały się do wodorostów. Tak właśnie wszystko się kończyło - w małych, brzydkich kawałkach. Ludzie mogą krzyczeć albo tonąć, albo codziennie jeść samotnie lunch, a świata to w ogóle nie obchodzi. Po prostu pędzi do przodu ze swoimi sprawami, pracując niestrudzenie jak ludzkie serce. Żadnych zasad, żadnych wskazówek, żadnych odpowiedzi. Tylko żal. A ja z tym wszystkim nie miałam nic wspólnego.

Po podpisaniu dokumentów Altmanowie zapłacili dodatkowo, żeby imię Capa wyszyto albo naniesiono szablonem na wszystko, co dla niego kupili. Na nowym kantarze wytłoczono je złotymi literami na nachrapniku, a czaprak do kompletu ozdobiono monogramem YC. Sheila niezmywalnym pisakiem wypisała „Yellow Cap” na wszystkich szczotkach i zgrzeblach. Czasami jego imię było podkreślone albo następowała po nim seria wykrzykników. Czasami rysowała dokoła niego gwiazdki.

- Alice, powiedz prawdę - odezwała się Sheila, kiedy zamiatałyśmy stajnię po szkole. - Nie sądzisz, że Cap to najprzystojniejszy koń, jakiego w życiu widziałeś?

- Pewnie tak - przyznałam.

- I najmądrzejszy - dodała Sheila. - Ilekroć zbliżam się do jego wybiegu, on idzie prosto do mnie, jakby wiedział, że jest mój.

- Wie, że nakarmisz go rzeczami, których nie powinien dostać - odparłam. Z siodłami dobiegło mnie kasznięcie ojca. - I wie, że jest twój - dodałam.

Chociaż Sheila karmiła go ogryzkami jabłek, ciasteczkami Oreo i skórkami od kanapek, które zostały jej z lunchu, na arenie Cap rządził, a Sheila się go bała.

- Musisz mu pokazać, kto tu jest panem! - krzyczał do niej mój ojciec w czasie lekcji.

- Myślę, że Cap jest dzisiaj rozdrażniony - mówiła, chwytając łęk siodła. - Może nie czuje się najlepiej.

W szkole nauczyciele powtarzali nam, żeby nie szukać wymówek dla niepowodzeń. Ale mówili to tylko wtedy, kiedy działo się coś złego - czyjś ojca zamykano w więzieniu albo jakaś dziewczynka ginęła w drodze do domu. Kiedy szkoła Sheili pojawiała w gazetach, to z powodu takich spraw, jak wysokie wyniki testów albo uczeń, który dotarł do finałów Krajowego Konkursu Ortograficznego. Niemożliwe, żeby ktoś kiedyś rozmawiał z Sheilą Altman o niepowodzeniach.

W ciągu kilku następnych tygodni ojciec pomalował stajnię i wszystkie ogrodzenia pastwisk, tak że cała nasza posiadłość mieniła się czerwienią i bielą. Potem pomalował ciężarówkę i przyczepę dla koni na ten sam, wiśniowy kolor, a na obu ich bokach umieścił za pomocą szablonu biały napis „Stajnia Winstona”.

- Popatrz no tylko - uśmiechnął się szeroko, kiedy wróciłam ze szkoły. W siodłami pojawiły się trzy nowe siodła, każde wyposażone w srebrzyste strzemiona.

- Olśniewające - powiedziałam, a on się uśmiechnął. - Dla kogo to?

- Dla nowych klientów! - wyjaśnił. - Tylko poczekaj, Alice. Wszystko tu się pozmienia.

Ale oprócz nowej warstwy farby w stajni nic nie wyglądało inaczej. Przenieśliśmy klacze i nowe żrebaki na przednie pastwisko, a kiedy konie sportowe wprowadziliśmy z powrotem do stajni, Cap trafił do pierwszego i największego boksu, w którym zawsze go trzymaliśmy. Wciąż jadł nasze siano i pił naszą wodę. Wciąż był najlepszym koniem w stajni. Jedyna prawdziwa zmiana polegała na tym, że nie należał do nas.

Na ścianach naszego salonu wisiały w ramach zdjęcia Nony z zawodów: jak trzyma czeki, wstęgi i trofea. Miała pięć, sześć i siedem lat, kiedy ujeżdżała konie, których ja w ogóle nie pamiętałam, w ubraniach, które widziałam na klientach całe lata po tym, jak ona z nich wyrosła. Na nowszych zdjęciach Nona siedziała wyprostowana na Yellow Capie, ze ściągniętymi ramionami i wysuniętą do przodu brodą. Wszystkie błękitne wstęgi i trofea były tylko dekoracją. Wystarczył wyraz twarzy Nony, by zgadnąć, że to ona wygrała, że to ona jest najlepsza ze wszystkich.

Klienci przychodzili i odchodzili. Przeprowadzali się albo tracili zainteresowanie, albo znajdowali coś, co podobało im się bardziej. Może Sheila Altman będzie inna. Może nauczy się jeździć jak marzenie i przyciągnie do nas tłumy klientów. Teraz jednak jeździła jak worek kartofli. A jeśli do sukcesu potrzebny był tylko czas i szkolenie, jeśli mój ojciec znał jakiś sekret, który mógł zamienić zwyczajną dziewczynkę w czempiona, sekret, który mógł komuś powierzyć, to chyba powierzyłby go mnie.

W szkole ludziom brakowało już pomysłów, co opowiadać o życiu Polly, więc zaczęli analizować jej śmierć. Czy człowiek naprawdę może wpaść do kanału? Nikt nie kojarzył, żeby Polly była niezdarna. Nikt nie pamiętał, żeby lubiła pływać. Szósta klasa rozpamiętywała

więc: Czy Polly wydawała się smutna albo cicha, a może rozkojarzona? Czy mówiła o samotności? Czy schudła? Ludzie przestali rozmawiać z przyjaciółkami Polly delikatnym głosem. Dziewczyny podchodziły do nich na korytarzu pewnym krokiem, zapędzały je do kąta i żądały odpowiedzi. Co wiedziały, czego nam nie mówiły? Dlaczego nie było ich przy Polly? Dlaczego nie zauważyły żadnych oznak?

Kiedy już niewiele brakowało do rozlewu krwi, Colleen Murphy wymknęła się do łazienki dla dziewcząt w czasie testów z geografii i próbowała skończyć ze sobą, rozdrapując paznokciami nadgarstki i gardło. Nie najlepiej jej poszło. Na jej szyi i rękach napuchły małe półksiężycowe ranki - w zasadzie nawet nie poleciała jej krew. Wystarczyło jednak, żeby wszystkiemu położyć kres.

Nasz dyrektor wygłosił kolejny komunikat. Tym razem nie był ani wdzięczny za nasze współczucie, ani poruszony naszym żalem. Powiedział, że koniec z chodzeniem na czarno i płakaniem po korytarzach. Jeśli jeszcze usłyszysz choćby słowo o Polly Cain, odwoła wycieczkę do aquaparku i szósta klasa spędzi ostatni dzień szkoły na szorowaniu biurka. I powiedział, że czas żyć dalej. Co za dużo, to niezdrowo.

- Dzisiaj w szkole jedna dziewczyna próbowała się zabić - powiedziałam ojcu. - Tak sobie wbiła paznokcie w gardło i nadgarstki. - Wywiesiłam język na bok i pokazałam, jak wbijam zakrzywione palce w szyję. - Zadzwonili na dziewięćset jedenaście i przyjechali jej rodzice, i zabrali ją karetką.

Ojciec siedział Capa na lekcję Sheili. Spojrzał na mnie z ukosa, zaciskając popręg.

- To musiała być jakaś idiotka.

Przykucnęłam przy ojcu, udając, że patrzę, jak wydłubuje brud z podków Capa.

- Byłeś kiedyś na pogrzebie? - zapytałam.

Zanim zdążył odpowiedzieć, na żwirowym podjeździe rozległo się dudnienie i mój ojciec wstał, machając do pani Altman i Sheili.

- Zerknij no na Sheilę - powiedział. - Muszę pogadać z jej matką. Sheila wysiadła z samochodu, machając torebką karotek, które

przywiozła dla nowych żrebaków. Podążyłam za nią na pastwisko, szurając stopami po żwirze. Żrebaki nie zainteresują się niczym, co

Sheila będzie chciała im dać, ale niech sobie próbuje. To łatwiejsze niż rozmowa z nią.

- Hej, maleństwa - zawołała, wspinając się na ogrodzenie. Po drugiej stronie pastwiska klacze podniosły łby, by zerknąć na nas, po czym na powrót zajęły się trawą. Żrebaki dalej przechadzały się wokół swoich matek, ignorując naszą obecność. Sheila wyjęła marchewkę ze swojej torebki i rzuciła ją na pastwisko, a ta spadła na trawę kilka stóp przed nami.

- Maleństwa! - spróbowała raz jeszcze, ale żadne z nich nawet nie drgnęło. Sheili zrzędała mina. - Muszą mieć imiona - oznajmiła. - Na pewno by przyszły, gdybyśmy je wołały po imieniu.

- Nie będą miały imion, dopóki ich nie zarejestrujemy - wyjaśniłam i obejrzałam się na ojca. Uśmiechał się, pochylony przy otwartym oknie samochodu pani Altman, i mówił coś, gestykułując.

- Możemy zacząć wymyślać imiona - powiedziała. - Będzie o wiele łatwiej, kiedy będziemy musieli je zarejestrować. - Podniosłam brwi. Od kiedy Sheila Altman stanowiła tu jakieś „my”?

Wskazała jednego ze żrebaków.

- Ten może się nazywać Brownie - powiedziała. - A temu by pasowało Rascal¹. Jest taki wesoły.

- Imion się tak nie wymyśla - wyjaśniłam jej. - Część imienia pochodzi od rozplodowca. - Sheila zamrugła oczyma. - Od ojca - dodałam.

- Część jego imienia przechodzi na imię żrebaka, tak żeby ludzie znali jego rodowód.

Zastanowiła się nad tym.

- Kim są ich ojcowie?

- Wszystkie mają jednego - odparłam. - Naszego ogiera Barta. W zeszłym roku miał kolkę i trzeba było go dobić.

- One są sierotami - wyszeptała Sheila i odwróciła się do żrebaków.

- Biedne maleństwa.

Bart był u nas od lat. Mieszkał na round penie² obok areny, a ojciec zabronił nam, mojej siostrze i mnie, zbliżać się do niego. Ogiery były z natury dzikie i nieprzewidywalne, chętnie gryzły i kopały. Bart sta-

¹ Brownie - ciastko czekoladowe (murzynek); rascal - łobuziak, urwis, nicpoń (przyp. red.).

² Round pen - wybieg treningowy w kształcie koła, ogrodzony wysokim płotem (przyp. red.).

nowił w zasadzie element wyposażenia i jeśli nie zapładniał klaczy zostawialiśmy go w całkowitym spokoju.

- To nic wielkiego - powiedziałam. - I tak by go nigdy nie poznały.

Po odjeździe pani Altman sama posprzątałam boksy, a ojciec pracował z Sheilą na arenie. Wielkimi krokami zbliżał się sezon konkursowy i lekcje jazdy, zamiast raz w tygodniu, teraz odbywały się codziennie. Wciąż czekałam, aż ojca powali moja zdolność do robienia wszystkiego samodzielnie, aż pokręci głową w zdumieniu i zapyta, jak mi się to udaje. Dzień po dniu wrzucałam widłami świeżą słomę do wszystkich boksów, zamiatałam stajnię i za pomocą węża zmywałam każdy jej zakątek. I każdego dnia mój ojciec nic nie mówił.

Późnym wieczorem, po wykonaniu wszystkich prac, siadałam na podłodze garderoby Nony, z jej różowym telefonem na kolanach. Minęły niemal dwa miesiące, odkąd zadzwoniła po raz ostatni do domu, i każdego wieczoru planowałam dokładnie, co jej powiem, kiedy ponownie zadzwoni. Opowiem jej o nowych żrebakach i o Sheili Altman, która kupiła konia Nony, lecz nie umiała na nim jeździć. Powiem jej o Polly Cain, która umarła, i o Colleen Murphy, która chciała umrzeć. Powiem jej o pracy, którą teraz wykonuję sama. „Doprowadzam się do ruiny - powiem. - Szybko się starzeję i wykańczam”.

Wkrótce skończy się szkoła. Może Nona zaprosi mnie do siebie, zaproponuje, że kupi mi bilet na autobus w to miejsce, w którym teraz jest. Wtedy mogłabym jej wytłumaczyć, że to niemożliwe, bo ojciec nawet przez jeden dzień nie poradzi sobie beze mnie.

- Tylko ja mu zostałam - wyjaśnię jej i może wypowiedzenie tych słów na głos wystarczy, żeby stały się one prawdziwe.

- Co słyhać u naszej mistrzyni? - zapytała moja matka. Oczy miała zamknięte i gdyby się nie odezwała, uznałabym, że śpi.

- Nic - odparłam. - Nie dzwoniła. Jej czoło się zmarszczyło.

- Nie dostaliśmy listu?

- Ostatnio nie.

Matka otworzyła oczy i zamrugała, patrząc na mnie, jakby nie była pewna, skąd się wzięłam.

- Jak długie ostatnio? Zastanowiłam się.

- Pewnie kilka tygodni.

- Ciekawe, co to znaczy.

Stojąc w drzwiach, przestąpiłam z nogi na nogę.

- Tata kazał mi sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz - powiedziałam.

Mama poklepała puste miejsce obok siebie.

- Towarzystwa?

Zasłony były zaciągnięte, jedyne światło pochodziło z mrugającego telewizora, który rzucał na podłogę pełzające cienie. Siadłam na skraju matczyngo łóżka, starając się nie poruszyć materacem.

- Jesteś głodna? - zapytałam. - Chcesz, żebym ci usmażyła jajka? Mama zawinęła pasmo włosów na białym palcu i wpatrzyła się w swoją narzutę.

- Chcesz, żebym ci opowiedziała swój sen? Chłodny dreszcz przebiegł mi po plecach.

- Dobra.

- Byłam w taksówce. Ładnie ubrana, miałam pończochy, buty na wysokich obcasach i ładną sukienkę. Miałam w torebce dwa kociątka, całkiem maluśkie. Ale taksówka ciągle gwałtownie skręcała i torebka ześlizgiwała mi się z kolan. Za każdym razem kiedy ją otwierałam, kociątka były martwe, a ja musiałam nimi tak potrząsać. - Podniosła rękę zaciśniętą w pięści i potrząsnęła nimi przede mną. - Były takie malutkie, jak dwa jabłuszka.

- Co się działo, kiedy nimi potrząsnęłaś? - zapytałam.

- Ożyły. Ale potem wsadziłam je do torebki i znowu umarły. Musiałam wciąż nimi potrząsać i za każdym razem to trwało trochę dłużej. Za każdym razem, kiedy je wyjmowałam, były coraz bardziej martwe. - Opuściła pięści na kolana i spojrzała w dół na puste ręce. - Jak myślisz, co to znaczy?

Moim zdaniem to wyglądało na zwyczajny stary sen. Nie rozumiałam, dlaczego ma cokolwiek znaczyć.

- Może chcesz gdzieś pojechać - zasugerowałam. Mama ruszyła kącikami ust.

- Nie - odparła. - To nie to.

- Może chcesz mieć kota.

Westchnęła i przesunęła rękę w moją stronę, muskając czubki moich palców czubkami swoich.

- Ostatnio nie widuję prawie twojego taty - powiedziała. - Myślę, że może o mnie zapomniał.

- Ma naprawdę dużo zajęć - odparłam. Kiwnęła głową.

- Nowe żrebaki.

- Widziałas je? - zapytałam, a matka zmrużyła oczy.

- Nie chcę ich widzieć - odpowiedziała. - Nie chcę nawet znać ich imion. - Jej klatka piersiowa podnosiła się i opadała w szybkich, płytkich oddechach, dolna warga drżała.

- W porządku - starałam się mówić delikatnym głosem. - Nie musisz ich oglądać. - Sięgnęłam do jej ramienia, a ona odsunęła się, jakbym ją oparzyła. Zeszłam z łóżka. Ściany się kurczyły. Powietrze było rozrzedzone. Zawsze mówiłam coś niewłaściwego.

- Twój tata mówi, że jeden z nich to wykapany Bart - powiedziała. - To prawda?

Kiedy uspiliśmy Barta, ojciec powiedział matce, że sprzedał ogiera bogaczowi ze Środkowego Zaskodu, że Bart spędza cudowne lata na farmie w Nebrasce.

- Jeden jest chyba trochę do niego podobny - powiedziałam.

- Twój tata chce, żebym je zobaczyła. Chce mnie znieść na dół i zmusić, żebym je obejrzała przez okno. I po co? - Spojrzała na mnie twardo, a ja cofnęłam się o jeszcze jeden krok. - Żebym ja się w nich zakochała, a on je mógł sprzedać jakimś obcym ludziom. - Zagryzła wargi i jej oczy wypełniły się łzami.

- To tylko interes, mamó - wyszeptałam. - On nie robi tego na złość.

- Wiem - rzuciła. - Nie sądzisz, że o tym wiem?

Mankietami koszuli nocnej przetarła kąciki oczu, a ja przeszłam przez pokój, odsuwając zasłonę, na tyle tylko, by wpuścić smugę światła na dywan. Na zewnątrz Sheila stała pośrodku areny, podczas gdy ojciec jeździł Capem w kółko, demonstrując jej, jak to robić.

Odsunęłam zasłonę bardziej, a tam, na parapecie, stała latarnia Polly Cain. Dotknęłam palcami jej krawędzi, grzebietem dłoni musnęłam krótką świeczkę, którą moja mama wcisnęła do oprawki. Kilka dni po pogrzebie pan McClusky zapytał, jak mi poszło, kiedy zaniósł mat-

ce Polly latarnię. Pan McClusky był wielki i niezdarny, z włochatymi uszami i twarzą goryla. Wobec chłopców był swobodny i odprężony, poklepywał ich po plecach, śmiejąc się z ich żartów i zachęcając, by zwracali się do niego po imieniu. Ale wobec dziewczynek wydawał się niespokojny i niezręczny, cofał się rakiem, kiedy do nas mówił. Nawet kiedy zapytał o matkę Polly, jak się trzyma i co myśli o latarni, którą jej zmarła córka zrobiła na zajęciach, palce mu drżały i zerkał przez ramię, jakby ktoś inny mógł go zawołać.

- Bardzo jej się podobała - powiedziałam. - Płakała bez końca. Od tego czasu już się do mnie nie odezwał.

Gdzieś tam mama Polly siedziała sama w domu. Nie miała męża, nie miała dzieci. Gotowała obiad i jadła go sama. Myła po sobie naczynia, a potem je wycierała. Zasypiała i budziła się, kąpała się i płakała, a przez cały ten czas latarnia stała na oknie mojej matki. Nie należała do niej. Już nie należała.

- Powinnaś wrócić do pracy - odprawiła mnie matka, a ja podskoczyłam na dźwięk jej głosu.

Kiedy zamykałam drzwi, mama cicho wypowiedziała moje imię. Zatrzymałam się.

- Co on mówił? - wyszeptala. Powolutku otworzyłam z powrotem drzwi.

-Kto?

- Twój ojciec - powiedziała. - Kiedy Nona była mała i wypłakiwała oczy nad sprzedanym koniem? Nie mogę sobie przypomnieć, co on jej mówił.

Z tego miejsca przy drzwiach moja mama wyglądała na małą i zapomnianą w swoim wielkim łóżku, wydawała się obca i samotna. Mój ojciec, siostra i ja zawsze staraliśmy się, żeby świat sprawiał wrażenie miłszego miejsca, niż był. Ale ja nie mogłam się doczekać, aż wydostanę się z tego pokoju, i prawdziwa odpowiedź głowę padła z moich ust, zanim zdołałam zmyślić lepszą.

- Nie ma koni niezastąpionych. Mama roześmiała się, odchylając głowę.

- Amen - powiedziała.

Dwóch rodzajów koni ojciec nigdy by nie sprzedał: klaczy zarodowych, bo były pożyteczne, miały cel, zadanie, które wykonywały rok po roku. Poza tym były stare, z matową sierścią i skrzypiącymi nogami. Nikt by nie chciał ich kupić. Drugą grupę stanowiły wałachy, które ojciec trzymał na tylnym pastwisku. Te konie wynajdywał przez lata na rozmaitych aukcjach i nie rozmawiał o nich z klientami.

Wyprzedaże rzeźne odbywały się na obrzeżach miasta na zakurzonych parkingach. Kupcy przyjeżdżali na nie z prowizorycznymi przyczepami, które trzymały się na szczeliwo, sznur i taśmę tekstylną. Konie miały zmatowiałe ogony i grzywy, ich nogi i brzuchy pokryte były zaschniętym błotem, sierść była niejednolita od niedożywienia. Ojciec przechodził pomiędzy zardzewiałymi zagrodami, szukając koni oznaczonych X albo pomarańczową farbą na bokach - ten znak informował kupujących, że zwierzę nie nadaje się do naprawy, jest zabójcze, nie nadaje się do niczego, tylko do rzeźni lub na klej.

Konie sprzedawano na wagę i ojciec często płacił za nie grosze, a potem przywoził je do domu, gdzie pracował nad nimi, naprawiając je niczym zniszczone samochody. Wobec trenowanych koni sportowych ojciec często był ostry i wrywny do karania. Ale z Rzeźnymi postępował delikatnie i cierpliwie, pełen cichego szacunku. Nazywał je Staruszkami i nadawał im takie imiona, jak Ace, Admirał, Chief, Charlie. Pracował nad nimi wieczorami, kiedy już wszyscy klienci rozjechali się do domów. I chociaż często przyglądałyśmy mu się z siostrą, nigdy nie mogłyśmy pojąć dokładnie, co się dzieje, kiedy on z nimi pracuje, jaka więź pomiędzy nimi się rodzi.

To trwało miesiącami, niekiedy latami, ale kiedy ojciec kończył, Rzeźne były silne, niewzruszone. Wtedy wyprowadzał je na nasze tylne pastwisko, gdzie pasły tłuste, beczkowate brzuchy i stapały na chwiejnych, wykrzywionych nogach.

- Po co my je trzymamy? - pytała Nona. - One nic nie robią.

- Nic nie robią? - zapytał mój ojciec. - One nic nie robią? Spójrz na starego Ace'a. W całej stajni nie mamy równie solidnego, statecznego konia. Możesz strzelić mu przy głowie z armaty, a on nawet nie mrugnie.

- Bo jest prawie martwy, tato. Jakby miał milion lat.

Ale ojciec się z nimi nie rozstawał. Opowiadał ich historie każdemu, kto przystanął, by ich posłuchać: Chiefa ciągnięto za jadącą ciężarówką,

aż kopyta zdarły mu się do kikutów. Trzeba było je zabandażować, dbać o nie, odhodować jak zagrożone rośliny. Charliego, zagłodzonego do szaleństwa, zostawiono na pustyni, by zdechł w samotności. Starego Ace'a bito młotkiem, miał zniekształconą czaszkę i pochylony zad. Ojciec mówił, że to nie wiek Staruszków uczynił je tak solidnymi, tak niezawodnymi. One zobaczyły otchłanie piekła i wróciły stamtąd. Już nic nie mogło ich przestraszyć.

Wsadzał więc im na grzbiet dzieci, starych ludzi, którzy nigdy nie doświadczyli kontaktu z końmi, drużyny skautek, które przyjeżdżały do nas na jednorazową lekcję, by zdobyć kolejną sprawność. Poza tym ojciec zostawiał Staruszków w spokoju. Trzymał ich na pastwisku niewidocznym z drogi. Kiedy ktoś pytał, odpowiadał, że są na emeryturze.

Ace był pierwszym koniem, na którym brała lekcje Sheila Altman, koniem, który przekonał zarówno ją, jak i jej matkę, że jest utalentowana, że urodziła się, by wziąć koński świat szturmem. Potrzebowała jedynie doskonałego konia sportowego, który by przemienił ją w doskonałą zawodniczkę.

Stałam za ogrodzeniem areny i patrzyłam, jak Sheila kończy swoją codzienną lekcję. Klusem podjechała na środek ringu, a kiedy ojciec powiedział jej, żeby stanęła, Sheila zadarła wodze do góry, przyciągając brodę konia do jego piersi i rozwierając mu szczęki na oścież. Cap szarpnął, nogi Sheili poleciały do tyłu, jej pupa wyleciała z siodła, a ona przechyliła się do przodu ponad łękiem.

- Whoa! - zawołała, ale Cap już stanął.

Ojciec pomógł Sheili zsiąść, ona chwilę się kołysała, a potem poklepała Capa po szyi.

- Jak wyglądaliśmy? - zapytała. Podniosłam kciuki.

Kiedy Sheila brała lekcje na Asie, wszystko było gładkie i łatwe. Podobnie jak inne Staruszki, Ace zwracał uwagę na mojego ojca, słuchał jego głosu, patrzył na jego ruchy. Jeśli ojciec kazał uczniowi stanąć, stawał Ace. Był zbyt stary i chwiejny, żeby poruszać się z jakąś konkretną prędkością. Jeżdżenie na nim wymagało tyłuż umiejętności, co jazda na koniku bujanym.

- Tak sobie myślałem, że mogłyby cię tu odwiedzić przyjaciółki - powiedział ojciec do Sheili, kiedy schodzili z areny.

- Tutaj? - zapytała.

- Pewnie - odrzekł. - Popisałabyś się nowym koniem. Niech ludzie zobaczą, co porabiasz.

Uszy Sheili poróżwiały.

- Wolałabym poczekać - powiedziała. - Nie chcę, żeby ludzie patrzyli, jak jeżdżę, dopóki nie będę naprawdę dobra.

Ojciec skrzywił się lekko, ale wciąż się uśmiechał. W siodłami nowe siodła wciąż wisiały nietknięte od dnia, w którym je kupił.

- Dobra - rzekł. - A więc będziemy pracować dalej.

Kiedy matka Sheili ją odebrała, pomogłam ojcu nosić wiadra ziarna do klaczy zarodowych. Szedł przede mną, w każdej dłoni podskakiwało mu wiadro. Ramiona mnie bolały, a metalowe kabłąki wbijały się w dłonie, ale spieszyłam się, by dotrzymać mu kroku.

- Będzie jej przykro - powiedziałam.

- Życie bywa okrutne - odrzekł.

Klacze tłoczyły się wokół nas przy bramie pastwiska, a kiedy jadły, ojciec przesuwał się między nimi, próbując oswoić źrebaki z obecnością człowieka.

- Patrz na łeb tego tutaj - powiedział do mnie i wyciągnął rękę, by poklepać zadek źrebaka Ginger. - Będzie wart sporo forsy. - Mały zarżał cicho i potruchtał na bok, uciekając przed dotykiem mojego ojca.

- Co powie pani Altman, kiedy zacznie się sezon, a Sheila nie wygra? - zapytałam.

- To musi potrwać - odparł i próbował pogłaskać źrebaka po sterczącej grzywce, zanim ten się rzucił na bok. - Widziałaś, żeby ktoś wygrał za pierwszym razem?

- Nona.

- To było co innego.

- Wiem.

Czubkiem buta ojciec kopnął słupek ogrodzenia.

- Niedługo będzie lato - rzekł. - Będę miał więcej czasu, żeby z nią pracować.

Zrobiło mi się ciężko na duszy - lato. Sheila Altman będzie tu siedzieć na okrągło.

Ojciec kiwnął głową, doszedłszy do jakiegoś wniosku.

- Po prostu to musi potrwać - powtórzył i podrapał jedną z klaczy za uchem. Próbowała go uszczypnąć, odsłaniając zęby pomię-

dzy cętkowanymi wargami. - Nic się nie dzieje z dnia na dzień, prawda?

Ojciec poklepał mnie po głowie, a ja stałam absolutnie nieruchomo, jedyne na całym pastwisku stworzenie, które nie wzdrygnęło się pod jego dotykiem.

- Raczej nie - odparłam.

Koniec końców to nie czas ani praca sprawiły, że coś się zaczęło dziać, tylko pieniądze. Ojciec miał w salonie szufladę pełną białych kopert, na których nagryzmołił „ogrzewanie”, „woda”, „ubezpieczenie”, „jedzenie”. Wieczorami siadał przy stole jadalnym, rozkładał koperty i dodawał liczby na kawałku papieru, przeklinając pod nosem, podczas gdy ja odrabiałam lekcje na podłodze salonu.

- Chodź tu na chwilę - powiedział, nogą przysuwając do stołu puste krzesło stojące obok niego. - Potrzebny mi twój rozum.

Siadłam, a ojciec podał mi karteczkę.

- Nie mogę się doliczyć. - Odchylił się na krzesło i zamknął oczy, masując skronie kciukami, podczas gdy ja przepisywałam liczby na inny kawałek papieru, dodając i odejmując jak najuważniej. Pot się perlił u nasady moich włosów. Chciałam, żeby mój umysł pracował właściwie, teraz kiedy został wezwany do ważnych zadań.

- Wystarczy? - zapytał ojciec, kiedy odłożyłam ołówek. -Nie.

- Gdzie one się rozchodzą, do diaska?

Przez okno widziałam stodołę, gładką i śliczną w nowej warstwie farby, ciężarówkę i przyczepę połyskującą w świetle.

- Nie wiem.

Ojciec zawsze mówił, że nie prowadzi hotelu dla koni. Jesteśmy poważną stajnią, powtarzał. Nasze konie to czempiony. Nigdy ich nie wypchniemy do zagród, żeby zrobić miejsce dla zwierzaków bogaczy. Na końcu naszego podjazdu stała tablica z nazwą naszej stajni, a pod nią wisiały na łańcuchach trzy mniejsze tabliczki, wymieniające świadczone przez nas usługi:

STAJNIA WINSTONA szkolenie jeździectwo hodowla

Po śmierci Barta tata powiedział, że czas najwyższy pozbyć się trzeciej tabliczki - nie chcieliśmy, by nam zarzucano fałszywą reklamę. Zrobił więc nową: „Hotel dla koni”.

- Kompromis - wyjaśnił mi. - Na tym polegają interesy. Czasami trzeba jeść gówno.

Pierwszą wynajmującą była Patty Jo, której mąż na rocznicę ślubu kupił folbluta³. Patty Jo miała lśniące włosy i ciemne rzęsy. Była mała, ledwie kilka cali wyższa ode mnie, nosiła zieloną zamszową kurtkę i buty z czubami. Kiedy odprowadzała konia do stajni, spojrzała na podłogę i zmarszczyła nos.

- Słoma?

- To problem? - zapytał ojciec, uginając kolana, by zbliżyć do niej głowę.

Patty Jo zadarła do niego swoją małą bródkę.

- Nie wspomniałam o tym przez telefon? - Zmrużyła oczy, wysilając pamięć. - Na pewno wspomniałam. Toy Boy po prostu nie znosi podłogi ze słomą. On domaga się trocin.

Ojciec zwilżył językiem dolną wargę.

- Doprawdy? - Widziałam jak na dłoni, z jakim trudem panuje nad sobą, widziałam, jak w jego piersi rośnie wzgarda. Uśmiechnął się jednak i rzekł: - To nie będzie problem.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Patty Jo. - Wozilałam go już po całym mieście. Ludzie się zachowują, jakby to był wielki problem zmienić kilka prostych rzeczy.

- Co się dzieje, jeśli on nie dostaje trocin? - zapytał. Patty Jo zniżyła głos.

- Nie załatwi się.

- Jutro będą trociny - obiecał ojciec, a Patty Jo błysnęła garniturem śnieżnobiałych zębów. - Tylko że są trochę droższe.

- No, to na pewno nie będzie żaden problem - zapewniła.

Po jej odjeździe staliśmy z ojcem w wejściu do boksu Toy Boya, patrząc na jego lśniącą grzywę i zadbaną sierść. Koń wytknął łeb nad drzwiami, a ojciec dotknął jego nosa czubkiem palca.

- A więc nie srasz na byle tanioczę, co?

³ Folblut - koń pełnej krwi angielskiej (przyp. red.).

Ojciec przestrzegł mnie, że mam pamiętać o swoich manierach, kiedy Patty Jo jest w stajni.

- Proszę i dziękuję - powiedział. - Wiesz, te wszystkie rzeczy. Żadnego plucia i przeklinania. Musimy wyglądać na klasę wyższą.

Nie spluwałam ani nie przeklinałam, ale kiwnęłam głową, że rozumiem.

- Ona tu będzie cały czas? - zapytałam.

- Będzie tu tyle, ile jej się będzie podobać - odrzekł ojciec. - I jeśli szczęście nam dopisze, sprowadzi trochę przyjaciółek.

Musiało więc nam dopisać to szczęście, bo Patty Jo miała mnóstwo przyjaciółek i w ciągu kilku tygodni wyprowadziliśmy wszystkie swoje konie ze stajni, by zrobić miejsce dla ich zwierząt. Ojciec całymi dniami zbijał małe wybiegi przy arenie dla naszych koni konkursowych. Kiedy wracałam po południu ze szkoły, twarz miał już czerwoną jak burak, a włosy mokre od potu.

- Jak długo to potrwa? - zapytałam, a ojciec podniósł skraj tizertu, by otrzeć pot z czoła.

- Kiedy Sheila zacznie wygrywać, zdobędziemy trochę klientów konkursowych - obiecał. - Wtedy pozbędziemy się tych pań.

A więc wszystko zależało od Sheili Altman. Dopóki ona nie okaże się gwiazdą, ojciec i ja będziemy robić to, co musimy. Będziemy płacić rachunki. Będziemy udawać, że jesteśmy klasą wyższą. To był kompromis. Na tym podobno polegały interesy.

- Kim jest ta dziewczynka? - zapytała moja matka. W końcu przybył list od mojej siostry, a kiedy zaniósłam go na górę do matki, zastałam ją siedzącą przy oknie sypialni z kolanami podciągniętymi do piersi pod koszulą nocną.

- Ma na imię Sheila - odpowiedziałam, kładąc list Nony na stoliku nocnym. - Mama ją podrzuca po szkole i potem odbiera, jak się robi ciemno.

Na arenie Sheila próbowała zmusić Capa, by lawirował pomiędzy pomarańczowymi pachołkami, a ojciec biegł obok niej, wykrzykując polecenia. Moja matka otworzyła usta i chuchnęła na szybę klebkiem pary.

- Ona wygrywa - zapytała.

Pierwsze tegoroczne zawody miejscowe były małe. Konie jeszcze były zmierzwione w swojej zimowej sierści, a dziewczyny osłabione, odzwyczajone od wczesnych poranków i długich dni. Tylko cztery dziewczyny wzięły udział w zawodach w klasie Sheili i chociaż pozostałe trzy wyglądały na znudzone i roztargnione, czekając poza placem konkursowym, Sheila ożywiona wachlowała sobie twarz dłońmi, kiedy pani Altman krążyła dokoła niej, zachęcając ją, by napiła się wody z butelki, i zapewniając, że będzie po prostu wspaniała. Na placu Sheila była zaczerwieniona i nieporadna w swoim nowym stroju, sztywna na nowym siodle. Zajęła czwarte miejsce.

- Jeszcze nie - powiedziałam, a matka maznęła opuszką palca po parze na oknie.
- Ale będzie wygrywać - powiedziała.

Odkąd zaczął się sezon zawodów, ojciec skupił się wyłącznie na Sheili. Kiedy ona nie jeździła, stali razem w stajni, rozmawiając o technikach i praktyce. Jeśli ona nie wygra, to nie z braku ludzi, którzy chcą jej wygranej.

- Nona napisała - powiedziałam. - Jest w Idaho. - Moja matka kiwnęła głową, nie odwracając się od okna. - Píše, że jedli w restauracji, gdzie chleb piekło się w donicach.

Matka nie odpowiedziała, a ja ruszyłam do wyjścia.

- Wyłącz to - poleciła i pstryknęła palcami w stronę telewizora. Obróciłam gałkę i w pokoju zapadła cisza. Matka bezgłośnie popukała palcem wskazującym w szybę.

- Za krótko trzyma wodze - powiedziała głosem tak cichym, że nie byłam pewna, czy mówi do mnie. - Nona dawała mu więcej luzu.

Słońce zachodziło, kiedy lekcja Sheili dobiegła końca. Na tle pomarańczowego nieba jej zebrane w kitkę włosy wyglądały jak halo. Minęłam ją wychodzącą z areny.

- Myślę, że ma problemy ze wzrokiem o tej porze dnia - powiedziała do mnie. - Późnym popołudniem robi się tak cieniście. Myślisz, że Cap może mieć coś w rodzaju kurzej ślepoty?

Podniosłam wzrok na okno matki, ale nikogo w nim nie zobaczyłam.

- Tak coś słyszałam - odparłam.

Sheila cmoknęła, żeby zaprowadzić Capa do stajni, a on poderwał głowę, niemal zbijając ją z nóg.

- Już dobrze, mały - powiedziała i poklepała go po szyi. - Masz moje oczy. Ojciec był wciąż na arenie.
- Dobra - powiedział, kiedy podeszłam do ogrodzenia. - Pomóż mi to pozbierać.
- Powgniatane pomarańczowe pacholki leżały rozrzucone aż do połowy placu.
- Co tu się stało? - zapytałam.
- Trochę ćwiczyliśmy schemat⁴ - odparł. Schylił się, by podnieść pacholek, a ja zobaczyłam, że jego tiszert jest zupełnie przepocony. Wsadził rękę do pacholka i wypchnął wgniecenie. - Mamy swoje sposoby, żeby wyćwiczyć schematy.
- Macie swoje sposoby, żeby wyćwiczyć wszystko - dodałam.
- Będziemy dalej pracować - odparł ojciec. - Ona się poprawi. Kopnięciem postawiłam pacholek.
- A jeśli nie?
- Ojciec spojrzał na mnie z ukosa, potem wyciągnął ręce przed siebie, wskazując pobojuwisko porozrzucanych pacholeków.
- Musi.
- Kiedy pani Altman przyjechała po Sheilę, ojciec opierał się o tylny ganek, przykładając puszkę z napojem do karku. Pomachała mu, po czym kołysząc się na wysokich obcasach, podreptała żwirowym podjazdem do stajni. Ojciec ramieniem otarł pot z czoła i ruszył jej śladem. W połowie podjazdu zatrzymał się za minivanem pani Altman, wpatrując się w jego tył. Nowa naklejka na tylnej szybie obwieszczała: „Palominy przepuszczam”.
- To dobre wieści - powiedziałam, a ojciec spojrzał na mnie. - Kiedy Cap wypadnie z areny i pociągnie Sheilę ulicą, przynajmniej pani Altman nie rozjedzie ich samochodem.
- Ojciec westchnął głęboko, a ja skuliłam się, myśląc, że krzyknie na mnie, że jestem mądrała, że moje negatywne nastawienie nikomu nie pomaga. On jednak zamknął oczy i opuścił brodę na pierś.
- Czasami - rzekł - chciałbym pieprznąć sobie w głowę.

⁴ Schemat - kolejne, precyzyjnie określone elementy konkursu jeździeckiego, układ (przyp. red.).

Ostatniego dnia szkoły, w aquaparku, rozdano nam roczniki. Zapomniałam *zabrać* swój kostium pływacki, a kiedy dotarliśmy do parku, nauczycielka nauk społecznych zaproponowała, że pożycz mi ćwierćdolarówkę na telefon. Mogłabym zadzwonić do mamy i poprosić, żeby przywiozła mi kostium. Podziękowałam jej za propozycję i wyjaśniłam, że mama jest w pracy, na ważnych spotkaniach, i w życiu nie dałaby rady wyjść.

- Ach, no cóż - poklepała mnie po ramieniu. - No to musisz poczekać do przyszłego roku.

Podczas gdy moje koleżanki pływały, ja siedziałam oparta o ogrodzenie z rocznikiem otwartym na kolanach. Roczniki z liceum mojej siostry były grube i lśniące, miały kolorowe zdjęcia, a na okładce wypisane srebrnymi literami jej imię i nazwisko. W porównaniu z nimi roczniki gimnazjum rozczarowały, powielone na kopiarce i pośrodku spięte dwiema zszywkami. Zdjęcia były małe i ziarniste, a druk pod nimi tak drobny, że musiałam mrużyć oczy, żeby go odczytać.

Byłam pewna, że znajdę jakąś wzmiankę o Polly Cain. Rok wcześniej chłopak w szkole Nony został zabity w wypadku na polowaniu i ostatnią stronę rocznika ogólniaka poświęcono jego pamięci: zamieszczono tam jego zdjęcia i wiersz napisany przez jego dziewczynę. Ale na ostatniej stronie rocznika gimnazjum widniał rysunek naszej szkolnej maskotki, pantery w bluzie drużyny piłki nożnej, oraz kupon na darmowe lody sandwich przy zakupie gorącego lunchu.

W basenie moje koleżanki chlapały i krzyczały, zachęcając się nawzajem do skoku z trampoliny i skacząc na bombę do wody. Na środku cheerleaderki z szóstej klasy po kolei stawały sobie na ramionach. Był dopiero czerwiec, a one już lśniły opalenizną, odrzucały mokre włosy i klaskały zgodnie, kiedy każdą po kolei członkinię grupy podnoszono, by przećwiczyła swoją część układu.

Witajcie, jestem Kelly, Spróbujcie tylko się ośmielić!

Przewertowałam wstecz kartki swojego rocznika, studiując drobny druk. Ale nie znalazłam żadnego wiersza, żadnej obietnicy, żadnego wersetu z Biblii, który by deklarował, że Polly Cain ma zapewnione

życie wieczne w królestwie niebieskim. Nawet nie wydrukowali jej zdjęcia na stronach z naszą klasą.

- Alice Winston. - Zatrzasnęłam rocznik i podniosłam wzrok na Janice Reardon. Stała przede mną, ociekając wodą. W jednej ręce trzymała ręcznik, w drugiej rocznik, a z końców włosów kapąły kleksy na jego okładkę. - Chcesz mi podpisać?

Zanim zdołałam odpowiedzieć, Janice wyrwała mi mój rocznik, a swój rzuciła mi na kolana. Rozłożyła ręcznik na trawie i siadła obok mnie, wyciągając przed sobą mlecznobiałe kielbaskowate nogi. Kiedy się pochyliła nad moim rocznikiem, jej brzuch pod fioletowym kostiumem podzielił się na trzy oponki, a ja odwróciłam wzrok, zakłopotana jej brakiem zahamowań, jej bezwstydem.

Przewertowałam rocznik Janice, aż znalazłam swoją twarz pośród rzędów innych. Zdjęcie było małe i niewyraźne. Pochyliłam się do przodu, próbując rozpoznać szczegóły swojej twarzy. Nie nosiłam okularów ani warkoczy, nie miałam szerokiego, promiennego uśmiechu. Połowa dziewcząt w mojej klasie miała proste brązowe włosy. Mogłabym być każdą z nich. Ale pod zdjęciem było wydrukowane moje imię i nazwisko, więc podpisałam się obok i oddałam rocznik Janice.

- Nie możesz się tylko podpisać - powiedziała. - Musisz napisać coś wyjątkowego. Tak się robi.

Pośrodku basenu cheerleaderki piszczały, wrzucając jedną dziewczynę do wody i podnosząc drugą. Kilku chłopców siedziało na brzegu i przyglądało się im, gwizdząc przez zęby.

Jestem Rachel, jak wiecie, I nie dorówna mi nikt na świecie!

„Miłych wakacji” - skreśliłam nad podpisem. Janice oddała mi mój rocznik, po czym padła na brzuch i oparła podbródek na ramieniu, wpatrując się w basen.

- Moja kuzynka jest cheerleaderką w Teksasie - powiedziała. - Staje dziewczynom na ramionach, one ją wyrzucają i robi podwójny przewrót w tył.

- To fajnie - rzuciłam.

- Nasze cheerleaderki są cienkie - ciągnęła Janice. - Nawet nie robią gwiazdy. Takie dziewczyny jak my mogłyby bez problemu należeć do zespołu.

Próbowałam wyglądać na znudzoną rozmową, zajętą. Poza tamtym dniem w stołówce nigdy nie odezwałam się do Janice Reardon, nigdy w żaden sposób nie zasugerowałam, że ją toleruję. Nie mogła o nas mówić „my”.

Janice przetoczyła się na bok, jedną ręką zasłaniając twarz przed słońcem, by na mnie spojrzeć.

- Założę się, że nie słyszałaś o Colleen - powiedziała.

- Wszyscy słyszeli o Colleen.

- Nie. Nie o tym, co się stało w łazience. O tym, co się stało później. Colleen nie wróciła do szkoły od dnia, w którym się rozłączyła

w łazience dla dziewcząt. Wyobrażałam sobie, że jej rodzice uznali, że stres ją przerósł, więc pozwalali jej odzyskiwać siły na kanapie, oglądać przy tym telewizję i jeść chipsy z torebki.

- Co się stało? - spytałam.

W pobliżu nas nie było nikogo, ale Janice siadła i osłoniła usta stuloną dłonią, by wyszeptać mi do ucha:

- Rodzice wysłali ją do centrum. - Opadła na pięty, przyglądając się mojej twarzy, gdy przyswajałam informacje.

- Jakiego centrum?

- Gdzieś w Arizonie. Dla dziewcząt, które próbowały... no wiesz. - Janice przeciągnęła kciukiem po gardle.

Na słońcu było jasno i ciepło, ale po mojej skórze przebiegł dreszcz. W głowie pojawił mi się obraz budynku o białych ścianach, bez okien. Miejsce, o którego istnieniu nie miałam pojęcia, miejsce, do którego odsyłano dziewczęta pragnące umrzeć.

- Ona nie próbowała jakoś za mocno - przypomniałam.

- To było wręcz żalosne - zgodziła się Janice. - No wiesz, powinna użyć noża albo nożyczek, jeśli chciała to zrobić naprawdę. Ale i tak ją wysłali.

- Skąd o tym wiesz? Janice wzruszyła ramionami.

- Sharon i Abigail mi powiedziały.

- Rozmawiają z tobą?! Janice zmrużyła oczy.

- Cały czas. - Wstała i pochyliła się do przodu, zwijając wilgotne włosy w węzeł, tak żeby woda ociekła na trawę.

- Nie wierzę ci - oznajmiłam.

- Nie to nie.

Nauczyciele zebrali się wokół basenu i kazali wszystkim wychodzić, by się przebrali, zanim wrócą autobusy, które miały nas zawieźć do szkoły. Moje koleżanki w wodzie jęczały i skamlały, błagając o jeszcze dziesięć minut, potem pięć, wreszcie dwie.

Janice dotknęła mojego kolana swoimi gołymi białymi palcami u nóg, a ja podniosłam na nią wzrok.

- Dla twojej informacji - powiedziała. - Sharon i Abigail to są teraz właściwie moje najlepsze przyjaciółki. Muszą się wypłakać na czyimś ramieniu, a ja im służę swoim. Mówią mi wszystko.

Otworzyłam rocznik i udawałam, że skupiam się na nim całkowicie, w nadziei, że zniechęcona moim brakiem zainteresowania, Janice odejdzie. Ona jednak stała bez ruchu z rękoma na swoich krągłych biodrach.

- Czasami o niej mówią - wyszeptła, a ja podniosłam wzrok. Musiałam zmrużyć oczy, bo Janice stała pod słońce. Ale nie dałam rady odwrócić spojrzenia, nie dałam rady znaleźć ani krztyny siebie, która zdołałaby udawać, że nie chcę wiedzieć, co mówią.

- Jeśli to ci poprawi samopoczucie - powiedziała. - Polly nie była za specjalna. Raczej była nudziarą.

Moje koleżanki wychodziły z basenu i ochlapując się wodą z mokrych włosów, kierowały się do szatni. Obraz wokół Janice zaczął się zamazywać, a ziemia pod mną wydawała się nierówna, pulchna i rozmokła.

- Nawet jej nie znałaś - odparłam.

- Mam świetne wycucie do ludzi - wzruszyła ramionami. - Jestem jasnowiedzką... no, po prostu wiem różne rzeczy.

Wstałam, by dołączyć do klasy.

- No to na pewno wiesz, że mnie to nie interesuje - odpaliłam. - Wiesz, że to wszystko mnie w ogóle nie obchodzi.

- Wiem, że to był twój ojciec - rzuciła, a ja stanęłam. - Wiem, że to on ją wyniósł z wody.

Poczułam nieznośny ucisk w klatce piersiowej, ale starałam się uśmiechać, starałam się wznieść oczy do nieba.

-1 wiesz to, bo jesteś jasnowidzką?

- Nie. - Janice wytrzymała moje spojrzenie, obojętna i niewzruszona. - Wiem to, bo mój ojczym był w grupie pościgowej, i on mi to powiedział.

Po powrocie do szkoły moje koleżanki zbierały się w grupach, podpisując innym roczniki, wymieniając numery telefonów, obiecując pozostać w kontakcie, chociaż wszystkie chodziłyśmy razem do szkoły od czasów przedszkola i niczyi rodzice nie mieli w planach przeprowadzki.

Po zajęciach miałam szybko wracać do domu, żeby sprzątać boksy i dopilnować matki. Ale stałam i patrzyłam, jak ludzie wsiadają do autobusów i do samochodów rodziców. Po kilkunastu minutach parking opustoszał. Skończył się rok szkolny.

Szłam wyludnionymi korytarzami szkolnymi, szurając nogami pośród strzępów kartek i patrząc na rzędy pustych szafek. Jesienią szóstą klasę utworzy grupa całkiem nowych twarzy, ale ludzie będą mniej więcej tacy sami. Będą używać tych samych podręczników i pisać te same klasówki. Całe lata po naszym odejściu szkoła pewnie będzie nadal wyglądać tak jak teraz: farba wciąż będzie się łuszczyć ze ścian, wysuszone trawniki dalej będą plamiste. Ludzie przychodzili i odchodzili. Wysyłano ich do ośrodków albo umierali, albo odchodzili z własnej woli. Nieważne, kim byli, co mówili ani co robili. W ostatecznym rozrachunku nikt niczego nie pamiętał.

Tak pewnie było też z drzewem, którego nikt nie zasadził dla Polly. Rosnące na pustyni poskręcane, szkieletowe drzewa były zbyt słabe, by się na nie wspinać, zbyt chude, by dawać cień. Na przyrodzie uczono nas, że w niektórych miejscach czas jest zapisany w słojach drzewa, a liście tworzą szmerzące stropy nad pagórkami wilgotnej ziemi. W niektórych miejscach drzewa rosły zawsze. Ale na pewno nie tutaj.

Stałam w skrzydle siódmej klasy i zamknęłam oczy, by zobaczyć siebie za trzy miesiące, trzy miesiące starszą, zaczynającą nową klasę w starej szkole. Ale kiedy zamknęłam oczy, zobaczyłam mojego ojca, jak po pas w kanale, z wodą spływającą z ramion, niesie martwe ciało Polly na brzeg. Jej skóra była zimna i oślizła, usta sine, brązowa woda z ciemnych włosów wsiąkała w tiszert mojego ojca. I może pomyślał o mnie, jak każdego dnia idę dokładnie tą samą drogą nad dokładnie

tą samą wodą. Może wyobrażał sobie, tak jak ja wielokrotnie, że to mój tornister znaleziono nad kanałem, to moje ciało utknęło w kracie. Może wyobrażał sobie życie beze mnie. W dniu, w którym ją znaleźli, ojciec jej dotknął, dźwignął ją, niósł na brzeg martwą i ciężką od wody. A potem wrócił do mnie do domu. Nigdy nie powiedział na ten temat ani słowa.

A potem pomyślałam o nauczycielu, o mężczyźnie, którego Janice Reardon widziała płaczącego w samochodzie. Polly Cain nie była nikim wyjątkowym, tylko zwyczajną dziewczynką. Ale on po niej płakał. Przeszłam przez korytarz do drzwi oznaczonych tabliczką „Język angielski”. W środku wyglądało jak w każdej innej klasie. Na pokrytej nalotem tablicy widniały ślady gąbki, a na ławkach rany po wieloletnim rzezaniu ich przez uczniów. W odległym kącie przy biurku siedział nauczyciel i coś pisał.

- Pan Delmar? - zapytałam. Podniósł wzrok.

- We własnej osobie.

Był chudy i umięśniony, z niechlujnymi blond włosami i guzowatym jabłkiem Adama. Nie było w nim absolutnie nic wyjątkowego ani interesującego. Ale kiedy na mnie spojrział, poczułam dreszcze na plecach. Chciałam, żeby wiedział, jak się nazywam.

Skoro się nie odzywałam, pan Delmar obejrzał się na zegar za sobą.

- Jest czwarta trzydzieści - rzekł. - Myślałem, że wszyscy już uciekli.

- Jestem Alice Winston - odezwałam się w końcu słabym i drżącym głosem. - Z szóstej klasy.

Uśmiechnął się i opuścił wzrok na biurko.

- Świetnie, Alice Winston z szóstej klasy. Czym mogę ci służyć? Nie wiedziałam, co powiedzieć. Chciałam go zapytać, czy widział

rocznik, czy wertował go, żeby odkryć, że nie ma tam zdjęcia Polly. Chciałam wiedzieć, czy słyszał, że Colleen Murphy poraniła się w łazience albo jak grupy pościgowa brodziła w kanale.

- Będzie mnie pan uczył rozszerzonego angielskiego w przyszłym roku? - zaczęłam. - Myślałam, że może ma pan listę lektur? Tak żebym mogła poczytać na zapas.

Pan Delmar poprawił się na krześle.

- Żartujesz? - powiedział. - Naprawdę? Zagryzłam wargę.

- Noo, tak.

- To wspaniale. - Leciutko zabębnił palcami po biurku. - Usiądź, dobiore ci kilka pozycji.

Zaczął pisać, a ja wierciłam się niespokojnie na skraju pobliskiej ławki.

- Co ci się podobało z dotychczasowych lektur? - zapytał.

W uszach zahuczało mi od paniki, kiedy próbowałam sobie przypomnieć książkę, jakąkolwiek książkę.

- Nooo... - powiedziałam. - Czytaliśmy tę książkę o dziewczynce, która chodzi niewidoma. Musi dostać psa i bardzo ciężko się jej przyzwyczaić, że jest niewidoma i że ma psa.

Uśmiechnął się.

- Chyba jej nie czytałem.

- Była niezła - ciągnęłam. - I jeszcze taką o tym chłopcu, który uciekł z domu i mieszkał na drzewie. Mnie się to wydawało trochę głupie.

Rozejrzałam się po jego biurku, kiedy pisał. Leżały tam stosy luźnych kartek, książek i bloczków post-itów, zdjęcie uśmiechniętej blondynki na tle wodospadu.

- Trenuje pan tenisistów, prawda? - zapytałam.

- Prawda - odrzekł. - Chciałabyś dołączyć w przyszłym roku do drużyny?

- Znał pan Polly. - Te słowa padły w jednym krótkim oddechu, przeszły przez moje usta, zanim umysł zdołał je zatrzymać.

Pan Delmar przerwał pisanie i podniósł na mnie wzrok.

- Byłaś jej przyjaciółką?

Coś się zmieniło na jego twarzy. Wyglądał starzej, spokojniej, smutniej i nagle nie mogłam sobie przypomnieć, jaki był jeszcze kilka chwil temu. Każde z nas poniosło stratę - to była najprawdziwsza prawda. Nic innego się nie liczyło.

- Była moją najlepszą przyjaciółką - wyznałam.

- Tak mi przykro - wyszeptał, patrząc na swoje dłonie. Widziałam, jak pióro drży mu w palcach. Sala się kurczyła wokół mnie, znieruchomiałam na skraju ławki, oszołomiona ciężarem tego, czego nie można było cofnąć.

- Musi być ci ciężko - odezwał się w końcu.

- Jest.

- Samotność. -Tak.

Pan Delmar podniósł pióro do ust i gryzł jego końcówkę, nie patrząc na mnie.

- Tak naprawdę nie przyszłaś tu po listę lektur.

- Nie - powiedziałam.

Podniósł wzrok, który przeciął mnie na wylot.

- Mówiła o mnie.

- Czasami - odparłam.

- Nigdy nie wspominała o swoich przyjaciółkach - powiedział. Jego głos był stłumiony, twarz się zarumieniła. Zamrugał oczyma kilka razy i spojrzał gdzieś obok mnie. - Kiedy do mnie dzwoniła - ciągnął - gadała godzinami. Ale nigdy w zasadzie nic nie mówiła. - Pan Delmar pokręcił głową, a ja poczułam, jak smutek ściska mi płuca i wypełnia gardło.

- Rozmawiała z panem przez telefon - powiedziałam. -Tak.

I proszę: przeszłość, żywa i prawdziwa, siedziała przy biurku przede mną. Dzwoniła do niego, rozmawiała z nim godzinami.

- Ona się w panu podkochiwała - wyszeptalam.

- Wiem.

Opuściłam wzrok na zagracony blat jego biurka. Chciałam powiedzieć coś jeszcze, powiedzieć mu, że rodzice Colleen wysłali ją do ośrodka, a Janice Reardon mówiła ludziom, że duch Polly unosi się nad wodą. Chciałam powiedzieć, że wszyscy inni zrobili sobie z tego cyrk, zanim wreszcie się znudzili, że on i ja to jedyne dwie osoby na ziemi, które rozumieją prawdziwy ból tego, co się zdarzyło. Ale czułam, że atmosfera w tej sali staje się napięta i delikatna. Gdybym jeszcze coś dodała, przesadziłabym.

-I tak wezmę listę - powiedziałam. - Skoro ją pan zapisał i w ogóle.

Uśmiechnął się.

- Trzymasz fason.

Wsunęłam kartkę do tornistra i odwróciłam się do wyjścia.

- Alice Winston - powiedział, a ja się zatrzymałam. - Wyglądasz jak ona.

W jednej chwili poczułam, jak powietrze staje się gęste, świat dokoła topnieje, i nie ma przeszłości, nie ma przyszłości, nie ma prawdy.

- Wiem. Wszyscy tak mówią.

Biegłam do domu drogą nad kanałem z sercem wyskakującym z piersi. Każdy kawałek mojego ciała żył i drżał z podniecenia, rzepki kolanowe i paznokcie u rąk, podeszwy moich stóp. Powietrze szumiało mi w uszach, a oddech dudnił w piersi, aż wydawało mi się, że klatka piersiowa otworzy się pod jego ciśnieniem. Polly Cain miała sekret. A teraz ja też miałam.

rozdział trzeci

Klientki hotelu dla koni przybywały o każdej porze dnia, tak że w zasadzie nie mieliśmy ani chwili wytchnienia. Każdy z ich koni był równie wybredny względem otoczenia jak Toy Boy, a mój ojciec trzymał po kieszeniach zmieciolone kartki z instrukcjami do każdego zwierzaka z osobna. Jaycee Sheridan oznajmiła, że jej arabska klacz, Sierra, pije tylko oczyszczoną wodę. Bitsy Rowan porozlepiła w stajni ostrzeżenia, domagające się, żeby nikt nie używał perfumowanych płynów, szamponów ani - ponad wszystko - perfum, ponieważ jej saddlebred¹, Heathcliff, ma wrażliwe zatoki.

- Kim są te kobiety? - zapytała Sheila, kiedy pomagałyśmy mojemu ojcu wyrzucać szuflą ładunek trocin z paki półciężarówki. Właśnie po raz trzeci jej lekcja została skrócona, żeby Patty Jo i jej przyjaciółki mogły skorzystać z areny.

- Wynajmują boksy dla koni - odrzekł ojciec, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Hm - Sheila zdmuchnęła grzywkę z czoła - są denerwujące.

- Przynajmniej twój koń zostaje w stajni - powiedziałam. Nasze własne konie sportowe dreptały w kółko w swoich nowych maleńkich zagrodach, wzbijając kłęby pyłu w popołudniowym upale.

- Te klientki są w porządku - powiedział ojciec. - Może są trochę marudne. Ale marudność możemy znieść. - Sheila kiwnęła głową na znak, że skoro on prosi, to ona zniesie wybredność.

W najgorętszej części dnia Sheila i ja nosiłyśmy wąż do zagród, które ojciec sklecił obok areny. Napełniałyśmy wiadra wodą i spry

¹ Saddlebred - rasa konia (przyp. red.).

skiwałyśmy koniom grzbiety, by pomóc im się schładzać. Stały nieruchomo, z przymkniętymi oczyma i tylko mięśnie im drgały pod wodą.

- To nie potrwa wiecznie - zapewniałam je.

- A ile? - zapytała Sheila. Przy moim ojcu była pozytywnie nastawiona, nie narzekała. Ale widziałam, że zaczyna ją męczyć zamiatanie trocin i noszenie dzbanów oczyszczonej wody, męczy ją skracanie lekcji.

- Nie jestem pewna. - Bez sensu byłoby ją naciskać, mówić jej, że klientki zostaną tu, dopóki ona zacznie wygrywać i sprowadzać nowych uczniów. - Ale to nie może trwać wiecznie.

Sheila westchnęła.

- Po co im w ogóle takie drogie konie, skoro ich nie wystawiają w zawodach? O co chodzi?

Sama się nad tym zastanawiałam. Te kobiety przyjeżdżały codziennie. Ale nie brały lekcji jazdy ani nie interesowały się zawodami. Całymi godzinami oporządzały konie tylko po to, by wsadzić je z powrotem do boksów.

- I gdzie są ich mężowie? - zapytała Sheila. - Nawet nigdy o nich nie rozmawiają.

- Mój tata mówi, że to są takie kobiety, które zaczynają zajmować się końmi, kiedy kończą z facetami.

Sheila analizowała chwilę moje słowa.

- Co to znaczy? - zapytała, a ja wzruszyłam ramionami. Zastanawiałam się, czy Sheila myśli o swoim ojcu. Od czasu do

czasu pan Altman przyjeżdżał w sobotę popatrzeć, jak Sheila jeździ, ale nigdy nie zostawał długo - mówił, że kaszle od kurzu. I chociaż przyznał, że Yellow Cap jest przystojniakiem, nie widziałam, żeby zbliżył się do konia na odległość splunięcia. Jeśli któryś z koni podszedł za blisko, tata Sheili odskakiwał i krzyczał „Prrrr!”.

Sheila pochyliła się do przodu, żeby wziąć łyk wody z dzbana, nie odrywając ode mnie oczu w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Nie wiem - powiedziałam w końcu. - Ale nie widzieliśmy żadnego z ich mężów i tata mówi, że nie zobaczymy.

- Hm, mam nadzieję, że wkrótce znikną. - Sheila wyprostowała się i otarła usta grzbietem dłoni. - Dostaję szału przez tę Bitsy, która mnie ciągle obwąchuje.

Popołudniami klientki przybywały dwójkami albo trójkami, wioząc lodówki turystyczne wypełnione mrożonymi winogronami oraz termosy z szampanem i sokiem pomarańczowym, który wlewały do papierowych kubeczków. Jaycee kupiła stereo do stajni i wynajęła elektryka, żeby powiesił głośniki, tak aby mogła z przyjaciółkami słuchać muzyki w trakcie oporządzania koni. Kiedy Sheila i mój ojciec pracowali na arenie, ja sprzątałam boksy i słuchałam rozmów, które sączyły się przez stajnię. W miarę jak mijały godziny i opróżniały się termosy, głosy kobiet przybierały na sile, a śmiech wznosił się w niekontrolowanych napadach.

W tamte popołudnia dowiedziałam się, że od makaronu i ziemniaków człowiek tyje, że od suszenia suszarką włosy robią się szorstkie i łamliwe, że jeśli kobieta urodzi więcej niż jedno dziecko, to jej brzuch opada jak opona, z której wypuszczono powietrze.

- Ty ciągle pracujesz - powiedziała Bitsy, kiedy wybierałam ściółkę z boku Heathcliffa. - Odpocznij sobie. Chodź z nami pogadać.

Mój ojciec nie lubił odpoczynków. Mówił, że odpoczynek daje tylko tyle, że potem trudniej z powrotem zabrać się do roboty. Ale mówił też, że mam być grzeczna i robić wszystko, o co klientki poproszą. Siadłam więc na lodówce, skubiąc mrożone winogrona, a one chichotały do swoich papierowych kubków i zadawały mi pytania.

- Ile lat ma twój tata? - zapytała Jaycee.

- Trzydzieści dziewięć. Bitsy gwizdnęła przez zęby.

- Ma naprawdę piękne ramiona - powiedziała.

- Twoja mama nie żyje, aniołku? - zapytała, a mój kręgosłup zeszywniał jak kołek.

- Jest w domu - odparłam.

- Musisz jej powiedzieć, żeby czasami wyszła - wtrąciła Patty Jo.

- Mogłaby się z nami trochę napić - dodała Bitsy. - Chętnie byśmy ją poznały.

- Ona większość czasu spędza w łóżku - powiedziałam, a kobiety wymieniły spojrzenia, dla mnie nieodgadnione.

- Jest chora? - zapytała Patty Jo.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Większość miała za mężów lekarzy. Mogły się zorientować, że kłamie. Skoro nic nie odpowiadałam, Patty Jo odchrząknęła i wytarła ręce o spodnie do jazdy konnej.

- Ach - rzuciła do koleżanek. - Takie tam śruty pierduty.
- Powinnam wracać do pracy - oznajmiłam i wstałam. - Dziękuję za winogrona.
Kiedy już wszystkie odjechały ojciec przyniósł do stajni wąż, żeby napełnić koniom wiadra.

- Te kobiety doprowadzają mnie do szału - powiedział.

- Zwykle są pijane - odparłam.

- To wiele wyjaśnia. - Stał przed boksem Sierry i chociaż obok niej stały dzbany oczyszczonej wody, ojciec napełnił jej wiadro wodą z węża. - Co jest? - zapytał klacz, opryskując ją wodą z węża. - Nie twój poziom?

Sierra zadarła głowę, próbując umknąć przed prysznicem, ale ojciec dogonił ją łukiem wody i zapędził do kąta. Sierra jęknęła i tupnęła nogą, potem pochyliła łeb, kuląc się pod strumieniem.

- Nie - powiedział ojciec. - No właśnie.

W drugich zawodach wzięło udział więcej zawodników niż w pierwszych. O szóstej trzydzieści rano na terenie należącym do grupy pościgowej stało już dwadzieścia przyczep. Obok mnie Sheila drżała w swojej bluzie, a ojciec wyprowadził Capa z przyczepy i ruszył z nim w kierunku areny. Podążaliśmy z tyłu, chuchając na palce, żeby je trochę ogrzać.

Konie wciąż były przykryte derkami, kopyta miały obwiązane, żeby zostały czyste, dopóki sędziowie ich nie ocenią. Ojciec znalazł na arenie pusty narożnik i przypiął lonżę do kantara Capa, podrzucając linę i stukając palcatem² o but, aż Cap zaczął kłusować wokół niego.

Patrzyliśmy na nich spod ogrodzenia, Sheila na sztywnych kolanach, żując końcówkę francuskiego warkocza.

- To ja powinnam to robić - powiedziała. - Wszystkie konie rozgrzewane są przez jeźdźców.

- Mógłby cię przeciągnąć przez arenę - ostrzegłam.

- Wiem - odrzekła.

Poczułam przyływ łagodności i dotknęłam czubkiem palców rękawa jej bluzy.

² Palcat - krótki bacik jeździecki (przyp. red.).

- Wszystkie te dzieciaki robią to od zawsze - powiedziałam. Sheila kiwnęła głową, nie patrząc na mnie.

Od tyłu podeszła do nas pani Altman, trzymając torebkę pod pachą.

- Zimno ci? - zapytała Sheila. - Chcesz, żebym ci kupiła gorące kakao na stoisku?

Sheila nie oderwała wzroku od placu.

- Zwymiotuję - powiedziała.

Pani Altman stała przez chwilę bez słowa, potem naciągnęła mocniej sweter na ramiona.

- Alice - powiedziała, wskazując na arenę. - To trzeba robić?

- Koń się w ten sposób uspokaja - odparłam. - I przyzwyczajają się do placu.

- To ważne? - zapytała pani Altman. Sheila wzniosła oczy do nieba.

- Konie są jak ludzie - powiedziałam. - Robią się nerwowe.

- No, nie wiem. - Pani Altman się wyprostowała. - Nie jestem pewna, czy bat mi się podoba.

Sheila wzięła głęboki oddech i cofnęła się o krok, na wypadek gdyby naprawdę miała zwymiotować.

- To palcat, mamó - powiedziała. - A Joe używa go tylko, żeby wydać dźwięk.

Odwróciłam się do niej, próbując określić, kiedy mój ojciec z pana Winstona zmienił się w Joego. Ale Sheila z twarzą pozbawioną wyrazu wpatrywała się w arenę, jakby ta miała ją połknąć.

Powoli wstawał ranek, a parking wypełnił się końskimi przyczepami i kamperami. W pierwszym pokazie żadna z wielkich stajni nie wystawiła swojego jeźdźca, ale tego należało się spodziewać. Pierwszy konkurs zawsze był nieoficjalny, stanowił wprawkę. Żadna z wygranych nie liczyła się na poczet całkowitych wygranych na koniec sezonu, więc żaden ze zwycięzców nie zawracał sobie nią głowy. Ale na drugie zawody przyjeżdżali. Staliśmy obok Buda Pope'a, który prowadził Centrum Jeździeckie Pope'a i przyjechał z ośmioma uczniami oraz dwiema przyczepami. Bud miał na sobie białą koszulę z kołnierzykiem o przypinanych rogach i czarnego filcowego stetsona.

- Wyrychtowałeś przyczepę, Joe - zauważył, a mój ojciec machnął do niego bez uśmiechu.

- Co tam słyhać u twojej małej? - zapytał Bud. Ojciec zeszywniał.

- W porządku, dzięki.

Pierwsza klasa zaczęła się zbierać przy torze, matki krzątały się wokół swoich córek, wpinając im we włosy ostatnie szpilki, smarując różem policzki i ścierając plamy z butów. Pani Altman krążyła wokół Sheili, próbując w czymś pomóc. Ale nie wiedziała, co robić przy koniu, nie mogła sama podnieść siodła, nie miała pojęcia, jak przymocować pod brodą pasek kasku jeździeckiego Sheili.

- Po drugiej stronie areny są trybuny - powiedziałam jej. - Jeśli pani chce, możemy tam usiąść.

- Och - pani Altman spojrzała na Sheilę, która nie patrzyła jej w oczy.

- Tak pewnie będzie lepiej.

Kupiła mi gorące kakao i wspiełyśmy się na trybuny, kiedy młodsze dzieci jeździły na swoich koniach wokół sędziego.

- Zobacz, jakie maluchy - westchnęła pani Altman, patrząc na nie.

- Alice, takie małe dzieci mogą jeździć konno, to nie jest niebezpieczne?

- Młoda para siedząca w pobliżu nas obejrzała się, a ja uśmiechnęłam się do nich, mając nadzieję, że nie są rodzicami któregoś z maluchów. To nie był dobry sposób na zdobywanie uczniów.

- One tylko jadą stępa i kłusem - wyjaśniłam. - Nie galopują.

Nie powiedziałam pani Altman, że mój ojciec przed pierwszym pokazem całymi tygodniami próbował wymyślić sposób, żeby Sheila mogła jechać w kategorii poniżej dziesięciu lat.

- Gdyby miała chociaż jedenaście - powtarzał.

- Ma dwanaście - odparłam. - I nie jest niska jak na swój wiek.

Jednego dnia rozgrywano ponad trzydzieści różnych klas - podzielonych według stylów, grup wiekowych i innych kryteriów. Większość jeźdźców musiała w biegu przebierać się albo zmieniać siodło, albo napić się wody w przerwie pomiędzy swoimi klasami. („Startuję dzisiaj w szesnastu klasach” - jęknęła Valerie Hayes, uczennica Buda Pope'a i jedna z dziewcząt, z którą moja siostra wymykała się na papierosa. „Równie dobrze mogłabym się, kurwa, zabić”.) Ojciec zgłosił Sheilę tylko do dwóch klas: jazdy angielskiej i western. Jedna rozgrywała się rano, a druga po południu, więc ojciec uważał, że Sheila będzie miała mnóstwo czasu, żeby pomiędzy nimi się pozbierać. Rozważał nawet wystawienie Sheili tylko

w westernie. W tej była ciut lepsza - wysoki łęk westernowego siodła dawał jej większe poczucie bezpieczeństwa. Kiedy jednak wspomniał o tym matce Sheili, ona się zakłopotowała. Powiedziała, że jedyne prawdziwe różnice pomiędzy jazdą angielską a western sprowadzają się chyba do siodła i kostiumu. Sheila miała już oba siodła i oba kostiumy. Jeśli nie pojedzie w obu kategoriach, będzie to wyglądać na marnotrawstwo.

Sheila wraz z grupą od 10 do 13 lat ustawiała się przed areną, a pani Altman ścisnęła mnie za ramię.

- Jest - wyszeptała. Ojciec stał obok Yellow Capa, mówiąc coś do Sheili, a ona kiwała głową i związała wodze w dłoniach.

- Jak myślisz, co twój ojciec do niej mówi? - zapytała pani Altman, a ja zmrużyłam oczy, próbując odczytać to z ruchu jego warg.

- Pewnie mówi jej, żeby nie spadła - odrzekłam. Usta pani Altman zamarły w wyrazie przerażenia. - Albo żeby się uśmiechnęła.

Ojciec się odsunął, a Sheila odetchnęła, szturchając Capa w kierunku placu. Podążyła za bliźniakami Pope'a, Żakiem i Andym, którzy zawsze garbili się na swoich koniach, aż do chwili, kiedy zaczęło się ocenianie.

- Patrz, ilu ich jest - powiedziała pani Altman, licząc jeźdźców w klasie Sheili. - Skąd oni wszyscy się wzięli?

Mojej siostrze i mnie nigdy nie wolno było rozmawiać o innych stajniach w obecności naszych klientów. Nie mogłam powiedzieć pani Altman o Budzie Popie i jego armii uczniów ani o Dianie Burns, która uczyła skoków i powożenia i zawsze nosiła palcat w bucie. Ich uczniowie stali gęsiego za Sheilą, a ja spuściłam wzrok.

- Nie jestem pewna.

Zach i Andy Pope podnieśli do mnie ręce, przejeżdżając przed trybunami, Andy zrobił zeza, a potem się roześmiał.

- To twoi koledzy? - zapytała pani Altman. Bliźniaki Pope byli wyluzowani i tyczkowaci, z kudłatymi fryzurami i spierzchniętymi wargami, które sprawiały, że wyglądali, jakby pili poncz owocowy.

- Nie - odparłam i też do nich machnęłam.

W chwili kiedy brama się zamknęła, stało się jasne, że Sheila nie ma cienia szansy. Zniknęły niedoróbki i senne oczy z pierwszego pokazu. Każdy but był wypolerowany, wszystkie plecy proste.

- Jak ona sobie radzi? - wciąż pytała pani Altman.

Na placu Cap się usztywnił, a Sheila szarpnęła. Machnęła łokciami, jej stopy zakołysały się w strzemionach.

- Dobrze - powiedziałam.

Na dalekim końcu toru Cap nagle się zatrzymał, a Sheila kopnęła go, by szedł dalej.

- Och nie! - zachłysnęła się pani Altman. - Co się stało?

- Cap przerwał chód - wyjaśniłam. - Sędzia to widział.

- To źle? - zapytała.

- Niedobrze.

Jeźdźcy ustawili konie pośrodku areny i sędzia przeszedł wzdłuż rzędu, wybierając najlepszą szóstkę. Twarz Sheili była czerwona, a usta wygięły się w dół, ale zaczęła, aż zostały wyczytane miejsca, i dopiero kiedy zjechała z placu, zaczęła płakać.

Pani Altman wstała.

- Muszę do niej iść.

Ojciec już był przy boku Capa. Patrzył na Sheilę i mówił do niej. Jedną ręką trzymał wodze, drugą położył jej na kolanie, pocierając je powolnymi kolistymi ruchami.

- Ona prawie nigdy nie płacze - powiedziała pani Altman, nie odrywając oczu od Sheili. - Jestem pewna, że mnie potrzebuje.

Ale kiedy mój ojciec przestał mówić, Sheila podniosła brodę i skrzyżowała ramiona. Powiedziała coś, czego nie mogłam odczytać, a ojciec roześmiał się do rozpuku, odchylając się na piętach. Potem poklepał ją po udzie i podał rękę, by pomóc jej zsiąść. Poszli z powrotem do przyczepy, nawet na nas nie patrząc.

W czasie przerwy na lunch, kiedy obchodziłam naszą ciężarówkę, zderzyłam się z Valerie Hayes.

- Jezu Chryste! - krzyknęła. - Szukałam cię.

Valerie, rówieśnica Nony, miała rude włosy i skórę tak piegowatą, że z daleka wyglądała na różową. Chociaż zawsze była w pobliżu, nie przypominałam sobie, żeby kiedykolwiek zwróciła na mnie uwagę. Obejrzałam się, sprawdzając, czy ktoś za mną nie stoi.

- Muszę się przebrać, chodź ze mną. - Chwyciła mnie za łokieć, prowadząc w kierunku przyczepy Buda Pope'a. - Chciałam znaleźć cię wcześniej - mówiła - ale nie miałam, kurwa, ani chwili wolnej. Ani chwili.

Podążyłam za nią na tył jej końskiej przyczepy, gdzie na oparciu składanego krzesła leżał jej kostium na popołudnie.

- Możemy pogadać, jak się będę przebierać - powiedziała i zamknęła za nami drzwi. W środku było ciemno i zimno, światło wpadało paskami cienkimi jak papier.

- Widziałś mnie na arenie? - zapytała, ściągając stopami buty. - Jeżdżę cały dzień, no nie?

- Jesteś niezła - powiedziałam, wbijając wzrok w podłogę, kiedy chwiała się bez bryczesów. - Dwie niebieskie i czerwona.

- Taaa. Koniec z Barbie, co? - zakołysała biodrami i w pasku światła zobaczyłam fioletową koronkę jej bielizny na tle dyniowo nakrapianej skóry. - No, ale poważnie. Co u Nony? Jakie masz wieści?

Pytanie brzmiało poważnie, a ja chciałam udzielić poważnej odpowiedzi. Wertowałam w głowie wszystkie listy Nony, szukając czegokolwiek, co mogłoby zrobić wrażenie na Valerie Hayes.

- Jest w Idaho - powiedziałam wreszcie. - To znaczy była. Nie jestem pewna, gdzie znajduje się w tej chwili. Ona i Jerry. Jej mąż.

- Jezu! Nie mogę uwierzyć, że to zrobiła.

- Wiem.

- To był zajebisty skandal! - Tak?

- Szkoda, że tego nie widziałś - mówiła Valerie. Jednym ruchem ściągnęła koszulkę i pasek światła zamigotał na jej różowym brzuchu, kiedy sięgała po następną. - Wszyscy zbaranieli: „Wyszła za mąż?!“.

- Jacy wszyscy? - zapytałam, a Valerie podniosła na mnie głowę.

- Wszyscy w szkole.

Nona nigdy nie mówiła dużo o szkole. Teraz dziwne mi się wydawało, że miała nauczycieli i współpracki od szafki, że rozmawiała z ludźmi, których nigdy nie poznałam, ludzi, którzy widywali ją co dzień, dokładnie tak jak ja. Patrzyłam, jak Valerie Hayes gmera przy guzikach koszuli w ciemności, i zastanawiałam się, co jeszcze wiedziała o mojej siostrze, jakie były, kiedy zostawały sam na sam.

Valerie dłońmi wygładziła włosy i otworzyła tył przyczepy, wlewając światło na podłogę.

- A u ciebie coś nowego? - zapytała.

- Jedna dziewczyna z mojej szkoły zginęła - powiedziałam.

- Utonęła w kanale.

- Jej! To nie żarty. - Wyszła z przyczepy i wyprostowała ramiona, tak żebym mogła zobaczyć jej kostium w świetle, dzinsy ściskające wąską talię, koszulę rozchylającą się ciut na piersiach. - Życz mi powodzenia

- powiedziała.

Chciałam powiedzieć, że Nona znika, że nie mogę sobie dokładnie przypomnieć kształtu jej ciała, odcienia skóry. Chciałam powiedzieć Valerie, że moja siostra do nas nie dzwoni, że rzadko pisze, że nocą w ciemnej ciszy całymi godzinami wyobrażam sobie, co się dzieje w jej życiu, co jest takie ekscytujące i ważne, że potrafi całkiem o nas zapomnieć i zostawić nas, żebyśmy pokonywali świat bez niej.

- Powodzenia - rzuciłam.

Ale Valerie już zdążyła minąć róg przyczepy i zniknęła, zanim moje słowa do niej dotarły.

Druga połowa dnia niewiele się różniła od pierwszej. Siedziałam z panią Altman na trybunach, próbując jej wyjaśnić, o co chodzi, a ona się wachlowała programem. W drugiej swojej klasie Sheila nie popełniła żadnych kardynalnych błędów, ale to nie wystarczyło, by zdobyć nagrodę. Pierwsze i drugie miejsce zajęli Zach i Andy Pope, podobnie jak w pierwszej konkurencji Sheili. Zwycięzcy opuszczali arenę, a pani Altman i ja zeszłyśmy do bramy, by stanąć z moim ojcem, kiedy Sheila wyszła za nimi.

- Lepiej - powiedział ojciec i Sheila się uśmiechnęła.

Kątem oka zobaczyłam, że Bud Pope przygląda się nam, oparty o ogrodzenie. Kiedy przechodził obok, uchylił kapelusza przed Sheilą.

- Niezły koń - powiedział. Sheila uśmiechnęła się promiennie.

- Nazywa się Yellow Cap - powiedziała. - To najlepszy koń na świecie.

- Koń dla księżniczki. - Bud mrugnął okiem do Sheili, a usta mojego ojca zacisnęły się w wąską linię. - Mam nadzieję, że wyciągasz z niego wszystko, co się da.

- Nieźle sobie radzimy, dzięki - wtrącił mój ojciec.

- Daj mi znać, jeśli będziesz miała jakieś problemy - rzucił Bud do Sheili. - Może znam kilka sztuczek, które by ci pomogły.

Bud odszedł, a pani Altman obejrzała się na niego.

- To było bardzo miłe - powiedziała.

Sheila się przebrała i stałyśmy z boku, kiedy pani Altman i mój ojciec omawiali koszt lekcji w następnym tygodniu. Sheila oparła się o przyczepę i zdmuchnęła grzywkę z czoła.

- O mój Boże, umieram - powiedziała. - Co się dzieje, kiedy się robi naprawdę gorąco?

- Więcej się pocisz - odparłam.

Ojciec mówił szybko do pani Altman, gestykulując. Kropla potu stoczyła mi się za uchem, otarłam ją ramieniem. Przez chwilę nie słyszałam przemowy promocyjnej mojego ojca - jeszcze trochę czasu, jeszcze trochę pieniędzy, wielka przyszłość Sheili wypełniona trofeami i pierwszymi nagrodami. Pani Altman otworzyła książeczkę czekową i zaczęła pisać.

Po drugiej stronie parkingu Zach i Andy Pope wracali od stoiska, z nareczami hot dogów i nachosów. Oparłam się o przyczepę i patrzyłam, jak Bud podchodzi do nich od tyłu, kładzie im ręce na ramionach i pochyla się, by powiedzieć im coś do ucha. Kiedy skończył, bliźniacy zerknęli na Sheilę i na mnie, potem skrzywili się, jakby poczuli jakiś paskudny zapach. Bud powiedział coś jeszcze i pchnął ich w naszym kierunku. Dopiero kiedy do nas doszli, uśmiechnęli się.

- Cześć, księżniczko - rzucił Andy do Sheili. - Bardzo ładnie się tam prezentowałaś.

Sheila spaşowiała.

- Dzięki - rzuciła.

- Jak długo jeździsz? - zapytał Zach, zlizując z nadgarstka sos z nachosów.

- Niedługo. To dopiero mój drugi konkurs.

- Żartujesz - odparł Andy. - W życiu bym nie powiedział.

- Nie zatrzymujemy was - wtrąciłam, ale oni stali niewzruszeni, wciąż patrząc na Sheilę.

- Wpadnij do nas, jak będziesz kiedyś chciała przejechać się razem - powiedział Andy. - Mamy najlepszą arenę w okolicy.

Kiedy odeszli, Sheila im pomachała, a potem uszczypnęła mnie w ramię.

- Ci chłopcy są tacy mili.

- To dupki - powiedziałam. Ostatnia rzecz, jakiej mi było trzeba, to Sheila rozmarzona nad bliźniakami Pope.

Odwróciłyśmy się, a mój ojciec szedł do nas z wykrzywioną twarzą i napiętą szczęką.

- Z kim rozmawialiście? - zapytał. Odstąpiłam od Sheili, żeby pokazać, że nie brałam w tym udziału.

- Z tymi chłopcami, którzy wygrali - odparła Sheila. - Są bardzo mili.

- Słuchaj - powiedział mój ojciec, a jego głos był niski i zatroskany. - Masz wybór i chcę, żebyś go dokonała tu i teraz.

Pani Altman spojrzała na mnie szeroko otwartymi, zmartwionymi oczyma, a ja pokręciłam do niej głową. Nie mogłam pomóc.

- Chcesz mieć przyjaciół? - zapytał mój ojciec. - Czy chcesz wygrać?

Sheila zarumieniła się i z rozchyłonymi ustami spojrzała na mojego ojca. Wreszcie odpowiedziała słabiutkim szeptem.

- Wygrać?

- Słucham? - zapytał ojciec.

- Panie Winston - przerwała pani Altman. - Nie jestem pewna, czy mi się... - ale mój ojciec podniósł dłoń w jej kierunku i zamilkła.

- Kiedy tu jesteś, masz jedno zadanie - mówił ojciec do Sheili. - Jeśli nie będziesz go traktować poważnie, to ja nie zamierzam marnować na ciebie czasu.

Wcześniej czy później ojciec raczył taką mówką każdego klienta. W ten sposób zmuszał ich, by skupili się na celu, chronił ich przed takimi ludźmi jak Bud Pope, którzy próbowali ich zwabić do siebie. Ale kiedy patrzyłam, jak ojciec patrzy w oczy Sheili, poczułam zażenowanie.

- Chcę wygrać, Joe - powtórzyła Sheila, i tym razem jej głos był niski i równy, groźny. Ojciec się uśmiechnął.

- No to wygrasz - rzekł. - Obiecuję.

Pani Altman splotła palce i podsunęła je pod brodę.

- Wydaje mi się to trochę przesadne - powiedziała cicho. - To są w końcu jeszcze dzieci. A ojciec tych chłopców wydawał się taki miły i życzliwy.

Pomyślałam o Valerie Hayes i zastanowiłam się, jak dobrze ona tak naprawdę знаła moją siostrę, ile przyjaźni Nona trzymała w tajemnicy przed moim ojcem.

Ale kiedy spojrzałam na Sheilę Altman, jej szeroką, pełną nadziei twarz i szczere oczy, zdałam sobie sprawę, że to nie ma znaczenia. Dopóki moja siostra mieszkała w Desert Valley, nigdy nie chodziła pojeździć z żadnym z naszych konkurentów, nie łąziła nigdzie ze swoimi sprawami. Pani Altman zauważała tylko, czy ludzie są mili, czy nie. Nie rozumiała, jak to działa, jak bardzo potrzebujemy jej córki, potrzebujemy jej pieniędzy.

- Widziałam kiedyś, jak Bud Pope uderzył konia - powiedziałam i wszyscy troje spojrzeli na mnie. - Batem.

- Och, mój Boże - westchnęła pani Altman.

- Przez pysk - dodałam. - I to mocno. To był bardzo głośny dźwięk.

Ojciec przechylił głowę. Gardził Budem Popem, mówił, że to kanciarz, taki człowiek, co to każe swoim dzieciakom przegrywać, jeśli konkurują z jego uczniami. Ale nigdy nie widziałam, żeby Bud uderzył konia, i mój ojciec o tym wiedział.

- No cóż - powiedziała pani Altman. - Będziemy się trzymać od niego z daleka.

W drodze do domu siedziałam oparta plecami o okno i z nogami wyciągniętymi na siedzeniu ciężarówki. Czulałam żwir we włosach, napięty, gorący blask opalenizny usztywniał moją twarz i ramiona. Byliśmy już prawie w domu, kiedy mój ojciec zdjął jedną rękę z kierownicy i położył ją na mojej stopie.

- Chcesz, żebym cię zabrał na stek? - zapytał.

Brzuch miałam wzdęty od burgerów, gorącej czekolady i napojów gazowanych, które pani Altman kupowała mi przez cały dzień. Nie byłam ani ociupinkę głodna. A nawet gdybym była, to i tak stek przekraczał nasze możliwości finansowe.

- Dobra - powiedziałam.

Dwa dni później Sheila spadła z konia. To nie było nic niezwykłego. W środku lekcji próbowała szturchnąć Capa do galopu. On stanął jak wryty, a potem wyrzucił tylne nogi w górę. Sheila spadła na bok, jakby dostała postrzał w serce.

Mój ojciec pomknął przez plac. Zanim ja tam dotarłam, już pomagał Sheili wstać. Miała otarte ręce, a na brodzie pył.

- Nic ci nie jest, nic ci nie jest, nic ci nie jest - powtarzał w kółko ojciec, jedną ręką trzymając ją w pionie, a drugą obmacując wszystkie kończyny.

Sheila miała bladą twarz, usta jej drżały.

- Capowi nic się nie stało? - zapytała.

Po drugiej stronie areny Cap parsknął i rzucał łbem, niespokojnie kłusując w tę i z powrotem.

- Nic - odrzekł ojciec. - Tylko się martwi o ciebie.

Założył mi na bark ramię Sheili, poprowadził moją rękę, bym objęła ją w tali.

- Alice zabierze cię do środka - powiedział, a ja ugięłam kolana, by ją wesprzeć.

- Do środka? - zapytałam. - Do środka do domu? - W stajni była łazienka, a w siodłami lodówka. Sheila Altman nigdy nie była w naszym domu.

Ojciec ruszył do Capa, a koń zerwał się w drugą stronę, ciągnąc wodze po ziemi.

- Niech ona usiądzie - powiedział, nie odrywając od niego oczu. - Zabierz ją ze słońca.

Powolnymi kroczkami prowadziłam ją z areny i przez stajnię, w nadziei, że nagle się wyprostuje i powie, że nic jej nie jest. Ona jednak wisiała na mnie całym ciężarem, dotykała palcami ust i plątały się jej nogi.

- Czuję się bardzo dziwnie - powiedziała. - Ciągłe mi drżą usta.

W domu było ciemno i cicho. Za dnia nie odsłanialiśmy zasłon, a powietrze było gęste od tłustego zapachu fastfoodowego obiadu, który jedliśmy poprzedniego wieczoru. Po omacku dobrnęłam do kanapy i opuściłam na nią Sheilę.

- Mam jakieś dziwne nogi - powiedziała.

- Bola? - zapytałam. Ruszyłam włączyć światło i potknęłam się o buty ojca.

- Nie - odparła. - Tylko są jakieś dziwne.

Dwie różne lampy po bokach kanapy zamigotały i Sheila zamrugła kilka razy, a potem spojrzała na swoje ręce.

- Pewnie myślisz, że jestem beksa-lala - powiedziała.

- Nie płaczesz - zauważyłam.

Sheila opadła na oparcie i potoczyła wzrokiem po pokoju. Skurczyłam się na widok stosu prania u stóp schodów, poplamionego dywanu, misek po płatkach, od śniadania zasychających na stole.

- Rany - powiedziała Sheila. - To twoja siostra? Wpatrywała się w rząd zdjęć na ścianach salonu.

- Tak - odparłam. - To Nona.

- O mój Boże - westchnęła Sheila. - Ona jest jak gwiazda filmowa, no nie?

- Dzięki.

Sheila wstała i pokuśtykała do ściany, po drodze rozcierając biodro.

- Patrz! - wskazała palcem. - Tu ma jedno z Capem! - Prowadziła palec po podpisie pod zdjęciem. - „Winona Winston na Yellow Capie” - przeczytała na głos. - „Sześć punktów krajowych”. Co to znaczy?

- Walczysz o punkty - powiedziałam w nadziei, że usiądzie. Mogła przecież potknąć się o coś i uderzyć w głowę. Ale ona patrzyła na mnie z podniesionymi brwiami, czekając na wyjaśnienie. - Im więcej wygrywasz, tym więcej punktów dostajesz. Jeśli startujesz w konkursach lokalnych, zdobywasz punkty lokalne. Jeśli w krajowych, to krajowe. W światowych pokazach dostajesz światowe punkty. Rozumiesz?

- Kto zdobywa punkty? - zapytała. - Koń czy człowiek?

- To zależy. Są różne klasy na różne rzeczy. Ale walczysz o jedne i drugie.

Sheila obejrzała się na zdjęcie. -1 Cap ma krajowe punkty?

- On ma punkty światowe - odparłam. -1 moja siostra też. Zdobyli je razem.

Sheila odsunęła się od ściany i spoczęła na kanapie, przesuwając wzrokiem po zdjęciach. Potem pochyliła się, schowała twarz w dłoniach i zapłakała.

- Nic ci nie jest? - zapytałam.

Sheila pokręciła głową, a ja ruszyłam do kuchni. Pomyślałam, że może dobrze jej zrobi spryskanie twarzy wodą.

- Alice, powiedz prawdę - wyszeptwała. Przystanąłam. Sheila podniosła wzrok znad palców. Widziałam łzy spływające jej po twarzy i zbierające się w dłoniach. - Czy ja jestem dla niego wystarczająco dobra?

Zanim pani Altman przyjechała po Sheilę, doprowadziliśmy ją prawie do ładu. Na szczęście rysował się już cień siniaka, dłonie miała trochę obtarte, ale chodziła i mówiła znowu normalnie.

Pani Altman przytuliła Sheilę do piersi, po czym odsunęła się, by na nią spojrzeć.

- Musimy jechać na pogotowie - zdecydowała.

- Nie musicie - powiedział ojciec. - Naprawdę nie musicie.

- Tylko dla pewności - odparła pani Altman, po czym zmrużyła oczy i spojrzała na stajnię. - Ten koń!

- To nie była wina Capa - powiedziała Sheila, a pani Altman poprowadziła ją do samochodu. - Pewnie go użądliła pszczoła, tak powiedziała Alice.

Próbowałam spojrzeć w oczy ojcu, ale on spieszył się, żeby je wyprzedzić i otworzyć przed Sheilą drzwi. Kiedy już znalazła się w środku, położył dłoń na ramieniu pani Altman.

- Nic jej nie jest - rzekł. - Wbrew pozorom to twardzielka. Pani Altman przymknęła oczy.

- Wiem - wyszeptała. - To tylko dla pewności.

Po ich odjeździe ojciec ponownie osiodłał Capa, wyprowadził go na arenę i rozpędził do pełnego galopu. Ja poszłam do domu i odsunęłam zasłony. Z okna patrzyłam, jak sierść Capa ciemnieje od potu. Łeb zaczął mu opadać z wyczerpania, ale ojciec dalej go popędzał. Czekaając, aż skończy, zwinęłam pranie i sprzątnęłam naczynia po śniadaniu, potem zapaliłam świeczkę, która miała pachnieć szarlotką. Przeszłam się ze świeczką po salonie, usiłując przepędzić zapachy tłustego burgera i końskiego potu, ale zapach szarlotki przyprawiał mnie o bóle głowy i musiałam zdmuchnąć świeczkę.

Kiedy podeszłam z powrotem do okna, słońce zachodziło i spodziewałam się, że zobaczę mojego ojca przed stajnią, jak machnie na mnie, bym mu pomogła nakarmić konie. On jednak wciąż był na arenie. Szyję i nogi Capa pokrywała piana potu, gęste strugi śliny odrywały się mu od pyska. Zacisnęłam oczy i napięłam całe ciało, próbując dotrzeć do ojca myślami. „Przestań, przestań” - błagałam, aż od zaciskania pięści i szczęki rozboleły mnie ręce i zęby. Kiedy otworzyłam oczy, ostatni róż dziennego światła sączył się w ciemność. Oni wciąż biegli.

W pokoju Nony na górze włączyłam światło i zamknęłam drzwi. Po jej wyjeździe umieściliśmy tu kilka rzeczy - kilka pudeł z ozdobami

choinkowymi i trochę ubrań mojej matki, o których powiedziała, że nie można ich trzymać w jej pokoju i nie można ich wyrzucić - ale poza tym było tu dokładnie tak samo, jak za czasów Nony. Stos brudnych ciuchów leżał przy komodzie, a na nocnym stoliku grzbietem do góry leżała powieść w tanim wydaniu.

Z zewnątrz dochodził mnie daleki odgłos kroków Capa, uderzenia o ziemię jego ciężkiego ciała. Przeszłam przez pokój, a deski podłogi zdawały się drżeć pod moimi nogami, jakby ziemia odkształcała się pod brzemieniem kary Capa. Podniosłam różowy telefon Nony i naciągnęłam kabel aż do jej szafy.

Siadłam na podłodze pomiędzy atlasowymi kapciami mojej siostry a srebrnymi sandałami, których nigdy na niej nie widziałam. Skraj jej spódnic muskał moją głowę, a przez podłogę czułam, jak równomierny łomot przenika do mojej klatki piersiowej, pulsuje w ramionach i dociera do dłoni. Ojciec nie zamierzał przestać. Ziemia pęknie w kawałki. Dom się zapadnie. Będę leżała pogrzebana pod gruzem, zmiażdżona. Gdzieś w głębi duszy wierzyłam, że to właśnie się zaraz stanie. Gdzieś w głębi duszy tego chciałam.

Obróciłam telefon w dłoniach. W ciągu ostatnich paru tygodni setki razy ukradkiem zerkałam do książki telefonicznej, tysiące razy prześledziłam numer w pamięci. W moim ciele był tylko hałas - uciskał mi płuca i przenikał moje kończyny. Moje palce poruszały się po klawiszach telefonu, jakby były pod wodą, całe ciało zatapiało się w hałasie mojego własnego tętna. Odebrał dopiero po pięciu sygnałach.

- Pan Delmar? - zapytałam.

Po drugiej stronie zapadła cisza, głęboka i niewiadoma jak niebo. W moim wnętrzu wszystko stało się idealnie spokojne.

- Alice Winston - odrzekł.

rozdział czwarty

Pogodynek w telewizji powiedział, że to najgorętszy dzień w Desert Valley od piętnastu lat. Od początku wiosny nie spadła ani kropla deszczu, a na dworze słońce błyszczało oślepiająco niczym świeża rana. Drewniane ogrodzenia wypłwiałały do białości, drzewa więdły. Miasto wydało zakaz nawadniania i nim skończył się lipiec, ziemia nabrała koloru kości. Ludzie mówili tylko o tym: „Kiedy spadnie deszcz?“, „Będzie padać?“, „Co z deszczem?“.

Historia Desert Valley obraca się wokół pogody. Przez całe swoje życie wysłuchiwałam takich opowieści: na początku lat siedemdziesiątych była niespotykana wilgotność, duże opady wykarmiły moskity o wielkości trzmieli. Pięć lat wcześniej wietrzny sezon odarł drzewa z listowia do nagości i zostawił ziemię czystą i wypolerowaną, niczym dobrze umyty talerz po obiedzie. Po drugiej stronie miasta domy i centra handlowe wyrastały jak egzotyczne ogrody, połysku jąc nowością i przyciągając ludzi, którzy lubili ciepłą pogodę i łagodne zimy. Właścicielki rezydujących u nas koni nosiły w torebkach tubki emulsji, którą wyciskały na palce i rozprowadzały na ramionach. Nawet Sheila Altman, choć niechętnie znosiła ich obecność, ustawiała się w kolejce po należną porcję.

- Moja mama nazywa mnie swoim kwiatuszkiem - powiedziała mi tytułem wyjaśnienia. - Mówi, że jeśli nie będę się regularnie nawilżać, wyschnę na wiór.

Ludzie, którzy mieszkali po naszej stronie miasta, tutaj się urodzili, a wcześniej urodzili się tu ich rodzice. Nie było tu nowych restauracji' nie było nowych białych domów. Nikt się nie skarżył na suchą skórę! W miarę jak dolina się przeobrażała, miejscowi liczyli, że to dzięki

historii pogody odróżnią tych, którym można ufać, od tych, którym nie można. Mężczyźni starsi od mojego ojca zbierali się w sklepie spółdzielczym, gdzie kupowaliśmy żywność, i porównywali obecny klimat do klimatu z ich dzieciństwa. Na początku lat czterdziestych fala gorąca utrzymywała się przez większą część roku. „Żadnej jesieni

- przypominali jeden drugiemu - żadnej zimy. Tylko niemiłosiernie słońce przez bite dziewięć miesięcy".

W sześćdziesiątym szóstym przyszła kolejna niszczycielska fala upałów. Żywy inwentarz zdychał z pragnienia i głodu. Ludzie bankrutowali. Jakby tego było mało, po suszy nastąpiła seria pożarów, pochłaniających kolejne farmy i zostawiając całe rodziny z niczym.

- Pamiętasz to, no nie, Joe? - pytali, a mój ojciec potakiwał głową.

- Można by pomyśleć, że od tego czasu nie doszliśmy do siebie

- powiedział, a oni uścisnęli mu dłoń, wciągając go do swojego prywatnego kręgu.

W szerszym sensie moja rodzina zawsze należała do odmieńców. Dziadkowie zbudowali dom, w którym mieszkaliśmy, wychowali dzieci, a potem patrzyli, jak jedna po drugiej odchodziły starsze siostry mojego ojca. Kiedy ojciec poślubił moją matkę, dziadkowie kupili kampera, oddali moim rodzicom dom i stajnię, a sami udali się śladem zaginionych córek po nieprzebytych połaciach kraju.

Moja siostra i ja rosłyśmy pokarane nieobecnością ciotek, których nie znałyśmy, i dziadków, którzy porzucili wszystko, by za nimi podążyć. Dziadek miał coś z bohatera - był szlachetny i lubiany przez sąsiadów. Fakt, że zostawił swój dom, dowodził, że w naszej rodzinie jest jakaś choroba, powód, by nam nie ufać. Miejscowi wątpili w intencje tych, którzy nowi i świeży wprowadzali się do doliny, ale w intencje tych, którzy wyjeżdżali, wątpili jeszcze mocniej.

Tydzień po tym, jak Jerry przyjechał po Nonę, ojciec zabrał mnie na piknik grupy pościgowej. Stałam przy nim, mokra i lepka w letniej sukience, a półmiski mięsa pociły się tłuszczem na słońcu. Tydzień wystarczył, by większość mężczyzn usłyszała, że coś się stało w naszej stajni, żeby zauważyć nieobecność Nony. Naciskany, ojciec złożył jedno bezbarwne wyjaśnienie:

- To nastolatka.

Pozostali mężczyźni kiwnęli głowami.

- Hormony - zgodzili się. - Egoizm.

Nastolatki są dzikie i nieprzewidywalne, mówili. Uparte. I chociaż współczuli, mówili o problemach ogólnoludzkich, ich twarze zdradzały prawdziwe myśli, kiedy wymieniali ukradkowe spojrzenia z własnymi dziećmi: mój ojciec zrobił coś złego, popełnił jakiś straszliwy błąd w wychowaniu mojej siostry, i to ten błąd ściągnął na jego głowę to nieszczęście.

Kiedy krąg wokół nas się rozrzedził, słyszałam, jak pomrukują do siebie, zerkając ukradkiem na nas, próbując to rozpracować.

- A nie zapominajcie o matce - szeptali, a ja opuszczałam głowę, udając, że nie słyszę. Coś szczególnego istniało w naszej rodzinie, i to tylko w niej. Zamknęłam oczy, szukając w sobie odpowiedzi. Byłam siostrą Nony, wykarmioną i wychowaną dokładnie w tych samych warunkach co ona. Od tego czułam dreszcze w całym ciele. Byłyśmy różne, ona i ja. Jeśli moja siostra była w jakiś sposób zniszczona, zepsuta, to ja też musiałam być.

Ale przecież ojciec pamiętał pożary i suszę, która je poprzedziła. Przetrwał Moskity. I ostatecznie był odpowiedzialny za stworzenie mojej siostry, której jeszcze niedawno nikt z miejscowych nie posądziłby o niewłaściwy postępek. Zdobywała nagrody, tytuły i pieniądze, które kazały nawet najbardziej zatwardziałym weteranom uchylać przed nią kapelusza. Ale teraz jej nie było. Uciekła ze swoim kowbojem, a pogoda naznaczyła ziemię najnowszą krzywdą. Nawet gdyby wróciła, nie mogłaby rozmawiać o tym nowym nieszczęściu. Nie byłaby jedną z nas.

- To dziwne - powiedziała do mnie Sheila. - Dopóki nie poznałam twojej rodziny, nigdy nie myślałam tyle o pogodzie. No wiesz, normalnym ludziom nie sprawia większej różnicy, czy jest gorąco, czy zimno, ale jeśli żyjesz z pracy na roli...

- Nie żyjemy z pracy na roli!!! - przerwałam Sheili, a ona się skrzywiła.

- Miałam na myśli to, co robią wasze konie - powiedziała. - Nie bądź taka drażliwa.

Popołudniami gorący, suchy wiatr przeganiał kłęby pyłu po naszych pastwiskach, zapędzając konie do narożników. Czekwały nas niedobory siana - tego nie da się obejść. Ludzie już szukali aż w Denver paszy na zimę. W ciągu dnia przyłapywałam ojca za stajnią, jak liczył beły z sianem i kłął pod nosem.

Sheila oczywiście miała rację. Nasze konie były zdane na pogodę, na delikatną równowagę pomiędzy deszczem a słońcem. A nasz byt zależał od koni. Kiedy ze zmartwienia na twarzy mojego ojca pogłębiły się zmarszczki, kiedy się przygarbił i zaczął chodzić z kwaśną miną, wiedziałam, że też powinnam zarazić się tą paniką. Ale patrzyłam, jak ziemia zamienia się w pył, i nie czułam nic.

Nocą moje sny wypełnione były wodą. Spadała z nieba i występowała z ziemi, przelewając się przez dom i pluskając wokół mebli. W jednym śnie wybiła z odpływu wanny. W innym maleńki łyk wody rósł w moich ustach, aż nie nadążałam go przełykać. Noc po nocy wciągała mnie pod powierzchnię, chwytając za nadgarstki i zaciskając na szyi tysiące lodowatych palców.

- Pan się przejmuję tym, kiedy będzie padać? - zapytałam pana Delmara. Po raz piąty w ciągu pięciu dni zadzwoniłam do niego, piąty raz w ciągu pięciu dni on mnie nie zapytał, dlaczego to robię, ani nie kazał mi przestać.

- Mam serdecznie dość upału - powiedział i przez telefon usłyszałam pobrzękiwanie kostek lodu o zęby, kiedy upił haust jakiegoś napoju, po czym go przełknął. - Ale nie powiedziałbym, że się przejmuję.

- W kanałach już jest niski poziom wody. Wczoraj w gazecie było zdjęcie małych dzieci przechodzących przez jeden kanał.

- Widziałem to zdjęcie - kolejny łyk. - A ty się martwisz suszą?

- Ani trochę.

Minęły trzy tygodnie od tego wieczoru, kiedy zadzwoniłam do niego po raz pierwszy. Rozmawialiśmy o Polly, o tym, jak bardzo za nią tęsknię, o tym, jak nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, kiedy odeszła. Rozumiał to, a przynajmniej zapewniał mnie, że rozumie. I łatwo nam się rozmawiało. Opowiadałam mu o przyjęciach urodzinowych, których nie było, i historie, których ona mi nie opowiedziała. W trakcie wieczornych rozmów Polly Cain narodziła się na nowo jako moja najbliższa przyjaciółka, której nigdy nie miałam. Trzymała mnie za rękę, kiedy uczyła się jeździć na wrotkach, zaplatała mi warkocz w trakcie pizama-party i płakała na moim ramieniu, kiedy oblała sprawdzian z ortografii. I powoli stawało się to również moją historią.

Wiedziałam, że to złe. Ale na myśl o wybraniu jego numeru, o czekaniu, aż jego głos napłynie z drugiego końca linii, czułam dreszcz

poczucia winy, oszalamiające poczucie wstydu. Za każdym razem, kiedy odkładałam słuchawkę, obiecywałam sobie, że to po raz ostatni, że już nigdy nie zadzwonię. Kiedy jednak słońce chyliło się ku zachodowi, ja zakradałam się do szafy mojej siostry, trzymając jej telefon na kolanach jak tykającą bombę. Wciąż czekałam na wieczór, kiedy on nie odbierze, wieczór, kiedy telefon będzie dzwonił i dzwonił, a ja dowiem się, że to koniec. Ale za każdym razem kiedy dzwoniłam, odbierał po mniejszej liczbie dzwonek. A potem zaczął odbierać, wypowiadając moje imię, bo wiedział na pewno, że to ja jestem po drugiej stronie.

Pierwszego wieczoru zapytał, jak mi idzie z listą lektur, i musiałam mu wyznać, że jeszcze nie zaczęłam. Nie miałam jak wyjaśnić, że nie mamy pieniędzy, że ojciec w życiu mnie nie zawiezie do księgarni, tak bym zapunktowała na angielskim. Od dnia, kiedy mi wręczył listę, nawet na nią nie spojrzałam.

- Myślałem, że może dzwoniś powiedzieć, że *Hobbit* zmienił twoje życie - powiedział.

- A *Hobbit* zmieni moje życie? - zapytałam.

- Wątpię.

Czasami rozmawialiśmy o niczym - o starych filmach i nowej muzyce, o tym, jak pustynia wygląda o zachodzie słońca albo jakie dźwięki wydaje wieczorami wiatr. Czasami w ogóle nie wspominaliśmy o Polly.

Ale ona była. Zawsze. Jak oddech w słuchawce, słuchała i czekała. Była pomiędzy nami, odpowiedzialna. Ona mnie do niego zaprowadziła i chciałam być jej za to wdzięczna. Chciałam, żeby mi było przykro. Ale pośród wszystkich nowych uczuć, które się we mnie rodziły, wyrzutów sumienia nie było ani trochę. W końcu co oznaczała śmierć Polly Cain? Jedną mniej dziewczynkę o prostych brązowych włosach i bez żadnych osiągnięć na koncie. Jedną mniej, która mogła być nikim. Słuchałam, jak pan Delmar mówi, zadawałam mu pytania, opowiadałam historie, i cały czas w głowie niczym zdarta płyta dźwięczały mi pytania: „Czy tak właśnie ona z tobą rozmawiała?”, „Czy tak właśnie do niej mówiłeś?”.

- Chętnie bym się wyrwał na chwilę - powiedział. - Tylko dopóki upał nie zelżeje.

- Ja też - odparłam.

- Dokąd byśmy pojechali? - zapytał, a ja próbowałam wymyślić coś egzotycznego, jakieś miejsce, które by mu pokazało, jaką mam bujną wyobraźnię, jak głęboka jest moja samotność.

- Nie wiem - powiedziałam w końcu. - A pan dokąd by pojechał?

- Dokądkolwiek. Pod warunkiem, że nad ocean.

Widziałam już kiedyś ocean, kiedy miałam siedem lat. Nona miała konkurs w Nevadzie, a potem ojciec zboczył sześć godzin drogi do San Diego. Zostaliśmy na plaży bite dwie godziny, aż słońce zaszło i woda zniknęła i zamieniła się w mroczny odgłos. Nona i ja trzymałyśmy się z dala, siedząc na piasku. Ale ojciec zdjął buty, podkasał nogawki powyżej kolan i patrzył, jak fale przetaczają mu się przez stopy.

- To Pacyfik - powtarzał. - Ocean Spokojny.

Ostatecznie Nona zamoczyła w nim palce. Potem mi powiedziała, że czuje się, jakby coś ją zjadało żywcem, bo woda pcha ją w jedną stronę, a ziemia ciągnie w drugą. Oboje wołali mnie, mówili, że jeśli nie wejdę, będę potem żałować. Zawsze będzie mi przykro, że byłam tak blisko, a go nie dotknęłam.

Widywałam oceany w filmach, oczywiście, miałam gdzieś w głowie ich wyobrażenie, tak jak się wie, jak wyglądają misie panda i Statua Wolności. Ale z bliska skamieniałam. Tak bardzo ta cała woda nie wyglądała ani trochę jak woda. Była stalowa, głodna i żywa, była czymś, co ma płuca, zęby i tysiące tajemnic. Zostałam na suchym gruncie.

Teraz wyobrażałam sobie inny ocean: ocean, nad który udalibyśmy się razem, pan Delmar i ja. On by po mnie przyjechał, pomógłby mi załadować bagaże na tył swojego samochodu, i pojechalibyśmy przez kraj, zatrzymując się w obcych małych knajpach, jedząc jedzenie, o którym nigdy nie słyszałam. Ocean, nad który byśmy przybyli, byłby płaski jak szkło, piasek biały jak śnieg, i siedzielibyśmy obok siebie na barwnych ręcznikach plażowych, popijając egzotyczne drinki z kokosowej skorupy. On by czytał na głos książki, a ja pisałabym długie listy do mojej siostry i matki, mówiąc im o tych wszystkich miejscach, które widziałam, wszystkich pięknych rzeczach, których nie znają.

- Możemy jechać choćby teraz - powiedziałam, zawijając na palec pasek od płaszcza kąpielowego Nony. Roześmiał się.

- Jeszcze kilka dni tego upału - rzekł - i skorzystam z twojej propozycji.

W stajni wyglądało na to, że sytuacja się normuje. Sheila w kilku konkursach zajęła szóste miejsce. Ojciec wydawał się zadowolony z postępów, a pani Altman była bliska ataka serca za każdym razem, kiedy jej córka wychodziła z areny z nagrodą. Bud Pope wciąż uchylał przed Sheilą kapelusza i podsyłał swoich synów, żeby z nią flirtowali, ale od czasu ultimatum mojego ojca Sheila starała się trzymać od nich z daleka. Zawsze uśmiechała się grzecznie, kiedy z nią rozmawiali, ale opuszczała głowę, by unikać kontaktu wzrokowego, i pod byle pretekstem umykała, zanim rozmowa się rozkręciła.

Sheila jeszcze nie zaprosiła żadnej przyjaciółki, żeby przyjechała popatrzeć, jak ona jeździ, ale hotelowe klientki wypisywały jeden czek za drugim. Któregoś tygodnia ojciec pojechał do składu drewna i wypełnił tył pick-upa trocinami dla Toy Boya, a potem obciążył Patty Jo trzykrotną jego ceną. „Takie kobiety nie mają pojęcia, ile kosztują trociny” - rozumował. Późną nocą napełnialiśmy dzbany Sierry wodą z węża i ani Jaycee, ani Sierra chyba nie zauważyły zmiany. Za dodatkowe pieniądze ojciec zbudował markizę nad zagrodą, którą zrobił na dworze dla naszych koni sportowych.

Nagle zaczęłam szybko rosnąć i w ciągu kilku tygodni ubrania stały się dla mnie za małe. Już miałam powiedzieć ojcu, że w butach kuleję, a dżinsy wstrzymują mi krążenie w talii, ale wtedy nasza klimatyzacja zaczęła wydawać odgłosy niczym poparzony kot. Aż całkiem stanęła.

Ojciec spędził cały dzień na dachu, waląc młotkiem, trzaskając i klnąc na tyle głośno, że słyszałam go ze stajni. Kiedy w końcu zszedł na dół, czubkiem buta kopnął drabinę.

- Chyba się zepsuła - powiedział i padł na ziemię. Usiadłam obok niego i wciągnęłam brzuch, żeby dżinsy mnie nie piły. - Zastanawiasz się czasami, kiedy wszystko zrobi się łatwe i proste? - zapytał.

-Tak.

Siedzieliśmy tak przez chwilę, nic nie mówiąc, a potem ojciec wstał i strzepnął trawę z siedzenia.

- No cóż, wygląda na to, że to jeszcze nie dzisiaj - rzekł i wszedł do domu.

Kupiliśmy kilka wiatraczków w sklepie dyskontowym i ustawiliśmy je w oknach. Ale włączone, przegarniały tylko gorące powietrze, tak że stojąc przed nimi, miało się wrażenie, że się stoi przed suszarką do włosów. Na piętrze w pokoju matki panował taki skwar, że popołudniami można było od niego dostać mdłości. Więc ojciec i ja na zmianę zawijaliśmy torby z lodem w ścierki do naczyń i nosiliśmy jej na górę.

- Mam wrażenie, że twarz mi się rozpuszcza - powiedziała do mnie.

- Możesz zejść na dół - podesunęłam, a ona powachlowała się jedną słabą ręką.

- Na dole jest dużo lepiej? - zapytała.

- Nie za bardzo.

Matka posłała mi blady uśmiech, a potem oparła głowę o poduszkę i zamknęła oczy.

- Jak idzie nowej faworytce?

- Sheili? - zapytałam, a matka kiwnęła głową, nie podnosząc powiek. - Dobrze.

W zeszłym tygodniu zajęła szóste miejsce w westernie w swojej klasie.

- To dla niej dobrze. - Matka położyła sobie na czole worek z lodem, otwierając jedno oko. - Te ubrania są na ciebie za małe, kochanie.

- Najpierw klimatyzacja - odparłam. - Nowe ubrania są drugie w kolejce.

Na dole mój ojciec siedział przy stole w szortach, studiując rozłożoną gazetę.

- Mama nie wygląda najlepiej - powiedziałam, a on machnął, żebym stanęła obok niego.

- Popatrz. - Popukał w gazetę palcem wskazującym.

- Ktoś sprzedaje klimatyzator? Ojciec uśmiechnął się do mnie.

- W tym tygodniu jest aukcja.

- Nie możemy teraz kupić żadnego konia - powiedziałam, a on zmarszczył czoło.

- Możemy popatrzeć - wyjaśnił. - Podrygiwał nogą pod stołem i wiedziałam, że moje zdanie nie ma znaczenia. On duchem był już na aukcji, mijał kolejne kójce, szukając najlepszego konia, jakbyśmy mieli pieniądze, żeby za niego zapłacić.

- Nadal potrzebujemy ogiera - powiedział, przytakując sobie kiwnięciami głowy. -1 możemy zabrać Sheilę. To byłoby dla niej dobre doświadczenie.

- Nie sądzę, żeby była zainteresowana - odparłam, kiedy on przesuwiał palcem po wiadomościach.

- To wielka aukcja - mówił. - Sprzedający są zewsząd. To będzie dobre dla stajni, jeśli się tam pojawimy. - Kiedy nie odpowiedziałam, postukał palcem w stół. - Poza tym to w Clover City. Godzina drogi. A w samochodzie jest klimatyzacja.

Od samego początku było jasne jak słońce, że ojciec nie poprzestanie na pojawieniu się. W poranek aukcji, kiedy czekaliśmy, aż pani Altman podrzuci Sheilę, przypiął pustą przyczepę końską do tyłu ciężarówki. Zauważył, że się przyglądam, i wyprostował ramiona.

-Co?

Zerknęłam na dach, gdzie żałośnie zwisał wypruty klimatyzator.

- Nic - odparłam.

W drodze do Clover City Sheila siedziała na środku, rozmawiając z moim ojcem o tym, co czeka teraz ją i Capa. Ja oparłam głowę o okno i patrzyłam na pustynię migającą pasmami szałwi i piasku. Teraz kiedy Sheila zaczęła zajmować miejsca w klasach jeździeckich, mój ojciec powiedział jej, że nadszedł czas, by zaczęła pracować nad klasami specjalnościowymi: trail, reining, showmanship.

- Myśli pan, że jesteśmy na to gotowi? - zapytała, a moje oczy uciekły na bok, kiedy ojciec poklepał ją po kolanie.

- Tylko zaczniemy pracować - powiedział. - Ty się szybko uczysz. Na aukcji Sheila i ja trzymałyśmy się z tyłu, podczas gdy mój ojciec

przeglądał zagrody, cmokając, by obudzić czujność koni, przesuwając dłońmi po ich szyjach i pyskach, cofając się, by w pełni ocenić ich sylwetki.

Tłum mężczyzn zebrał się na końcu rzędu, a Sheila i ja trzymałyśmy się blisko ojca, kiedy on przedzierał się na przód. Stojąca tam klacz była srokaczem¹, idealnie białym z łatami brązu na pysku i grzbiecie. Przechadzała się po swojej zagrodzie, zarzucając płataniną śnieżnobiałej grzywy i trzymając łeb wysoko, parskała i tupała w ziemię.

¹ Srokacz - koń umaszczony w biało-czarne lub biało-brązowe łaty (przyp. red.).

Odwróciła do nas pysk i tłum wokół mnie wydał głośne westchnienie. Prawe oko miała w kolorze topionej czekolady, delikatnej, głębokiej i doskonałej. Lewe było jasne, jałowo niebieskie - koloru lodu zimą.

- Niesamowita - wyszeptała Sheila.

Pośród rzeszy admiratorów klaczy stał Bud Pope, z ramionami przerzuconymi przez ogrodzenie boksu. Na nasz widok ukłonił się krótko mojemu ojcu, a potem mrugnął do Sheili.

- Witam, księżniczko.

Patrzyła prosto przed siebie, jakby go nie słyszała. Kiedy się odwrócił, uśmiechnęła się kątem ust.

Zach i Andy stali jak podpórki na książki po obu stronach swego ojca, znudzeni i spoceni.

- Alice Mazgalis - powitał mnie Andy, a Zach zahaczył palcami kąciki ust, rozciągając je na płasko i wystawiając język spomiędzy popękanych ust. Wyglądał jak jaszczurka. Nie odrywałam wzroku od klaczy, udając, że nie zauważam.

- O co chodzi? - zapytał mój ojciec opiekuna klaczy.

- Jest młoda - powiedział. -1 trochę szalona.

- Takie właśnie lubisz kobiety, co, Joe? - powiedział Bud Pope, a mężczyźni dokoła wybuchnęli śmiechem. Na karku mojego ojca wykwitł rumieniec.

- Ujeżdżona? - zapytał ojciec.

- Nie - odparł opiekun. - Nawet nigdy nie miała siodła na grzbiecie. Ojciec kiwnął głową, a opiekun skinął na klacz.

- Ale ma dobrą krew. Jej mama to była diablica, nie koń. Raz biegła w derbach Kentucky. A jej tata, no cóż, tylko na nią popatrz. Ta maść jest nie do pobicia.

To prawda, że jej umaszczenie było wyjątkowe - idealnie białe, jak dziewiczy śnieg, na którego płótnie rozmieszczono delikatne brązowe plamy tak precyzyjnie, że nie mogła to być kwestia przypadku, lecz świadome mistrzostwo kompozycji. Ale mój ojciec wzruszył ramionami, by okazać, że nie jest pod jakimś ogromnym wrażeniem.

- No, ale nie zajeżdżona² - powiedział i zerknął przez ramię, czy pozostali widzą jego brak zainteresowania w pełnej krasie.

² Zajeżdżony koń - koń po pierwszym, podstawowym treningu pod siodłem, przyuczony do tolerowania jeźdźca na grzbiecie i wykonywania podstawowych komend (przyp. red.).

- To znaczy tyle, że nie będziesz musiał poprawiać błędów po jakimś osle - rzucił opiekun.

Sheila szturchnęła mnie łokciem.

- „Zajeżdżona”?! Przysłoniłam usta dłonią.

- To znaczy, że da się na niej jeździć - odszepnęłam.

- A na tym koniu się nie da? - Sheila zmarszczyła czoło, ściągając w jedną linię blond brwi.

Właściwie nic dziwnego, że Sheila nic nie wiedziała o trenowaniu koni. Odkąd zaczęła jeździć w stajni, mój ojciec nie pracował z żadnym młodym koniem. Cały swój czas poświęcał jej.

- To znaczy, że będziemy musieli ją zajeździć - wyjaśniłam, a potem spojrzałam na ojca. - Jeśli ją kupimy, oczywiście.

Poszliśmy z powrotem do przyczepy, żeby ojciec mógł pomyśleć, zanim się zacznie licytacja. Sheila oparła się o ciężarówkę, wachlując ręką szyję, a ojciec siadł na przednim siedzeniu i otworzył portfel. Przeliczał kciukiem stos banknotów, poruszając ustami przy liczeniu.

- O rany - powiedziała Sheila, patrząc na niego. - Wy to jesteście bogaci.

- Skąd to się wzięło? - zapytałam.

Ojciec mrugnął do mnie i zwinął banknoty do portfela.

- Trociny i droga woda.

Dżinsy piły mnie w bok, ściskając brzuch nad talią, tak że czułam się jak tubka pasty do zębów.

- To pieniądze tych kobiet? - zapytałam. - A co z rachunkami, z ubraniami i sianem na zimę?

Ojciec spojrzał na Sheilę, a potem groźnie na mnie. Nie wolno nam było rozmawiać o pieniądzach przy klientach, chyba że je od nich odbieraliśmy.

- Co z klimatyzacją? - dodałam.

Ojciec odchrząknął i wysiadł z ciężarówki, kolanem zamykając drzwi.

- Sheila - powiedział - może byś poszła sprawdzić, czy wsadziłem kantar do przyczepy?

Sheila uśmiechnęła się szeroko i obeszła ciężarówkę, klaszcząc w dłonie.

- Kupimy konia, kupimy konia - śpiewała sobie.

- Pomyśl tylko - powiedział mi ojciec, kiedy Sheila była poza zasięgiem głosu. - Kupimy dzisiaj tę klacz za grosze, potem ją wyszkolimy jak ta lala i sprzedamy za trzykrotnie większą sumę. - Delikatnie po-stukał kostkami palców w moje czoło. - To się nazywa inwestycja.

- Taka inwestycja jak te nowe siodła?

Twarz ojca przeszył piorun, ale z tyłu przyczepy wróciła Sheila, oznajmiając, że rzeczywiście, jest tam kantar, i słowa, które mój ojciec mógł powiedzieć, zamarzyły mu na ustach. Dotknął kostką kciuka mojej brody, podniósł moją głowę tak, że patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

- Uważaj sobie - wyszeptał, a potem uśmiechnięty odwrócił się do Sheili.

Klacz nazywała się Darling Peaches 'N Cream³, co już było złym znakiem. Nic tak nie zdradzało zabójczej natury konia jak słodziutkie imię. Na pokazach zawsze był jakiś Doll-Baby albo Honeybunch⁴, który w końcu zatratowywał jakiegoś dzieciaka na śmierć na środku areny. Jeśli jednak ktokolwiek zauważył ten znak, nie wpłynęło to na frekwencję w trakcie licytacji.

Czterech mężczyzn musiało ją ładować do naszej przyczepy, a kiedy już znalazła się w środku, przyczepa trzęsła się i grzechotała, aż myślałam, że się rozpadnie na kawałki.

- Szacun, Joe - powiedział Bud Pope, przechodząc obok nas i dotykając otoka swojego kowbojskiego kapelusza. - Trzeba powiedzieć, że co jak co, ale wyzwania to ty lubisz. - Potem mrugnął do Sheili i skierował się do swojej ciężarówki, a bliźniaki szurały za nim.

- Sie manko - rzucił do mnie Andy. - Nie ucieknij teraz, żeby wyjść za jakiegoś obcego.

W czasie drogi do domu ciężarówka kołysała się, a przyczepa, w której klacz kopała i tupała, jechała wężykiem. Kiedy zajechaliśmy na podjazd, Patty Jo i Jaycee wyszły ze stajni popatrzeć, jak ojciec rozładowuje nowy nabytek. Otworzył drzwi przyczepy, a Darling stała w środku z rozdętymi chrapami i uszami położonymi przy głowie. Zadnią nogę wytknęła przez poręcz przyczepy i trzymała ją teraz wykrzywioną pod niewygodnym kątem.

³ Słodziutka brzoskwinka (przyp. tłum.).

⁴ Doll-baby - lalunia, skarbeniek; honeybunch - kochanie (przyp. tłum.).

Sheila stanęła na palcach, żeby lepiej widzieć.

- O mój Boże! - krzyknęła. - Krew jej leci z nogi!

Mięśnie szczęki mojego ojca napięły się, kiedy wsiadał do przyczepy, żeby się przyjrzeć sytuacji z bliska. Darling odsłoniła zęby, a on podniósł rękę w jej kierunku.

- Ugryź mnie - ostrzegł ją spokojnym głosem - a tak cię walnę, że popamiętasz.

Nie odrywając wzroku od głowy klaczy, zbadał jej nogę. Próbowwała ją wyszarpnąć, ale odepchnął ją na bok, przyciskając ją do wnętrza przyczepy, tak że nie mogła kopnąć.

- Jak to wygląda? - zapytała Sheila.

- Przeżyje - odparł.

Stałam za przyczepą i patrzyłam, jak mój ojciec jedną ręką luzuje linę, a potem cmoka, by wyprowadzić klacz na zewnątrz. Zatańczyła w miejscu, a potem odrzuciła głowę z taką siłą, że uderzyła w dach przyczepy, kość o metal, i całe ustrojstwo z hałasem zawibrowało. Darling rzuciła się na bok, potrząsając łbem, a ojciec okręcił sobie linę wokół dłoni.

- Nie sądzę, żeby ona chciała wysiąść tyłem - zawołała do niego Sheila, a ja dotknęłam jej ramienia, żeby ją uciszyć. - Ona robi krzywdę Joemu - wyszeptwała.

- Życie bywa okrutne - odparłam.

Klacz próbowała się wyswobodzić, ale ojciec przytrzymał ją mocno za kantar, wykręcając jej głowę do tyłu. Zwojem liny poklepał ją lekko po klatce piersiowej, a ona wyszła szybko i nieostrożnie, wzbijając kopytami fontanny żwiru i szarpnięciem wyciągając mojego ojca na podjazd.

Patty Jo i Jaycee przyglądały się z bezpiecznej odległości.

- Ależ ślicznotka - rzuciła Jaycee, a ojciec wytarł ramieniem pot znad górnej wargi.

- Muszę jej opatrzeć nogę - powiedział i kiwnął głową w stronę stajni. - Alice, idź po bandaż i dutkę.

W siodłami musiałam przetrząsnąć trzy pudła, zanim znalazłam dutkę. Stałam przez chwilę, trzymając ją w dłoniach. Dutka była zrobiona z dwóch kawałków metalu połączonych zawiasem na jednym końcu, jak dziadek do orzechów. Tylko że nie służyła do łupania orzechów. Należało ją umieścić na najdelikatniejszej, najwrażliwszej skórze

końskiego nosa, a potem zacisnąć. To był najpewniejszy sposób, żeby koń stał spokojnie, i najpaskudniejszy. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio musieliśmy użyć dutki. Szłam przez stajnię i zimny strach przeszedł mi przez dłonie - ktoś musi trzymać dutkę, kiedy ojciec będzie opatrywał nogę.

Kiedy wróciłam, Patty Jo i Jaycee chichotały pod nosem, Sheila zaś wpatrywała się w mojego ojca z nabożnym podziwem. Ojciec zacisnął dutkę na nosie Darling, a ona położyła uszy. Próbowła uciec przed bólem, ale ojciec zacisnął mocniej i koń opuścił głowę. Ojciec kiwnął na mnie wolną ręką.

- Myślisz, że dasz radę to utrzymać?

Nie miało znaczenia, czy myślę, że dam radę, czy też nie. Ja jedyna spośród obecnych nie pozwalałabym ojca, gdyby klacz rozdeptała mnie na miazgę. Palce mi drżały, ale oburącz ujęłam końce dutki.

- Dobrze, a teraz mocno - polecił ojciec i poklepał mnie po ramieniu. - Nieźle ci idzie.

Kiedy obchodził Darling, by dostać się do jej tylnej nogi, czułam na czole wilgotny gorący jej oddech. Ojciec przykucnął, ja zaś podniosłam głowę, zmuszając płuca do pracy. Dotknął nogi Darling, a klacz odrzuciła łeb, podnosząc mnie z ziemi wraz z dutką.

- Trzymaj ją! - wrzasnął ojciec, a ja ze wszystkich sił ścisnęłam przyrząd.

Zastrzygła uszami do ojca, jej chrapy się rozdeły, parskła mi w twarz słoną wilgocią.

- Faj - powiedziała Sheila, ale ja zamknęłam oczy i zacisnęłam mocniej.

Skupiałam się na wszystkim, byle tylko nie myśleć o tym, że klacz poniesie, przeciągnie mnie po żwirowym podjeździe i zabije. Próbowalam myśleć o Nonie w Idaho, jak je chleb z donicy, albo o doskonale białej plaży, na której pan Delmar i ja będziemy zamawiać drinki z maleńkimi parasolkami i podziwować zachód słońca. Konie potrafią wyczuć strach, i kiedy patrzyłam w szklaną błękitną pustkę oka Darling, robiłam srogie miny by jej pokazać, że nie jest ani trochę groźniejsza ode mnie.

- Nie boję się ciebie - wyszeptalam.

Dłonie mnie bolały od metalowych uchwytów. Plecy miałam napięte, mięśnie nóg paliły, kiedy z trudem stałam prosto. Klacz wzniosła

oczy, a ja zacisnęłam uchwyt. Nie poczułam, jak ojciec pojawił się za mną, a kiedy uwolnił moje ręce od dutki, opadłam na niego, z nogami bezwładnymi jak taśmy elastyczne.

Rozpiął dutkę i dłonią rozmasował żywe, czerwone ślady w miejscu, gdzie metal przeciął skórę. Kiedy cofnął rękę, smuga krwi ciemniała mu na dłoni. Wpatrywał się w nią przez chwilę, aż odwrócił się do mnie z nieruchomą twarzą.

- Masz piekielny ścisk w ręku, dziecko - rzekł.

Patty Jo i Jaycee przyglądały się z otwartymi ustami, a linie ich brwi znieruchomiały w doskonałych, uniesionych łukach.

- Panie Winston - odezwała się Jaycee - co to za okropne ustrojstwo?

- Nigdy tego nie używamy - powiedział szybko ojciec, chowając dutkę do tylnej kieszeni. - Ta klacz jest za ostra dla Alice. Bez tego by jej nie utrzymała. - Patty Jo i Jaycee uśmiechnęły się sztywno, kiedy na nie spojrzałam, a potem uciekły wzrokiem w bok.

- Zraniłam ją? - wyszeptałam. Dłonie mnie paliły od otarć i czułam wilgoć swojej własnej krwi sączącej się pomiędzy palcami.

- Pewnie jej w sobie nie rozkochaliśmy - odrzekł, a ja wytarłam dłonie o dzinsy i spuściłam głowę, tak żebym nie musiała widzieć przerażonych twarzy Patty Jo, Jaycee i Sheili.

Ojciec poprowadził Darling przez stajnię na arenę, a cała reszta podążyła za nim. Zwolniłam, zakładając dłonie na plecy. Nikt się nie odwrócił, żeby na mnie spojrzeć. Nikt się nie odezwał. Szłam sama przez całą stajnię i czułam się, jakbym stawała się coraz mniejsza, aż w końcu zamieniałam się w cień. Ból dłoni rozlał się na wewnętrzną stronę ramion, przez barki i kark, zatlił się na skórze głowy. Gdyby była tu moja siostra, zdołałaby uspokoić konia dźwiękiem swojego głosu, łagodnym dotykiem, nieokreśloną siłą, która pochodziła gdzieś z głębi jej wnętrza. Bez dutki w życiu nie zdołałabym utrzymać klaczy. Ją bolało bardziej niż mnie - tylko dlatego miałam nad nią władzę.

- Potrzymamy ją dzisiaj w nocy na dworze - powiedział ojciec i puścił Darling luzno na arenę. Podniosła ogon i pokłusowała przez plac, potrząsając łbem, żeby ulżyć sobie w bólu po dutce. Ja stałam z boku.

- Jest naprawdę piękna - powiedziała cicho Patty Jo i stanęła obok mojego ojca, opierając łokcie o ogrodzenie.

- Jej mama była koniem wyścigowym - rzekł. - Patrzcie tylko, jak ona się rusza.

Na arenie grzywa i ogon klaczy połyskiwały w strumieniach białych wstęg, kiedy przeszła w galop, pochyliła łeb i wzbija chmurę pyłu za sobą. Dobiegła do drugiego końca areny, odwróciła się pyskiem do nas, tupiąc jedną smukłą nogą o ziemię. Przez chwilę, tylko przez chwilę, jej oczy spoczęły na mnie, i poczułam ciężar tego spojrzenia. Poznała mnie. „Przepraszam” - powiedziałam bezgłośnie. Ona jednak oczywiście nie rozumiała. I to niczego rzecz jasna nie zmieniło.

- Co pan robi z takim zwierzęciem, na miłość boską? - zapytała Jaycee, ale ojciec nie odpowiedział. Nie odrywał oczu od konia, od przyszłości, którą mógł mu przynieść. Widziałam już u niego taki wyraz twarzy - tak właśnie patrzył na każdego nowego konia, tak patrzył na moją siostrę. Jego oczy były wypełnione perspektywami, sławą i pieniędzmi. W takiej chwili reszta świata nie istniała.

- Patrzcie, jak ona trzyma łeb - powiedział, a Sheila wspięła się na ogrodzenie obok niego. Roześmiał się głośno, a ja podążyłam wzrokiem za jego palcem, kiedy śledził krzywiznę szyi Darling.

- Jedna na milion - wyszeptał. - Doskonałe stworzenie boskie. Ogień tętnił w moich ramionach, rozlewał się po moich plecach,

wdzierał się do gardła i klatki piersiowej. Wszyscy wpatrywali się w klacz. Nikt nie zauważył, że ruszyłam w stronę domu. Nikt nie zauważył, że się rozplakałam.

- Wierzy pan w Boga? - zapytałam. Cały wieczór spędziłam zamknięta w szafie Nony, płacząc w delikatne futerko jej płaszczka kąpielowego, aż w środku mojego ciała wszystko się wyskrobało i wydrażyło, a gardło mi się zdarło.

- Zaczekaj chwilę - powiedział pan Delmar. - Do tej rozmowy chyba mi potrzebny nowy drink.

Oparłam się o ścianę, dotykając palcami lepkiego wnętrza dłoni, i słuchałam, jak on odrywa kostki lodu z foremki i wrzuca je niczym bańki kryształu do drinka.

- Dobra - powiedział po chwili. - Jak brzmiało pytanie?

Po drugiej stronie linii rozległ się trzask, a po nim długi syk palonego papieru - papieros.

- Bóg - powiedziałam. - Wierzy pan w to? -To?!

- No w niego - poprawiłam się. - W nią. Ojca, Syna i Ducha Świętego. Cokolwiek. Wierzy pan?

- Czy ja wierzę w Boga. - Zapadła cisza, uderzenie kostek lodu o zęby, kiedy upijał drinka. - Nie.

Trzymałam słuchawkę między uchem a ramieniem, napinając palce, by czuć palenie linii dłoni.

- Ja też nie.

Zaciągnął się głęboko papierosem, potem wypuścił dym. Wyobraziłam go sobie, jak siedzi na zewnątrz, a dym zwija się w czarną nicość pustynnego nieba.

- Wierzę w boskość - powiedział. - Wierzę w łaskę.

- W sensie, że ktoś ją panu zrobi?

- W sensie boskiego natchnienia - wyjaśnił, a ja z łagodnych krawędzi jego słów mogłam odgadnąć, że się uśmiecha. - Wierzę w Boga w naturze ludzkiej.

- Więc nie wierzy pan w piekło?

- Po co w nie wierzyć? - zapytał. - Wszystko, co wyobrażamy sobie jako piekło, cały ból i okropności, całe cierpienie i samotność już istnieją. Nieustannie są dookoła.

- A niebo? - zapytałam. - Też tu jest, prawdziwe i dookoła?

- A jak myślisz?

Zagryzłam wargi, niezdolna odpowiedzieć.

- A co ze zwierzętami? - spytałam w końcu.

- Co ma z nimi być?

Zanim do niego zadzwoniłam, czekałam, aż łzy przestaną płynąć, czekałam, aż całe moje ciało będzie puste i suche, twarde jak pięść. Ale teraz czułam, jak smutek wzbiera mi w piersi.

- Wydaje się, że powinien być ktoś, może coś, co się o nie troszczy, przejmuje się ich istnieniem, tym, czy cierpią, czy nie. - Głos mi ochrypł, słowa wydostawały się grube i ściśnięte. - Coś tam gdzieś powinno o nie dbać.

Zapadła chwila ciszy, a ja zacisnęłam ręce, wbijając paznokcie w poranione dłonie, aż z bólu wstrzymałam oddech. Ogień wystrzelił przez moje nadgarstki i przedramiona, pulsował w ramionach. Ale ja i tak zacisnęłam mocniej. To jest ból, pomyślałam. To jest prawdziwe.

- Alice - powiedział łagodnie pan Delmar. W jego ustach moje imię było świeże i żywe, pełne możliwości, było czymś, co dopiero zaczynało istnieć. - Chcę, żebyś czegoś posłuchała.

Na drugim końcu linii słyszałam szelest papieru, otwieranie i zamykanie szuflady, kroki na dywanie.

- Zamknij oczy - powiedział. Odchyliłam głowę, oparłam ją o ubrania mojej siostry i zamknęłam oczy. - I posłuchaj.

Słyszałam, jak otwierają się drzwi, potem się zamykają, słyszałam skrzypnięcie krzesła, kiedy usiadł, poruszenie nocy dokoła niego, kiedy zaczął czytać.

- „O, to jest zwierzę, co nigdzie nie żyje.

Wnętrze szafy Nony zniknęło, dom, świat dokoła, prowadząc mnie w jakieś miejsce nowe, miejsce, do którego nigdy nie zabrał Polly Cain, miejsce, które należało tylko do mnie.

- „...Nie było. Lecz że je kochali, było / przezyste...”

Ten dzień, i wszystkie długie samotne dni wcześniejsze nie były prawdziwe. Moje koszmary nocne z wodą, z walką i strachem były tylko wyobrażeniem, stworzonym z niczego.

- „Nie karmili go ziarnem pszenicy / ni innym, tylko bytu możliwością. / I ta darzyła je tak wielką siłą, / że róg zrodziło...”

Jego głos, jego głos był prawdziwy. Z plastikowej miseczki słuchawki ściekał pot do mojej małżowiny - to było prawdziwe. Ten moment, kiedy świat ukrył się pod moimi powiekami - był prawdziwy. Byłam tu. On mówił. To było prawdziwe.

- „Nad czołową kością / wzbił się”.

I w ciemności widziałam go, czułam jego słowa we wnętrzu moich ust.

- „I białe przyszło do dziewicy - / i było w srebrnym lustrze i w niej było”⁵.

Przez chwilę ostatnie słowo wisiało w powietrzu, nietknięte, uporczywe. A potem był kolejny delikatny szept palonego papieru, syk białego popiołu spadającego jak śnieg na ziemię, okrąg jego ust, kiedy wciągał dym do płuc, trzymał go tam i wypuszczał.

⁵ R. M. Rilke, *Sonety do Orfeusza*, przeł. M. Jastrun.

Kiedy wróciłam na dół, ojciec stał w salonie boso i w bokserkach.

- Szukałem cię - powiedział i skurcz paniki dźgnął mnie w kręgosłup.

- Jestem.

- Idź się przebrać w kostium kąpielowy - polecił.

- Po co?

- Bo ja tak mówię. - Wyciągnął rękę i pacnął mnie za uchem. - Potem przyjdź za stajnię.

Znalazłam swój kostium na dnie szafy. Ramiączka wpijały mi się w ramiona i przygarbiłam się, żeby skrócić swoje ciało. Na dworze było ciemno, ale upał nie zelżał ani trochę. Żwir podjazdu palił podeszwy moich stóp, a ja spieszyłam przez stajnię, zastanawiając się, jakie okropne, brudne zadanie wymaga stroju kąpielowego zamiast normalnych ubrań.

Wysłałam przez tył stajni, mrużąc oczy w mroku. Usłyszałam plusk wody i gwizd ojca.

- Tutaj - zawołał.

Ruszyłam w kierunku głosu i nagle stanęłam. Obok areny stał okrągły pojemnik z wodą, jeden z największych, jakie mieliśmy. Ojciec wystawiał głowę znad jego krawędzi, wilgotne włosy przylegały mu do czaszki.

- Popatrz no - położył dłonie na metalowym obrzeżu. - Nasz własny osobisty basen!

- Z tego piją Staruszki - powiedziałam, niepewna, co się dzieje.

- Najpierw go wyczyściłem - zapewnił mnie ojciec. - Wskakuj. Słyszałam, że od silnego upału ludzie dostają udaru i próbowałam

dojrzeć twarz ojca w ciemności, żeby sprawdzić, czy jest obwisła lub wykrzywiona, żeby upewnić się, że nie doznał jakiegoś poważnego uszkodzenia mózgu.

- Nie ma aby zakazu na wodę? - zapytałam.

- Jest zakaz nawadniania. Ja nie nawadniam.

Przeszłam przez krawędź i uklęknęłam na metalowej podłodze, aż woda zakryła mi ramiona.

- Fajnie, co? - zapytał ojciec.

- Miłe uczucie - przyznałam, a on przetoczył się na plecy, unosząc się w płytkiej wodzie.

Niebo było atramentowo czarne, gwiazdy migotały tysiącami.

- Ludzie ze Wschodu mogą się zachowywać, jakby ich życie było o wiele lepsze od naszego - powiedział ojciec. - Ale coś ci powiem. Oni nigdy nie widzieli takiego nieba.

Siadłam obok niego w wodzie i próbowałam sobie przypomnieć, czy znamy jakichś ludzi ze Wschodu.

- Jest jedna jedyna rzecz, którą twoja matka lubiła na pustyni

- ciągnął, a jego ręce poruszały się pod wodą, wzbudzając delikatne zmarszczki, które rozpryskiwały się o metalową ściankę.

Wstrzymałam oddech. Ojciec nigdy nie mówił o matce. Nigdy przenigdy.

- Co to takiego? - wyszeptalam.

- Niebo. Ona się wychowała na Środkowym Zachodzie, wiesz?

- W ciemności kiwnęłam głową, zanurzając brodę w wodzie. Nona opowiadała mi, jak to nasza matka po raz pierwszy przyjechała do stajni, dawno temu, kiedy dom należał do rodziców ojca, a dziadek dawał lekcje jazdy w weekendy. Tylko tyle wiedziałam o historii moich dziadków, że moja matka brała lekcje u dziadka, a potem wyszła za jego syna. Kiedy rodzice się pobrali, dziadkowie wyjechali, zostawili pustynię, dom, stajnię i wszystkie konie moim rodzicom, żeby zbudowali nowe życie.

Kolanem niemal dotknęłam łokcia ojca pod wodą, ale jego oczy wpatrywały się w niebo. Zesztywniałam, bojąc się, że nawet ruch powietrza w moich płucach może przypomnieć mu, gdzie jesteśmy, może zerwać to jakieś zaklęcie, pod którego mocą zdawał się być, i uciszyć go całkowicie. Nagle poczułam w sobie lekkość, nieważkość i moje oczy się zamknęły, próbując mnie zlokalizować. Może nadal byłam na piętze w szafie siostry, wciąż słuchając fal oddechu pana Delmara. To wszystko było snem. Moje ciało, mój oddech, moje całe życie, to wszystko było tylko na niby.

Z daleka słyszałam szum żarówek w stajni, zgrzytanie chóru świerszczy na pastwisku za nami.

- Kiedy się tu sprowadziła, była taką dziwaczką - powiedział ojciec sennym głosem, wciąż wpatrując się w niebo. - Takim obcym kwiatuszkiem. Wciąż gadała, jak to pustynia wysusza jej skórę, a od powietrza włosy się jej robią łamliwe.

Roześmiał się w głos, a ja powoli, ostrożnie przełknęłam powietrze, wstrzymując je w piersi.

- Kiedyś jej powiedziałem - ciągnął - żeby sobie nałożyła majonezu na włosy, że tak właśnie robimy z końmi, żeby miały lśniące ogony. I ona tak zrobiła! Nasmarowała sobie całą głowę. Myła ją i myła, ale to nie chciało zejść. Całymi dniami jej włosy wyglądały, jakby były mokre i tłuste - taki wielki, tłusty bajzel. Śmierdziała jak sałatka psująca się na słońcu. Wąchałem powietrze dokoła niej i mówiłem „Co to za zapach?“, a ona biła mnie i krzyczała „Nienawidzę cię, Joe Winstonie!“.

Ciało ojca trzęsło się od śmiechu, wzbudzając w pojemniku równe fale, które rozpryskiwały się o moją szyję.

- Boże - powiedział do gwiazd. - Jakie śmieszne dziecko. Czekałam, aż będzie mówił dalej, aż powie coś więcej o niej, o tym,

kim byli, kiedy należeli do siebie. Ale jedyny dźwięk pochodził ze zmarszczek wody, które on wywołał, poruszając rękoma pod powierzchnią.

Zanurzyłam ramiona, opuszczając ręce, aż zatoneły pod ciemną powierzchnią fal. Woda pluskała o moje dłonie, zwijając palce z bólu. To było prawdziwe.

Wpatrywałam się w niedoskonały wzór gwiazd na czarnym niebie, próbując prześledzić ich nieskończony szlak. Za nami, na arenie, słyszałam walenie kopyt Darling, kiedy kłusowała niewidoczna w ciemności. Chciałam zapytać ojca, co z nią zrobimy, jak w ogóle znajdziemy czas, żeby ją szkolić, gdzie ją będziemy trzymać, kiedy będziemy musieli skorzystać z areny. Ale nagle przypomniałam sobie wyraz jego twarzy, kiedy na nią patrzył. Wciąż była pełna obietnic, wciąż doskonała w swojej tajemnicy. Tego jednego dnia patrzył na nią, jakby była odpowiedzią na wszystkie jego modlitwy, kresem jego zmartwień. Kiedyś tak patrzył na Sheilę Altman, a wcześniej na moją siostrę. Musiał być taki moment, hen daleko w przeszłości, dalej niż sięgałam pamięcią, gdy i na mnie patrzył w ten sposób.

Jutro wszędzie słońce i znieczuli ziemię swoją obojętnością. Ojciec będzie pamiętał o braku siana, pustych białych kopertach w małej szufladzie, o klimatyzatorze. Jutro nowa klacz kogoś kopnie, ugryzie albo mu złamie kość i okaże się, że ani trochę nie różni się od każdego nowego konia, który tu przybył przed nią. Jutro, w najszczerzym świetle dnia, nasz własny prywatny basen będzie tylko sobą: przerdzewiałym metalowym korytem do pojenia bydła.

Wcześniej, na piętrze, w szafie mojej siostry zamknęłam w oczy i widziałam miejsce, o którego istnieniu nie miałam pojęcia. Nie było tam gniewu, nie było samotności, nie było postrzępionego, lodowatego strachu przenikającego moje ciało. W tamtej jednej chwili dźwięk w mojej głowie uspokoił się i ucichł. Jeśli piekło było prawdziwe i rzeczywiste, jeśli było obecne dokoła nas, to niebo też. Więc nic nie powiedziałam. Niech ta chwila mojego ojca trwa. Niech trwa aż do końca.

rozdział piąty

Kiedy temperatura po południu wezbrała do czterdziestu stopni Celsjusza, ojciec w końcu się jej poddał, oznajmiając, że tylko głupiec by pracował w takim skwarze. Nie znosił lenistwa, ale jeszcze bardziej nie znosił głupców. Przestaliśmy więc jeździć popołudniami. Musieliśmy wstawać rano wcześniej i pracować do późna, wykorzystując te godziny, w których zabójczy upał dopiero się czał.

Ojciec powiedział, że w najgorętszej porze dnia jest mnóstwo roboty niegrożącej odwodnieniem ani śmiercią. Ustawiliśmy w stajni wiatraki oraz składane krzesła i popołudniami polerowaliśmy konkursowe siodła. Kiedy byliśmy wykończeni, porządkowaliśmy sprzęt do oporządzania, zestawy pierwszej pomocy, a potem lodówkę w siodłami. Wreszcie nie mieliśmy już nic do roboty w ciągu długich, bezużytecznych godzin upału, mogliśmy tylko siedzieć i czekać, aż miną.

O pierwszej po południu stajnia i wszystko w środku sprawiało wrażenie lepkiego i nieprawdziwego. Oklapliśmy na składanych krzesłach, grając w remika usmoloną talią kart, którą mój ojciec trzymał w siodłami, i popijając napoje gazowane z lodówki. I o ile byliśmy w stanie przesiedzieć najgorętszą część popołudnia w dni robocze, o tyle w weekendy nie mieliśmy takiej możliwości.

Konkursy jeździeckie ciągnęły się przez cały dzień, bez względu na temperaturę, pani Altman i ja siedziałyśmy na trybunach, a słońce prażyło nasze nagie ramiona. Popijałyśmy zimne napoje i osłaniałyśmy oczy dłońmi. Pani Altman miała kapelusz na słońce z szerokim rondem i grube, ciemne okulary. W torebce nosiła tubki blokerów, które co kilka godzin z uporem wcierała w moje ramiona i twarz.

- Kiedyś będziesz mi za to wdzięczna - zapowiadała przy każdym moim sprzeciwie. - Gdy będziesz w moim wieku i twoja skóra wciąż będzie śliczna i gładka, tak jak teraz, podziękujesz losowi, że głupia matka Sheili kazała ci smarować się filtrami.

Czekałyśmy, aż klasa Sheili wyjdzie na arenę, pani Altman zerknęła na swój zegarek, a potem odwróciła się i mrużąc oczy, zerknęła na parking.

- Dzisiaj może przyjdzie Mitchell - wyjaśniła.

- Tata Sheili? - zapytałam, a ona skinęła głową. Pan Altman jeszcze nie pojawił się na żadnych zawodach, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Pani Altman każdego tygodnia robiła tyle zdjęć, że wydawało się nieprawdopodobne, by jej męża cokolwiek ominęło.

Klasa Sheili wyszła na plac konkursowy, a Zach Pope, mijając nas, posłał mi teatralny całus, po czym opuścił głowę, śmiejąc się pod nosem.

- Ci chłopcy się w tobie kochają - skomentowała pani Altman z uśmiechem.

- Oni tylko się ze mnie nabijają - wyjaśniłam.

- To ty tak uważasz.

- Oni lubią tylko Sheilę - powiedziałam do niej grzecznie. - Zawsze z nią flirtują.

- Bo ojciec im tak każe. Próbuje ją przekabacić, żeby brała lekcje u niego.

Odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć, a ona uniosła brew, wykrzywając usta w kpiarskim uśmiechu.

- Tyle chociaż kumam.

Jeźdźcy ustawili się pośrodku placu, a pani Altman przechyliła się na bok, by wyszeptać, zasłaniając usta ręką:

- Myślę, że Sheila ma szansę na czwarte, a ty?

- Co najmniej na piąte - powiedziałam. To była mała klasa i kilku jeźdźców było o wiele gorszych od Sheili.

W końcu wywołali Sheilę na piąte miejsce, a pani Altman i ja stałyśmy, wiwatując i klaszcząc nad głowami. Sheila uśmiechnęła się szeroko i pomachała nam. Kiedy zjechała z areny, mój ojciec mocno ją uściskał i udali się z powrotem do przyczepy.

Kiedy zniknęli z pola widzenia, usiadłyśmy i pani Altman odwróciła się na siedzeniu, patrząc gniewnie na parking. Zauważyła, że patrzę, i jej twarz się wygładziła.

- Pewnie nie mógł się wyrwać z pracy.

- Czym on się zajmuje? - zapytałam.

Pochyliła się do przodu na kolana, zakołysała topiącym się lodem w papierowym kubku i zajrzała do niego jednym okiem.

- Jest profesorem w college'u - odparła. - Uczy astronomii. Przez cały czas nigdy nie słyszałam, żeby Sheila wspomniała, że jej ojciec jest profesorem college'u.

- Rany - powiedziałam. - Musi być naprawdę mądry. Uśmiechnęła się do swojego kubka.

- Jest.

Pani Altman wydawała się w tym momencie zatopiona w swoich myślach, a ja chciałam jej powiedzieć o panu Delmarze, o tym, że jest najmądrzejszą osobą, jaką znam, że czytał wszystkie książki i widział wszystkie filmy i odpowiedział na każde pytanie, które mu zadałam. Ale nagle pomyślałam o tym, co powiedziała o bliźniakach Pope nabijających się ze mnie, o tym, skąd można wiedzieć, czy ktoś cię naprawdę lubi.

Próbowałam przeanalizować wszystkie rozmowy telefoniczne i chociaż pamiętałam, jak pan Delmar śmiał się z jakichś rzeczy, które powiedziałam, nigdy się nie nabijał. Chciałam zapytać ją, czy pan Altman nabijał się z niej, kiedy się poznali, czy dzięki temu odgadła, że tego mężczyznę poślubi. Właśnie kiedy miałam się odezwać, jej twarz nagle pojaśniała, a ona odwróciła się do mnie.

- Wiesz, czego nam teraz trzeba? - Pokręciłam głową. - Lodów sandwicz! Nie sądzisz, że to boski pomysł?

Spodnie wbijały mi się w talię, ścisnęły mi biodra i wpijały się w uda. Byłam pewna, że jeśli zjem jeszcze cokolwiek, wystrzelę z nich. Ale ona wydawała się taka podniecona, jakby sam pomysł lodów kanapkowych przegnał wszystkie ciemne myśli z jej głowy.

- Znakomity - powiedziałam, a ona zaklaskała w dłonie.

Poszła, a ja siedziałam sama na słońcu, patrząc, jak klasa 14-18 galopuje po arenie. W tej właśnie klasie jeździłaby moja siostra, gdyby tu jeszcze była, w tej klasie by wygrała z rękoma zawiązanymi na plecach. Nie dostaliśmy od niej ani jednego listu od czasów tamtego, w którym pisała, że jest w Idaho, i chociaż mój ojciec mówił, że nie ma się czym martwić, że jest po prostu zajęta, z każdym mijającym dniem czułam coraz większy niepokój. Nona wyjechała, nie mówiąc mi nic o Jerry'ym. Teraz jej nie

było, a ja nie miałam pojęcia, czy on jest bystry, czy z niej żartuje, czy wraca do niej o umówionej godzinie. Próbowałam wyobrazić ich sobie razem w Idaho, jak jedzą steki w restauracjach, i po raz pierwszy nagle zastanowiłam się, czy wszystko idzie tak, jak ona nam mówi.

- Był pan kiedyś zakochany? - zapytałam.

Pan Delmar nie odpowiedział, a ja zawijałam kabel telefoniczny na palcu, zastanawiając się, czy zapytałam o coś niewłaściwego, czy wreszcie posunęłam się za daleko.

- Tak - odrzekł po chwili.

- Skąd pan wiedział? No wie pan, kiedy się pan zakochał po raz pierwszy, skąd pan wiedział, że to jest to?

Słyszałam przez telefon odgłos z gaźnika samochodowego, delikatny szum powiewu wokół niego - był na dworze.

- Po prostu wiedziałem - rzekł w końcu.

- Ale jakie to było uczucie? - drażylałam. - Skąd pan wiedział?

- Dobra, dobra. Daj mi chwilę.

Na piętrze w szafie mojej siostry skwar był niemal nie do wytrzymania, powietrze tak gęste, że czułam się, jakbym oddychała pod wodą. Od potu na moich dłoniach słuchawka stała się śliska, tak że musiałam wciąż zmieniać ręce i wycierać je do sucha o skraj spódnic Nony, aby ją utrzymać.

- Bardzo schudłem - powiedział pan Delmar. - Mogłem przed lustrem policzyć sobie zębra przez koszulę.

- Dzięki temu pan wiedział, że jest zakochany?!

- Trudno to wytłumaczyć - rzekł. - Kiedy jesteś zakochany po raz pierwszy, to cię wypełnia. Nie potrzebujesz niczego innego - ani jedzenia, ani spania, ani pieniędzy, ani przyjaciół, ani nawet rodziny. Czułem się otumaniony, kręciło mi się w głowie, mdliło mnie i czułem się niemal głupio.

- Głupio?

- Omal nie zawałem college'u. Chodziłem na wykłady, ale za żadne skarby nie mogłem się skupić. Świat mógł się skończyć, a ja bym tego nie zauważył.

Próbowałam sobie wyobrazić pana Delmara w college'u, jak pisze testy i prace egzaminacyjne, usychając z miłości.

- Chyba mi nie wierzysz - rzekł. - Tak coś czuję.

- Wierzę panu. Tylko że... - Chciałam zapytać, kim ona była, dziewczyna, przez którą się zagłodził i niemal zawałił college, dziewczyna, przez którą mógł nie zrobić dyplomu i nie zostać nauczycielem, dziewczyna, przez którą ja nigdy bym go nie spotkała. - Tylko że to jedynie mdłości i zawroty głowy? Strata wagi? Może miał pan tasiemca?

Roześmiał się, a moja twarz zapłonęła z zakłopotania.

- Z czego się pan śmieje? - zapytałam.

- Z ciebie - odrzekł. - Jesteś bardzo zabawna. - Moje serce eksplodowało w klatce piersiowej i nie mogłam znaleźć słowa na odpowiedź. Światło wokół mnie bladło, powietrze puchło w moich płucach. - Jak na kogoś tak mądrego, niezły z ciebie głupek.

Ojciec zostawił nową klacz w spokoju na ponad tydzień - żeby jej noga wyzdrowiała. Przenieśliśmy ją z areny na round pen, na którym kiedyś trzymaliśmy Barta. Ojciec powiedział, że kiedy już będzie wyszkolona, będziemy mogli ją trzymać tak, jak pozostałe konie sportowe - w małej, kwadratowej zagrodzie, w której będzie mogła robić niewielkie kółka, czekając, aż kupi ją ktoś ważny.

Ojciec pracował z nią rankami, zanim słońce wypełniło niebo swoją furią i zapędziło wszelką żywinę do cienia. Godzinami prowadził ją na lonży, stojąc pośrodku round pena i uderzając batem o but, by zmusić ją do biegania. Wyczerpanie było najważniejszym elementem w ujeżdżaniu młodych koni, przeganianie ich, aż stawały się przemoczone od potu i tak wykończone, że nawet nie zauważały dodatkowego ciężaru siodła na grzbiecie, dodatkowego ciężaru człowieka.

Wyglądało jednak na to, że żadna liczba ćwiczeń nie stępi jej zmysłów. Za każdym razem kiedy ojciec zakładał jej siodło na grzbiet, Darling stawała dęba i wierzgała, wykręcała się w powietrzu, wbijała w ogrodzenie albo padała na ziemię i tarzała się, aż siodło połamało się pod jej ciężarem i trzeba było je wyrzucić.

Ojciec przeszedł więc do planu B: w najgorętszej porze dnia prowadził ją na pustą arenę i trzymając ją mocno, przypinał jej siodło. Potem przywiązywał wodze do boku siodła, tak że jej łeb wykręcał się na bok, a ciało układało się w literę C. W tej pozycji nie mogła wierzgać, przetaczać się, nie mogła zrobić kroku do przodu. Była unierucho-

miona pośrodku placu, bezsilna. Następnie ojciec wychodził z areny i zamykał bramę, zostawiając ją, żeby stała i pociła się na słońcu.

- Kilka takich dni - powiedział - i będzie mi jadła z ręki.

Patty Jo oporządzała Toy Boya w stajni i przerwała, by wyrzeć na arenę, gdzie stała Darling z wykreconym ciałem i opuszczonym łbem. Nogi miała sztywne, a słońce wpadało do martwego niebieskiego lewego oka, sprawiając, że błyszczało ono jak płomień. Nawet z daleka było widać jak na dłoni, że nie poddaje się upałowi. Po prostu go przetrzymuje.

Patty Jo zadrżała koło mnie, a ja czekałam, aż coś powie o skrajności ojcowskich metod, coś o okrucieństwie. Ale kiedy on przeszedł przez stajnię, Patty usunęła się na bok, kręcąc głową zdziwiona.

- Nie miałam pojęcia, że tak trudno wyszkolić młodego konia - powiedziała.

- Nie zawsze jest tak trudno - odparł ojciec. - Część poddaje się łatwo. Ale reszta... - Wskazał ręką arenę i wzruszył ramionami. - No cóż, każdy jest inny.

- Myślę, że to, co robisz, jest niezwykle - powiedziała Patty, a my oboje na nią spojrzeliśmy. Spośród klientek ona jedna przyjeżdżała sama, a bez przyjaciółek i termosów z szampanem była cichsza, spokojniejsza, bardziej zwyczajna. - Tacy ludzie jak ja po prostu jeżdżą na koniach - powiedziała. - A to dzięki tobie.

Kark mojego ojca oblał się rumieńcem. On sam spuścił wzrok na podłogę stajni, stukając czubkiem buta o ścianę.

- To trzeba zrobić i już - powiedział po chwili. - Gdyby konie miały pojęcie, jakie są wielkie, jak silne, nie można byłoby ich kontrolować. Zamieniłyby się w zabójców.

Kiedy ojciec zabierał moją siostrę i mnie na wyprzedaże rzeźne, zawsze wyjaśniał, jak to jest doświadczyć okrucieństwa, gdy doprowadzone do szaleństwa, konie zamieniają się w potwory, których zdaniem ludzi nie można już zmienić. A jednak ciągle im udowadniał, że się mylą. Nigdy nie trenował Staruszków przez wyczerpanie czy wymuszoną uległość. To dźwięk jego głosu i konsekwencja jego dotyku zamieniały je w pełne spokoju konie, z którymi każdy mógł dać sobie radę. Patrzyłam, jak Darling poci się pod niemiłosiernym słońcem, i zastanawiałam się, co rozumie mój ojciec, a czego nie rozumiem ja, co on w niej dojrzał, co powiedziało mu, że sam dźwięk i dotyk nie wystarczą.

- Cóż, ja myślę, że to niesamowite - powiedziała Patty, a jej głos przeszedł w gardłowy szept. - Naprawdę, jesteś taki zdolny.

Patty uśmiechnęła się, a mój ojciec zagryzł wargę, twarz mu promieniała od jej komplementu. Taka wymiana zdań mogła się zdarzyć w każdej chwili i pomiędzy kimkolwiek. Ale się nie zdarzyła. Zdarzyła się tam i wtedy, kiedy stałam pomiędzy nimi i patrzyłam.

- Jak myślisz, ile lat ma Patty Jo? - zapytałam Sheilę. Mój ojciec pojechał do składu drewna po kolejne trociny, a my w stajni grałyśmy w karty, przykładając do szyi i twarzy zimne puszki z napojami.

Sheila spojrzała gniewnie na swoje karty.

- Więcej, niż by chciała.

Roześmiałam się, a Sheila podniosła wzrok znad ręki, ucieszona, że powiedziała coś zabawnego.

- To ważne? - zapytała, a potem zaśmiała się pod nosem. - Chodzi o to, jak te wszystkie kobiety... jak one się zawsze śmieją? Jak ze sobą rozmawiają? Jakby myślały, że są w naszym wieku.

Klientki szeptały i chichotały jak dzieci, mówiąc o sobie „dziewczyny”. „Dziewczyny, potrzebujemy więcej drinusiów”, „Dziewczyny! Mam przecudowny pomysł!”. Na ich skórze widniały piegi od słońca, miały też cieniutkie linie wokół oczu i ust, ale ich ciała były drobne i zadbane, ubrania młodzieńcze, głosy lekkie i pełne życia. I co prawda nie chciałam zwracać na nie uwagi, nie chciałam przyznać, że w ogóle je dostrzegam, ale one zawsze wydawały się mieć większy ubaw niż ktokolwiek inny. Po prostu musiałam na nie patrzeć.

- One są naprawdę dziwne - przyznałam. Sheila zdmuchnęła grzywkę z czoła.

- Moja mama ich nie cierpi - powiedziała.

- Naprawdę? - Nie mogłam sobie wyobrazić, że pani Altman nie cierpi kogokolwiek.

Sheila spojrzała na mnie spod białych piór swoich rzęs.

- Mówi, że na takie kobiety trzeba uważać.

- Czemu?

- Mama mówi, że takie kobiety zadają pytania, jakbyś je cokolwiek obchodziła, ale tak naprawdę chcą cię tylko połknąć. Chcą zabrać wszystko, co jest twoje. - Sheila ściszyła głos i podniosła brwi. - Mówi na nie modliszki.

Klientki zawsze zadawały mi pytania, kiedy sprzątałam boksy, a ja nigdy się nie zastanawiałam nad odpowiedzią. Pytały, ile lat ma moja mama (trzydzieści sześć), skąd pochodzi moja rodzina (stąd), od kiedy mój tata pracuje z końmi (od zawsze). Od czasu do czasu pytały ojca o szczotki albo o ekwipunek jeździecki. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zadają te pytania, bo je obchodzę. Myślałam po prostu, że prowadzą rozmowę, są miłe. Teraz zastanowiłam się, czy pod ich ciekawością coś się kryje, czy chciały nas połknąć w całości i zabrać nam wszystko, co nasze. Wszystkie były bogate i ładne, miały wielkie domy i doskonałe białe uśmiechy. Co mieliśmy takiego, co którakolwiek z nich by chciała?

Ojciec powiedział, że muszę mieć sukienkę na ucztę grupy pościgowej, przez co się kłóciliśmy cały dzień. „Uczta” była eufemistycznym określeniem przyjęcia, które grupa pościgowa wydawała każdego lata. Zrzutkowe jedzenie, ludzie zajeżdżający w pick-upach z półmiskami tłustych potraw zakrytych folią aluminiową i w kowbojskich butach, tak żeby mogli tańczyć na arenie, nie przejmując się końskim łajnem.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle muszę iść - powiedziałam ojcu, gdy tego ranka karmiliśmy konie. Kiedyś jadłyśmy sobie z Noną hot dogi, szeptałyśmy i śmiałyśmy się, wymyślając rozmaite określenia stylu tanecznego pijanych pościgowców. „Naćpani kowboje” - mówiła Nona. - „Trudno powiedzieć, czy pan Sheldon próbuje się kołysać, czy też ma atak”. Skoro moja siostra nie będzie mi dotrzymywać towarzystwa, spędzę wieczór sama.

- Musisz jechać, bo ja muszę jechać - powiedział mój ojciec.

- Nie czuję się dobrze. Chyba żołądek mnie boli.

- No to lepiej weź wiadro, żebyś miała gdzie haftować.

I tyle - temat zamknięty. Przez resztę dnia nie odzywałam się do ojca, a on przez resztę dnia tego nie zauważał. Kiedy słońce wreszcie zaszło, przebrałam się w sukienkę, którą miałam na sobie przed rokiem, i stanęłam przed lustrem. Teraz była za krótka, moja kolana wyglądały na wielkie i nagie pod kwiecistą spódnicą, przygarbiłam ramiona, by nadrobić opiętość tkaniny na klatce piersiowej.

Ojciec pewnie zauważy, że wyglądam jak olbrzym w dziecięcym ubranku, i zrozumie. Będzie mu mnie żal, będzie wiedział bez słów, że nie zniosę tego wieczoru. Ale kiedy zesłam na dół, on był zajęty przetrząsaniem szafek w poszukiwaniu czegoś, co mógłby wziąć na ucztę. Wybór miał ograniczony i w końcu porzucił na otwartej paczce chipsów oraz połowie sześciopaku piwa.

- Idziemy - oznajmił.

Na dworze Patty Jo ładowała siodło do bagażnika samochodu i gwizdnęła do nas z drugiej strony podjazdu.

- Hej, coście się tak odstawili? - Uszy mojego ojca się zaczerwieniły pod świeżo umyтыми włosami, a ja przygarbiłam się obok ciężarówki, nie odpowiadając. - Musicie mieć jakieś specjalne plany na wieczór.

- Neeee - powiedział ojciec, odruchowo dotykając gorsu koszuli z przypinanym kołnierzykiem. - To tylko takie zebranie grupy pościgowej. Jakby przyjęcie. Nic ważnego.

Patty klasnęła w dłonie i zakołysała biodrami przed swoim samochodem.

- Przyjęcie! - westchnęła. - Nad życie uwielbiam przyjęcia. Zanim ojciec otworzył usta, wiedziałam, jakie słowa się z nich wy-

dobędą. Odwróciłam się, żeby go zgromić wzrokiem, żeby go uciszyć siłą woli, ale on nie posłał mi nawet spojrzenia.

- Chcesz z nami jechać?

Patty uśmiechnęła się szeroko, po czym rozłożyła ręce na boki, obracając się powoli przed nami.

- Nie jestem ubrana.

Miała na sobie obcisłe džinsy, które opinały krągłości jej bioder, i czarny tizert z dekoltem w szpic na tyle głębokim, by odsłaniał zapowiedź piegowatego rowka między piersiami.

- Wyglądasz świetnie - stwierdził ojciec. - Poza tym to nie jest elegancka okazja.

Droga na Teren Grupy Pościgowej minęła w ciszy i skrępowaniu. Patty zapytała, jak idzie z Darling, a ojciec odparł, że dobrze. Potem powiedziała, że lubi jeździć do naszej stajni, a ojciec odrzekł, że mu miło. Siedziałam między nimi w pick-upie, naciągając skraj spódniczki na kolana i trzymając się sztywno, żeby się nie oprzeć o Patty na zakręcie.

Kiedy przybyliśmy na ucztę, mój ojciec z Patty Jo ruszyli do stołu z jedzeniem, a ja trzymałam się za nimi. Pośrodku areny sklecono małą

scenę i chociaż orkiestra się jeszcze rozstawiała, ludzie już zaczęli się zbierać, pijąc piwo z butelek i uchylając sobie kapeluszy na powitanie. Młodsze dzieci ganiały się po obrzeżach, krzycząc i obrzucając się lodem z lodówek, podczas gdy ich rodzice bez przekonania wykrzykiwali groźby i prośby, żeby się uspokoiły.

Chociaż mój ojciec przyniósł tylko trzy piwa, nie wyglądało na to, żeby miało braknąć trunków. Zanim zaczęła grać muzyka, on i Patty wypijali po trzecim. Krążyłam wokół stołu z jedzeniem, pogryzając nachosy z papierowej serwetki i patrząc, jak Patty Jo odchyła głowę ze śmiechem, za każdym razem kiedy mój ojciec coś mówi.

Byłam za daleko, żeby ich słyszeć, ale i tak nadstawiałam uszu i mrużyłam oczy, by odczytać coś z ruchu ich warg. Takie kobiety, mówiłam sobie, zadają ci pytania, jakbyś je cokolwiek obchodził. Pomyślałam o pani Altman, przestrzegającej swoją córkę przed Patty Jo i jej koleżankami. Modliszki. Powtarzałam to słowo w myślach, smakując je ze wszystkich stron. „Takie kobiety chcą cię połknąć w całości”.

- Alice Winston.

Za mną stała Janice Reardon, siorbiąc loda na patyku. Miała na sobie kwiecistą sukienkę i wyblakłe różowe skrzydła duszka na plecach. Skrzydła objęły się o ludzi dokoła, jeśli podeszła za blisko. Lód spływał jej na rękę, a ona odwróciła ją na bok, zlizując go z wnętrza nadgarstka i taksując mnie wzrokiem.

- Ta sukienka jest na ciebie za mała.

Sukienka Janice natomiast rozchyłała się na zapinanym na guziki przodzie, odsłaniając blade plamy ciała.

- Wiedziałam, że tu będziesz - powiedziała.

- Ojej - odparłam, siląc się na strapiony ton. - Musisz być jasno-widzką.

Janice wykrzywiła usta i skierowała wzrok w dal, decydując, czy puścić mimo uszu moją złośliwość.

- Pewnie wszystkich tu znasz - powiedziała w końcu. Pośrodku areny orkiestra grzmociła w instrumenty, podskakując na scenie.

- Chcę usłyszeć, jak krzyczycie! - krzyknął do mikrofonu wokalista, a tłum uniósł w górę swoje piwa, wznosząc toast jednym, bezsłownym wrzaskiem.

- Pewnie tak - odparłam.

- Mój ojczym nas przywiózł - powiedziała i wskazała na arenę, gdzie pękaty mężczyzna w kowbojskim kapeluszu tańczył niezgrabny two-step z równie pękatą kobietą. - Mój prawdziwy tata mieszka w Iowa. Jadę do niego w przyszłym tygodniu. Kupi mi nowe stereo.

- To fajnie - odparłam.

Janice miała brodę mokrą od stopionego lodu, a usta zabarwione na pomarańczowo.

- Colleen wróciła - powiedziała i chociaż wcale nie chciałam, pochylłam się ku niej. - Przyjechała do domu w zeszłym tygodniu.

Znowu pomyślałam o białym budynku bez okien, gdzie Colleen mieszkała z innymi dziewczynami, które próbowały się zabić. Wyobraziłam je sobie, jak siedzą w kręgu na składanych krzesłach, trzymając się za ręce i opowiadając swoje historie.

- Widziałas ją? - spytałam.

- Nie. Ale Sharon widziała. Mówi, że Colleen jest teraz chuda. I mówi dużo o Jezusie.

A więc tak ją leczyli. Skorygowałam obraz w swojej głowie. Nie tylko trzymały się za ręce i gadały. Głodowały. Modliły się. Mówiły o tym, jak Jezus je kocha. Jezus umarł za ich grzechy. Jezus chciał, żeby one żyły.

- To twoja mama?

Podążyłam za wzrokiem Janice na arenę, gdzie Patty Jo siedziała obok mojego ojca na składanym krześle, śmiejąc się na całe gardło. -Nie.

- Wcale tak nie myślałam - powiedziała Janice. - Ani trochę nie jest do ciebie podobna.

Na arenie mój ojciec trzymał między nogami dwie świeże butelki piwa. Otworzył je po kolei i jedną podał Patty. Ona wzięła mały łyk, potem pochylila się, by szepnąć mu coś do ucha, dotykając palcami zgięcia jego łokcia.

- Moja mama jest w domu - powiedziałam. - Ma raka. Twarz Janice zamarła, jej usta rozdziawiły się na znak szoku.

- Och, Alice.

- Baw się dobrze w Iowa - powiedziałam, zwinęłam swoją serwetkę w kulkę, odłożyłam ją na tacę z nachosami i odeszłam.

Minęła godzina, potem dwie, potem trzy, a mój ojciec wciąż siedział z Patty Jo na składanych krzesłach. Orkiestra się pociła, a kowboje

wzbijali pył dokoła siebie, kołysząc swoimi żonami w chwiejnych kółkach i przystając tylko, by siorbnać piwa z nieskończonych zapasów. Siedziałam samotnie na ogrodzeniu, czekając, aż mój ojciec wstanie i dobędzie kluczyków z kieszeni spodni gestem oznaczającym, że czas nadszedł, wypełniłmy obowiązek i możemy jechać do domu. Ale inaczej niż na dotychczasowych imprezach pościgowców, mój ojciec wydawał się zupełnie nieświadomy upływu czasu.

Ojciec nigdy się specjalnie nie przejmował swoją przynależnością do grupy. Chodził na spotkania i kierował ruchem na rodeach. Stawiał się, kiedy go wzywali, i wynosił z kanału martwą dziewczynkę, bo ktoś to musiał zrobić. Wszystko to wypływało raczej z poczucia obowiązku niż z prawdziwej miłości do pracy. Mój dziadek był członkiem grupy pościgowej szeryfa, zanim kupił z babcią kampera i wyruszyli przez kraj w ślad za moim ciotkami. Przed nim również pradziadek należał do grupy. Takiej grupie nie zdarzały się wielkie wyzwania. Po prostu takie właśnie rzeczy robił każdy, kto mieszkał po tej stronie doliny i był mężczyzną.

W przeszłości mój ojciec ciągał mnie z siostrą na pikniki i uczy, potem spędzał obowiązkowe dwie godziny, rozmawiając z ludźmi, którzy znali go od dziecka, o paszy końskiej i rachunkach za weterynarza. Zawsze był uprzejmy, przytakując we właściwych momentach i wzruszeniem ramion zgadzając się z różnymi poglądami na szkolenie koni i prowadzenie stajni. Ale w domu krzywił usta, kiedy mówił nam, kto dodaje siczki do ziarna, żeby wystarczyło na dłużej, kto szprycuje swoje konie sportowe, kiedy kuleją, tak żeby mogły wziąć udział w zawodach. Ojciec wykladał jasno, że Nona i ja mamy być grzeczne i miłe na imprezach grupy, że mamy pamiętać o dobrych manierach i nie zachowywać się w sposób, który by rzucił cień na naszą stajnię. Ale też wykladał jasno, że pozostali członkowie grupy różnią się od nas. To byli oszuści i krętacze. To nie byli nasi przyjaciele.

Teraz jednak mój ojciec siedział na arenie, śmiejąc się i rozmawiając, przytykając palec do ucha, kiedy pochylał się do Patty Jo, żeby lepiej ją słyszeć. Niebo ciemniało nade mną, a ja myślałam o panu Delmarze, samotnym w domu, którego nigdy nie widziałam, czekającym, aż zadzwoni telefon. Gdzieś daleko moja siostra kładła się do łóżka z obcym mi mężczyzną. Wyobrażałam ją sobie w tiszercie i szortach, w których zawsze spała, jak tuli się do Jerry'ego w ich łóżku, nieświadoma, że

dzisiejszej nocy odbywa się uczta grupy pościgowej, że ja tu siedzę sama, gadając do siebie.

Na arenie członkowie grupy pili, tańczyli i wrzeszczeli jednym głosem, kiedy orkiestra ich do tego wzywała. Patty Jo podrygiwała i kołysała ramionami w swoim składanym krześle, podskakując, aż mój ojciec odstawił piwo na ziemię i wyciągnął do niej rękę. Uśmiechnęła się i splotła palce z jego palcami. Od zimnego pręta ogrodzenia czułam ból w biodrach, kiedy patrzyłam, jak stoją, a potem dołączają do śmiechu, potu i zdyszanego ruchu, który gęstniał na tle sceny. Do tej pory nie miałam pojęcia, że mój ojciec umie tańczyć.

Jego twarz była różowa i lśniąca od potu, kiedy obracał ją to w jedną, to w drugą stronę. Patty się śmiała, przerywała od czasu do czasu, żeby objąć się ramionami w pasie i podyszeć. Ale zawsze się odwracała, zawsze sięgała po jego rękę do tyłu. Ich palce się splatały, a stopy przesuwały się zgodnie, szurając w pyle i końskim gównie. Potem tłum poruszył się wokół nich i zniknęli.

- Alice Mazgalis.

Bliźniaki Pope pojawiły się po moich obu stronach, przekładając ramiona przez górną poręcz ogrodzenia, tak że ich łokcie musnęły moje biodra.

- Hej - rzuciłam, przesuwając się i zbierając się tak, żeby ich nie dotykać.

-Widzieliśmy cię - powiedział Andy po prawej. - Rozmawiałaś z tamtą grubaską.

- Tak - dodał z lewej Zach. - Z tamtą ze skrzydłami.

- To tylko dziewczyna z mojej szkoły - powiedziałam. - Nie kum-plujemy się ani nic.

Bliźniaki wspięły się na ogrodzenie, wciskając mnie między siebie. Czułam na swoim ciele cebulowy zapach ich potu, czułam wilgotną szorstkość ich skóry i sięgnęłam po skraj sukienki, żeby naciągnąć go na nagie kolana. Każdy z nich trzymał na pół opróżnioną butelkę piwa, a Zach postukał mnie w udo szyjką swojej.

- Skąd to macie? - zapytałam.

- Rąbnęliśmy - Andy uśmiechnął się szeroko. - Zazdrościsz? Podniosłam podbródek, nie odpowiadając.

- Chcesz łyka? - zapytał Zach i podsunął mi butelkę pod nos, kiwając nią na boki.

- Założę się, że nie będzie chciała - parsknął Andy. - Alice to grzeczna dziewczynka.

Na arenie mój ojciec wywijał kółka z Patty Jo, jego twarz lśniła, a włosy były mokre od potu. Rodzina Janice Reardon poszła już ponad godzinę temu. Teraz już pewnie była w domu, w swojej małej sypialni, pakując się na podróż do Iowa. Colleen Murphy była ciepła i bezpieczna w domu swoich rodziców, modląc się do Jezusa o siłę, by przetrwać kolejny dzień. Nona była w Idaho albo w Kansas, albo w jakimkolwiek innym miejscu, którego nigdy nie widziałam, i spała przytulona do swojego kowbojskiego męża. Po drugiej stronie doliny pan Delmar palił papierosy i popijał ze szklanki z lodem, zastanawiając się, dlaczego jeszcze nie zadzwoniłam.

Wyszarpnęłam butelkę z dłoni Zacha, potem odchyliłam głowę i wychyliłam zawartość. Moje gardło wypełniło się zimną pianą, czoło błysnęło, kiedy przełykałam ostatnią kroplę. Oddałam pustą butelkę Zachowi, a on wpatrywał się w nią chwilę, nim otworzył usta.

- No dobra - powiedział, a Andy zawył w niebo jak dziki pies.

- Proszę - podał mi swoją butelkę. - Każdy z nas obalił już po dwie, więc lepiej pij szybko, jeśli masz nas dogonić.

Zamiast brzucha miałam przekłuty balon, zapadnięty i pluskający od płynu, ale znowu podniosłam brodę do czarnego nieba i otworzyłam gardło, wykańczając piwo Andy'ego jednym haustem.

- Cholera - wyszeptał Andy, kiedy skończyłam. - Może jednak jesteś siostrą Nony.

Trącił mnie w ramię, tak że nachyliłam się do Zacha, który zachwiał się na poręczy i sięgnął do mojego uda, wbijając w nie palce, żeby nie spaść. Skóra mnie zapiekła pod jego dotykiem. Powinno boleć. Ale spojrzałam na jego rękę na mojej nodze, na różowe kłykcie i zapuszczone paznokcie, i nie poczułam nic.

Na arenie członkowie orkiestry zgodnie kiwali głowami, głosy mieli ochryple po tylu godzinach śpiewania i wrzeszczenia do tłumu. Dokoła nich kowboje zlewali się w chmurze pyłu, wirowali, pochylali się i wznosili w górę butelki z piwem, a mój ojciec i Patty Jo zagubili się gdzieś pomiędzy nimi.

Andy czknął, głośno i mokro, po czym oznajmił, że potrzebujemy więcej piwa, i zgłosił się na ochotnika, że pójdzie i ukradnie trzy kolejne

butelki. Zeskoczył, a ogrodzenie zatrzęsło się pod nami. Zach chwycił palcami mocniej moją nogę, żeby utrzymać równowagę.

- Wróć tak szybko, że nawet Winstonówna nie zdąży się zakochać - powiedział Andy.

Przez chwilę siedzieliśmy z Żakiem w milczeniu. Jego palce powoli zwolniły uścisk, ale nie zabrał ręki z mojej nogi.

- Trudno się kradnie piwo? - zapytałam w końcu. Zach wzruszył ramionami.

- Jeśli nikt nie pilnuje, to nie - odparł.

Na arenie Bud Pope tańczył z Valerie Hayes, obracając ją tak, że rude włosy unosiły się wokół niej jak płomień. Zarzucała mu ramiona na szyję, a jego ręce zsunęły się w dół po jej talii, aż objęły tylne kieszenie granatowych dżinsów.

- Lubisz swojego ojca? - spytałam.

Tkanina mojej sukienki zrobiła się wilgotna i ciepła pod dłonią Zacha. Nie umiałam określić, czy od jego potu, czy od mojego.

- Nie wiem, czy zauważyłaś - odrzekł - ale mój ojciec to kawał kutasa.

Obróciłam się, by spojrzeć na niego, a jego twarz była tak blisko mojej, że czułam na skórze jego gorący oddech, czułam kradzione piwo, nieświeże i kwaśne. A potem on przysunął bliżej głowę i świat stanął.

Na filmach pocałunki są delikatne i płynne, usta się łączą, oczy zamykają, głowy się przechylają, by odsłonić biały skraj kobiecej szyi. Ale kiedy Zach przycisnął swoją twarz do mojej, nasze nosy się o siebie rozpląszczyły, a ja czułam, jak papier ścierny jego spękanych ust otwiera się i zamyka na moich. Czubek jego języka znalazł czubek mojego, dwa suche, gumiate mięśnie mocowały się w woskowej klatce zębów. Żadnych fanfar, żadnych drżących westchnień, żadnego łopotania szaleńczych uderzeń serca w moją pierś. Kiedy odsunął głowę, zamrugał powiekami kilka razy, po czym zabrał rękę z mojej nogi i dotknął nią ust, jakby nie był pewien, czyje one są.

- Co mi umknęło? - spytał Andy, podając nam dwie butelki. Zach się wyprostował i sięgnął po butelkę tą dłonią, którą wcześniej trzymał na moim udzie. Oczy miał szkliste, wpatrywał się prosto w tańczący tłum, biorąc długi, głośny łyk piwa.

- Nic - powiedział.

Orkiestra pakowała instrumenty na tył furgonetki, kiedy mój ojciec i Patty Jo chwiejnym krokiem podeszli do pick-upa. Ich łokcie się łączyły, śmiech wzbijał się w czarne niebo, a moje serce łomotało w gardle, kiedy ruszyłam za nimi. Właśnie dopiłam czwarte piwo i byłam pewna, że wyczują alkohol z moich ust, zobaczą, że nogi mi drżą, kiedy próbowałam wsiąść do szoferki. Ale w środku mój ojciec tylko mocował się z kluczykami, upuścił je dwa razy, zanim je wetknął do stacyjki. Nawet na mnie nie spojrzał.

Jechaliśmy do domu wiejskimi drogami, przy otwartych oknach i ryczącym radiu. Ojciec odchylił się do tyłu, trzymając ręce wyprostowane przed sobą i zaciskając mocno jedno oko, kiedy wraz z Patty śpiewał do radia, a ich głosy bębniły fałszywie z obu moich stron.

Ciężarówką szarpało w przód i w tył, a moje ciało zdawało się unosić swobodnie i płynnie.

- To była najlepsza noc mojego życia! - Patty przekrzyczyła muzykę, a potem wysunęła ramię za okno, żeby powietrze przelatywało jej przez palce. Ciężarówka pojechała zygzakiem, a ja przechyliłam się na Patty. Chciałam się wyprostować, ale moja głowa była ciężka, powieki opadały, nawet jeśli chciałam je utrzymać w pozycji otwartej.

Patty poruszyła się obok mnie, obejmując mnie jednym ramieniem i przyciskając do siebie, podczas gdy wraz z moim ojcem śpiewała z Neilem Diamondem:

Bólu już nie czuję, Bo przecież cię w objęciach mam.

Jej ciało obok mnie było wilgotne i ciepłe, pachniało piwem, potem i mocnymi perfumami. W głowie moje myśli zlewały się, wilgotne i niewypowiedziane. Ale gdzieś w tej lepkiej mieszance czułam ciało Patty Jo, prawdziwe, pełne i żywe. Nieważne, kim jest, kim była wcześniej tej nocy, kim będzie jutro. Tę całą noc zalały rozmazane pozory, świat zmieszał się w udawaniu. Niech więc mnie trzyma. Oczywiście miałam zamknięte i udawałam sobie, że ona jest kimś, kimkolwiek, kto mnie kocha.

rozdział szósty

- Ile dni on ją tam trzyma?

Telewizor był wyłączony, a moja matka siedziała w oknie z jedną nogą przyciągniętą do piersi. Koszula nocna zaczepiła się na kolanie, więc patrzyłam na drażek jej odsłoniętej goleni, wążutką białą kość skokową. Na arenie Darling stała samotnie z głową przyciągniętą poprzęciem do łopatki, z sierścią szarą i oleistą od potu.

- Sześć - odparłam, podając jej nową torbę z lodem.

Matka spojrzała na lód i z powrotem za okno, nie sięgając po torbę.

- Myślisz, że to poskutkuje?

Pasek dżinsów wpijał mi się w skórę, a torba z lodem szczypała w dłoń, powodując pulsujący tępy ból w nadgarstku i przedramieniu.

- Nie jestem pewna - odparłam. - Ona jest szalona.

Matka wyprostowała ramiona, wyciągając szyję i zadzierając podbródek, tak że widziałam mięśnie szyi poruszające się pod skórą.

- Ile zapłacił? - zapytała.

Trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt - za tyle w końcu poszła. Licytowało ich siedmiu, w tym Bud Pope. Ale mój ojciec miał stalową szczękę, oczy skupione i przymrużone. Pozostali licytujący w końcu odpuścili. Już po wszystkim ojciec zapłacił tysiąc trzysta czterdzieści siedem dolarów gotówką, a resztę podzielił na dwie karty kredytowe.

- Nie wiem - powiedziałam.

- Nie wiesz?!

- Nie pamiętam.

Zmrużyła oczy i przez chwilę wpatrywałyśmy się w siebie. Jej spojrzenie przeszywało mnie na wylot.

- Ale z ciebie dobra dziewczynka - wyszeptała.

Rumieniec zapłonął mi na policzkach, albo od skwaru w sypialni, albo od tępej, palącej serii tajemnic, które zdawały się we mnie rozprzestrzeniać. Nie rozmawiałam z ojcem od uczyty grupy pościgowej, nawet nie wspominaliśmy, że w niej uczestniczyliśmy. Patty Jo wróciła następnego dnia oporządzać Toy Boya, nie napomykając ani słowem o tańcu, piwie i drodze do domu. I tak tamta noc zamieniła się w coś innego, o czym nikt nie mówił, coś innego, co się zapewne nigdy nie zdarzyło.

Całe ciało mojej matki zadygotało, potrząsnęła głową, jakby budziła się ze snu.

- Przepraszam - powiedziała i wzięła ode mnie lód. - Ten upał. - Przyłożyła lód do karku. - Powoduje u mnie spięcia.

- Wszyscy od niego trochę wariują - powiedziałam.

- Zauważyłam. - Kiwnęła głową w stronę areny. Nie byłam pewna, czy mówi o klaczy, czy o ojcu.

- Tata ją wytrenuje - zapewniłam.

- Nie mogę się doczekać - odparła.

Kiedy ojciec po raz pierwszy dosiadał Darling, wspięłyśmy się z Sheilą na ogrodzenie areny, żeby popatrzeć. Modliszki ustawiły się rzędem obok nas, przekazując sobie torbę mrożonych winogron i popijając z papierowych kubków.

- Myślisz, że ona jest na to gotowa? - wyszeptała Sheila, a ja wzruszyłam ramionami.

Ojciec podniósł nogę do strzemiona, skracając wodze w rękę. Nie miało znaczenia, czy ona jest gotowa, czy nie.

Klacz położyła uszy i wygięła szyję. Stała absolutnie spokojnie pośrodku areny, sapiąc przez nozdrza i wyginając grzbiet.

- To normalne? - zapytała Bitsy.

Żebra Darling unosiły się w rytm oddechu, ogon miała podkulony. Ojciec czekał, ale ona się nie poruszyła. Powoli poprawił się na siodle, potem uderzył ją obcasami w boki. Kiedy tylko jej dotknął, rozpętało się piekło.

Wydawała się skakać pod każdym możliwym kątem. Wyskakiwała w powietrze pionowo, potem wykręcała się, spadając na ziemię, przecinała powietrze kopytami. Stawała dęba, potem wierzgała, potem odwracała ciało w powietrzu, uderzając o ziemię i wywijając głową mojego ojca. Trzymał się mocno nogami, rozluźniając górną połowę ciała, tak że poruszał się na jej grzbiecie niczym guma. Modliszki patrzyły z otwartymi ustami, wstrzymując oddech, a Sheila zakryła twarz rękoma.

- Ona go zabije - wyszeptała Patty Jo.

Przez kłęby pyłu widziałam, jak głowa mojego ojca wychyla się do przodu, ręce pracują wodzami, ściągając Darling w jedną stronę, kiedy ona wykręca się w drugą. Rzuciła się bokiem w ogrodzenie, przejeżdżając mu nogą po drewnianych belkach. Ale się utrzymał.

Kiedy spróbowała już wszystkiego, rzuciła się do biegu. Przecinała arenę pod dziwnymi kątami, zatrzymywała się ślizgiem, a gdy docierała do końca, rzucała się w przeciwną stronę. Powoli zbliżała się jednak coraz bardziej do ogrodzenia, aż cwałowała przez arenę pełnymi, równymi kręgami. Pot spienił się w brzdach jej klatki piersiowej i brzucha, ściekał po nogach, pysk przesłaniała ślina zbierająca się wokół wędzidła.

- Patrzcie - wyszeptała Patty Jo, kiedy stało się jasne, że ojciec nie zamierza dać się zabić, kiedy stało się jasne, że naprawdę ją ujeżdża. - Jezu Chryste!

Skierował ją na środek areny i ściągnął wodze, spowalniając ją, aż się zatrzymała. Stała przed nami, z sierścią mokrą od potu, ciałem unoszącym się w ciężkim oddechu. Ojciec siedział przez chwilę, potem przeniósł ciężar ciała, zsiadając jednym płynnym ruchem.

I tłum oszalał.

Modliszki stanęły w rzędzie, wykonując taniec triumfalny z prawdziwego zdarzenia, z wyrzutami nóg i ruchem rąk, krzycząc i pogwizdując przez zęby, a obok nich podskakiwała Sheila.

- Brawo, Joe! - wołała. - To było odlotowe!

- Naprawdę zdumiewające - powiedziała Patty, a mój ojciec uśmiechnął się szeroko.

Wyprowadził klacz z areny, a Sheila wspięła się na bramę, otwierając ją przed nim. Modliszki zebrały się dokoła, bez tchu opowiadając, w którym to momencie myślały, że już po nim, że nie ma szans. Ojciec stał z jaśniejącą twarzą.

- Rutyna - powiedział.

- Rutyna sryna - wysapała Bitsy. - Jesteś po prostu, kurwa, dobry! - Modliszki napełniły kubki z termosów, dodając jeden dla ojca.

- Po prostu, kurwa, dobry - wznosły toast i wypili. Ojciec odchylił głowę, opróżniając kubek jednym haustem.

Znowu polały, i jeszcze raz, wznosiły toast za męstwo, potem za prędkość, potem za czystą głupotę, która każe istocie ludzkiej wsiadać na grzbiet nieujeżdżonego konia. Wciąż czekałam, aż twarz mojego ojca się rozjaśni, aż powie, że czas skończyć z tym śmiesznym przedstawieniem, i powie wszystkim, żeby wracali do swoich zajęć. Ale on stał pośród nich, śmiał się, wznosił toasty i pił. Sheila podskakiwała wokół niego, a on ją chwycił pod ramiona, wywijając nią dokoła, aż piszczała.

- Alice - powiedziała Bitsy, kiedy zobaczyła, że wciąż siedzę na ogrodzeniu. - Ciebie nie zadziwił twój staruszek?

Ojciec spojrział na mnie i po raz pierwszy znajomy cień przemknął przez jego twarz, krótki cień rzeczywistości.

- Ach - powiedział - ona widziała takie rzeczy już tysiące razy. Dla niej to po prostu nic specjalnego.

Odwrócił się z powrotem do Modliszek, a one uśmiechały się do niego promiennie, napełniając mu papierowy kubek do kolejnego toastu.

Obok niego stała klacz, żebra unosiły się jej w ciężkim oddechu. W kącikach pyska widniała różowa piana - krew i ślina, ta sama krew, która u wszystkich wywołała takie przerażenie, taką odrazę, kiedy ja zraniłam Darling dutką.

Ojciec się mylił. Nie uważałam, że to nic specjalnego. Myślałam, że gdyby którakolwiek z nich mieszkała w stajni, zamiast ją odwiedzać wedle upodobania, to wiedziałyby, że jednokrotne przejechanie się na koniu nie oznacza, że został on ujeżdżony. To, że klacz stała przy nim teraz, wykończona i zakrwawiona, nie oznaczało, że różni się czymkolwiek od tamtej klaczy sprzed kilku godzin. Nic się nie wydarzyło. Nic się nie zmieniło. To, że mój ojciec zdołał się utrzymać na jej grzbiecie, nie oznaczało, że ktokolwiek na świecie kiedykolwiek zdoła powtórzyć ten wyczyn.

- O rany - powiedział mój ojciec, kiedy wszyscy odjechali. Padł na kanapę, a wielki palec u nogi wystawał mu przez dziurę w skarpecie.

Twarz miał jeszcze zarumienioną, włosy zupełnie mokre. Zamknął oczy, postukiwał palcami po klatce piersiowej, jakby słuchał muzyki.

- Była płynna - powiedział. - No wiesz, to było naprawdę niewiarygodne. Skręcała, jakby była na szynach. Nawet kiedy skakała i się miotła, to zupełnie miałem wrażenie, że ujeżdżam wodę. Jakbym siedział na bitej śmietanie. Ona jest czempionem, Alice. Nie żartuję.

Oparłam się o krawędź stołu w jadalni, patrząc, jak ojciec się uśmiecha do poplamionego wodą sufitu. Pomyślałam o Darling, stojącej samotnie w zagrodzie, w której trzymaliśmy Barta, z grzbietem splamionym potem, delikatną linią warg rozdartą i opuchniętą.

-Jazda na niej - mówił ojciec - była jak gonitwa, wybuch ognia, sztorm. Czuję się jak... cholera, sam nie wiem.

- Po prostu, kurwa, dobry? - zapytałam, a jego oczy otworzyły się gwałtownie.

- Hej - powiedział. - Uważaj na słowa.

Zagryzłam wargę, gotowa przeprosić, ale ojciec wciąż się uśmiechał, palce mu drgały z podniecenia, kolana, podrapane i zakrwawione po zderzeniu z ogrodzeniem, podskakiwały w podartych nogawkach dzinsów.

Zadzwoił telefon. Ojciec się zerwał i doskoczył do niego, by odebrać.

- To pewnie lokalne media - zażartował.

- Dlaczego? - zapytałam. - Wisimy im jakieś pieniądze?

- Dobry wieczór - zaświergotał ojciec do słuchawki. - Stajnia Winstona, przy telefonie Joe Winston, nadzwyczajny trener koni.

Zsunęłam się na kanapę, opierając brodę na dłoniach i powstrzymując się od wzniesienia oczu do nieba. Ojciec słuchał chwilę, potem odwrócił się do mnie, przyciskając palec do ucha.

- Co? - wyszeptał. W ogłuszającym skwarze panującym w pokoju po mojej skórze przebiegł dreszcz.

Ojciec w milczeniu kiwnął głową, jego oddech zwolnił, ramiona opadły. Rozmowa dobiegła końca, a ojciec stał, wpatrując się w słuchawkę.

- Co? - zapytałam.

Twarz mu pobladła, pokręcił głową, nie odpowiadając. Żołądek podjechał mi do gardła, dusząc mnie.

- Coś się stało? - wyszeptałam. - Coś z Noną?

Odwiesił słuchawkę, potem przeszedł przez pokój i padł na kanapę.

- Tatusiu - wyszeptałam, używając słowa, którym ona go nazywała. Jej słowa. - Tatusiu, powiedz mi.

Kiedy podniósł twarz, by na mnie spojrzeć, jego skóra była kredowo biała, twarz nieruchoma.

- To dziadkowie - rzekł wreszcie. - Przyjeżdżają.

Jack i Ruby byli rodzicami mojego ojca. Chociaż dom i stajnia kiedyś do nich należały, niemal nigdy nie przyjeżdżali z wizytą. Przed wyprowadzką Jack pracował jako kęgarz w małym gabinecie od frontu, teraz używanym jako magazyn. Nie pamiętałam, kiedy ich widziałam po raz ostatni.

- Kiedy? - spytałam.

- Już. - Ojciec zerknął na zegarek, potem wstał i podszedł do stołu.

- Dzisiaj wieczorem. Musimy się spieszyć. - Ręką zgarnął w stos rozrzucone gazety, potem pochylił się nad stołem, by kciukiem zdrapać cheeriosa, który przykleił się na amen w płamce zaschniętego mleka.

- Gdzie ich położymy? - spytałam.

Ojciec spał w gościnnej sypialni i nagle się przestraszyłam, że dziadkowie zostaną umieszczeni w pokoju Nony, odcinając mnie od szafy i telefonu.

Ojciec spojrział na mnie groźnie.

- Mniej gadania, więcej pośpiechu.

Odkurzałam, kiedy ojciec rozmieszczał lampy i dywaniki na plamach na wykładzinie. Potem przytrzymałam torbę na śmieci, a ojciec wsadził do niej stare gazety. Wszystko to wydawało mi się niepotrzebnym zamieszaniem. Jack i Ruby w końcu mieszkali w kamperze. Bałagan zapewne nie był im obcy.

Ojciec rozejrzał się bacznie po pokoju, ocierając czoło ramieniem.

- Dobrze, dobrze - powiedział. - Teraz została nam tylko kuchnia i... - Jego wzrok podążył przez korytarz do schodów i dalej w górę.

- Cholera - szepnął.

-Co?

Ramiona ojca opadły, kiedy jego wzrok dotarł do szczytu schodów.

- Muszę powiedzieć twojej matce.

Wydawało mi się niesprawiedliwe, że ja musiałabym sprzątać kuchnię, a on poszedłby na górę porozmawiać z matką. Jaki sens w ogóle było jej mówić? Raczej nie popędzi na dół, by chwycić za miotłę. On by jej wyjaśniał, że dziadkowie jadą, a ona by siedziała na górze i wymyślała dziwne rzeczy, aż goście dotarliby na miejsce.

- Może niech to będzie dla niej niespodzianka? - podsunęłam. Kiedy ojciec na górze rozmawiał z matką, ja zamiotłam podłogę

w kuchni i przetrąłam blaty sprayem, pachnącym cytrynami i spirytusem. Potem zrobiłam trochę porządku w szafkach, stawiając talerze z talerzami, szklanki ze szklankami. Zebrałam ogromne kubki plastikowe z barów fastfoodowych i schowałam je do spiżarni za puszkami warzyw, których nigdy nie jedliśmy, i maszyną do robienia lodów, której chyba nigdy nie użyliśmy.

Ojciec wreszcie zszedł na dół, stawiając ciężkie kroki i nisko zwieszając głowę. Siadł na ostatnim stopniu i ujął głowę w dłonie, masując podstawę czaszki kciukami.

- No to jak? - powiedział. - Myślałaś już, gdzie ich położymy?

Ruby Winston była najgrubszą osobą, jaką w życiu widziałam. Wpatrywałam się w nią przez maleńki prostokąt drzwi kampera i zastanawiałam się, jak ona wydostanie się na zewnątrz. Przepchnęła się przez drzwi, rękoma przenosząc brzuch. Popękane różowe stopy wystawały poza drewniane podeszwy sandałów.

- Wielki Boże - sapnęła, kiedy mnie uściskała. - Zrobiłaś się ogromna.

Ruby kołysała mnie na sobie, wciskając w piankową masę swojego brzucha. Potem cisnęła mnie na bok i sięgnęła po mojego ojca.

- Och, Jody - sapnęła. - Och, Jody, och, Boże!

Ojciec zeszywniał, a ja przyglądałam się mu zza oponki sadła Ruby. Kiedy się odsunął, ujęła jego twarz w dłonie, ścisnęła mu policzki, wydymając mu usta pomiędzy tłuszczkiem swoich rąk.

- Cześć, mamó - wymamrotał.

Jack był wysoki i szczupły, ze srebrnymi włosami i ramionami, które świeciły gładko i brązowo pod białą prasowanych rękawów koszuli. Poklepał mnie po ramieniu, a potem przyciągnął do boku i uściskał.

- Cześć, mała.

Trzecim członkiem tego towarzystwa był mały, żarłoczny pies ze spiczastym pyskiem i sierścią niczym brudny puszek do pudru. Pies burknął, kiedy Ruby podniosła go, żeby nas przedstawić.

- Pom-Pom to prawdziwe cudo - powiedziała. - I doskonale o tym wie. - Wzięła go pod pachy i wyciągnęła w naszą stronę, z rozczapierzonymi tylnymi łapami i pazurami trzymającymi się kurczowo powietrza.

Ojciec i ja staliśmy obok siebie, rozgrzani i brudni od sprzątanía. W tych całych przygotowaniach żadne z nas nie pomyślało, żeby wziąć prysznic i zmienić ubrania robocze. Włosy ojca były sztywne od potu, jego tiszert miał żółte plamy przy szyi i pod pachami. Ja czułam stajnię na własnych ciuchach, słodkawy zapach trocin i siana. Włosy miałam splątane, paznokcie czarne. Ruby patrzyła to na ojca, to na mnie, a jej uśmiech nieco przygasł.

- Kogoś brakuje - stwierdziła.

Odwróciłam się do ojca. Na pewno powiedział im o Nonie.

- Marian jest w środku - rzekł.

Ruby wetknęła Pom-Poma pod pachę i otworzyła na oścież kuchenne drzwi, wyzwalając kolejną falę podniecenia, która wprawiła ją całą w drzenie.

- Marian, kotku, kopę lat!

Wychyliłam się zza talii Ruby. U stóp schodów, ubrana i wyprostowana, stała moja matka.

Wyglądała drobno i wróblowato przy poręczy, sukienka zwisała z drążków jej ramion, z wielkich i luźnych butów wystawały listewki stóp. Babcia wyciągnęła ręce, by ją uściskać, a ja skuliłam się, myśląc, że matka rozpadnie się w proch w wielkich ramionach Ruby.

Ojciec podszedł do matki i objął ją ramieniem w talii, żeby ją podtrzymać w pionie, ona zaś palcami chwyciła go za tył koszuli, kiedy prowadził ją przez salon, a potem posadził na kanapie.

- Marian dopiero co chorowała - wyjaśnił. - Jeszcze jest trochę słaba.

Jack i Ruby spojrzeli po sobie, a ja stanęłam pomiędzy nimi.

- Jak długo zostajecie? - zapytałam. Oczy Ruby spoczęły na mojej matce.

- Jakiś czas - odparła. - Znasz papę Jacka. Musi spędzić trochę czasu na Zachodzie, żeby mu mózg nie eksplodował. - Jack stanął w wejściu,

wpatrując się w stajnię z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Nie wyglądał, jakby jego mózgowi kiedykolwiek groziła eksplozja. Ojciec pochylił się i lekko dotknął ramienia matki.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Podniosła oczy, ciemne i zapadnięte na tle białych kości policzkowych.

- Jestem zmęczona - powiedziała.

Ruby przeniosła Pom-Poma pod drugą pachę i powachlowała się różową rączką.

- Jezu Chryste, Jody, tutaj jest jak w piekarniku. - Całe jej ciało się kołysało, kiedy machała sobie ręką przed twarzą, po drżących czerwonych policzkach pociekła spod włosów strużka potu.

- Klimatyzacja się zepsuła - powiedział ojciec. Jack podniósł wzrok na sufit.

- Och, tak? A co jej się stało?

- Jest zepsuta - powtórzył ojciec.

- Wejść tam jutro zobaczyć - powiedział Jack, a usta mojego ojca zacisnęły się w wąską linię.

Ruby ugotowała obiad w naszej kuchni, podczas gdy ojciec i dziadek prowadzili sztywną rozmowę o podróży, pogodzie i fali upałów. Nakryłam do stołu, a moja matka siedziała na kanapie, wpatrując się w ciemny ekran telewizora, jakby coś na nim było. Kątem oka przyglądałam się jej, zastanawiając się, co ojciec jej powiedział na gorze, jaką umowę zawarli. Próbowałam sobie przypomnieć poprzednią wizytę Jacka i Ruby, przypomnieć sobie, czy matka się ubrała i zeszła na dół, czy wcześniej grała swoją rolę - normalnej, szczęśliwej kobiety leczącej się z infekcji. Ale z ostatniej wizyty dziadków pamiętałam tylko uporczywe zapewnienia Ruby, że moja siostra wygląda kropka w kropkę jak ona w tym samym wieku, i krótkotrwałe upodobanie Nony do wymiotowania po posiłkach.

Kiedy Ruby niosła jedzenie z kuchni, mój ojciec objął matkę w talii, pomagając jej wstać i prowadząc ją do stołu. Ruby zerknęła na nią znad miski tłuczonych ziemniaków.

- Podczas ostatniej naszej wizyty też byłaś chora, Marian - powiedziała, a matka spojrzała na nią zdumiona.

- Naprawdę? - spytała. - Dziwne. Zazwyczaj mam końskie zdrowie.

W czasie obiadu Pom-Pom truchtał dokoła stołu, skowyczał i stawał na dwóch łapkach, zebrząc o jedzenie. Mój ojciec przyglądał mu się, wydymając usta z obrzydzenia.

- Lepiej nie wpuszczajmy tego psa do koni - powiedział. - Zdrapywalibyśmy z podłogi jego mózg.

- Nie sądzę - odparł Jack. - Psy nie mają mózgu.

Ruby wydeła usta jak śliwkę, wzięła kawałek chleba z talerza, rozmoczyła go w sosie z pieczeni, po czym dała Pom-Pomowi zlizać go z palców. Po drugiej stronie stołu moja matka odchyliła głowę, krztusząc się cicho.

- A więc, Alice - zagadnęła Ruby. - Ile to masz już lat?

- Dwanaście - odparłam.

- Masz chłopaka?

Spuściłam wzrok, kręcąc głową, że nie.

- Twoja kuzynka Kissy też ma dwanaście lat - powiedziała Ruby. - A chłopaków ma trzech.

Mój ojciec kopnął pod stołem Pom-Poma, który burknął.

- Jak jakaś dziwka - rzucił.

Po drugiej stronie stołu moja matka wpatrywała się we mnie z dłońmi splecionymi na kolanach. Przed nią stał talerz z nietkniętym jedzeniem.

- Ile masz lat? - spytała matka.

- Dwanaście - powtórzyłam.

- Niemożliwe. - Jej twarz się ściągnęła, a usta zaczęły drżeć. Na krześle wyglądała na drobniutką, sukienka zwisała z drążków jej ramion, chudziutkie ramiona wyglądały jak gotowane makarony. Potoczyła wzrokiem po pokoju, po kątach, po suficie, po ścianach za nami, jakby nagle obudziła się ze snu i stwierdziła, że znajduje się w miejscu, w którym jeszcze nigdy nie była.

Jack i Ruby wpatrywali się w nią bez słowa, a mój ojciec przeskakiwał wzrokiem między nimi.

- Marian - powiedział w końcu. Jego głos był cichszy od szeptu, ale ona skierowała wzrok na niego i wymienili jakieś milczące słowa, zrozumieli się. Zamęt w oczach mojej matki rozpiechł się niczym chmury. Odwróciła twarz do dziadków, kąci jej ust wykrzywiły się w niepewny uśmiech.

- Czas płynie tak szybko - wyszeptała. - Zupełnie mi umyka.

- Komu ty to mówisz? - Ruby widelcem wskazała mojego ojca. - Wydaje mi się, że ten tu jeszcze wczoraj latał z pieluchą. Boże Wszchemogący, Jody był najpiękniejszym dzieckiem na świecie. Miał takie delikatne blond włoski i długie wspaniałe rzęsy. Ludzie ciągle mnie zatrzymywali i mówili: „Och, jaki cudowny bobas!”. - Ruby roześmiała się na całe gardło, uderzając dłonią o stół. Ojciec bębnił palcami po udzie i odwrócił się, by spojrzeć na zegar.

- Nie widziałem starego Barta - powiedział Jack po chwili, tnąc mięso na talerzu na wąskie, równe kawałki. - Przeniosłeś go do stajni?

- Bart nie żyje - odparła matka, a z drugiego końca stołu ojciec posłał mi spanikowane spojrzenie. Powiedzieliśmy jej, że Bart jest na farmie w Nebrasce, gruby i szczęśliwy. - Był chory i trzeba było go dobić.

Jack opadł na oparcie, przez chwilę oswajając się z tą wiadomością.

- Cholera - zaklął. - Kiedy?

- W zeszłym roku - odpowiedziała mu matka.

Jack westchnął do sufitu, potem kiwnął głową i wrócił do posiłku.

- A co z zastępcą?

Ojciec powoli żuł swoje jedzenie, obracając je w ustach i zerkając bokiem na matkę.

- Trzymam rękę na pulsie.

- Musisz mieć ogiera, chłopcze - powiedział Jack. - W stajni musi być ogier.

Wszyscy jeszcze jedli, kiedy moja matka wstała z oczyma utkwionymi w schodach.

- Chyba się położę.

- Powinnaś - powiedział ojciec i podniósł się z krzesła. - Miałaś ciężki dzień.

Jedną ręką trzymając ją za łokieć, odprowadził do schodów, potem się pochylił i obdarzył ją długim, dziwnie wyglądającym pocałunkiem w bok głowy. Kiedy już znalazła się na górze, wszyscy milczeli przez chwilę. Talerz matki stał na stole z nietkniętym jedzeniem, obok czystych sztućców leżących na wciąż złożonej serwetce. Ojciec zaczął sprzątać naczynia, a ja zerwałam się mu pomóc.

- To musiała być koszmarna infekcja - powiedział Jack.

Po kolacji siedziałam na stopniach ganku między kolanami Jacka, a on kciukami rozmasowywał mi mięśnie pleców, podczas gdy PomPom obwąchiwał nasze podwórko, podnosząc nogę, by zaznaczyć każdy najmniejszy kamień i kępkę trawy. Jack trzymał w zębach zapalone cygaro, dym unosił się w zwojach wokół nas, podczas gdy on poprawiał moją postawę i trzymając moją głowę w dłoniach, kołysał nią w przód i w tył.

Kiedy dom jeszcze należał do moich dziadków, Jack zarabiał pieniądze, nastawiając kręgosłupy ranczerom. Konie są za twarde na ludzki kręgosłup, tak mawiał, a ludzie bulili za wyłamywanie im kości i wbijanie kciuków w mięśnie szyi i ramion. Jeszcze po tylu latach starzy mężczyźni wciąż podchodzili do mojego ojca na konkursach albo w spółdzielni, kręcąc głową na boki i pocierając krzyż. „Ileż ja bym dał za małą kurację u Jacka Winstona” - mówili, a mój ojciec kiwał głową przeprasząc. Na czymkolwiek polegała tajemnica Jacka, jeśli chodzi o ludzkie ciało, zatrzymał ją dla siebie.

- Czujesz to? - spytał mnie. - Czujesz, że twoje plecy stają się uporządkowane? - Kiwnęłam głową. - Tak właśnie się dzieje, kiedy siedzisz prosto.

Ruby zapaliła papierosa i wcisnęła się na huśtawkę gankową obok mojego ojca. Łańcuchy jęknęły pod jej ciężarem.

- Przeszedłem się przez stajnię po kolacji - powiedział Jack do mojego ojca. - Masz tam pełno obcych.

- Lokatorzy - odrzekł ojciec.

- Naprawdę? - zapytał Jack łagodnie. - Tym się teraz zajmujesz? Na huśtawce ojciec wyjął papierosa z paczki Ruby i wsunął go do ust bez zapalania.

- Tymczasowo.

Palce Jacka wcisnęły się mocniej w mięśnie mojej szyi, a dym z cygara wypełnił mi nozdrza i zaszczypał w oczy, wprowadzając moją głowę w zawrotny trans.

- No cóż - odezwała się Ruby po chwili milczenia. - Nie chciałam pytać przy Marian, bo widać jak na dłoni, że ta choroba daje jej do wiwatu, ale teraz jesteśmy sami. Opowiadaj o Nonie.

- Nie ma co opowiadać - mruknął mój ojciec, niezapalony papieros podskakiwał w jego ustach. - Wyjechała. Wyszła za męża.

- Znasz tego chłopaka?

-Nie.

Ruby zdusiła papierosa o poręcz huśtawki i zapaliła następnego.

- Musisz coś dorzucić do tej historii, Jody. Potrzebuję szczegółów.

- Może wam pomogę z rzeczami? - zaproponował ojciec.

- Przygotowaliśmy dla was pokój gościnny.

- Później - powiedziała Ruby, a ja obróciłam się między kolanami Jacka, żeby popatrzeć na ojca. Czekałam, aż zacznie mówić.

Oto szczegóły: Jerry miał turkusowego pick-upa z białymi paskami po bokach. Włosy Nony były wilgotne, kiedy bosa wyszła na zewnątrz go powitać. Paznokcie u nóg miała wyszczerbione, pomalowane cukierkowo różowym lakierem, który połyskiwał w słońcu, kiedy nogami oplotła Jerry'ego w pasie i pocałowała go mocno w usta. Jerry miał dziewiętnaście lat, swobodny krok i kwadratowe, napakowane ręce, zwisające z ramion jak kowadła. Kiedy pomagał mojej siostrze pakować pudła na tył furgonetki, jego chude nogi ugięły się, a kolana wychyliły przez dziury w dżinsach. „Jezu Chryste

- powiedział wtedy mój ojciec. - Gdyby on był koniem, musielibyśmy go wykastrować”.

Ojciec próbował przemówić Nonie do rozumu. Stała na palcach, by pocałować go na pożegnanie, a wtedy on jedną ręką chwycił ją za gęstwą mokrych włosów. „Nie bądź głupia - powiedział. - Rusz głową”.

Ale Nona patrzyła na niego spokojna i poważna, nawet nie mrugając bławatkowymi oczami. „Pocałuj mnie na pożegnanie, tatusiu”. A skoro mój ojciec ani drgnął, sięgnęła za głowę i uwolniła swoje włosy z jego palców. Przez chwilę trzymała jego dłoń, potem podniosła ją do ust i przed odejściem musnęła go w nadgarstek.

Ruby sapała nad swoim papierosem, wypuszczając dym w długich, dobitnych wydechach: czekała. Ojciec chrząknął w moją stronę, a Jack pojął wskazówkę.

- Może mi pokażesz nowe żrebaki? - zapytał, szturchając mnie nogą.

Ponieważ nie miałam szansy tam zostać, podążyłam za migoczącą wisienką cygara Jacka, zwalniając kroku i wyteżając słuch, by rozszyfrować głos ojca na ganku. Skręciliśmy za róg domu i kiedy znikaliśmy z widoku, Ruby zapaliła ojcu papierosa.

- Dobra - powiedziała. - Gadaj.

W świetle księżycy żrebaki wyglądały na nowe i czyste na ciemnej plamie pastwiska. Jack oparł się o ogrodzenie, zaciągając się resztą cygara i wpatrując się w zarysy ich sylwetek.

- Widziałaś, jak się rodziły? - zapytał.

- Wszystkie oprócz jednego - odparłam i skrzywiłam się na to wspomnienie: mojej głupoty i słabych, bezskutecznych wysiłków, moich łez. Przy narodzinach żrebaka Ginger była tylko Sheila Altman. Teraz, w ciemności, żrebaki były bezimiennymi skrawkami cieni, nieodróżnialnymi. Ale jutro, w świetle dnia, Jack zobaczy to, co ja i mój ojciec widzieliśmy tej nocy, kiedy przyprowadziliśmy Capa znad kanału: ogierek Ginger był kasztanowoczerwony, miał białą strzałkę na nosie i jedną białą skarpetkę na tylnej lewej nodze - wyglądał jak Bart.

Jack rzucił cygaro, zdeptał je w pyłe czubkiem buta.

- Tak między nami - powiedział - jak się tu sprawy mają? Próbowałam odgadnąć, jak powinna brzmieć właściwa odpowiedź.

- Pomalowaliśmy stajnię - powiedziałam. - I przyczepę.

- Widziałem. Wszystko ładne i lśniące, zgadza się.

- A więc sprawy mają się dobrze.

Jack pokręcił głową, uśmiechając się w ciemności.

- Wiesz, jaki jest twój ojciec - powiedział.

Mój ojciec. Ledwie kilka godzin wcześniej stał otoczony Modliszkami, uśmiechając się od ucha do ucha i wznosząc toasty papierowym kubkiem. A teraz siedział zmieszany obok swojej matki, wyrzucając szczegóły dnia, w którym moja siostra wsiadła do auta z obcym, by już nie wrócić. Nie mógł powiedzieć nic, czego już nie wiedziałam, nie widział niczego, czego ja nie widziałam. To bez sensu, że chciał się mnie pozbyć, zanim zaczął rozmawiać z Ruby.

Ale potem pomyślałam o Polly Cain, jak mój ojciec ją znalazł, widział ją, niósł jej martwy, pusty ciężar przez wodę. I nic nie powiedział. Tyle czasu spędziliśmy razem, nieskończone okresy gorących, okropnych dni, długie, ciche wieczory, i wciąż były rzeczy, których mi nie mówił, rzeczy, o których nie wiedziałam. Dzisiejszej nocy dziadkowie będą spali w pokoju gościnnym, a mój ojciec wejdzie po schodach do pokoju mojej matki, położy się obok niej w jej łóżku, będzie oddychał tym samym powietrzem, dzielił tę samą przestrzeń, ten sam spokojny rytm snu, jakby robili tak każdej nocy, jakby byli czyimiś rodzicami.

- Tak - powiedziałam do Jacka. - Wiem, jaki jest mój ojciec. - Na świecie pełnym tyłu kłamstw, co szkodziło jedno więcej?

Kiedy następnego dnia wychodziłam z ojcem nakarmić konie, Jack był już na dachu. Siedział okrakiem na jednym z okapów, ze zwieszonymi nogami i swobodnymi ramionami. Obok niego leżał otwarty szeroko klimatyzator, a Jack gwizdał sobie, obracając w rękę kawałek metalu. Na nasz widok uśmiechnął się szeroko i pomachał.

-1 co wy na to? - zawołał i wskazał źrebaka Ginger na pastwisku. - Staruszek zostawił spuściznę! W południe klimatyzacja działała.

Potem Jack zajął się pompą wodną, która zardzewiała na naszym bocznym pastwisku, a potem bramą, która się nie domykała. Moja matka nie zeszła na dół na śniadanie ani na lunch, Ruby zaś spędziła rano w kuchni, piekąc ciasteczka i zapiekanki, i sprzątając z naszej lodówki brązową ohydłą wodę, która zebrała się w szufladzie na warzywa. W południe na stoliku karcianym w stajni ustawiła dzban zimnego ponczu owocowego i półmisek kanapek z szynką. Gestem przywołała Patty Jo i Bitsy które oporządziły swoje konie.

- Zrobiłam tyle, że wystarczy dla wszystkich - powiedziała. Staliśmy dokoła stolika, jedząc z papierowych serwetek, a Sheila

siadła na ziemi i karmiła Pom-Poma. Ruby zawołała Jacka z pastwiska, krzycząc, że będzie miał udar, jeśli nie zejdzie ze słońca. Ale nawet upał go nie zniechęcał. Dalej pracował, ocierając czoło niebieską chustką do nosa, którą trzymał w tylnej kieszeni. Rozpiął też górne guziki koszuli, by odsłonić srebrną kępkę włosów na piersi, połyskujących w słońcu od potu.

- Widzieliście go? - rzuciła Ruby od drzwi stajni. - Wróciliśmy ledwie wczoraj, a on już ma się za Johna Wayne'a.

- Cóż - powiedziała Patty Jo, skubiąc skórę kanapki. - Teraz widzę, po kim ma to Joe.

Ojciec zarumienił się od stóp do głów, a Ruby uśmiechnęła się grzecznie, zerkając nieśmiało na Patty spod powiek. Kiedy Modliszki wróciły do swoich koni, Ruby przechyliła się do mojego ojca i ściszyła głos.

- Uważaj no, Jody.

Wczesnym wieczorem Jack przyszedł z pastwiska, by pomóc nam w karmieniu koni. Sheila i ja musiałyśmy ciągnąć belę siana na spółkę, ale mój ojciec i Jack podnosili każdy po jednej, rzucali siano jednemu koniowi nad głowę drugiego i wciągali kubły ziarna do boksów, jakby nic nie ważyły.

- Rany - wyszeptała Sheila, kiedy Jack zrobił przerwę na papierosa.

- On jest jak Marlboro Man.

- Widzę, że dalej się tym zajmujesz - rzucił Jack do mojego ojca, wskazując na tylne pastwisko, gdzie trzymaliśmy Staruszki.

- Stary Ace będzie miał w tym roku trzydzieści lat - powiedział mój ojciec. Jack obejrzał się na mojego ojca i chwilę zatrzymał na nim wzrok.

- Ace był pierwszym koniem, na którym tu jeździłam - oznajmiła Sheila pogodnie. Weszła na ogrodzenie i posłała całusa Ace'owi, który dalej jadł, w ogóle jej nie zauważając.

- Nad czym teraz pracujecie z Yellow? - zapytał Jack.

- Uczymy się reiningu¹ - odpowiedziała. -1 niedługo wystartujemy w showmanship². - Zarumieniła się, a potem uśmiechnęła pod nosem.

- Chciałam powiedzieć, że to ja się uczę. Cap już wie, jak to wszystko się robi.

- To diabeł nie koń - powiedział Jack z powagą. - Musisz ciężko pracować.

- Pracuję - odparła Sheila. - Pracuję każdego dnia. - Cień z wątplenia w siebie przemknął po jej twarzy, ale widziałam, że docenia szczerość Jacka, to, że zdaje on sobie sprawę z wyższości Capa.

Na obiad Ruby przygotowała lasagne. Moja matka zeszła na dół i stanęła z bladą twarzą. Zamglonymi oczami patrzyła dokoła ze zdziwieniem.

- Powietrze - powiedziała i podsunęła rękę pod wentylator. - Spałam i spałam. Jakbym nie spała od setek lat.

¹ Reining - konkurencja jazdy western, polegająca na precyzyjnym wykonaniu określonego układu figur (schematu), co pozwala ocenić umiejętności jeźdźca i posłuszeństwo konia (przyp. red.).

² Showmanship - konkurencja polegająca na prezentacji konia „z ziemi”, bez dosiadania go. Oceniany jest wygląd i posłuszeństwo konia oraz zdolność prowadzącego do jego zaprezentowania (przyp. red.).

- Jack naprawił klimatyzację - wyjaśniłam. - Cały dzień pracowała.

Jack mrugnął do mojej mamy a ona przeszła przez pokój i stanęła przed nim, dotykając dłońmi jego policzków. Na jego skórze jej ręce wyglądały jak dwie kartki bibuły.

- Och, Jack - wyszeptała i położyła mu głowę na piersi. - Ja cię po prostu uwielbiam.

Po kolacji Ruby myła naczynia, a ja je wycierałam, podczas gdy moja matka siedziała przy stole kuchennym, wpatrując się w okno. Ruby nuciła, kołysząc swoimi szerokimi ramionami w nieśmiałym tańcu i przerywając od czasu do czasu, by nakarmić Pom-Poma kawałkiem jedzenia zostawionego na talerzu. Wycierając, przyglądałam się mojej matce ukradkiem. Skrzyżowała pod sobą nogi, przymknęła oczy. Klimatyzacja pracowała, poruszając jej włosami niczym bryza. Zjadła ledwie kilka małych kąsków z talerza i teraz popijała mleko, którego Ruby naląła jej do szklanki.

- Drobne kobiety potrzebują wapnia - powiedziała Ruby. - Dzięki temu ich kości nie zamieniają się w pył.

Matka zwiesiła luźno rękę i patrzyła w pustkę. Bezgłośnie uderzała palcami o tkaninę spódnicy, w niesłyszalny takt muzyki, którą Ruby nuciła.

- Chyba powinniśmy ich poprosić, żeby zostali - powiedziałam do ojca. Palił papierosa na werandzie, wpatrując się w przednie pastwisko.

- Kogo? - zapytał.

- Dziadków - wyjaśniłam. - Powinniśmy poprosić dziadków, żeby zostali jakiś czas. Miejsca wystarczy.

Ale ojciec nie odpowiedział. Stał zwrócony plecami do mnie, a ja przeszłam przez ganek, by sprawdzić, na co patrzy. Słońce już zaszło i na niebie pozostał tylko najlżejszy purpurowy cień. Na przednim pastwisku samotnie stał Jack, paląc cygaro. Klacze zarodowe wypasały się dokoła niego, a źrebaki przyglądały mu się z postawionymi uszami i nogami napiętymi do zrywu. Ręce Jacka zwisały swobodnie u boków, cygaro błyszczało pomiędzy zębami. Źrebaki zbliżały się do siebie, a po chwili się rozbiegały. Ich sylwetki zlewały się w mroku. Ostatni róż dziennego światła sączył się z nieba, kiedy jeden z mło-

dych wyszedł do przodu, wyciągnął szyję i wargi. Jack wysunął ramię i po krótkiej chwili wahania dotknęli się, nosem i palcami, i niebo poczerwiało.

- Czy pan w ogóle kiedykolwiek sypia? - zapytałam.

Była druga w nocy, świat spowijała cisza, pustynia spała, a on i tak odebrał telefon po pierwszym dzwonku.

- Zapadam w drzemki - odparł pan Delmar. - Lepiej sypiam, kiedy inni czuwają.

Po drugiej stronie ściany moi rodzice dzielili łóżko drugą noc z rzędu. Kiedy ojciec powiedział dobranoc, czekałam z uchem przy ścianie i wstrzymanym oddechem, myśląc, że on może siedzi i czeka, aż dom ucichnie, a potem przemyka na dół, by spać na kanapie. Ale minuty mijały i przez ścianę mogłam rozpoznać tylko niskie, rozmyte chrapanie mojego ojca. Jeśli oni w ogóle ze sobą rozmawiali przed zaśnięciem, to nie słyszałam słów.

- Mam złe sny - powiedziałam do pana Delmara.

- O czym? - spytał.

Chciałam mu opowiedzieć o wodzie wypełniającej mój pokój, kiedy śpię, przelewającej się przez okna, chlupoczącej pod drzwiami. Ale wiedziałam, że to za blisko niej, za bardzo przypomina wypowiedzianie na głos jej imienia.

- Nie pamiętam.

- Nie powinnaś bać się snów - powiedział. - Nie ma w nich nic, co mogłoby ci zrobić krzywdę.

- Wiem - odparłam, rozczarowana taką oczywistą odpowiedzią. Za bardzo przypominało to dorosłego, który pociesza dziecko, mojego ojca, mówiącego mi, gdy miałam sześć lat i bałam się burzy, że grom to tylko zderzające się dwa kawałki powietrza, a przy tym demonstrującego to rękoma. Całkowicie pomijał przy tym sedno sprawy.

- Nie zrywam cię - powiedział pan Delmar. - Miałem tylko na myśli, że sny to okazja. Możesz się zmierzyć z zagrożeniem, a jednocześnie nie zaznać rzeczywistego niebezpieczeństwa.

- Och. - Okazja to dobra rzecz, szansa, obietnica, przywilej, że można co noc tonąć, a przy tym nie umrzeć.

- Prawdziwe życie jest o wiele bardziej przerażające niż sny - dodał. - Ludzie są o wiele bardziej niebezpieczni niż to, co twój umysł jest w stanie wymyślić, kiedy śpisz.

- Jak rabusie bankowi i seryjni mordercy? - spytałam.

- Pewnie. Są naprawdę źli.

Pomyślałam o Modliszkach, o Ruby i pani Altman, wyczuwających w nich to samo niewidzialne niebezpieczeństwo, przestrzegających przed nimi swoje dzieci.

- Jak ludzie, którym nie można zaufać?

- Tak - odrzekł, a jego głos był teraz cichszy. - Oni są najbardziej niebezpieczni.

- Skąd można wiedzieć, którzy to są? - zapytałam.

- To proste - odrzekł, powoli zaciągając się papierosem. - Od tych właśnie najtrudniej trzymać się z daleka.

W sobotę Ruby zapakowała do chłodziarki pełno kanapek i napojów, żeby je zabrać na zawody. Jack został na dole przy przyczepie, pomagał mojemu ojcu oporządzić i osiodłać Capa, a pani Altman i ja podążyłyśmy za Ruby na trybuny. Ruby ubrała wcześniej Pom-Poma w różową pelerynkę oraz równie różowy daszek i niosła go pod pachą, kiedy się wspinała na trybuny, zatrzymując się co kilka kroków, by złapać oddech.

- Och! - sapnęła.,- Ależ mi brakowało zawodów!

Mijani ludzie patrzyli na nas, odskakiwali na bok na swoich siedzeniach, żeby zejść Ruby z drogi.

Ja szłam z tyłu, pochylając ramiona i uginając kolana. Moje spodnie były za krótkie, a koszula unosiła się wokół talii. Musiałam zwijać palce w butach, pochylając się do przodu, by schować przed ludzkim wzrokiem biały pasek brzucha.

- Stój prosto - powtarzał mi Jack w domu. - Nie chcesz chyba być posiwiąłym starym garbusem, kiedy dorośniesz, prawda?

Ruby prowadziła nas do górnego rzędu trybun, a potem stanęła.

- Tam siadałam - powiedziała, wskazując swoje stare miejsce. Pani Altman się uśmiechnęła, ale przemykała wzrokiem po tłumie, skrepowana zainteresowaniem, które budzi Ruby. - A jeśli Jody nie przycho-

dził pierwszy, krzyczałam: „Opluj sędziego, Jody! Opluj sędziego!”. Dlatego też woleli się dobrze zastanowić.

- Dobry Boże - jęknęła pani Altman.

Na dole obok placu konkursowego Bud Pope podszedł do mojego dziadka, a ten wyrzucił ramiona w powietrze, śmiejąc się głośno i potrząsając ręką Buda. Przez całuśki ranek członkowie grupy pościgowej podchodzili do Jacka, wykrzykiwali na jego widok, uśmiechali się od ucha do ucha, poklepywali go lekko po ramieniu. Mój ojciec stał z boku ze wzrokiem utkwionym w arenie, chociaż Sheila nie startowała w klasie, która właśnie tam się rozgrywała.

- Pani mąż nadal ma tu wiele kontaktów - zauważyła pani Altman, przyglądając się tym powitaniom.

- On nie chciał stąd wyjeżdżać - powiedziała do niej Ruby.

- Więc dlaczego wyjechaliście?

- Zrobiliśmy się za starzy na takie życie - wyjaśniła. - Jody się ożenił, musiał zacząć własne życie rodzinne. A moje dziewczyny wszystkie wyjechały. Matka musi być blisko swoich córek.

- Rozumiem - powiedziała pani Altman.

Na ringu Sheila stała przy moim ojcu i opierając mu głowę na ramieniu, patrzyła na rozgrywającą się konkurencję. Cały poranek nie odstępowała go na krok. Po raz pierwszy ojciec zgłosił ją do reiningu i z trybun widziałam, że jej usta zacinają się wciąż na tym samym pytaniu: „Jest pan pewien, że jestem gotowa?”.

- Cóż - powiedziała pani Altman. - Pani syn na pewno wykonuje dobrą robotę. Twarz Ruby złagodniała, kiedy uśmiechnęła się w stronę mojego ojca.

- Miło mi to słyszeć.

- Jest cudowny dla Sheili - ciągnęła pani Altman. - A ona go po prostu uwielbia.

- Jody to dobry chłopak - przyznała Ruby. - Delikatny, wie pani? Oczywiście, całe życie spędził z dziewczynami. Trzy starsze siostry, dwie córki. Niewielu mężczyzn radziłoby sobie z kobietami choćby w połowie tak jak on.

- Dla koni też jest dobry - zauważyła pani Altman. Ruby się roześmiała.

- To jedno i to samo.

Wyglądało na to, że na klientach najlepsze wrażenie robi przyglądanie się mojemu ojcu, jak trenuje konia. Postępy Sheili Altman jako jeźdźca były powolne, niezauważalne dla jej matki. Ale Darling to co innego. Codziennie ojciec siodłał ją i prowadził na arenę. Zawsze zaczynało się od rodeo, Darling rzucała się we wszystkich kierunkach, a ojciec trzymał się jej z całych sił. Ale Modliszki i Sheila z mamą były pod ogromnym wrażeniem. Niespełna miesiąc temu nie mógł nawet jej osiodłać, a teraz proszę, prawdziwy człowiek siedział jej na grzbiecie, utrzymywał się, prowadził ją przez spiny, zatrzymania i zmiany nogi. Nawet Ruby człapała na arenę popatrzeć, jak mój ojciec pracuje z Darling. Stawała blisko Modliszek, podsłuchując ich plotki i wykrzykując do ojca ostrzeżenia i zachęty. On zaś na ogół ją ignorował.

- Uważaj na jej łeb, Jody! - wołała Ruby. - Dobrze, dobrze, w lewo! Tylko Jack wydawał się odporny na rozgorączkowanie. Stał z tyłu,

obok mnie, opierając się o stajnię i pykając cygaro, podczas gdy kobiety tworzyły wokół areny swoją sekcję wiwatującą.

- Tak między nami - powiedział, kiwając głową w stronę areny - twój tata źle to robi.

Patrzyłam, jak Modliszki wybuchają entuzjazmem, kiedy mój ojciec wytrzymał serię potężnych bryknieć.

- Nie chodzi o to, żeby wytrzymać na grzbiecie - ciągnął - ale żeby odebrać im chęć do walki.

- Tak właśnie tata robi - powiedziałam. - One się w końcu uspokajają.

- Twój tata jest piekielnie dobrym jeźdźcem. A ten koń nie jest głupi. W głębi duszy ona wie, że nie może go zrzucić. Ale nie wyciąga z tego nauki. Tylko czeka na właściwy moment.

Czułam, że powinnam się z nim nie zgodzić i bronić metod mojego ojca. Ale patrzyłam na krąg kobiet omdlewających na ogrodzeniu, na uszy mojego ojca płonące od pochwał, i w środku czułam, że Jack ma słuszość. To nie była zdrada, to była prawda.

- Ona ma dobrą sylwetkę - powiedział Jack, patrząc, jak Darling się rusza. - Ile zapłacił?

- Tak między nami? - zapytałam. Kiwnął głową. - Trzy tysiące.

- Będzie warta więcej - powiedział. - O wiele więcej.

- Tak właśnie tata mówił.

Jack milczał chwilę.

- On potrafi rozpoznać wartościowy okaz - powiedział. - Ma to po mnie.

Jack nie był jedyny. Tego ranka ojciec załadował Darling do przyczepy obok Yellow Capa. Przyda się jej - powiedział - spędzić dzień na zawodach, pobyc w pobliżu innych koni, tłumów ludzi, głośników. Spędziła cały dzień uwiązana do przyczepy, tupiąc i parskając, kładąc uszy za każdym razem, gdy jakieś dziecko przechodziło za blisko niej. W południe wszyscy mężczyźni, którzy tłoczyli się wokół Jacka, kiedy go zobaczyli poprzednio, teraz zebrali się przy końskiej przyczepie popatrzeć na Darling. Gwizdali przez zęby i kręcili głowami.

- Prawdziwa ślicznotka - mówili. - Diabeł wcielony.

- Powinieneś ją pokryć - powiedział Jack, kiedy tłum się przerzedził. Ojciec siodłał Yellow Capa do reiningu Sheili. Obejrzał się przez ramię i zastanowił chwilę.

- Robi postępy - powiedział. - Poza tym jest za młoda. W tym wieku nie pozyskamy z niej dobrego żrebaka.

Jack pokręcił głową, rozpraszając wątpliwości ojca.

- Nie chodzi o żrebaka - wyjaśnił. -1 nie robi postępów nawet w połowie tak szybko, jak powinna. Nawet za rok nie będzie dobra. Zawieźmy ją do Pope'a i niech się nią zajmą.

Ojciec patrzył gniewnie na popręg Yellow Capa, a Jack strzelił do niego palcami.

- Pomyśl o tym, Jody - powiedział. - Pokryj ją teraz i w przyszłym roku będzie w ciąży przez najgorętszą część lata. Wierz mi, potem będziesz jej mógł na grzbiet wsadzić nawet dziecko.

Późnym popołudniem Ruby, pani Altman i ja zajęłyśmy ponownie swoje miejsca na trybunach, by oglądać reining Sheili.

- Ona jest śmiertelnie przerażona - powiedziała pani Altman. - Chyba w ogóle w nocy nie spała.

- Nie ma się czym martwić - Ruby poklepała panią Altman po kolanie. - Jody by jej nie wystawił, gdyby nie miał pewności, że jest gotowa.

Siedziałam obok nich w milczeniu. Reining był ostatnią konkurencją rozgrywaną tego dnia i w przeciwieństwie do innych, pojedynczą. Na arenie występował naraz tylko jeden jeździec. W innych klasach jeźdźcy prowadzili swoje konie powoli, skupiając się na precyzji

i płynnym, delikatnym kroku. Ale w reiningu podstawowym elementem była prędkość. Im szybciej koń przejeżdżał schemat, tym bardziej dramatyczny był efekt, im szybsze koła i obroty, tym dłuższy sliding stop¹ na końcu. Sheila siedziała skamieniała przed areną, czekając na swoją kolej.

Mój ojciec powiedział jej wcześniej, że może wykonać schemat w dowolnie niespiesznym tempie.

- Nie próbuj zrobić na nikim wrażenia - powiedział. - Staraj się po prostu przejechać bezbłędnie. - Wcześniej powtarzali schemat przed budką prezentera, a ja stałam z Sheilą, pomagając jej wszystko zapamiętać. W końcu brama się otworzyła i Sheila wjechała na Yellow Capie do środka, z białą twarzą i nieruchomymi oczyma. Sędzia i jego pomocnik siedzieli na składanych krzesłach z jednej strony areny, a kiedy uchyłili jej kapelusza, wskazując, że powinna zacząć, Sheila tylko wpatrywała się w szeroką, pustą arenę i ani drgnęła. Prosto na drugą stronę placu, pomyślałam. Dwa i pół obrotu w prawo.

Nieważne, co mój ojciec jej powiedział, a czego nie powiedział o prędkości. Yellow Cap pamiętał reining, wiedział, co trzeba robić, i kiedy Sheila wreszcie dotknęła obcasami jego boków, skoczył przez arenę, wzbijając kłęby pyłu. Sheila podskakiwała na boki w siodle. Obrót powinien być ciasny i wyśrodkowany, koń ustawiał jedną tylną nogę i obracał się na niej jak bąk. Ale Sheila szarpnęła wozami i przeniosła środek ciężkości na bok, prędkość wytrąciła ją z równowagi, a Cap, zmieszany, stracił rytm. W chwili gdy Sheila powinna była zacząć koła w galopie wokół placu, spanikowała. Z trybun widziałam, jak strach paraliżuje jej mózg i ogłupia ją. Przechyliła się na bok w siodle, kowbojski kapelusz spadł jej na oczy, zasłaniając widok.

Pani Altman zakryła twarz dłońmi, a Cap pędził brawurowo wokół placu, zataczając coraz większe koła i zbliżając się do skraju. Sędzia i jego asystent nagle zrozumieli, że ten koń się nie zatrzyma, więc wyskoczyli ze swoich krzesel, rzucając za siebie notatki i puszczając się biegiem przez arenę, żeby zejść Sheili z drogi. Cap zatrzymał się nierówno na środku placu, daleko od miejsca, w którym mieli zakończyć układ. Sheila położyła jedną rękę przy piersi, łapiąc oddech, po czym

¹ Sliding stop - efektowny element reiningu, polegający na gwałtownym zatrzymaniu ślizgiem z pełnego galopu (przyp. red.).

podniosła kapelusz, zerknęła przez arenę na puste krzesła leżące na boku, potem na sędziego i jego asystenta dyszących po drugiej stronie placu.

- Pomyśl o tym w ten sposób - powiedziała Ruby, poklepując panią Altman po udzie. - Gorzej już być nie może.

rozdział siódmy

Moje kuzynki od urodzenia walczyły o tytuł najpiękniejszej. Ruby miała osobny dla każdej dziewczynki album z wycinkami prasowymi o historii koron i wstęg. Przyniosła je do domu i rozłożyła na stole kuchennym, by pokazać mojej matce i mnie.

- To wasza rodzina - powiedziała. - A wy byście ich nie poznały, nawet gdybyście je minęły na ulicy. Serce mi pęka.

Zazwyczaj nie wolno mi było siedzieć w domu w środku dnia. Ale Sheila Altman po klęsce w klasie reiningu zrobiła sobie małą przerwę w lekcjach. A ponieważ temperatura nadal sięgała czterdziestu stopni, Modliszki coraz rzadziej pojawiały się w stajni. Jack i mój ojciec dalej pracowali, ale nikt jakby nie zauważył, że wymknęłam się do domu.

Ruby wertowała kartki, na których widniały moje nieznane mi w zasadzie kuzynki: w cekinach i piórach, idealnie i sztucznie uśmiechnięte pod maskami makijażu. Ruby miała rację. Gdybym minęła te dziewczyny na ulicy, w ogóle nie przyszłoby mi do głowy, że są moją rodziną. Prawdę mówiąc, gdybym minęła te dziewczyny na ulicy, pewnie bym przeszła na drugą stronę.

- Im wcześniej zaczniesz startować, tym lepiej - wyjaśniła nam Ruby, odwracając kartki. Jadła chipsy ziemniaczane z torby i wytarła tłuszcz z palców w spodnie, by wskazać zdjęcie.

- Patrzcie. Na tym Kissy miała dopiero sześć tygodni. I wygrała.

Niemowlę na zdjęciu spało, małe i pomarszczone jak staruszek, zanurzone w perłowych falbankach sukienki. Na czubku głowy tkwiła maleńka korona w gniazdku doskonałych blond loków.

- Jak na dziecko miała mnóstwo włosów - zauważyłam.

- Są sztuczne - wyjaśniła Ruby. - Malutka niemowlęca peruka. Wsadzasz ją na łyse maleńkie główki, czary mary i są włosy.

- To nie jest oszukiwanie? - spytałam, a Ruby pokręciła głową.

- Wszyscy tak robią.

Za oknem Jack i mój ojciec wydzielali część tylnego pastwiska. Jack powiedział, że żrebaki czas odstawić od matek, trzeba więc zrobić dla nich miejsce.

- Popatrzcie tylko na nich - Ruby westchnęła, mrużąc krótkowzroczne oczy. - Czyż to nie są najprzystojniejsi mężczyźni na tym wspaniałym Bożym świecie?

Było już późno, a słońce wciąż prażyło wysuszoną ziemię. Jack w upale wyglądał na odprężonego, mój ojciec wyglądał jak mój ojciec.

- Pewnie tak - odparłam, a Ruby wybuchnęła śmiechem.

- Młoda jesteś - rzuciła. - Kiedyś to zrozumiesz, prawda, Marian?

Moja matka nie odpowiedziała. Siedziała na krześle, z nogami podwiniętymi pod siebie, wpatrując się w okno. Ruby wyjątkowa o nią dbała, pilnowała, jak je, i wtykała w nią jedzenie przy każdej okazji. „Utuczę cię, póki tu jestem” - wciąż powtarzała. I chociaż moja matka nadal spała do późna, a wcześniej się kładła, wydawała się otwarta na wysiłki Ruby.

- Wypij mleko - mówiła Ruby, a moja matka wzdrygnięciem wybudzała się z transu i wysączała swoją szklankę niczym posłuszne dziecko.

Przewracając kartki, Ruby ochoczo wskazywała fałszywe na każdej fotografii - przedłużenie włosów, sztuczne rzęsy, sztuczne zęby, ukrywające braki w mleczakach.

- Widzisz, ile to pracy - powiedziała do mnie. - To między innymi dlatego prawie do was nie przyjeżdżamy. Jestem potrzebna twoim ciociom na froncie piękności.

Trudno było określić, ile lat mają moje kuzynki na fotografiach. Czasami dostrzegałam kościste nogi wyglądające spod rąbka koronki albo tłustą dziecięcą rączkę trzymającą mikrofon. Ale twarze miały dorosłych kobiet, poważne i ponętne, oczy pełne tajemnic, których ja nie umiałam sobie nawet wyobrazić.

Moja matka wysunęła chipsa z torebki i trzymała go ostrożnie między kciukiem a palcem wskazującym, rozważając możliwość

wsadzenia go do ust. Pom-Pom tańczył u jej stóp, a ona pochyliła się, by podać mu chipsa, i zachichotała, kiedy jego język połaskotał ją w czubki palców.

Ruby przyglądała się jej z palcami splecionymi na potężnym brzuchu.

- Masz podejście do psów, Marian - powiedziała.

- Uwielbiam psy - odrzekła moja matka.

- Powinnaś mieć psa.

- Miałam kiedyś. Nazywał się Cody.

- Kiedy byłaś mała? - spytała Ruby.

Matka pokręciła głową, karmiąc Pom-Poma drugim chipsem.

- Kiedy byłam mała, chciałam psa najbardziej na świecie. O niczym innym nie marzyłam. Ale mieszkaliśmy w małym domu, nie było tam nawet podwórka, więc nigdy nie mogłam mieć psa.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam, żeby moja matka wspomniała o czymkolwiek ze swojego wcześniejszego życia, poza naszym domem. Wyprostowałam się, zerkając poprzez stół na Ruby, żeby zobaczyć, czy ona wyczuwa, że rozmowa z moją matką należy do rzadkości. Ale kiedy moja matka mówiła, Ruby tylko się uśmiechała i kiwała głową, zerkając w dół na album z wycinkami, wodząc palcami po zdjęciach swoich innych, bardziej znajomych wnuczek.

- Jak już poślubiłam Joego - ciągnęła moja matka - ktoś porzucił Cody'ego na pustyni, a on trafił tutaj, do nas. Był taki obity. Głowę miał wgniecioną z jednej strony i utykał jak mały staruszek. Ale och! To był najśłodszy pies pod słońcem. Kiedy byłam w ciąży z Noną, kładł mi głowę na kolanach, tak że miał ucho dokładnie przy brzuchu. „Słyszysz dziecko, Cody?” - pytałam. A jego ogon uderzał o moją nogę, łup, łup, łup. - Matka odwróciła się do mnie, z oczyma zamglonymi wspomnieniem. - Pamiętasz to, Alice?

Patrzyła na mnie, uśmiechając się bezwolnie i słabo. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni na mnie w ogóle spojrzała, kiedy po raz ostatni zadała mi jakieś pytanie. Nie powiedziałam jej więc, że nie znałam tego psa, że w ogóle nie jestem w stanie pamiętać czegoś, co się zdarzyło przed narodzinami mojej siostry. Nie powiedziałam jej, że aż do tej chwili nie wiedziałam nawet o istnieniu Cody'ego.

- Musiał być wspaniały - odezwała się w końcu Ruby.

- Był - potwierdziła matka i jej twarz się wygładziła, a uśmiech przygasł. - Był wspaniały. A potem koń kopnął go w głowę i Cody umarł.

Matka znowu spojrzała w okno, a to wspomnienie, historia, moment szczęścia uciekły w cień.

- Jestem zmęczona - powiedziała, wstając. - Chyba się teraz położę.

Patrzyłyśmy z Ruby, jak wspina się po schodach, drobna, nieporadna postać. Kiedy zniknęła na górze, Ruby sięgnęła na drugą stronę stołu po szklanę mojej matki i jednym haustem dopiła mleko. Spojrzała na mnie znad pustej szklanki, a potem sięgnęła do kieszeni po papierosa.

- Twoja matka jest osobliwa, Alice.

- Wiem - odrzekłam.

Ruby zapaliła papierosa, a ja patrzyłam w ziemię. Jak zawsze, kiedy ktoś zaczynał mówić o mojej matce, bałam się, że wszelka wzmianka

o mnie, o tym, kim jestem, może nagle uciszyć rozmówcę.

- Kiedy Marian po raz pierwszy tu przyjechała, była jeszcze dziewczynką - powiedziała Ruby. - Małą, malunią. Ale i Jody był prawie dzieckiem. Jack dawał jej lekcje, a Jody po prostu zwariował na jej punkcie. Oczywiście każdy widział dlaczego. Kiedy Marian była szczęśliwa, słońce świeciło z jej skóry. Nie można było oderwać wzroku.

- Ale ty jej nie lubiłaś? - spytałam. Ruby wzruszyła ramionami.

- Marian zawsze żyła po swojemu, już wtedy. - Podniosła znacząco brwi, a ja kiwnęłam głową na znak, że rozumiem, o czym mówi. - Nigdy nie pasowała do takiego życia. To było jasne jak słońce i powtarzałam to Jody'emu miliony razy.

- Ale on był zakochany - powiedziałam.

- Ale on był zakochany - Ruby westchnęła. - A przecież kiedy człowiek jest zakochany, to robi się samolubny i głupio uparty, tak że nikt

1 nic go nie przekona.

- Nie lubisz go za to? - spytałam.

Ruby roześmiała się, a papieros podskakiwał jej w palcach, obsypując blat stołu popiołem.

- Teraz to próżne gadanie - powiedziała, ścierając dłonią popiół ze stołu. - Zrobił, co zrobił, i teraz jesteś ty, a jaki byłby świat, gdyby ciebie nie było?

Nie odpowiedziałam. Świat pewnie byłby taki sam.

Miłość. To słowo wszystko zmieniało. Ludzie mieli różne pragnienia, wyobrażali sobie wymarzone życie, i to wszystko rozpadało się w gruzy, kiedy się zakochiwali. Tak było z moim ojcem, z moją siostrą. Tak było z Polly Cain.

Zmieniła się moja wersja historii Polly, tego, co się stało, jak skończyła. Chętnie uznawałam, że była po prostu niezdarna, że padło na nią, że należała po prostu do tych osób, które jednego dnia były, a drugiego już nie. Ale teraz jakoś mimowolnie, myśląc o ostatnich chwilach Polly, myślałam o panu Delmarze. Miłość wystarczyła, by człowiek nie uważał, by stracił równowagę i stał się nieostrożny. A tęsknota, ciemna pustka, która powstawała w duszy, potrzeba, aby bić się w pierś i łkać w środku nocy, mogły wystarczyć, by człowiek zapomniał, jak stawiać kroki. Mogły wystarczyć, by człowiek przekroczył punkt, w którym grunt się kończy, a zaczyna się woda.

W miarę jak rozmawialiśmy coraz więcej, kiedy odliczałam chwile, aż będę mogła wśliznąć się do szafy Nony i wybrać jego numer, pozostałe elementy mojego życia traciły znaczenie. Osoba, którą byłam, zanim go poznałam, odpływała w dawne życie, które zdawało się bardziej snem niż rzeczywistością. Chwytałam się wszystkiego dla zabicia czasu, czekając na moment, gdy znowu będziemy mogli rozmawiać. Upał, pustynia, stajnia wypełniona ludźmi, których ledwie znałam, to wszystko były tylko pozory, historia opowiedziana mi przez kogoś, gdy ja byłam pogrążona w półśnie. Nocą ten świat znikał w ciemnościach, a budził się mój własny świat, tajemny.

Bez względu na to, jak późno dzwoniłam, on zawsze odbierał.

- Czytałem coś dzisiaj - powiedział mi ostatnim razem. -1 pomyślałem o tobie.

„Wtedyśmy się po morskich salach przechadzali, / Przez wodnice w brunatne glony uwieńczeni, / Aż zbudziły nas ludzkie głosy, i toniemy...”²

Robił to coraz częściej, czytał fragmenty z powieści, gazet, tomów wierszy. Nigdy nie pytałam o tytuły ani autorów, a on nigdy sam ich nie podawał. Zamykałam natomiast oczy, by słowa płynęły przez mój umysł w mglistych falach - jak mój osobisty ocean. Przywiązałam się

² T. S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, przet. W. Dulęba.

do jego głosu, jego oddechu, delikatnych drgnień nocy szeleszczących w powietrzu dokoła niego. W ten sposób spędzaliśmy razem czas. Reszta świata znikwała za najczarniejszą smołą ciemności, a my zostawialiśmy sami po drugiej stronie. To na pewno była miłość. No bo cóż innego?

Ojciec i dziadek skończyli już na ten dzień pracę przy ogrodzeniu, kiedy wyszłam zawołać ich na kolację. Jack stał na przednim pastwisku, a źrebaki tłoczyły się wokół niego. Przeszłam przez ogrodzenie, a młode pierzchły, kiedy ruszyłam w ich stronę.

Jack podniósł rękę na powitanie, a ja zwolniłam kroku, martwiąc się, że może przeszkodziłam w tej jakiejś dziwnej praktyce, dzięki której utrzymywał je przy sobie. Ale on pomachał na mnie jedną ręką, drugą wciąż wyciągając do źrebaków. Szeptał do nich, wołał je i chociaż patrzyły na mnie spode łba, przemieszczały się w jego stronę, wyciągając do niego swoje małe nosy. Sięgnął do kieszeni i znowu wyciągnął rękę, podczas gdy źrebaki tłoczyły się wokół niego, wyciągając nosy do jego palców. Gdybym była choćby metr dalej, nie zauważyłabym białej kostki cukru na jego dłoni, kiedy wyciągał ją do źrebaka Ginger.

Przez te wszystkie popołudnia mój ojciec przyglądał się Jackowi z werandy, przeklinając pod nosem i zastanawiając się, na czym polega jego sekret, a teraz ja go poznałam. On je przekupywał.

- Jesteś okropny - powiedziałam, a Jack posłał mi szelmowski uśmiech. - Wiesz, że wpajasz im złe nawyki - dodałam. - Robisz z nich podskubywaczy. Tata by dostał szału, gdyby wiedział.

Jack trzymał ręce przy boku i ruszył do mnie, wzruszając bezradnie ramionami.

- Jestem dziadkiem - powiedział. - Muszę je rozpuszczać, taka moja rola. - Wyciągnął z kieszeni następną kostkę cukru, trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym, a potem ujął mnie wolną ręką pod brodę i odchyliwszy moją głowę, umieścił mi cukier na języku. - Nie wydasz mnie, prawda? - zapytał.

Kostka rozpuściła mi się na języku, wypełniając moje usta ciepłym, słodkim syropem. Przełknęłam, potem podniosłam na niego wzrok, poddając się.

- Dobrze - powiedział i wyprostował mi ramiona. -1 stój prosto. Kiedy ogrodzenie za tylnym pastwiskiem było skończone, Jack zaczął budować drugi round pen.

- Nie potrzeba nam drugiego round pena - powiedział mój ojciec, kiedy Jack przyjechał z ciężarówką pełną drewna.

- Nie zaszkodzi - odparł Jack, a potem spojrzął na mnie. - Alice, powiedz mu.

- Możemy go użyć do lonżowania - wyjaśniłam. - Do ćwiczeń jeździeckich. - Drewno było już kupione, przestrzeń rozparcelowana w głowie Jacka - dokładnie po drugiej stronie istniejącego round pena. Ojciec się poddał. Jaki sens miałyby spieranie się? I w ten sposób narodził się nowy projekt. Mój ojciec i dziadek całymi dniami piłowali, stukali młotkami, odmierzali odległości i wbijali pale w ziemię.

Sheila Altman w końcu wróciła i uprzętałyśmy ściółkę z boksów, a odgłosy młotków niosły się przez stajnię.

- Zastanawiam się, czy nie zrezygnować - powiedziała, a ja się zatrzymałam, z kijem od grabi w przepoconych dłoniach. Powietrze wokół nas wibrowało hałasem i przez chwilę chciałam udawać, że w tym hałasie jej nie zrozumiałam. Ale Sheila patrzyła na mnie spod białych piór swoich rzęs. Słyszałam każde słowo i ona o tym wiedziała.

- Dlaczego? - wyszeptałam.

Sheila dalej sprzątała, przesiewając trociny stanowiska Toy Boya grabiami i wrzucając odchody do taczki.

- Wiesz dlaczego - odpowiedziała. - Wszyscy wiedzą.

Jak długo czekałam, aż Sheilę Altman oświeci, aż się ugnie przed rzeczywistością i zrezygnuje? Ale wyobraziłam sobie, że ona odejdzie, wyobraziłam sobie popołudnia puste bez jej lekcji. Teraz byli tu Jack i Ruby, budowali, gotowali i zmuszali moją matkę do picia mleka. Ale oni nie zamierzali tu zostać. Sheila Altman była naszą jedyną klientką. Nie można jej było pozwolić na rezygnację.

- Z powodu ostatniego konkursu? - zapytałam. - Z powodu jednej głupiej klasy? Sheila podniosła głowę i teraz patrzyła mi prosto w oczy.

- Niemal zabiłam sędziego.

- E tam - powiedziałam, wracając do pracy, jakby tak rozmowa nie różniła się od wszystkich innych, tych o wyższości wyglądu Capa nad wyglądem innych koni, o denerwującym śmiechu Modliszek, o nie-

znośnych falach upałów. - Miał ogromną przewagę na starcie. Zanim rozjechałaś jego krzeselko, był już na drugim końcu stanu. Sheila patrzyła na mnie. Nie dała się nabrać.

- Jestem do niczego - powiedziała. - Wiesz o tym. Twój tata to wie. Ten sędzia i jego asystent, cały świat to wie. Marnuję wszystkim czas.

- Zwariowałaś - odparłam, a Sheila patrzyła na mnie szeroko otwartymi, przeszywającymi oczyma osoby, której nie interesują pochlebstwa ani fałsz.

- Podaj mi jedną osobę - powiedziała - tylko jedną osobę, która w ogóle kiedyś była choć trochę dobra, a nie robiła tego od urodzenia.

Czułam w głowie całkowitą pustkę. Ona pytała o jedno imię. Musiałam tylko kogoś zmyślić.

- Nie kłam - ostrzegła mnie głosem zabójczo spokojnym. Znała mnie. Tyle godzin spędziła w stajni, sprzątajac, zamiatając i szuflując obok mnie, ale dopiero w tej chwili zdałam sobie sprawę, że ona tyle rozumie.

I wtedy zobaczyłam naszą przyszłość. Jack miał rację co do Darling, ona nie zrobi postępów nawet w połowie tak szybko, jak sądzi mój ojciec. Teraz stajnią władają Modliszki, rechocząc swoim bogackim, znużonym śmiechem. Sheila Altman była naszą ścieżką do wolności, naszym wyjściem. Może uważałam, że nie umie tego robić. Może nie lubiłam jej za wszystkie te nieograniczone możliwości, których moim zdaniem nie była w stanie wykorzystać. Ale w tamtej chwili to nie miało znaczenia. Ona była naszą nadzieją. I z tego nie miałam zamiaru rezygnować.

- Moja matka - powiedziałam. Sheila patrzyła na mnie niepewnie.

- Co twoja matka?

- Nie robiła tego od urodzenia.

Sheila oparła się na kiju od grabi, czekając.

- Przyjechała tu na lekcje, była starsza od ciebie, chyba miała piętnaście lat. Nie miała o tym pojęcia. Ale się nauczyła. - Sheila wciągnęła powietrze przez zęby, jej oczy zaszyły mgłą, kiedy słuchała. - Pracowała - powiedziałam, dorzucając szczegóły, których nikt nigdy nie raczył mi podać. - Tyrała, aż nic z niej nie zostało, aż chciała tylko paść na

ziemię, taka była zmęczona. Ale nie padła. Wytrzymała, dalej pracowała. I w końcu wygrała. Wygrała raz, drugi i trzeci. Była gwiazdą. Raz nawet było jej zdjęcie w gazecie.

Łza wypłynęła na zakurzony policzek Sheili, tworząc błotnisty strumyk i odsłaniając doskonałą brzoskwińską skórę pod spodem.

-1 on się w niej zakochał - wyszeptwała.

-1 ją poślubił.

Posiadłość Buda Pope'a była ogromna. Błąkaliśmy się po korytarzach stajni, mijając krytą arenę, klimatyzowane boksy, automatyczne poidła. Jack trzymał uwiąz Darling i szedł przodem, gawędząc z Budem, a ja z ojcem podążałam za nimi.

Droga do Centrum Jeździeckiego Pope'a minęła niemal w ciszy. Jack prowadził, ja siedziałam między nim a ojcem. Moje ciało kołysało się za każdym razem, kiedy uderzaliśmy w dziurę albo skręcaliśmy.

- Mnie to wygląda na stratę pieniędzy - wymamrotał mój ojciec, padając na siedzenie, z oczami odwróconymi do okna.

- Nie większa niż zapłata trzech tysięcy za konia, którego nikt oprócz ciebie nie może dosiąść - odgryzł się w końcu Jack, a ojciec cały zeszywniał.

- To chyba wyłącznie moja sprawa - rzekł.

- Chłopaki od szeryfa gadają - Jack mrugnął do mnie, dając mi do zrozumienia, że nie zawiedzie mojego zaufania, a ja opadłam na oparcie. Połowa członków grupy szeryfa była wtedy na aukcji. Bud Pope tam był. Każdy z nich mógł powiedzieć Jackowi, za ile w końcu poszła Darling.

- Lepiej by się zajęli swoimi sprawami - burknął ojciec.

- Pewnie się zajmują. Ale i tak interesują się również twoimi. Ojciec wychylił się, by spojrzeć na Jacka, którego ja mu zasłaniałam.

- Chcesz pogadać o tym, co słyszałeś? - zapytał. Jack wzruszył ramionami.

- Wszyscy wiedzą, że odczuwasz straszliwy brak pieniędzy, Jody. - Czulałam zawroty głowy od upału, uda przylgnęły mi do winylowego siedzenia. Ludzie o nas gadali, szepcząc za naszymi plecami o pieniądzech, których nie mamy. Całe lato garbiłam się w swoich ciasnych

ubraniach, czekając, aż mój ojciec zauważy, że potrzebuję nowych. Ilu ludzi dostrzegło to, czego on nie dostrzegł? - To małe miasto i ludzie gadają - ciągnął Jack. -1 wyjazd Nony wcale ci nie pomógł.

Oczy mojego ojca posłały pioruny na drugą stronę szoferki, ostrzegając Jacka, który jakby nigdy nic pilnował drogi.

- To niedobrze dla interesów - powiedział Jack - kiedy mężczyzna nie umie nawet upilnować własnych dzieciaków.

Całe powietrze zdawało się uciec z kabiny ciężarówki, zduszając mi płuca i zmuszając do otwarcia ust. „Ja tu jestem” - chciałam wyszeptać. - „Tutaj, między wami”. Ale moje usta nie mogły wyartykułować słów, oddech nie mógł się precyzyjnie przecisnąć przez krtań. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrział.

- Zaufaj mi, Jody - powiedział Jack do mojego ojca głosem spokojnym, pokrzepiającym, całkowicie nieświadom niewidocznej granicy, którą właśnie przekroczył. - Zabierzemy tę klacz do pokrycia. Odstawimy żrebaki i wykastrujemy ogierki, zarejestrujemy je, powinieneś już dawno to zrobić. Poczujesz się jak nowo narodzony, kiedy stajnia będzie działała należycie.

- Stajnia teraz działa świetnie - odparł mój ojciec, ale jego głos był słaby, ledwie silniejszy od szeptu. Jack nie odpowiedział, w końcu porzucając temat.

Nie miało znaczenia, co mój ojciec powiedział w ciężarówce. Nasza stajnia wyglądała na maleńką i nędzną w porównaniu z przybytkiem Buda Pope'a, i nie było sensu udawać, że jest inaczej. Ale kiedy przez nią szliśmy, twarz mojego ojca nie zdradzała, że on cokolwiek dostrzega. Mnie kusiło, by się rozglądać dokoła, patrzeć na długie linie białych płotów, równe rzędy pojemników z karmą, rozprężalnie³ i doskonale uporządkowane półki z ekwipunkiem jeździeckim, ale trzymałam z moim ojcem i na mojej twarzy odbijał się wyraz jego twarzy.

Jack mylił się w ciężarówce i chciałam to ojcu powiedzieć. Chciałam mu położyć rękę na ramieniu i powiedzieć, że Jacka tu nie było, nie widział ciężarownika, który mój ojciec dźwigał bez słowa skargi. A ja widziałam. Chciałam stanąć na palcach i wyszeptać mu do ucha: „Kostki cukru. Jack oszukuje”. Chciałam powiedzieć, że dajemy sobie radę. I poradzimy sobie.

³ Rozprężalnia - plac do rozgrzewki przed właściwym treningiem lub zawodami (przyp. red.).

Bud prowadził nas przez stajnię na padok, gdzie gniady ogier stał przywiązany postronkiem do ogrodzenia. Podniósł łeb, kiedy dobiegł go zapach Darling, jego całe ciało wygięło się i naprężyło, walnął jedną nogą w ziemię. Darling zarżała i uskokczyła w bok.

Przy ogrodzeniu stały bliźniaki.

- Alice Mazgalis - zawołał na mój widok Zach. Trzymałam się z tyłu, obok ojca.

- Mizianka całowanka - ciągnął Andy. Objął się ramionami i zacisnął oczy, całując powietrze. Krew we mnie zawrzała, poczułam drętwienie rąk, kiedy bliźniaki parsknęły śmiechem.

Podniosłam wzrok na ojca i zaczęłam kręcić głową. Chciałam, żeby wiedział, że trzymamy się razem, że i ja nie popieram takiej straty pieniędzy, że będę go chronić. Twarz mojego ojca była ściągnięta, czerwona, wściekła. Spojrzał na bliźniaków, potem na mnie. Otworzyłam usta, chcąc zapytać, co się stało, co mu się nie podoba. Zanim jednak zdołałam się odezwać, on sięgnął do mojego ramienia i chwycił mnie tak mocno, że aż zaskowyczałam. Próbowałam się wywinąć, ale on zacisnął chwyt, powodując spazmy oślepiającego bólu, który rozchodził się w dół moich pleców, po ramieniu i docierał do mojego mózgu, wprawiając go w odrętwienie.

Znowu próbowałam się wyrwać, ale odchyliłam głowę, a on drugą rękę przyłożył do mojego policzka, podnosząc mi głowę, tak że patrzyłam mu w oczy. Moje ciało zwisało bezwładnie z jego rąk. Próbowałam skupić wzrok pomimo bólu, próbowałam dojrzeć, co się dzieje, co zrobiłam. Ale w oczach mojego ojca płonął gniew, zalewając całe jego ciało i wdzierając się w moje.

- Trzymaj się z daleka od tych chłopaków - warknął. - Nie masz się do nich zbliżać na krok.

Puścił mnie, a ja zatoczyłam się do tyłu, z szyją i karkiem ściśniętymi bólem. Otwierałam i zamykałam usta, nie wydając dźwięku. Podniosłam wzrok na twarz ojca, wciąż czerwoną z wściekłości. Zbierało mi się na płacz, ale zamarł mi w gardle, zatrzymał się u nasady języka, wypełniając usta tępym, pustym bólem. Całe ciepło, słodka, delikatna miłość, która wypełniała moją klatkę piersiową jeszcze kilka chwil temu, teraz się wypalała, martwa. Nie czułam nic. Nie zdołałabym zapłakać, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

- Spokojna głowa - powiedziałam, patrząc mu w oczy i z trudem rozciągając usta. Potem zrobiłam w tył zwrot i chwiejnym krokiem dołączyłam do pozostałych, zostawiając go samego.

Bud uwiązał Darling na środku padoku i teraz kuczał za nią, skórzanym powrozem obwiązując w ósemkę jej tylne nogi. Jack i bliźniaki stali z boku i przyglądali się, odwróceniem plecami do mnie. Nikt niczego nie zauważył.

Stałam między bliźniakami, prowokując ojca, by przyszedł za mną, i wiedząc, że nie przyjdzie. Na padoku Darling ryła kopytami i próbowała ruszyć się w bok, ale Bud zaciągnął powróż i klacz zatoczyła się, po czym znieruchomiała.

- Co on robi? - zapytałam, a Zach wyszczerzył się do mnie.

- Pęta ją - odparł. - Związuje jej nogi.

Słońce prażyło, ale mnie było zimno, czułam się oszołomiona, chora. Objęłam się ramionami, próbując zdusić dreszcz, który przebiegał po mojej skórze, szczykanie zębów. Głęboki ból pulsował w mojej szyi i ramieniu, ale patrzyłam prosto przed siebie.

- Dlaczego? - zapytałam.

- No wiesz - odparł Andy. - Żeby nie kopnęła go w narządy finansowe. - Zach pochylił się do przodu, trzęsąc się ze śmiechu, a ja udawałam, że nie rozumiem. Stanówkę oglądało się dziwnie, była niezręczna, potężna i nieporadna, mechaniczna. Ale widziałam ją już setki razy. Widziałam wszystko. Nic nie mogło mnie zaskoczyć. Nic, co by powiedziały bliźniaki Pope, nie zdołałoby mnie przyprawić o rumieniec.

- Trenowanie nie idzie najlepiej, co, Joe? - krzyknął Bud przez ramię, luzując uwiąz ogiera.

Ponieważ mój ojciec nie odpowiedział, wtrącił się Jack.

- Próbujemy tylko zgasić jej trochę ognia - wyjaśnił, a Bud kiwnął głową.

- No, to jej akurat pomoże, zgadza się. - Odczepił uwiąz od kantara ogiera, puszczając go luzem na padok.

Ogier sapał i parskał, klusem podbiegał do Darling, drząc na całym ciele i tupiąc w ziemię. Ona odwróciła uszy, rozdeła chrapy, usztywniła nogi. Próbowała ruszyć się w bok, ale pęto ją trzymało. Oczy miała nieruchome, kiedy ogier, wbijając kopyta w jej boki, wspiął się na nią.

Ogier jęknął, wyginając się i kołysząc na tylnych nogach. Przednie kopyta znaczyły brudnymi smugami jej idealnie biały zad. Żebra Darling się unosiły, chrapy drżały w krótkich, skamłających oddechach. Jej tylne nogi poruszyły się w pęcie. Za sobą czułam obecność ojca przyglądającego się z dala. Wpatrywałam się w oczy Darling i nie było mi jej żal, nie czułam nic. Mój umysł był otepiały, przypominał tunel lodowatego wichru. Coś zamigotało w oczach klaczy, chwila, nic więcej, a słowa przecięły tkanki mojego ciała, niczym piorun przeszły powietrze pomiędzy nami: „Zabij go”.

Usłyszałam dźwięki, zanim zobaczyłam ruch: trzask drewna, pękająca skóra, surowe, wilgotne rozdarcie skóry. Ciało Darling zdawało się rozdymać, odrzuciła łeb, by złamać poręcz ogrodzenia, i w tym samym momencie cięła kopytami za siebie, rozdzierając pęta w strzępy. Ogier wydał odgłos niczym przebita opona, potem opadł na tylne nogi, sapiąc i trzęsąc się, aż wreszcie runął na kolana.

Jack i Bud zaczęli krzyczeć, pędząc do ogiera, potem do klaczy, potem do siebie w zamięcie i chaosie. Bliźniacy stali po moich bokach z otwartymi ustami i rękoma zwieszonymi u boków. Darling, uwolniona od kantara, pęt i ogiera, kłusowała swobodnie przez padok, potem zatrzymała się i odwróciła, przyglądając się całemu naszemu bezużytecznemu tłumowi zimnym kryształowym błękitem nieruchomego oka.

W domu Jack z poczerwieniałą twarzą zaprowadził Darling na round pen. Wypisał czek dla Buda Pope'a na pokrycie kosztów stanówki, a także połamanego ogrodzenia, zerwanych pęt i kilku tygodni, które zdaniem Buda ogier będzie musiał leżeć, zanim dźwignie mięsień po takim wściekłym kopniaku. W drodze powrotnej mój ojciec nieustannie zerkał na mnie, ale ja wpatrywałam się w drogę przez przednią szybę, w ogóle nie zauważając jego obecności. Żadne z nas ani razu się nie odezwało.

Klimatyzacja w domu pracowała pełną parą, w salonie panowała niby-zima.

- No i? - zapytała Ruby, kiedy mój ojciec i ja weszliśmy przez drzwi kuchenne. Matka tuliła się na kanapie, z ramionami owiniętymi afganem. Na stoliku obok niej stała szklanka mleka.

- Kopnęła go - powiedziałam, a matka dźwignęła się na kolana.
- Niemożliwe.
- Zerwała pęta - wyjaśnił ojciec. - Pękły jak pasek lukrecji. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Matka zakryła usta dłonią.

- Och - zachichotała. - Założę się, że Jack jest wściekły.

Ruby zaczęła wyduszać z ojca szczegóły o posiadłości Buda Pope'a. Widziałam, że odpowiadając, obserwuje mnie. Jego oczy śledziły mnie, kiedy przemknęłam pod ścianami i dalej przez drzwi kuchenne. Na popołudniowym niebie świeciło małe, białe słońce. Siadłam na stopniach ganku i dotknęłam szyi, krzywiąc się, kiedy palce musnęły bolesne miejsce.

W stajni czekała robota do wykonania, boksy do sprzątania, konie do ćwiczenia. Patrzyłam na podjazd, myśląc o wszystkim, co musi się wydarzyć, zanim ten dzień wreszcie dobiegnie końca, zanim wypełnią się te wszystkie pozostałe godziny. Słońce prażyło moje gołe nogi, ale nie czułam gorąca. Szloch, który zaczął wzbierać mi w piersi u Buda Pope'a, zamknął się we mnie i chociaż go czułam, czułam, jak dławi mnie w gardle niczym kawałek rozmiękłego chleba, nie odczuwałam smutku. Nie odczuwałam niczego.

Za mną otworzyły się i zamknęły siatkowe drzwi, na podłodze ganku zaszurały kroki. Ojciec stał przez chwilę, potem bez słowa usiadł obok mnie na stopniach. Czułam, że próbuje oszacować moje milczenie.

- To było niesamowite, co? - powiedział po chwili. Kiwnęłam głową, nie patrząc na niego. - Mamy szczęście, że nie rozłupała go na pół - ciągnął ojciec. - Mamy szczęście, że go nie zabiła.

Odchrząknął, próbując dobrać słowa, by znaleźć te, które naprawią zniszczoną przestrzeń między nami. Opierałam się o balustradę ganku, niezdolna do ruchu, niezdolna nawet się obrócić. Słyszałam tylko lekki szelest jego rękawów, kiedy jego ręka przysunęła się bliżej, podnosząc mi włosy z ramienia i odsłaniając gorące, bolesne ślady, które zostawiły na mojej skórze jego palce.

Wciągnął powietrze z zakłopotaniem, a w mojej klatce piersiowej coś zadygotało. Zimna, dławiąca szklana kulka w moim gardle roztopiła się w ciepłą ciecz, która sączyła się do żołądka i do zatok i wylewała się przez krawędzie oczu.

- Tego dnia, kiedy on po nią przyjechał - powiedział ojciec spokojnym głosem, puściwszy moje włosy. - Tego dnia, kiedy wyjechała...

- Odwróciłam się do niego, czekając. Łzy przelewały się przez moje wargi, na szyję i za kołnierzyk koszulki, ale nie ruszyłam się, żeby je obetrzeć. - Nie mogłam jej w żaden sposób zatrzymać.

- Wiem - powiedziałam.

Kiwnął zwieszoną głową, wykrzywiając twarz.

- Problem w tym - powiedział, a ja musiałam wyteńczyć słuch, by słyszeć jego słowa - że nie zauważyłem, że to nadchodzi.

- Ona już nawet do nas nie pisze - wyszeptalam. - Nawet nie dzwoni. - Z nosa mi ciekło, wargi miałam mokre i słone od łez.

- Nie rozumiem tego - rzekł. Głowa mu opadła, oczy się zmrużyły.

- Była zawsze taka otwarta, wiesz? Taka przejrzysta.

Zobaczyłam ją, tę moją siostrę. Śmiała się do rozpuku, z otwartymi ustami, z odrzuconą głową. Padała na kolana, kiedy płakała, kopała przedmioty, kiedy była wściekła. Jako dziecko lubiła być noszona, lubiła siedzieć ojcu na kolanach. Kiedy była starsza, kładła mu głowę na ramieniu, stawała obok niego, zaczepiając kciuk o kieszeń jego spodni, uciskając mięsień jego ramienia koniuszkiem podbródka. Była jego kochaniem, jego maleństwem i kotkiem. A potem pewnego dnia odeszła, niemal bez pożegnania. Jak mógł to przewidzieć?

- A ja? - zapytałam.

- Ty? - powtórzył i uśmiechnął się, nie podnosząc głowy. - Bóg raczy wiedzieć, co się dzieje w twojej głowie.

Słońce świeciło mi w twarz, osuszając moje łzy i ściągając skórę.

- Nawet kiedy byłaś malutka - ciągnął ojciec - nigdy nie wiedzieliśmy, co z tobą robić. Próbowaliśmy cię trzymać, a ty wyginałaś plecy, wykręcając się. - Odwrócił twarz do mnie, a jego oczy złagodniały powagą, momentem czystej, doskonałej prawdy. - Jesteś taka jak ja.

Patrzyliśmy na siebie przez oślepiający blask słońca. Nigdy w życiu mój ojciec nie wyznał bardziej otwarcie, że nie miał racji. Nigdy nie doczekałam się bardziej bezpośrednich przeprosin. I spróbowałam się do niego uśmiechnąć, ustami woskowymi od zaschniętych łez. Próbowalam pokazać, że to wystarczy.

- Pewnie powinienem sprawdzić, co z kłaczą - westchnął ojciec, wstając. Przystanął, śmiejąc się do siebie. - Co za szalona suka.

Po jego odejściu siedziałam sama na stopniach. Darling nie będzie w ciąży w tym roku, nie będzie stała, opuchnięta i brzemienna, pod brutalnym słońcem następnego lata. Pomyślałam o moim ojcu, o jego niewłaściwie zaadresowanym wybuchu gniewu, o siniakach, które przez wiele dni będą znaczyć moją skórę. Powiedział, że jesteśmy do siebie podobni. A ja, teraz kiedy było już po wszystkim, zastanowiłam się, czy on przyglądał się Darling tak wnikliwie jak ja. Zastanowiłam się, czy widział ten sam wyraz na jej pysku, kiedy wspiał się na nią ogier, czy dla niego było równie oczywiste jak dla mnie to, co się stało: że nie kopnęłyby, gdyby nie związali jej nóg.

rozdział ósmy

W dniu, w którym odstawiliśmy żrebaki, Sheila Altman wysiadła z minivana swojej mamy, machając do mnie różową kopertą. To będzie najlepsze pizama-party wszech czasów, powiedziała. Miałyśmy wypożyczyć filmy dla dorosłych, zamówić pizzę i jeść lody do zrzygania. W końcu nie co dzień Sheila Altman kończyła trzynaście lat.

Na zaproszeniu widniało moje imię wypisane brokatem i obwiedzione naklejkami pastelowych koni. Wpatrywałam się w nie, nie otwierając.

- Musisz przyjść - mówiła Sheila. - Jesteś właściwie moją najlepszą przyjaciółką.

- Przyjdzie - wtrącił mój ojciec, a ja zabiłam go spojrzeniem. - Za skarby świata by tego nie opuściła, prawda? - Zanim zdołałam odpowiedzieć, wziął kopertę z moich rąk i otworzył ją, by przejrzeć szczegóły. - W piątek o szóstej - powiedział.

- Ze śpiworem i poduszką - dodała Sheila.

- Alice przyjdzie - zapewnił ją mój ojciec.

Sheila klasnęła w dłonie i pobiegła do stajni, podskakując na palcach.

- Może nie powinnam iść - powiedziałam do ojca.

- To przyjęcie. Pracujesz ciężko. Zasłużyłaś sobie na chwilę rozrywki.

- Właściwie nie chcę iść - spróbowałam raz jeszcze.

- Będzie świetnie - odparł. Tak się więc miałam nastawić.

Kiedy oddzieliśmy żrebaki od matek, staliśmy dokoła, patrząc na ich ból. Krzyczały i uderzały piersią w ogrodzenie, biegając w kółko po zagrodzie i zderzając się ze sobą w kłębach pyłu. Zadzierały głowy,

plącząc cieniutkim, cierpiącym cichym rzeniem, który przesywał powietrze ich bólem. Oczy Sheili wypełniły się łzami. Wyciągnęła rękę między żerdziami ogrodzenia, by je pocieszyć, ale one były oślepienie cierpieniem i strachem. W żaden sposób nie mogła im pomóc.

- Dlaczego nie mogą po prostu zostać ze swoimi matkami? - spytała Sheila.

- Trzeba je trenować - wyjaśnił Jack. - Nie można pracować z koniem, który wciąż jest związany z matką. Muszą dorosnąć.

Sheila zadrżała, patrząc na nie, a mój ojciec stanął za nią i poklepał ją po ramieniu.

- Teraz to wygląda nie najlepiej - powiedział - ale szybko im przejdzie. Za kilka miesięcy moglibyśmy je z powrotem wpuścić na pastwisko z kłaczami, a one nawet by się nie rozpoznały.

- To prawda? - spytała Sheila, odwracając się do mnie. Oczy miała zaczerwienione, broda jej drżała.

Jeszcze nigdy nie podejmowaliśmy takiej próby, ale kiwnęłam głową.

- Absolutna - powiedziałam.

Łzy wylały się na policzki Sheili, a ona sama zwiesiła głowę.

- W życiu nie słyszałam niczego tak smutnego.

W ciągu kilku następnych dni wymiona kłaczy wezbrały od ciężaru niewypitego mleka. Pękały i krwawiły, kiedy kłacze stały w najdalszym kącie pastwiska - najbliższym źródła dźwięków wydawanych przez oszalałe, krzyczące źrebięta. Chodziły, tupwały i nawoływały z wyciągniętymi szyjami i otwartymi pyskami.

- Co to za hałas? - zapytał pan Delmar, kiedy zadzwoniłam. Nawet do szafy docierały przesywające powietrze głosy matek

i ich młodych oddzielonych kilkoma jardami, ale i tak dla siebie straconych.

- To telewizja - wyjaśniłam. - Moja mama ogląda show w drugim pokoju.

- Jezu. Ten dźwięk przypomina torturowanie królików. Wreszcie ciężar mleka stał się nieznośny, kłacze przegrały z bólem

i kładły się na wysuszonej trawie, poddając się udreće i rozpaczy.

- Może byśmy je wydoili? - podsunęła Sheila. - Tylko trochę. - Po drugiej stronie ogrodzenia kłacze przewracały oczyma, jęcząc do

pustego nieba, kiedy ich zmarnowane mleko wyciekało wąziutkimi strumyczkami na brązową trawę. Jack pokręcił głową.

- Tylko byś opóźniła to, co nieuniknione - powiedział. - Jeśli je teraz wydoimy, wyprodukują więcej mleka. Najłagodniejsze wyjście to po prostu pozwolić im cierpieć. - Jack podniósł głowę i patrząc w niebo, ściągnął brwi. - Odstawianie zawsze jest najstraszniejsze w latach suszy.

Klaczę jęczały na trawie, oczy miały szeroko otwarte i szkliste. Żrebaki były teraz cicho, ich gardła zdarły się po dwóch dniach nieustannych krzyków. Podniósł się wiatr, ukrywając ich zapach przed matkami. Nic już nie można było zrobić, tylko czekać, aż ból ustanie.

- Już koniec? - spytała moja matka, kiedy weszłam do domu. Siedziała z Ruby przy stole kuchennym, a przed nimi leżała talia kart do gry. Pom-Pom przycupnął jej na kolanach, a ona dyndała mu nad głową ciasteczkiem Oreo.

- W końcu umilkły - powiedziałam.

- To dobrze - zadygotała. - Ten odgłos przyprawia mnie o koszmary.

Ruby odłożyła karty i wstała.

- Jesteś głodna? - spytała. Pokręciłam głową, a ona ruszyła do kuchni.

- Ja bym może coś chciała - zawołała za nią matka. - Kanapkę - dodała, wrzucając Oreo do pyska Pom-Poma. - Z masłem orzechowym i bananem. Bez skórki.

Ruby zniknęła w kuchni, a moja matka zrzuciła Pom-Poma z kolan, wstała i podeszła do okna.

- Uczę się grać w pokera - powiedziała. - Do tej pory wygrałam sześć ciasteczek.

- To fajnie - odparłam.

Kołysała się przed oknem, poruszając biodrami w rytm muzyki, którą tylko ona słyszała.

- Może wyjadę do Las Vegas - powiedziała frywolnym głosem, potrząsając ramionami. - Nosiłabym pióra we włosach i chuchałabym na kości mężczyzn w smokingach. Zostałabym Lady Luck!

Dochodził wieczór, po drugiej stronie podjazdu pani Altman wysiadała ze swojego minivana i przystanęła, szukając czegoś w toreb-

ce. Ciało mojej matki przestało się kołysać, kolana znieruchomiały. Patrzyła przez okno. Pani Altman upuściła kluczyki i pochyliła się, by je podnieść. Kiedy wstała, przechyliła na bok głowę, wyczuwając, że jest obserwowana. Oczy mojej matki napotkały oczy pani Altman i obie kobiety znieruchomiały jak koty, wpatrując się w siebie przez okno. Stały przez chwilę, a potem pani Altman podniosła rękę i pomachała niezgrabnie. Moja matka też podniosła rękę. Pani Altman się uśmiechnęła, zerknęła na dom, potem odruchowo napuszyła oburącz włosy i odwróciła się, by wejść do stajni.

- To matka dziewczynki - wyszeptła moja matka, usuwając się na bok. Zakryła zasłoną klatkę piersiową i wychyliła się ostrożnie, by wyjrzeć za oddalającą się postacią pani Altman.

- Matka Sheili - poprawiłam. - Zgadza się.

- Jest ładna. - Odwróciła się, by spojrzeć na mnie. - Nie sądzisz?

- Pewnie. I bardzo miła.

- Wygląda zupełnie jak ta dziewczynka.

- Sheila! - powtórzyłam, a moja matka kiwnęła głową, powtarzając to imię bezgłośnie. - Ma urodziny w tym tygodniu. Tata mówi, że muszę iść.

Matka się odwróciła, a jej wzrok przeszywał mnie jak brzytwa.

- Oczywiście, że pójdziesz - wyszeptła. - A potem mi powiesz, jak tam jest.

- To znaczy?

Matka wychyliła głowę do przodu, zsuwając mi włosy z ramienia, by wyszeptać mi do ucha:

- Jak jest w ich domu.

- Muszę mieć prezent - oświadczyłam ojcu.

Zastanawiał się chwilę, potem podał mi pudełko z półki w siodłami.

- Proszę - rzekł. - I tak zamierzałem je sprzedać jej matce. Otworzyłam pudełko.

W środku leżały ostrogi.

- Nie mogę zanieść ostróg na piżama-party - powiedziałam.

- Dlaczego? - zapytał. - A co miałabyś zanieść? Podniosłam rękę.

- Prezent urodzinowy. Kolczyki albo spinki do włosów, albo białe łyżwy.

Czoło ojca przecięła zmarszczka.

- Sheila nie potrzebuje kolczyków ani spinek do włosów, ani łyżew - powiedział.
- Ale potrzebuje nowych ostróg. I na szczęście mamy coś takiego. A teraz zapakuj je w ładny papier i po sprawie.

Wpatrywałam się w niego szeroko otwartymi oczami. To całe piżama-party już chyba nie mogło wyglądać gorzej. Nagle za nami rozległ się kobiecy śmiech. Odwróciłam się i w drzwiach zobaczyłam Patty Jo.

- O Boże. - Uśmiechnęła się. - Jeśli jest ktoś na tym świecie, kto nie rozumie powagi piżama-party to ty, Joe. - Mój ojciec zarumienił się, a Patty Jo mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

- Jeśli chcesz - powiedziała Patty Jo do mojego ojca - mogę zabrać Alice i pomóc jej wybrać coś bardziej odpowiedniego na tę okazję.

Ojciec się uśmiechnął, uszy miał różowe jak cukierki, a ja poczułam się, jakbym malała pomiędzy nimi, podczas gdy pudło z ostrogami rosło mi w dłoniach.

- W porządku - powiedziałam do nich. - Ostrogi wystarczą.

Ale mój ojciec postąpił krok w stronę Patty Jo i wyjął pudełko z moich rąk.

- To naprawdę miło z twojej strony - powiedział. Sięgnął do portfela i wyjął banknot dwudziestodolarowy. Patty Jo położyła dłoń na jego ręce.

- Proszę - powiedziała. - Tak dużo dla nas robisz, pozwól mi chociaż na tyle.

Stałam pomiędzy nimi, czekając. Dotykali się krócej niż sekundę, krócej niż moment. Ale powietrze wokół nas było nieruchome, światło przyćmione, a ja poczułam mdlącą, otepiającą potrzebę, by być gdzie indziej, by zamknąć oczy i nic nie widzieć, nie wiedzieć, że to się stało.

Nie sposób zaprzeczyć, że Patty Jo miała gust. Naszyjnik, który wybrała, składał się ze srebrnego łańcuszka, który połyskiwał na tle czarnego aksamitu pudełka, i delikatnej podkowy, wypełnionej maleńkimi różowymi kryształkami. W życiu sama bym się na niego nie zdecydowała, ale kiedy Patty Jo go wskazała, wiedziałam, że to doskonały prezent dla Sheili, coś, co sama by sobie wybrała, gdyby była tu z nami. Stałam z boku, kiedy Patty dopłacała ekspedientowi za zapakowanie pudełka w różowo-biały papier, i zastanawiałam się,

jakim cudem ona ma takie wyczucie tego, co się podoba Sheili, skoro ja, która prawdopodobnie spędzam z Sheilą więcej czasu niż ktokolwiek inny, całkowicie nie mam o tym pojęcia.

Trzymałam prezent na kolanach, kiedy ojciec wioził mnie przez miasto na przyjęcie, i czubkiem palca głaskałam delikatną białą kokardkę. Domy w dzielnicy Sheili były wielkie i białe, z falistymi trawnikami od frontu i rzędami kwitnących kwiatów wzdłuż prostych linii ścieżek. Skręciliśmy w ulicę Sheili, a tam wszystko było bujne i zielone.

- Myślałam, że jest susza - powiedziałam.

- Widocznie na tym końcu miasta nie ma - odparł ojciec. Wjechał picku-pem na podjazd, stanął i pochylił się nad kierownicą, by wyjrzeć przez przednią szybę na dom. -Jezu - szepnął.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, wpatrując się w okna wykuszowe, białe filary na ganku, francuskie drzwi.

- Cóż - rzekł w końcu mój ojciec. - No to do zobaczenia jutro.

- Nie pójdziesz ze mną? - zapytałam. Ojciec postukał palcami w kierownicę.

- Dziadkowie czekają - powiedział. - Poza tym to ty jesteś zaproszona. Nie muszą mnie oglądać.

- Może to nie ten dom - powiedziałam, a ojciec wskazał skrzynkę na listy, na której srebrną wstążką przymocowano pęk różowych i białych balonów.

Zerknęłam na mój brudny zielony śpiwór i wyblakłą poszewkę na poduszkę. Rano w akcie desperacji przetrząsnęłam szafę Nony, szukając czegoś, co by na mnie pasowało. O ile jednak moje ciuchy były na mnie za małe, o tyle Nony były za duże, połączyłam więc jedne i drugie. Połowa mojego ciała pływała zatem w jej workowatej koszuli, a druga połowa dusiła się i przelewała nad paskiem moich spodni.

- Byłoby miło z twojej strony, gdybyś życzył im udanego przyjęcia - zasugerowałam słabo.

Ojciec pochylił się, żeby otworzyć drzwi po mojej stronie.

- Możesz im tego życzyć również w moim imieniu.

Zanim dotarłam do frontowego ganku, ojciec odjechał. Zadzwoiłam do drzwi, a Sheila je otworzyła, piszcząc i wyrzucając ramiona w górę.

- Alice, Boże drogi! Tak się cieszę, że jesteś!

- Wszystkiego najlepszego - powiedziałam i podałam jej prezent. Gdzieś w tle słyszałam śmiech i krzyki dziewczyn, obcych wczuwają-cych się w imprezowe szaleństwo.

- Możesz położyć prezent w kuchni - Sheila wskazała mi kierunek. Zarumieniona i zdyszana, jedną rękę przykładając do piersi w dramatycznej próbie spowolnienia oddechu.

- Crystal właśnie puściła nosem Dr. Peppera - wydyszała. - Muszę iść po ręcznik.

Zniknęła, a ja stałam przez chwilę w korytarzu. Dom rozciągał się we wszystkich kierunkach, bladobrzoskwiniowe ściany wznosiły się pod wysoki, sklepiony sufit, pod stopami miałam pluszową białą wykładzinę. Ruszyłam w kierunku wskazanym przez Sheilę, ale kolejne pokoje wychodziły na jeszcze następne, a ja poczułam, jak w gardle rośnie mi fala paniki. To nie skończy się dobrze. Zgubię się albo coś zniszczę, albo stłukę. Wszystko w domu Altmanów było lśniące i czyste, nigdzie ani śladu nieporządku. Na ścianach wisiały zdjęcia Sheili. Pozowała na nartach, w kostiumie kąpielowym na plaży, siedziała przy choince, wisiała głową w dół, zaczepiona kolanami zwisała z drabinek. Wyglądało na to, że jedynym zajęciem pani Altman jest podążać za Sheilą z aparatem, rejestrując każdą sekundę jej czystego, ślicznego życia.

Pomyślałam, żeby zawołać Sheilę, żeby krzyknąć w wijące się korytarze, że się zgubiłam i potrzebuję pomocy. Ale wtedy skręciłam za róg i znalazłam się w kuchni. Nade mną wznosiła się lodówka, srebrna i szumiąca. Garnki o miedzianych dnach i patelnie wisiały nad wyspą pośrodku, a na stole piętrzyły się barwnie opakowane prezenty. Państwo Altmanowie stali przy kuchennym wejściu, rozmawiając przyciszonymi głosami.

- Nie uprzedzałeś mnie - mówiła pani Altman do męża. Ojciec Sheili podniósł ręce bezradnie.

- Nocne zajęcia - westchnął. - Naprawdę myślałem, że ci wspomniałem.

Stałam przez chwilę, niepewna, czy powinnam wyjść, czy też dać znać o swojej obecności. Ale w ustach mi zaschło, dłonie trzymające prezent się pocily. Skuliłam się przy marmurowym blacie i czekałam, aż mnie zobaczą.

- To urodziny Sheili - wyszeptała pani Altman, a ja przez całą szerokość potężnej kuchni widziałam, że jej usta drżą. Czoło pana Altmana się zmarszczyło, ale zanim zdołał odpowiedzieć, jego wzrok przeniósł się na mnie.

- Witaj, Annie - pomachał mi ręką.

Pani Altman przeszycowała go wzrokiem, mrużąc groźnie oczy, a ja zaczęłam wycofywać się z kuchni. Ale od tyłu wbiegła na mnie Sheila, w różowych skarpetkach podskakując na kafelkowanej podłodze.

- Prezenty leżą tam - wskazała stół.

Przebiełam pomieszczenie z opuszczoną głową, kładąc prezent Patty Jo na stercie pozostałych. Pani Altman patrzyła groźnie na męża, z ustami zaciśniętymi w wąską linię i mrugając szybko oczyma.

- No cześć - powiedział pan Altman do Sheili. - Nie popsuje ci się chyba przyjęcie, jeśli starego piernika nie będzie przez chwilę, prawda?

- Cześć, tato - wydyszała, a potem objęła mnie, wyciągając z kuchni. - Chodź zobaczyć mój pokój.

Wszystkie przyjaciółki Sheili wyglądały jak Sheila. Siedziały w jej sypialni, świeże i uśmiechnięte, z prostymi białymi zębami i policzkami zaróżowionymi z emocji. Śmiały się z otwartymi buziami i krzyczały, zasłaniając usta palcami. Kłębiły się po łóżku Sheili i obmacywały jej komodę, jakby jej rzeczy były tylko przedłużeniem ich własnych. Sheila skoczyła przez pokój i dołączyła do nich, a ja zgarbiłam się przy toalecie, obejmując się ramionami i starając się sprawiać wrażenie ubawionej.

Nietrudno było trzymać się na uboczu. Rozmawiały o ludziach, których nie znałam, i o miejscach, w których nigdy nie byłam. Kiedy pojawiło się jedzenie, zjadłam je. Kiedy włączyły filmy, oglądałam. Uśmiechałam się, kiedy one się uśmiechały, i śmiałam, kiedy one się śmiały. Impreza toczyła się dokoła mnie, a ja sprawiałam wrażenie, że biorę w niej udział.

Po wszystkich tych emocjach Sheila i jej koleżanki o północy zrobiły się senne. Leżałam obok nich w ciemnościach, nasłuchując, aż wszystkie oddechy zwolniły. Potem dźwignęłam się na łokciach, starając się nie wydawać żadnego odgłosu, i zerknęłam na zegar na magnetowidzie. 1:30. Pan Delmar nie powinien jeszcze spać.

Przeszłam na palcach przez zbiorowisko śpiworów, lękając się, że bicie mojego serca obudzi dziewczyny. Ale ostatnie półtorej godziny leżałam w ciemnościach, planując, co powiem, jeśli zostanę przyłapana. Jeśli ktoś się poruszy, powiem, że muszę iść do łazienki. Powiem, że mi niedobrze - za dużo pizzy. Powiem, że byłam tak poruszona kreacją Jennifer Beals we Flashdance, że nie mogłam w ogóle zasnąć.

Przeszłam przez dom poznaną już drogą, szukając telefonu. Dwie w prawo i jedna w lewo - salon. Jedna w prawo, dwie w lewo - łazienka. Dotknęłam palcami ściany, błakając się korytarzami w ciemnościach, licząc kroki, zerkając w ciemne drzwi. Za rogiem była ciemna kuchnia. Tylko nad zlewem świeciły trzy bładziutkie światełka. Pod nimi w szlafroku stała pani Altman, paląc papierosa i popijając czerwone wino z kieliszka. Patrzyła przez okno na ulicę.

Stałam przez chwilę, bojąc się nagle, że to wszystko, przyjęcie i filmy, wyprawa do centrum handlowego z Patty Jo, było tylko snem. Pani Altman nie paliła, nie piła, nie nosiła sfatygowanego szlafropa i nie stała samotnie w ciemnych pomieszczeniach. Lada chwila rozlegnie się gwizdek, otworzy się chmura i cały świat wypełni się wodą, co upodobni tę noc do wszystkich innych.

Ale oczy pani Altman podniosły się w odbiciu w szybie, a jej głowa obróciła się w moją stronę.

- Alice? - Jej głos był stłumiony i senny, twarz pozbawiona makijażu, naga jak surowy ziemniak w obramowaniu żółtych włosów. - Wszystko dobrze?

Nie byłam pewna. To był dom pani Altman, prawda? I to była pani Altman. Ale ona była w szlafroku. Miała włosy w nieładzie. Paliła papierosa. Nic nie było dobrze.

- Wracam z łazienki - powiedziałam. - Zabłądziłam.

Dym z jej papierosa płynął dokoła jej głowy, obramowując w ciemnościach jej twarz niczym niebieskie halo. Ruszyłam z powrotem, ale pani Altman zbliżyła się do blatu i poklepała go, żebym podeszła.

- Chcesz lody? - zapytała.

Zerknęłam przez ramię, trochę w nadziei, że nagle pojawiła się za mną Sheila, upojona i zdyszana, żeby zaciągnąć mnie z powrotem do sypialni, bo jedna z jej przyjaciółek musi pomalować mi paznokcie u nóg. Ale cały dom spał pogrążony w ciszy. Nikt po mnie nie przychodził.

- Dziękuję - powiedziałam i siadłam na stołku.

Pani Altman podeszła do zamrażarki i nałożyła do miseczki porcję lodów miętowych. Kiedy mi je podała, oparła się o blat, zaciągając się papierosem i patrząc, jak jem.

- Dobrze się bawisz na przyjęciu? - spytała.

Kiwnęłam głową. Za panią Altman rozległo się burczenie, za oknem nagle rozwikła fontanna wody, kiedy system tryskaczowy obudził się do życia.

- Ma pani naprawdę śliczny dom - powiedziałam, a ona uśmiechnęła się do swego kieliszka.

- Zaprojektowaliśmy ten dom sami - odparła. - To znaczy ja. Ja go zaprojektowałam. - Rozejrzała się po kuchni, na wysoko sklepiony sufit i czyste białe ściany. - Widzisz szafki? Są dokładnie na wysokości idealnej dla mnie, tak żebym mogła sięgnąć na każdą półkę. Nie muszę nawet stawać na palcach.

Oblizalam łyżeczkę, a pani Altman wyciągnęła ręce, obejmując cały dom.

- Tak właśnie Mitchell przekonał mnie do przeprowadzki do tego miasta - powiedziała. - Koszt życia jest tak niski, że możemy zbudować własny dom i mieć wszystko, co chcemy. Nie to co w Kalifornii.

- Mieszkała pani nad oceanem? - spytałam.

- Mieszkaliśmy w Berkeley. Tam się urodziła Sheila.

Nie miałam pojęcia, gdzie jest Berkeley, ale kiwnęłam głową, jakbym uzyskała odpowiedź na swoje pytanie.

Na dworze ulicę omiotły reflektory samochodu, pani Altman obejrzała się w stronę okna. Pojazd minął dom i zniknął, a ona odwróciła się do mnie i upiła kolejny łyk wina.

- Czasami się zastanawiam, co by się stało, gdybyśmy tam zostali - powiedziała.

- Jak by to było, żyć tak jak wszyscy inni.

Kiedy mówiła, widziałam plamy od wina na jej zębach, siną obwódkę po wewnętrznej stronie ust.

- Ja też czasami się zastanawiam, jak by to było - powiedziałam. Pani Altman podniosła wzrok, spojrzała na mnie i jej twarz się

wygładziła. Coś między nami jakby się otworzyło, odarło się z udawania.

- Alice? - wyszeptała. Spojrzałam w jej oczy i już wiedziałam, jakie padnie pytanie. - Co się dzieje z twoją mamą?

Kuchnia oddychała dokoła nas - zmywarka parowała, lodówka buczała swoimi wielkimi, stalowymi płucami. Wszystko w tym domu żyło, było czyste i śliczne i działało dokładnie tak, jak powinno. Wszystko było na swoim miejscu.

- Smutno jej - powiedziałam.

Czekałam, aż pani Altman powie mi, że nie to miała na myśli, że chodzi o coś więcej - o powód. Ale ona opuściła głowę i kiwnęła do kieliszka.

- Przepraszam - powiedziała.

- Zaczyna płakać i nie może przestać - mówiłam. - Czasami tak płacze, że nie może się ruszać, nie może stać i wtedy tata musi ją nosić.

Pani Altman zdusiła papierosa w zlewie.

- Zawsze tak było?

- Odkąd się urodziłam.

Pomyślałam o tym, co ojciec powiedział na werandzie tego dnia, kiedy dotknął moich włosów, żeby zobaczyć siniaki na szyi, tego dnia, kiedy ogier Buda Pope'a nie pokrył Darling: byłam dzieckiem, które nie lubiło być trzymane przez nikogo. Matka podała mnie mojej siostrze. Poszła na górę. I dopóki Jack i Ruby nie zajechali pod nasz dom swoim kamperem, nie zeszła na dół.

Pani Altman zacisnęła usta, zastanawiając się nad tym.

- Tak się czasami dzieje z niektórymi kobietami - powiedziała po chwili. - Robią się smutne, kiedy mają dzieci.

- Dlaczego?

- Urodzenie dziecka niekiedy otwiera coś kobiecie w środku. Zupełnie jakby świat pękł na dwoje, takie coś się otwiera. Wszystkie inne rzeczy mogą wpaść do środka, mogą cię wypełnić. Niektóre kobiety wypełniają się smutkiem.

- A pani? - zapytałam, a ona się uśmiechnęła.

- Trudno to wyjaśnić - odparła. - Nikt nie jest przygotowany, żeby kochać tak mocno. To jest takie wielkie, takie odwieczne i zwierzęce. To przerażające. - Zwinęła rękę w pięść i przyłożyła ją do piersi, pokazując mi: przerażające! - Można od tego zwariować.

Pomyślałam o mojej matce, jej strachu przed hałasem i światłem, i ludźmi, jej snach o martwych kociętach.

- Kiedy rodziłam Sheilę - powiedziała pani Altman - czułam się, jakbym była kimś innym. Było tyle bólu. - Wypiła ostatni łyk wina i od-

stawiała pusty kieliszek na blat. - W którymś momencie rozglądałam się po porodówce, szukając czegoś, czym mogłabym się zabić. Odłożyłam łyżeczkę do miseczki.

- A potem? - spytałam. - Wypełniła się pani smutkiem?

Pani Altman spojrzała gdzieś z dala ode mnie, wracając do tamtej chwili.

- Potem - powiedziała - wypełniłam się energią. Nie mogłam wytrzymać w łóżku. Wciąż wyskakiwałam, żeby skorzystać z telefonu. - Przyłożyła dłoń do zaplamionych winem ust, śmiejąc się. - To był środek nocy, a ja dzwoniłam do wszystkich znajomych, żeby im powiedzieć „Mam dziecko! Mam dziecko!”. Pielęgniarki w kółko powtarzały: „Pani Altman, musi pani zostać w łóżku”. Ale ja nie mogłam wytrzymać bez ruchu. - Uśmiechała się, a ja patrzyłam na jej twarz, czekając, aż sobie przypomni o mojej obecności. Ale ona była gdzie indziej, zatracona i szczęśliwa we wspomnieniu miejsca, w którym nigdy nie byłam.

Kolejne reflektory przecięły okno, a pani Altman odwróciła wzrok. Potem wyciągnęła nowego papierosa z kieszeni szlafroka i zapaliła go małą srebrną zapalniczką.

- Nie wiedziałam, że pani pali - powiedziałam, kiedy się zaciągała. Jej wzrok przeniósł się z okna na moją twarz.

- Grzeszny sekret - powiedziała. - Nie powiesz nikomu, prawda? Pokręciłam głową.

- Nie robię tego często - ciągnęła. - Ale i tak gdyby Sheila wiedziała, martwiłaby się.

Kolejny samochód przejechał ulicą, a oczy pani Altman przesunęły się niczym światła do okna. Dzisiejszej nocy nie będzie żadnych rozmów telefonicznych. I gdziekolwiek on jest, może myśli o mnie, zastanawiając się, gdzie jestem i dlaczego nie zadzwoniłam. W końcu nieszczęścia chodzą po ludziach. Człowiek może się pośliznąć i przewrócić, zwariować ze smutku, wyjść kuchennymi drzwiami ze swojego doskonałego, zbudowanego na indywidualne zamówienie domu, zostawić żonę i rodzinę, żeby wypatrywała z okna jego powrotu. Na tym polegał problem z przyzwyczajaniem się do ludzi - odchodzili i trzeba było za nimi tęsknić.

Prawie o drugiej nad ranem w końcu ześliznęłam się ze stołka i wróciłam do łóżka, zostawiając panią Altman w przyćmionym świetle

kuchni, gdzie paliła samotnie papierosa i oplukiwała moją miseczkę w zlewie.

Tw

Pięć dni po oddzieleniu źrebaków mleko wyschło w wymionach klaczy. Zwisały teraz, wiotkie i zaskorupiałe, z ich zniekształconych brzuchów. Klacze już powstawały, skubiąc wypaloną słońcem trawę i podnosząc łby za każdym razem, kiedy wiatr się zmieniał, szukając w powietrzu śladów po swoich wykradzionych dzieciach. Po drugiej stronie stajni źrebaki tłoczyły się w swojej części pastwiska, kwiląc w grzywy sąsiadów i odmawiając siana.

- A jeśli nigdy nie zaczną jeść? - zapytała Sheila. Stała przy ogrodzeniu, szepcząc im słowa pocieszenia, trzymając dłoń pomiędzy żerdziami, żeby wabić je do siebie. Źrebaki tłoczyły się w najdalszym narożniku, wyczerpane przerażeniem, zamarłe z rozpaczy.

- Daj im czas - odparł mój ojciec. - Kiedy przestaną cierpieć, zjedzą.

Sheila przyglądała im się przez ogrodzenie, bezsilna wobec ich bólu.

- Jest pan pewien? - wyszeptała, a ojciec kiwnął głową.

- Taka już jest natura.

Jack i mój ojciec skończyli budowę drugiego round pena, a ponieważ nie czekał na nich żaden nowy projekt, Jack zajął się źrebakami. Zaczął wypełniać dokumentację rejestracyjną, przechadzał się po stajni, wymyślając imiona, pytając o sugestie każdego, kto przystawał, by mu pomóc. Szczególną przyjemność sprawiało to zadanie Sheili. W domu każdej nocy pisała listy ewentualnych imion dla źrebaków, potem przynosiła je do stajni i wypróbowywała je na Jacku. Jej sugestie były absurdalne, ale Jack słuchał z powagą, kiwając głową i znajdując czas, by wyjaśnić jej, dlaczego żadne się nie nadaje.

- Skippy - odczytała z listy.

- Nieciekawe - powiedział Jack, a Sheila je wykreśliła.

- Angel Dream⁴.

- Grymaśne.

⁴ Skippy - skoczek; angel dream - anielski sen (przyp. tłum.).

- Secretariat⁵.

- Zajęte.

- Myślisz, że to dobry pomysł, żeby Jack nadawał imiona źrebakom? - zapytałam ojca, kiedy zrzucił trociny z ciężarówki.

- Czemu nie? - spytał. - Ma zajęcie.

- Frank Sinatra - dobiegł nas ze stajni głos Sheili. - To ulubiony piosenkarz mojego taty.

- A jeśli wybierze głupie? - spytałam. Ojciec wzruszył ramionami.

- On pokrywa opłaty rejestracyjne - powiedział. - Jeśli o mnie chodzi, może wybrać Hughie, Louie i Screwie.

Jack powiedział ojcu, że nie ma przeszkód, by właśnie teraz wytrzebić ogierki. Wciąż były znerwicowane po oddzieleniu od matek. Prawdopodobnie w ogóle nie zauważą, co się stało. Ojciec się zawahał. Trzebienie oznaczało weterynarza, a weterynarz oznaczał wydatek. To może poczekać miesiąc czy dwa, powiedział. Ale Jack zbył te sugestie. Zamówił weterynarza na sobotę, kiedy reszta nas miała być na pokazie. On miał zostać, by wszystkiego dopilnować.

- Na pewno? - spytał ojciec.

- Brzydki interes, kastracja - powiedział Jack. - Lepiej, żeby kobiet nie było w pobliżu.

Matka spała do późna i nie wychodziła z domu. Jack sam miał być obecny, by wypisać czek po zakończeniu procedury.

- A niech tam - machnął ręką ojciec. - Zróbmy to.

Na pokazie Sheila i ja siedziałyśmy w ciężarówce w czasie lunchu, jedząc kanapki z szynką, które Ruby przygotowała i zapakowała w papier śniadaniowy. Sheila pochylała się do przodu, pracując nad swoją listą imion z językiem wytkniętym w kąciku ust.

- Thunder Flash⁶ - zapisała.

- Słabe - powiedziałam, a ona się skrzywiła, po czym wygumkowała imię.

- Zastanawiam się, co się dzieje w domu - powiedziała. - Naprawdę martwię się o ogierki.

⁵ Secretariat (1970-1989) - koń pełnej krwi angielskiej, jeden najstynniejszych amerykańskich koni wyścigowych (przyp. tłum.).

⁶ Thunder flash - błysk pioruna (przyp. tłum.).

- Jack tam jest - odparłam. - Zadba o nie.

- Uwielbiam twoich dziadków, a ty? - spytała. - Zobacz, ile oni robią dla stajni.

- Są trochę jak Mary Poppins.

- Tak. - Sheila zdmuchnęła grzywkę z czoła. - Mary Poppins, która jeździ kamperem i pali tyle papierosów. - Usta Sheili skrzywiły się lekko, okazując jej wzgardę dla palenia. Przez głowę przemknął mi obraz pani Altman w szlafroku i opuściłam wzrok, udając, że skupiam się na kanapce. Nie chciałam, żeby wyraz mojej twarzy zdradził coś Sheili.

- A więc twój tata jest profesorem w college'u? - spytałam. Sheila starła ręką pot z czoła, zostawiając na nim smugę brudu.

- Aha - odparła. - Bada gwiazdy.

- Pewnie dużo pracuje nocą - powiedziałam, a ona spojrzała na mnie dziwnie.

- No tak. Cały czas. Wtedy kiedy gwiazdy wychodzą.

- Pewnie fajnie mieć tatę, który tyle wie.

- Pewnie tak. - Sheila złożyła swoją listę i wymknęła się z ciężarówki. Zeskoczyłam ze swojego miejsca, podążając za nią. - Mieliśmy dzięki temu kilka fajnych wypraw - powiedziała. - Ale to może też być upierdliwe. - Podeszła do Capa, połamała skórkę od chleba na kawałki i pozwoliła mu zjeść z dłoni. - Pewnego razu przy gościach tata kazał mamie i mnie odstawiać zaćmienie pokrywkami od plastikowych pojemników. Chciałam umrzeć.

- Dlaczego on nigdy nie przyjeżdża popatrzeć, jak jeździsz? - spytałam.

- Nie wiem. - Sheila wzruszyła ramionami, znudzona rozmową. - Nie za bardzo się interesuje tym, co lubimy z mamą. Ale to tak naprawdę nie ma znaczenia. On chce, żebyśmy robiły to, co nas uszczęśliwia. Dopóki to robimy, on jest szczęśliwy.

- Och - powiedziałam. Pomyślałam o pani Altman ze wzrokiem utkwionym w okno, o jej papierosie tłącym się między palcami, kieliszku wina przytulonym do piersi. - A ty?

Sheila odwróciła się do mnie przez ramię.

- Dokładniej - powiedziała. - A ja co? - Kusilo mnie, żeby powiedzieć coś bystrego i brzydkiego. W głębi duszy chciałam zranić jej uczucia, sprawić, żeby poczuła się źle. Ale bardziej chciałam wiedzieć.

- Jesteś szczęśliwa? - uzupełniłam. - Ty i twoja mama, jesteście szczęśliwe?
Sheila wzniosła oczy do nieba. -Ba.

Czekałam chwilę, ale ona się pochyliła nad swoim siodłem konkursowym, przygotowując się do klas popołudniowych. Nie zamierzała nic więcej wyjaśniać. Domyśliłam się, że to była odpowiedź twierdząca.

Zanim tego wieczoru dotarliśmy do domu, furgonetka weterynarza odjechała. Słońce stało nisko na niebie, powietrze wciąż drgało od upału. Ruby weszła do środka przygotować kolację i sprawdzić, co się dzieje z moją matką. Chciałam pójść za nią, wziąć zimny prysznic i siąść pod wentylatorem w salonie, czując na szyi mokre i czyste włosy. Moja matka usłyszałaby, jak zajeżdżamy, i zesłaby na dół, oszołomiona chłodnym powietrzem i całodziennym snem. W kuchni Ruby by gotowała, a matka usiadłaby przy stole, zwinięta jak biały pajak na krześle, z sennymi oczami i głową wspartą na rękach. Chciałam usiąść obok niej, wciągnąć zapach obiadu, ciche odgłosy, który towarzyszyły Ruby, kiedy gotowała. Ale trzeba było nakarmić konie, więc szurając stopami po żwirze, podążyłam za ojcem do stajni.

Jacka znaleźliśmy przy zagrodzie źrebaków. Ogierki stały pośród swoich sióstr przyrodnych, nieruchome i ogłupiałe z bólu. Zanim dotarliśmy do zagrody, mój ojciec przystanął.

- Dlaczego jednego brakuje?

Stałam na palcach i policzyłam. O jednego źrebaka było za mało. Podniosłam wzrok na ojca. Działo się coś niedobrego. Jeden z ogierków był chory, a myśmy o tym nie wiedzieli, był za słaby na kastrację, umarł, krwawiąc i jęcząc, pośród swoich silniejszych braci.

Kiedy jednak Jack odwrócił się do nas, był uśmiechnięty. Pokazał gdzieś za naszymi plecami, a myśmy się odwrócili. Pod naszą nieobecność Jack przeniósł Darling z dawnego round pena Barta do nowego. Na jej miejscu umieścił źrebaka Ginger.

- Alice, Jody - powiedział. - Poznajcie swojego nowego rozplodowca.

Ciało ojca obok mnie opadło. - Co?

Jack odchylił się, zahaczając kciuki o kieszenie i uśmiechając się do nas szeroko.

- Kombinowałem na wszystkie strony, szukając następcy dla starego Barta - powiedział. - Nic nie pasowało. Oprócz tego malucha - wyciągnął rękę. - Przyszło mi to do głowy we śnie któreś nocy: następne pokolenie! To genialne!

Ojciec kiwnął głową, przyswajając informację. Podążyliśmy za Jackiem na round pen. Żrebak Ginger wyglądał na nim nago i żałośnie bez towarzystwa braci i siostr. Stał z opuszczonym łbem i uszami.

- Trochę młody jak na rozplodowca - zauważyłam. Jack delikatnie postukał palcem w moją głowę.

- Ale będzie coraz starszy, prawda?

Ojciec stał z pobielalymi kłykciami opartymi na ogrodzeniu, zamykał i otwierał usta, próbując znaleźć właściwe słowa.

- Nie jesteś zadowolony - stwierdził Jack.

- Miło byłoby wiedzieć - odparł ojciec. - Mieć prawo głosu.

- Bart był nieziemskim koniem, Jody - mówił dziadek. - Nie znalazłbyś lepszego i za dziesięć lat. Musiałem się zadłużyć po uszy, żeby go wtedy zdobyć. A twoja matka mało nie padła trupem, kiedy się dowiedziała, ile on kosztował.

- Ile? - spytałam.

- Za dużo - odparł ojciec, a Jack spojrzał na niego oburzony.

- Bart pochodził od Eclipse'a - powiedział. - Przejrzyj na oczy, Jack. Ten maluch to dziedzictwo. Odhodujesz go i będziesz mógł zgarniać po tysiąc dolców. Co najmniej.

- Kiedy kupiłeś Barta, wyrzuciłeś pieniądze w błoto, tato - odrzekł mój ojciec. - Tutejsi ludzie nie płacą tyle za stanówkę. Nie płacili tyle za Barta i nie zapłacą tyle za jego sobowtóra. Nie prowadzimy koni wyścigowych.

- Może na tym właśnie polega twój problem - powiedział Jack. - Popatrz na stajnię Pope'a. - Mój ojciec zmrużył oczy. - Wsadza tyle energii w stajnię, w budowanie reputacji, i cała reszta przychodzi sama. Ty za bardzo się skupiasz na drobiazgach, Jody, i nie widzisz szerszej perspektywy. Zawsze miałeś taki problem.

- Bud Pope ma majątek rodzinny - odparł mój ojciec. - To jedyna rzecz w całym jego życiu, która przyszła mu naturalnie: pieniądze. Wszystko inne kradnie. Tak jak my wszyscy.

Jack podniósł rękę.

- Bez urazy - powiedział. - Ja tylko próbuję pomóc. Przesłałem papiery, zapłaciłem za rejestrację ogiera. Tylko wyświadczam ci przysługę.

W tym momencie ojciec poderwał głowę. Jack wysłał papiery. A więc po sprawie. Żrebak Ginger jest naszym nowym ogierem.

- Jak go nazwałeś? - spytałam.

Jack uśmiechnął się i klepnął mnie po plecach.

- Cóż - rzekł. - Przynajmniej jest tu ktoś, kto ma tyle rozumu, by zadać właściwe pytanie. - Jack uklonił się, przechylając się nad ogrodzeniem. - Panno Winston - rzekł - pozwoli pani, że przedstawię. Oto Royal Red Richard.

A więc to rzeczywiście było dziedzictwo. Pełne imię Barta brzmiało Royal Red Bart. Ale żrebak Ginger był jeszcze mały i słaby, miał chude nogi i guzowate kolana. To imię pasowało mu jak sweter starszego brata.

- Jak mamy go nazywać? - zapytałam. Jakoś sobie nie wyobrażałam, że będę wołać do konia Richard.

- To ogier - burknął mój ojciec, niechętnie godząc się z tym faktem. - Nie będziesz go wołać po imieniu.

Bart był ogromny, miał potężną i lśniącą pierś, mięśnie pyska napięte. Kiedy się poruszał, każda jego część zdawała się wyginać w łuk, kiedy tupał, ziemia dygotała, kiedy podnosił łeb i nawoływał klacz, powietrze dokoła niego drżało. Żrebak stał drżący po drugiej stronie round pena, skomląc cicho przez swój maleńki, ostro zakończony nos. W ogóle nie wyglądał na ogiera.

- Ale i tak powinniśmy jakies mieć - powiedziałam.

- Musisz mieć imię? - spytał mnie ojciec. - Nazywaj go Dick. - Ojciec odwrócił się i ruszył z powrotem do stajni.

- Będziecie potrzebować imienia, żeby na nim jeździć - zauważył Jack.

- Nie jeździmy na swoich ogierach - odparłam, a on spojrzał na mnie wstrząśnięty.

- No to prawdziwa szkoda - rzekł. - Nie ma nic gorszego niż bezużyteczne zwierzę. - Ojciec odwrócił się i spojrzał na niego. - Bart nigdy tak świetnie nie wyglądał jak na arenie.

Jackowi musiało się coś pomylić. Na pewno. Odkąd pamiętam, jedyną osobą, która może poradziłaby sobie z Bartem, była moja siostra.

A jej nigdy na to nie pozwolono. To była zasada mojego ojca, że nie wolno nam się zbliżać do rozplodowego ogiera. Czasami, kiedy ojca nie było, moja siostra i ja zachęcałyśmy się wzajemnie, która da radę bardziej się do niego zbliżyć, zanim on się odwróci i parsknie. Wtedy uciekałyśmy z krzykiem. Ale nigdy na nim nie jeździła. Wiedziałyśmy o tym.

- Nikt nigdy nie jeździł na Barcie - powiedziałam do Jacka.

- To nieprawda - odparł, a mój ojciec poderwał głowę. - Marian na nim jeździła.

- Niemożliwe - spojrzałam na ojca. Wydawał się zmieszany, jakby próbował sobie przypomnieć. Stał przy ogrodzeniu, a ja widziałam, jak jego pamięć pracuje, jak wspomnienia składają się w całość. Powoli kiwnął głową. To była prawda. - Jeździła na nim na konkursach?

Jack pokręcił głową.

- Trzeba mieć osiemnaście lat, żeby jeździć na ogierze na konkursach

- powiedział. - Marian była za młoda. Ale jeździła na nim tutaj. To było cholernie niesamowite. Pamiętasz to, Jody? - zapytał. Odwróciłam się, oczekując, że ojciec będzie wściekły, ale on uśmiechał się, patrząc w ziemię i wspominając.

- To było piękne - przyznał.

Nagle poczułam się obco pomiędzy nimi, jakby to wszystko miało być żartem, jakby sprawdzali, na ile można mnie nabrać. Moja matka ledwie dawała radę poruszać się po schodach, ledwie wytrzymywała ciężar swojej głowy na białej nitce szyi, ledwie zbierała energię, żeby podtrzymać rozmowę od początku do końca. A teraz miałam uwierzyć, że była kiedyś dziewczyną, która dosiadała ogiera - młodego ogiera!

- i ujeżdżała jego dzikie, sprężyste ciało po arenie. Miałam uwierzyć, że nie tylko się na nim utrzymywała, ale że robiła to dobrze, była cholernie niesamowita, była piękna. I miałam uwierzyć, że to wszystko robiła z wyboru.

- Dlaczego? - zapytałam. - Dlaczego na nim jeździła? Jack wzruszył ramionami.

- Bo ją zmusiłem.

Na te słowa mój ojciec się ocknął, zmrużył oczy, a szczęśliwe wspomnienie, piękne wspomnienie ulatywało z jego myśli. To było miejsce, w którym on i Jack się rozdzielili, w którym nie mieli się zgadzać co do przeszłości.

- Zmusiłeś ją? - powtórzyłam.

- Twoja mama może ci się wydawać słaba i maleńka - powiedział Jack. - Ale była niesamowitym jeźdźcem. Niesamowitym. Problem z Marian polega na tym, że ona może zrobić wszystko, o ile ktoś jej powie, że musi.

Szczeka mojego ojca się napięła, usta zrobiły się kredowo białe.

- Nie znasz jej - powiedział, a Jack wybuchnął śmiechem.

- Może i ją poślubiłeś, chłopcze - rzekł - ale to ja ją nauczyłem jeździć.

Twarz ojca poczerwieniała, ręce znieruchomiały u jego boków. Cofnęłam się, myśląc, że zada cios. Ale jeśli nawet Jack zauważył zagrożenie, to nie dał po sobie znać.

- Założę się, że zaraz będzie kolacja - klasnął w dłonie. - Pewnie powinniśmy się umyć.

Po jego odejściu ojciec odwrócił się do mnie, a ja czekałam, w nadziei, że wyjaśni coś o Barcie, o mojej matce, o czymkolwiek, co Jack właśnie nam powiedział.

- Pamiętasz zasadę dotyczącą ogierów? - spytał w końcu, patrząc w ziemię.

- Nie podchodzić - odparłam, a on kiwnął głową. Wszedł za Jackiem do stajni, a ja stałam chwilę sama. W round penie źrebak Ginger zaskomlał żałośnie i po drugiej stronie Darling przeszła przez swoją zagrodę, wyciągając szyję, by odpowiedzieć mu rżeniem. Kilka dni temu stałam na pastwisku z Jackiem, kiedy źrebak Ginger i pozostałe tłoczyły się dokoła. Nie było powodu, by trzymać się z daleka, nie było powodu do strachu. Ale teraz on miał imię, zadanie, pozycję - o całym jego życiu zdecydowano za niego. Był ogierem. Zostanie sam w zagrodzie. A ja będę się go bała.

Odwróciłam się i podążyłam za ojcem i dziadkiem przez stajnię, zostawiając nowego ogiera w jego nowej zagrodzie, samotnego, płaczącego za matką.

- Wie pan coś o koniach? - zapytałam pana Delmara, a on roześmiał się na głos.

- Nie - odrzekł. - A ty?

- Niezupełnie. Ale coś wiem. Koń o imieniu Eclipse był najsłynniejszym koniem wyścigowym wszech czasów. Dwieście lat temu mniej więcej. I wciąż żyją konie, który są z nim spokrewnione.

- Całkiem prawdopodobne - powiedział. - Dwieście lat to nie jest dużo.

- Może to dłużej. Ale ludzie wciąż śledzą pokrewieństwo, cały czas. Wszystko zapisują i można wytropić każdego przodka.

- To osobliwa część wiedzy o koniach. Ale interesująca. To dziwne imię dla konia - Eclipse.

- Podobno urodził się w czasie zaćmienia.

- To prawda?

- Nie jestem pewna - odparłam. - Chyba to gdzieś czytałam.

- W każdym razie to i tak dobra historia.

- Widział pan kiedyś zaćmienie?

- Słońca czy Księżyca?

- Nie wiem. A co za różnica?

- Zaćmienia Słońca są bardzo rzadkie. Księżyc przechodzi przed Słońcem i Słońce znika.

- Robi się ciemno?

- Tylko na chwilę - odparł.

Pomyślałam o Sheili Altman i jej matce, odgrywających zaćmienie pokrywkami od plastikowych pojemników w domu pełnym gości.

- Chciałabym to zobaczyć - powiedziałam.

- Życie jest długie. Na pewno kiedyś ci się uda.

Dziadkowie wyjechali od nas równie uroczyście, jak przyjechali. Powiedzieli, że wyjeżdżają, i wyjechali. Był wieczór - Jack lubił prowadzić wieczorem - stajnia opustoszała, wszystkie klientki siedziały bezpieczne w swoich ładnych domach. Moja matka, ojciec i ja wyszliśmy na ganek uściskać ich na pożegnanie. Ruby płakała, a Jack odchrząknął. Pom-Pom łąsił się do nóg mojej matki.

Kiedy Ruby odwróciła się do mojej matki, wzięła jej twarz w dłonie i długo patrzyła jej w oczy.

- Nic ci nie jest - wyszeptła, a moja matka zamknęła oczy, w milczeniu kiwając głową. Patrzyłam na to bez słowa, ze ściśniętą piersią i bolącym gardłem.

Po ich odjeździe ojciec ruszył w dół schodami, po czym stanął i odwrócił się do matki. Patrzył na nią przez chwilę, potem sięgnął po jej rękę i trzymał ją lekko przez chwilę. Jej oczy były czerwone i lśniące, ale ani jedna łza nie spłynęła po policzku. Stali, dotykając się palcami.

- Dziękuję - powiedział ojciec, a ona kiwnęła głową. Puścił jej rękę i ruszył po stopniach ganku, przez podjazd i do stajni.

Matka wzięła głęboki oddech, rozglądając się po świecie zewnętrznym. Ile czasu minęło, odkąd przeszła przez drzwi kuchenne, odkąd stała przed domem? Przez chwilę tak stała, patrząc na ziemię, oddychając powietrzem, a potem odwróciła się i weszła do środka. Dzisiaj w nocy mój ojciec wróci do pokoju gościnnego, opuszczając łóżko małżeńskie, które dzielili przed moimi narodzinami, łóżko, w którym mnie poczęli. Wrócimy do jedzenia posiłków w milczeniu, noszenia małych posiłków na górę, gdzie moja matka będzie na nie patrzeć, nie dotykając ich. Wszystko będzie tak jak przedtem.

- Możesz zostać - powiedziałam. - Możesz zostać tu na dole choć przez chwilę.

Wiedziała, że nie mówię szczerze. I tak jednak lepiej było powiedzieć to, niż powiedzieć prawdę, niż zostawić wszystko tak, jak jest. Gdyby spojrzała na mnie, tylko na mnie spojrzała, na pewno zobaczyłaby, że takie życie jest lepsze, że wszyscy są szczęśliwsi. Na pewno by zrozumiała.

- Musisz zostać - wyszeptalam.

Ale kiedy oczy mojej matki spoczęły na mnie, był w nich tylko smutek.

- Nie mogę - powiedziała i pochyliła się, dotykając ustami czubka mojej głowy.
- Przepraszam, kochanie. Po prostu nie mogę.

rozdział dziewiąty

Trzy tygodnie przed końcem wakacji ojciec złamał nogę. Nie było w tym nic dramatycznego ani bohaterskiego - naprawiał belkę w krokwiach dachu i spadł. Lekarze powiedzieli, że takie złamanie zdarza się raz na tysiąc przypadków: gdyby spadł inaczej, pewnie w ogóle by nic nie złamał. Wsadzili ojca w gips, który biegł od palców do biodra, i dali mu dwie kule. Może złamanie było takie poważne, a może mój ojciec nigdy nie dał mu szansy zagoić się należycie, w każdym razie noga nigdy nie wydobrzała. Od tamtej chwili ojciec już zawsze w kolanie miał czuć pogodę. Od tamtej chwili zawsze już miał utykać.

Mam jedno wspomnienie z tamtego poranka. Jest niewielkie, obejmuje może kilka sekund: mój ojciec idzie przez stajnię, kręcąc w palcach młotkiem. Jeden ze stajennych kotów przechodzi przed nim, a on przystaje, schyla się, żeby go podrapać przy ogonie. Kotka ociera się o jego golenie, zerka na jego twarz przez słodkie światło przedpołudnia. Ojciec cmoka na nią, drapie ją po brzuchu, kiedy kotka pada na podłogę. A potem on wstaje i idzie przez stajnię po drabinę. Po tylu latach nie jestem pewna, czy wspomnienie jest prawdziwe, czy też stworzyła je moja wyobraźnia. Ale pamiętam je jako prawdziwe, a więc jest prawdziwe: wtedy po raz ostatni widziałam mojego ojca, jak idzie bez bólu.

O kulach przemieszczał się szybko, sunął długimi, szybkimi krokami, tak że ja musiałam biec, żeby go dogonić. Ale wzbierała w nim frustracja i często odrzucał kule na bok, i kuśtykał na gipsie, żeby skorzystać z rąk. Znajdowałyśmy z Sheila kule oparte o stogi siana albo rozrzucone na podłodze siodłami. Jeśli ojca nie było w zasięgu wzroku, na zmianę biegaliśmy z kulami po stajni i podskakiwałyśmy na nich, tak żeby nasze stopy unosiły się w powietrzu.

- Twój ojciec jest niesamowity - powiedziała mi Patty Jo. Popołudniami stała na tyłach stajni, patrząc, jak mój ojciec ciągnie bele z sianem jedną ręką albo kołysze się na złamanej nodze, żeby pchać taczkę pełną trocin. - Nigdy się nie poddaje.

Pomimo bólu, gipsu i niemiłosiernego, uporczywego upału, ojciec nie mógł usiedzieć na miejscu. W czasie lekcji Sheili podskakiwał na jednej nodze po arenie, wykrzykując do niej polecenia. Sheila i Cap przeżyli dwa ostatnie pokazy. Ukończyli klasę reining, nie zagrażając życiu sędziów. Uznając to za sukces, ojciec zdecydował się przejść do showmanship.

Showmanship, jak uznała Sheila przed pierwszą lekcją, miało być łatwizną. Co trudnego może być w konkurencji, w której nie trzeba nawet wsiadać na konia? Uśmiechnęłam się i kiwnęłam głową, wspinając się na ogrodzenie areny, by zająć dobre miejsce. Była niedziela, a pani Altman stała obok Sheili, kiedy ta zakładała Capowi kantar przed lekcją, i smarowała jej ramiona kremem z filtrem. Wszystko sprowadza się do prezentacji konia, wyjaśniła Sheila matce. Cap i tak był najcudowniejszym koniem na placu, nic nie musiał robić. Ona musi go tylko oporządzić, wprowadzić go i czary-mary - Sheila Altman będzie się tarzać w niebieskich wstęgach.

Pół godziny od rozpoczęcia lekcji pani Altman opuściła głowę, tak by żółte włosy zasłoniły jej twarz, i wyszeptała do mnie:

- Miało być łatwo.

Po zejściu z placu Sheila stała z poczerwieniałą twarzą obok Capa, dłonie jej drżały od skupienia, język wystawał w kąciku ust. Przesłoniłam dłonią wargi.

- To jest o wiele trudniejsze, niż się wydaje - odpowiedziałam również szeptem.

- Koń musi stać dokładnie prosto, trzeba go ustawić.

- Na placu ojciec podskakiwał wokół Capa na jednej nodze, podnosząc mu każde kopyto i ustawiając je we właściwej pozycji. - Widzi pani?

- spytałam, kiedy ojciec skończył. - Widzi pani, jak kopyta Capa są teraz ustawione w rzędzie? Muszą być tak ustawione za każdym razem. I ona musi tak zrobić, nie dotykając go.

- To niemożliwe - wyszeptała pani Altman.

Stojąc na ziemi, Sheila miała nad koniem jeszcze mniej kontroli niż w siodle. Próbowała zmusić Capa, by kłusował obok niej, a on wbijał kopyta w ziemię, patrzył obojętnie na jej twarz, gdy ciężarem całego

ciała wieszala się na uwiązcie. Kiedy próbowała zmusić go do skrętu, stawał jej na nodze. Kiedy próbowała go zmusić, żeby się ustawił prosto, on rozstawił nogi, wygiął grzbiet, przewrócił oczami i wysunawszy swój interes, spryskał strumieniem moczu jej buty i dzinsy.

- Kurwa! - krzyknęła Sheila, a ja niemal spadłam na plecy z ogrodzenia, udając, że się dławię, tak aby ukryć śmiech.

- Sheila! - sapnęła pani Altman. - Natychmiast przeproś pana Winstona! - Ale Sheila za głośno płakała, żeby usłyszeć mamę. - Tak mi przykro - powiedziała pani Altman do mojego ojca. - Nie wiem, gdzie ona się nauczyła takich słów.

Ojciec ruszył w stronę Sheili, ale chora noga mu się wykręciła pod dziwnym kątem. Chwycił się ogrodzenia, wykrzywiając twarz z bólu.

- Nic nie szkodzi - rzekł, kiedy ból minął. - Pewnie usłyszała je tutaj.

Pani Altman stała obok areny, wykręcając bezradnie ręce nad niespodzianym wybuchem Sheili i ruiną jej drogich ubrań. Patrzyłam, jak czoło mojego ojca się marszczy, kiedy próbuje znaleźć słowa pocieszenia, jakąś anegdotę o innym kliencie, który zetknął się z podobnymi problemami, a potem na zawodach był bezkonkurencyjny. Ale taka anegdota nie istniała. Sheila była pierwszym naszym klientem, który został obsikany w czasie lekcji.

- Cóż - mój ojciec sięgnął po kule. - Pewnie na dzisiaj wystarczy. Przez następne dwa dni ojciec utykał po stajni z twarzą skrzywioną w zamyśleniu. Do końca sezonu zostało tylko kilka pokazów, a on nie chciał, żeby Sheila zakończyła sezon z poczuciem klęski.

- Nie sądzę, żeby zmuszanie jej teraz do udziału w showmanship korzystnie wpłynęło na jej poczucie własnej wartości - powiedział mi przy obiedzie.

- Zwłaszcza jeśli jest zalana końskimi szczynami - dodałam, a ojciec spojrział na mnie groźnie z drugiej strony stołu.

- Ale jeśli jej nie zgłoszę, ona się zniechęci. - Kroił mięso, zastanawiając się.

Odpowiedź przysłała mu do głowy w nocy, a następnego ranka ojciec założył kantar Ace'owi i przyprowadził go na tylne pastwisko.

- Żartujesz - powiedziałam. - Nie możesz wyprowadzić Ace'a na plac!

- Pewnie, że mogę - odparł. - W końcu to tylko lokalne zawody. I popatrz, jak on stoi! Sheila nic nie będzie musiała robić. - Przy słupku Ace stał z nogami wyrównanymi idealnie. Ale jego kopyta były długie i zaniedbane, grzywa i ogon zmatowiały, oczy zaskorupiały od brudu. - To dobrze wpłynie na pewność siebie Sheili. W tej chwili myślę, że ważniejsze od dobrej prezencji jest dla niej poczucie, że coś robi dobrze.

Sheila słuchała, z głową przechyloną w zmieszaniu, kiedy ojciec wyjaśniał jej swój plan.

- Jedynie na kilka pokazów - obiecał. - Tylko do chwili, kiedy się z tym otrzaskasz.

Sheila wpatrywała się w Ace'a ze zmarszczonym nosem. Koń miał przymknięte oczy, dolna warga obwisała, odsłaniając zbrązowiałe zęby.

- Nie wygląda zbyt konkursowo - stwierdziła w końcu.

- Ach, o to się nie martw - powiedział jej ojciec, poklepując zadek Ace'a, tak że z jego sierści uniósł się kłęb kurzu. - Alice i ja przystrzyżemy go i wyczyszczymy. Zaufaj mi, kiedy wejdzie na plac, nawet go nie poznasz.

I w ten sposób Ace został odwołany z emerytury. Każdego ranka, zanim słońce nabrało mocy, Sheila zakładała mu kantar Yellow Capa i prowadziła go na plac na lekcję. Na arenie Ace stał idealnie spokojnie i posłusznie, kiedy Sheila ćwiczyła przemieszczanie się wokół niego, ucząc się pozycji. Raz za razem jego nogi ustawiały się równo, a Sheila nie musiała robić nic poza potrząśnięciem uwiązku pod jego szczęką.

- Widzisz? - powiedział do niej ojciec. - Jesteś do tego stworzona. Powieki stojącego obok niej Ace'a całkiem opadły, a spomiędzy jego warg wydobył się lekki pomruk.

- On chyba zasnął - powiedziała Sheila. Ojciec podskoczył do przodu i sprawdził.

- Och - odparł, niezbity z tropu. - Jeśli tak zrobi na placu, zaczekaj, aż sędzia nie będzie patrzył, i szturchnij go.

Ace nie był jedynym w naszej stajni koniem, który nagle awansował. Z gipsem ojciec nie mógł jeździć i zmartwiony, że Darling wróci na złą drogę bez codziennego treningu, ułożył nowy plan. Ogier Buda Pope'a nie zdołał wyrzucić na klaczy żadnego wrażenia, powiedział ojciec. Może więc nadszedł czas, żeby je wywarły samice.

Kiedy ojciec otworzył bramę przedniego pastwiska i wprowadził przez nią Darling, klacze zarodowe podniosły swoje opuszczone łby. Wszystkie były od niej powolniejsze, wszystkie ciężkie, zniekształcone wiekiem i nieustannymi ciężarami. Ale nawet z daleka Darling wyczuła prawdziwą naturę swojej sytuacji: nie była tu mile widziana. Potruchtła na bok, rżąc cicho i przechadzając się przy bramie.

W normalnych okolicznościach klacze były co najmniej ospałe, chodziły powoli po pastwisku, poskubując wysuszoną trawę i bez przekonania przeganiając muchy ogonem. Ale w chwili gdy wśród nich pojawiła się Darling, na naszych oczach ponownie wykrzeszały z siebie energię. Atakowały pojedynczo, dwie albo wszystkie jednocześnie, kładąc uszy i odsłaniając zęby. Zapędzały Darling w kąt, gdzie mogła tylko kulić się bezradnie, podczas gdy one odwracały się, by ją kopnąć.

Mój ojciec stał przy ogrodzeniu, patrząc, jak Ginger i Sally okładają Darling serią kopniaków w klatkę piersiową i bark.

- A niech to - zachichotał. - Jak na zgraję starych wiedźm są całkiem żwawe.

- Dlaczego one są takie niedobre? - spytała Sheila, a ja pokręciłam głową. Niespełna dwa tygodnie temu leżały na ziemi obolałe, kwiląc z żalu, otepiałe po stracie. A teraz pędziły Darling po arenie z ogonami w górze i sterczącymi uszami, szybkie i ożywione niczym roczniaki.

- Konie przyzwyczajają się do swojej grupy - wyjaśnił ojciec. - Nie lubią obcych. Poza tym mają za sobą trudny miesiąc. Teraz mogą się na kimś wyładować. - Sheila zadrżała przy moim boku, a ojciec wsparł się na kulach, by poklepać ją po ramieniu. - Nie martw się - powiedział. - Nie zrobią jej krzywdy. Ale dadzą jej porządny wycisk. I może nauczą ją nieco szacunku dla starszych.

Każdego ranka mój ojciec zakładał Darling kantar i wspierając się na jednej kuli, prowadził ją na round pen. Po drugiej stronie żrebak Ginger bił kopytem i rżał cicho, pocąc się z przerażenia pod nieobecność jedyne go towarzysza. Całe dnie spędzał sam w zagrodzie, przechadzając się na swoich patykowatych nogach, krzycząc ochryple i bezgranicznie żałośnie, podczas gdy po drugiej stronie stajni jego matka zapędzała Darling w kąt.

Zostawienie Darling na pastwisku na noc udaremniłoby starania, wyjaśnił ojciec. Klacze przyzwyczałyby się do niej, zaczęłyby akcep-

tować jej obecność. Ale wyprowadzanie jej wieczorami powodowało, że pozostawała obca i każdego ranka wracała jako obca. Nocą ojciec odprowadzał ją brudną i utykającą, a źrebak Ginger nastawiał uszy na jej widok, rozdymając swoje małe chrapki. Obok tylnego pastwiska jego bracia i siostry zbierali się razem w swojej zagrodzie, z każdym dniem coraz bardziej o nim zapominając. Ale noc po nocy Darling wracała. Wyciągał do niej szyję, chwycił swoim ostrym nosem przestrzeń pomiędzy nimi, przestrzeń tak szeroką, że nigdy nie mieli się dotknąć. I spędzali razem noc, płacząc ze swoich bliźniaczych zagród, dzieląc cierpienie, swoją izolację, przez długie godziny w ciemności, aż słońce wschodziło, nasączając niebo kolorem, a mój ojciec wracał, by zabrać Darling od ogierka.

Na przednim pastwisku Darling nie próbowała się paść. Zrezygnowała z prób przegonienia klaczy i zwyczajnie pochylała do nich łeb, pozwalając im się gryźć i okładać. Mój ojciec nazwał to postępem. Gdyby człowiek tak bił konia, byłoby to maltretowaniem. Kiedy konie znęcały się nad końmi, powiedział, że jest to natura.

Sheila i ja kiwnęłyśmy głowami na znak, że się zgadzamy, i powiedziałyśmy, że tak jest lepiej. Patrzyłyśmy na Ace'a, na zapadniętą część jego łba, na stromo pochylony zad, i mówiłyśmy sobie, że są gorsze losy niż pastwisko pełne wrednych klaczy - są pistolety i noże, i ludzie z młotkami. Są rzeźnie. I chociaż wszystkie te rzeczy mówiłyśmy na głos, nadal wymykałyśmy się od ojca, by stanąć przy bramie pastwiska, gdzie krzywiłyśmy się na każde kopnięcie, każde ugryzienie, każdą pogoń, która kończyła się tak, że Darling kulila się w rogu, osłabiona i bezbronna wobec przewagi klaczy, ich niespodziewanej pozycji siły.

Sheila patrzyła, żując koniec swojego warkocza.

- Cieszysz się, że szkoła się zaczyna? - spytała.

Za niecały tydzień będę w siódmej klasie. Pan Delmar tam będzie. Będę go widywać codziennie.

- Chyba - odparłam.

- Masz w szkole dużo przyjaciółek?

- Setki.

Na drugim końcu pastwiska Darling stęknęła, kiedy kopyta Ginger rozciąły jej łopatkę.

- Szczęściara z ciebie - powiedziała Sheila po chwili. - Ja tyłu nie mam.

Odwróciłam się do niej, ale ona nie odrywała wzroku od pastwiska.

- A te wszystkie dziewczyny na twoim przyjęciu? - spytałam.

- One nie zawsze są dla mnie takie miłe - wyjaśniła. - Czasami są naprawdę wredne.

Sheila Altman miała doskonałą skórę i doskonałe włosy. Mieszkała w wielkim doskonałym domu ze swoimi bogatymi doskonałymi rodzicami. Trudno było po prostu uwierzyć, że najmniejszy odłamek jej całego doskonałego życia może być w jakikolwiek sposób ciężki.

- Co ci robią? - spytałam. Westchnęła.

- Czasami mnie ignorują. Jeśli nie robię tego, co chcą, idą do kina i nie zapraszają mnie. Nie pozwalają mi siedzieć z nimi na lekcjach. Każą mi jeść samej lunch. - Słyszałam niemal, jak napinają się mięśnie w jej gardle, słyszałam łzy, których nie wyleje. - W zeszłym roku wściekły się na mnie i podały wszystkim liściki, że mają ze mną nie rozmawiać.

Nie miałam w szkole ani jednej przyjaciółki, codziennie jadłam samotnie lunch. Jedyna prawdziwa przyjaciółka, jaką miałam, nie żyła, a w dodatku ta przyjaźń była kłamstwem. Ale nikt w szkole nie zadawał sobie trudu, żeby być dla mnie wrednym. Nikt nigdy nie napisał niemiłego liściku z moim imieniem.

- Och - powiedziałam, ponieważ nic innego nie przyszło mi do głowy.

- To akurat wyszło mi na dobre - ciągnęła Sheila. - Po tej historii z liścikiem zaczęłam tu lekcje. Moja mama uznała, że przyda mi się zajęcie niezwiązane z moimi przyjaciółkami, coś, co będzie tylko moje.

Kiwnęłam głową. Sheila Altman będzie wygrywać albo nie. Mój ojciec mógł poświęcić jej całe swoje życie, mógł pracować z nią, aż oboje by się postarzeni i posiwiali. Bogate przyjaciółki, o których śnił, i tak nigdy nie nadejdą, nigdy się nie zapiszą na lekcje ani nie wymienią pieniędzy swoich rodziców na siodła konkursowe, które całe lato zbierały kurz w siodłami. Sheila Altman nigdy nie była dziewczyną, która miała nas ocalić.

- Szkoła zaczyna się w przyszłym tygodniu - powiedziała Sheila żałośnie. - A ja bym chciała, żeby lato nigdy się nie skończyło.

Słońce dalej prażyło ziemię, bez nadziei deszczu ani ulgi. Ale wstawało coraz później, a zachodziło coraz wcześniej. Zacznie się szkoła, skończy się sezon zawodów, zabierając ze sobą resztkę lata. Żadne pragnienie Sheili Altman nic nie mogło zmienić.

Sheila odwróciła się do mnie z groźnym i szczerym wyrazem twarzy.

- Myślę, że to niemoralne, co Joe robi z tą klaczą - powiedziała, a łód jej niebieskich oczu przeszył mnie na wylot. Po raz pierwszy powiedziała coś przeciwko mojemu ojcu, po raz pierwszy zaprezentowała coś innego niż ślepe uwielbienie dla niego i dla wszystkich jego działań.

- Musi ją złamać - odparłam. - Musi. - Patrzyła bez wyrazu, kiedy mówiłam. Jej zdanie było niewzruszone. - Wiesz, że bywa o wiele gorzej - przypomniałam jej. - Baty, łańcuchy i młotki. To tutaj to tylko natura.

Na pastwisku Darling potknęła się i padła na kolana, potem dźwignęła się na drżące nogi. Świeża smużka krwi pociekła przez jej białe biodro, ale Sheila nawet nie drgnęła.

- Ból to ból - powiedziała. - Nie obchodzi mnie, co go powoduje.

Tamtego wieczoru patrzyłam, jak mój ojciec porządkuje białe koperty na stole. Gips położył na krześle, bębnił palcami po stole i przeklinając pod nosem, gryzmolił liczby na skrawku papieru. Darling nie została złamana, a Sheila nie wygrywała. Sezon sportowy dobiegał końca, a ze złamaną nogą ojciec nie mógł trenować młodych koni. Zimna fala strachu wlała się do mojego brzucha. Kiedy jednak ojciec zauważył, że na niego patrzę, jego twarz się wygładziła i zgarnął w stos białe koperty.

- Wczoraj dzwonił jeden gość - powiedział. - Jego córka chce brać lekcje jazdy. Przyjadą jutro się rozejrzeć.

- Tutaj chce zacząć lekcje? - spytałam. Kolejna Sheila Altman. Zacznie jasna i pełna nadziei, lśniąc pieniędzmi swoich rodziców, ze wszystkimi obietnicami i nadziejami, które da jej mój ojciec. A potem padnie. Przegra. Pewnego dnia spojrzy na mojego ojca i powie słowo „niemoralne”. Ile czasu zajmie jej potem dostrzeżenie reszty? Pewnego dnia rozejrzy się i zobaczy wszystkie te wymysły i sprzeczności, zobaczy nas takich, jacy jesteśmy: złodzieje i kłamcy. Pewnego dnia, nie tak strasznie odległego, uzna, że życie musi być lepsze gdzie indziej, i ratując siebie, wyjedzie.

Ojciec wepchnął z powrotem białe koperty do szuflady, potem zatrzasnął ją, a wszystkie jego problemy zniknęły.

- Będzie świetnie - powiedział. - Sprawiali wrażenie bardzo podekscytowanych.

Kiedy jednak następnego dnia srebrny samochód wjechał na nasz podjazd, siedzący w nim ludzie nie wydawali się ani trochę podekscytowani. Ojciec rodziny obszedł samochód od przodu, by otworzyć drzwi swojej żonie, która wystawiła najpierw głowę, badając stajnię znad skraju przyciemnianych okularów. Rodzice stali przy samochodzie przez chwilę, patrząc na wysuszoną trawę na podwórku, na klacze tłukące Darling na pastwisku, gołe gałki moich kostek wystające spod mankietów spodni, i wymienili pełne wątpliwości spojrzenie. Córka była mała, miała siedem, może osiem lat, wysiadła z tylnego fotela i zmarszczyła nos zwrócona do rodziców.

- Tu śmierdzi końską kupą.

Poszli za mną przez stajnię z ramionami skrzyżowanymi na piersi, trzymając się blisko siebie, jakby się bali, że mogą coś złapać. Na placu Sheila pracowała z Ace'em nad showmanshipem, a ojciec sunął ku krańcowi areny na kulach. Przechylił się przez ogrodzenie, żeby uścisnąć ręce rodziców.

- Joe Winston. - Uśmiechnął się szeroko, a para się przedstawiła.

- Mała Katie nie może się doczekać nauki jazdy - oznajmił ojciec. Córka stała przy nim z ramionami założonymi do tyłu. Obejrzała się na żrebaki, jeszcze chude i patykowate, ale już nie rozkoszne maluszki, do których mała Katie mogłaby pogruchać jeszcze miesiąc temu. Zerknęła na round pen, gdzie stał żreback Ginger, brudny od potu i pyłu, zawodząc żałośnie.

- Dlaczego ten mały konik jest całkiem sam? - zapytała, a uśmiech mojego ojca zamarł.

- Cóż - powiedział po chwili. - Bardzo nam miło, że zechcieliście przyjechać.

Rok temu w tym momencie moja siostra wyprowadziłaby Yellow Capa na plac, wykonałaby na nim kilka wolnych, równych kół, zaprezentowałaby skoki, zarzucając swoimi miodowymi włosami, tak żeby pobłyskiwały w słońcu. Rodzice staliby z dala i patrzyli, jak ich córka wspina się na ogrodzenie, gapiąc się z szeroko otwartymi ustami. Czy którakolwiek mała dziewczynka nie chciałaby być taka jak Nona?

Ale teraz Sheila Altman stała na placu, stukając w przednią nogę Ace'a czubkiem buta, żeby zmusić go do przyjęcia właściwej postawy. Twarze rodziców stężały, kiedy dostrzegli zapuszczoną sierść i pochylony zad, wklęsłość na jego zniekształconym łbie.

- Moja córka całe życie jest przy koniach - powiedział w końcu mój ojciec, wskazując na mnie gumową podkładką kuli. - I dostaje naprawdę dobre stopnie.

A więc do tego doszło. Moje dobre stopnie były teraz jedyną rzeczą, jaką mogliśmy zaoferować, jedyną wątpliwą obietnicą, jaką mój ojciec mógł złożyć. Rodzice skierowali wzrok na mnie, a ja kiwnęłam głową na potwierdzenie ojcowskich słów.

- Same szóstki - dodałam, próbując pomóc. Uśmiechnęli się grzecznie.

- Jak myślisz, Kates? - zapytał ojciec swoją córkę.

Mała Katie obróciła się powoli, patrząc na stajnię, pastwisko Staruszków, zasyfiałe gips na nodze mojego ojca i na arenę, na której pocila się Sheila Altman.

- Tam mi się bardziej podobało.

I tyle. Wsiedli z powrotem do swojego srebrnego samochodu. I wszystko się skończyło, zanim zdołało się rozpocząć.

- W ogóle się nie zabrałam do listy lektur - wyznałam.

Tamtego wieczoru sprzątałam swój tornister i znalazłam ją: żółtą kartkę zabazgraną jego odręcznym pismem, wszystkie te książki, których nie przeczytałam, dobre zamiary, zatracone gdzieś pomiędzy rozmowami telefonicznymi a zawodami i niezliczonymi dniami duszącego upału. - Chciałam je przeczytać - dodałam. - Naprawdę chciałam.

- Nie przejmuj się - powiedział pan Delmar, a wydmuchiwany dym z papierosa zasyczał mu między zębami. - Ta lista to bzdura. - W szafie Nony moje ciało pomrukiwało elektrycznością. „Bzdura”. Za kilka krótkich dni zacznie się szkoła. I co się wtedy stanie? Kim dla siebie będziemy? Słyszałam go, jak przeklina, jak pali i pije i mówi o Bogu. Będę się wyróżniła spośród reszty klasy, spośród wszystkich dziewcząt, które latem pływały, opalały się i wyjeżdżały na rodzinne wakacje, od wszystkich małych ludzi siedzących w swoich małych ławkach. Będę wyjątkowa.

- Podobała mi się poezja - powiedziałam. To była po części prawda. Nie słuchałam tak naprawdę wierszy, które czytał, nie próbowałam za bardzo ich zrozumieć. Ale podobał mi się dźwięk jego głosu, kiedy wymawiał słowa, przestrzenie pomiędzy nimi - nie tu, nie tam, tylko jakieś miejsce osobne, tajemne i osobiste, miejsce, które należało tylko do niego, miejsce, które pozwolił mi odwiedzić.

- Coś ci powiem - rzekł. - Nie znajdziesz tych wierszy na żadnej liście lektur szkoły średniej. - Pomyślałam o wszystkich lekcjach angielskiego w moim życiu, sprawdzianach ze słówek i ortograficznych, książkach, które kazano nam czytać w tempie rozdział dziennie - ślepe dziewczynki i chłopcy, którzy mieszkali na drzewach.

- Nie pojmuję za bardzo książek, które czytamy w szkole - wyznałam. - Wydają mi się głupie.

- Te książki to całkowita strata czasu - powiedział. Jego głos był stłumiony i nagle się zastanowiłam, czy go obudziłam, czy wyszedł z łóżka, żeby odebrać mój telefon, żeby usłyszeć mój głos. Porozmawiać ze mną.

- Dlaczego każą nam je czytać?

- Kiedy byli dziećmi, im też ktoś kazał je czytać. A więc teraz oni każą wam. Ameryka - parsknął - to kraj całkowicie pozbawiony wyobraźni.

- Za długo pan po prostu mieszka na pustyni - powiedziałam. Przed kilkoma tygodniami zapytałam go, skąd pochodzi, i odparł, że z Michigan. Od tego czasu wyobrażałam sobie Michigan jako stan pełen zielonych, ukwieconych drzew i słodko pachnącej trawy. Obejrzałam go sobie na mapie: Michigan, usadowiony w górnej części kraju, wyciągający palce ku Kanadzie - stan wypełniony wodą.

- Wszędzie jest tak samo - powiedział.

- Nie wierzę panu.

- Co się stało z kulturą? - spytał. - Z wielkością? - Przez telefon dobiegł mnie brzęk, dźwięk szkła rozbijającego się na podłodze. Ale on nie przerwał ani nie wyjaśnił, wydawało się wręcz, że niczego nie zauważył. - Gdzie jest John Wayne? Gdzie Elvis?

Nie byłam już pewna, o czym rozmawiamy, co to wszystko ma wspólnego z wyobraźnią albo listą lektur.

- Nie żyją - odpowiedziałam.

- Amen.

John Wayne, Elvis, wszyscy ci ludzie, którzy napisali te wiersze niezbyt pilnie przeze mnie słuchane - oni wszyscy umarli, zanim przyszedłem na świat. Może wielkość też umarła, może cały kraj był tylko ogromnym, pustym cementarzyskiem zapominania. A jeśli szeroko otwarta nicość zawsze była twoim domem, to pewnie nie możesz się źle z tym czuć. Może nie umiesz sobie nawet wyobrazić, że w ogóle jest coś więcej.

- Świat jest zrujnowany - powiedział pan Delmar. -1 nikt się tym nawet nie przejmuje.

Cała rozmowa nagle stała się niebezpieczna i zakazana. Kiedy mi czytał, moje ciało się uspokajało, umysł stawał się gładki i senny. Teraz jednak na karku poczułam ukłucia niepokoju, zimna, lepka zupa kotłowała się w moim brzuchu. Urodziłam się za późno, za wiele mnie ominęło. Świat był zrujnowany. I tylko to wiedziałam od zawsze.

- Ja się przejmuje - wyszeptalam. Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

- No to może jest nadzieja - powiedział w końcu.

W milczeniu kiwnęłam głową. Nie wystarczy, że ktoś się przejmuje, ani trochę. Wszystko trwało, jak zawsze. Na przednim pastwisku klacze zarodowe tłukły klacze sportową, upokarzały ją, zmieniały. To nie z okrucieństwa, gniewu czy chciwości. Biły ją, bo mogły, bo były zwierzętami, bo taką miały naturę. Pozwalaliśmy na to, zachęcaliśmy do tego, wykorzystywaliśmy to. A potem Sheila Altman patrzyła na to swoim czystym, niezmaconym wzrokiem doskonałych niebieskich oczu i dawała temu nazwę: „niemoralne”.

- Powinno być więcej - powiedziałam.

- Więcej czego? - spytał.

- Przejmowania się. Poczucia przyzwoitości. Powinno być o wiele więcej.

- Jezu. Ty słuchasz wszystkiego, co mówię. Będę musiał bardziej uważać.

- Jeśli poczucie przyzwoitości to jedyne, na co można mieć nadzieję, jeśli nikogo nic nie obchodzi, to w czym rzecz? - zapytałam. - Dlaczego w ogóle ktokolwiek się czymkolwiek przejmuje?

- Jeśli znajdziesz odpowiedź na to pytanie - powiedział - chcę pierwszy ją usłyszeć.

- Pan jedyny ją usłyszy.

Następnego dnia mój ojciec wrócił do domu gimbusem. Zaparkował go przed stacją i zeskoczył ze stopni na jednej nodze, sięgając za siebie po kule.

- Co to jest? - zapytałam, a on spojrzał na mnie, jakbym była ograniczona umysłowo.

- Gimbus.

- Co on tu robi?

- Nowa fucha - odpowiedział ojciec. - Tylko na jakiś czas.

Serce mi podskoczyło w piersi. Autobus był wielki jak billboard, ogromny, szkaradny grat przed naszą stacją. Nie sposób było go ukryć ani się z niego wyłgać. Ojciec będzie nim jeździł po mieście, siedział za kierownicą na szkolnym parkingu. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że robi to dla zabawy. Każdy, kto nas zna, zrozumie: potrzebujemy pieniędzy.

Ruszył do stajni, a ja podbiegłam za nim.

- Możesz prowadzić autobus ze złamaną nogą? - spytałam.

- Pewnie.

- A wolno ci?

- Ach. Znam gościa, wyświadczył mi przysługę.

- Jaki gość? - spytałam.

Ojciec odwrócił się i przekrzywił głowę.

- Gościa z grupy pościgowej szeryfa - wyjaśnił. - Masz jeszcze jakieś pytania czy mogę wrócić do pracy?

Pokręciłam głową. Nie miałam już o co pytać, nie miałam co powiedzieć. Wszystko już się stało. Jeśli jeden z członków grupy szeryfa wiedział, że mój ojciec podjął pracę kierowcy gimbusa, to reszta będzie wiedziała przed końcem tygodnia. Powiedzą swoim żonom. Mój żołądek skurczył się w kamień, kiedy sobie wyobraziłam krzywe uśmiešky bliźniaków Pope. Słyszałam w głowie ich nosowy śmiech, czułam wstrętne dowcipy już rodzące się wewnątrz ich robaczywych rozumków. „Autobusik nasz wesoły jest...”

- Ja nim nie będę jeździć! - krzyknęłam za ojcem, a on, nie odwracając się, wzruszył ramionami.

- Dobra.

Wróciłam do stajni, gdzie bez przekonania wyrzucałam brudną słomę z boksu Heathcliffa. Wyobraziłam sobie, jak ojciec prowadzi gimbus pełen moich koleżanek z klasy, manewrując między samochodami, które jadą za wolno, i klnąc przez okno na ludzi, którzy mu się odcinają. Szkoła zawsze była znośna, ponieważ nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nikt nie wiedział, kim jestem. Ale teraz wyobraziłam sobie, jak ojciec pozwala, by w autobusie kończyło się paliwo, tak jak robił w pick-upie, potem odpala zapłon, żeby znaleźć stację benzynową, zanim mu się paliwo całkowicie skończy, jedzie po krawężnikach i na czerwonym, aż autobus przeokożkuje, zabijając wszystkich w środku. Będę Alice Winston, dziewczyną, której ojciec wymordował szkołę średnią. Alice Winston, dziewczyną, której ojciec jeździł gimbusem.

Kiedy usłyszałam, jak samochód Patty Jo dudni na podjeździe, zanurkowałam za drzwiami boksu Heathcliffa, nie chcąc wyjaśniać obecności autobusu. Obcasy jej butów zastukały na podłodze stajni i przystanęła dokładnie po drugiej stronie tych drzwi.

- Gościmy dzisiaj szkolną wycieczkę? - zapytała. Wstrzymałam oddech, niepewna, czy kieruje to pytanie do mnie,

czy w przestrzeń. Zanim zdołałam wymyślić odpowiedź, wyręczył mnie głos mojego ojca.

- Nowa fucha - wyjaśnił, a ja przykucnęłam niżej, bojąc się, że mnie nagle zobaczą i będę musiała wyjaśnić, czemu się ukrywam.

- Okropna - Patty się zaśmiała. - Dlaczego, na miłość boską, masz robić takie rzeczy?

Ojciec odpowiedział dopiero po chwili ciszy. Przez szparę w drzwiach widziałam ich stopy, gips ojca szary od brudu, błysk spiczastych butów Patty Jo, stebnowany skraj jej doskonale odprasowanych granatowych dżinsów.

- Kończy się sezon zawodów - powiedział w końcu. - Mam złamaną nogę. I rachunki do płacenia.

Gdyby mówił do mnie, nie usłyszałabym tego. Ale teraz, przy Patty Jo, był wyraźny - głęboki i przenikliwy w cichym szepcie: wstyd. .

Ojciec przeniósł ciężar ciała na gumowe podkładki kuli, a Patty cofnęła się o cal na swoich obcasach.

- Boże - westchnęła. - Jestem taką suką.

- Nie - powiedział ojciec szybko. - To żart. Gówniane pieniądze. I chodzi tylko o to, żebyśmy przetrwali miesiąc czy dwa. To tymczasowe.

-Za mało ci płacimy. Dziewczyny i ja... tak ciężko pracujesz, tyle robisz. Powinnyśmy płacić ci więcej.

Oddech zamarł mi w piersi. To była odpowiedź, rozwiązanie, wyjście. Ale ojciec, zamiast podtrzymać jej sugestię, westchnął z rezygnacją.

- Taki interes - powiedział - albo uczta, albo głód. No, może głód albo większy głód.

Patty wychyliła się do przodu na czubkach palców.

- Myślałeś kiedyś, żeby wyjechać? - wyszeptała.

- Sprzedać to? - spytał ojciec. Nie odpowiedziała, a on przesunął się na bok na kulach, padł na składane krzesło i wsunął ręce między kolana, tak że widziałam czubki jego palców zagięte do wewnątrz.

- Nic innego w życiu nie robiłem. Tylko w tym jestem dobry.

- No to masz szczęście - odparła, a ojciec wybuchnął śmiechem.

- Jeszcze nikt mi tego nie powiedział.

- Nie żartuję. - Przestał się śmiać. - Wiedzieć, że jesteś w czymś dobry, to prawdziwy dar. Ja nigdy go nie dostałam.

- Jesteś niezłym jeźdźcem - rzekł, wyciągając nogi, tak że od butów Patty dzieliło je tylko kilka cali.

- W takie miejsce jak to moja rodzina przyjeżdżała zawsze latem

- powiedziała Patty Jo. - Mieli tam konie i nic innego nie robiłam, całymi dniami od rana do nocy. Najbardziej lubiłam skoki.

- Nie żartuj sobie. W życiu bym nie powiedział, że skakałaś.

- Zawsze byłam mała - wyjaśniła Patty Jo. - Chłopcy, z którymi się spotykałam, zawsze chcieli mnie trzymać na kolanach albo nosić na rękach. Rodzice wciąż się o mnie martwili, zawsze trzymali mnie w izolacji jak lalczkę. Ale to poczucie, kiedy skaczesz - to jest jak latanie, jak wolność. Przez całe swoje życie chciałam tylko jednego: konia. Błagałam rodziców. A potem błagałam męża. On myśli, że jestem szalona. - Roześmiała się. - Może i jestem. Na pewno tak to wygląda.

Po drugiej stronie boksu Heathcliffa czekałam, aż mój ojciec przeprosi, wstanie i odsunie się od niej. Bycie małym to nie to samo, co bycie biednym, i czekałam, aż on straci cierpliwość i powie to. Patty Jo posiadała konia czempiona i oporządzała go, choć nie jeździła na

konkursy. Mój ojciec jeździł gimbussem. Mogli równie dobrze żyć na różnych planetach.

- Tak właśnie było z moją żoną - powiedział ojciec, a ja zdrewniałam. Jeśli był jeden temat zakazany z klientami, z obcymi, z każdym, kto nazywał się inaczej niż my, i dla większości tych, którzy się nazywali tak samo, to moja matka. - Ludzie zawsze chcieli ją głaskać i nosić na rękach. Ale na koniu była wielka, potężna. Nie miała sobie równych.

- Dlaczego przestała jeździć? - spytała Patty.

Zapadła długa cisza, coś tajemnego i ukrytego, świat, którego nikt nigdy ze mną nie dzielił. I chociaż widziałam tylko ich stopy, czułam łączącą ich więź. Gdybym mogła zobaczyć ich twarze, na pewno zobaczyłabym to samo, zrozumiałabym myśli, które dzielą, i słowa, których nie muszą wypowiadać.

- Nie możesz brać winy na siebie - powiedziała cicho Patty. - Nikt nie jest do końca odpowiedzialny za rozczarowanie innej osoby.

Jej słowa zdawały się pochłaniać całe powietrze ze stajni, aż przestrzeń wokół mnie wypełniła się ciepłą, martwą nicością, a powietrze w moich płucach stęchło. Przez szparę w drzwiach patrzyłam, jak stopa Patty Jo przesuwana się do przodu, lśniący trójkątny czubek jej buta zatrzymuje się tuż przed spotkaniem z brudną piętą gipsu mojego ojca.

I nic się nie wydarzyło. Patrzyłam i czekałam, aż wstaną, nie mówiąc, nie dotykając się, aż wreszcie chwila się skończyła i poszli każde swoją drogą.

Następnego ranka mój ojciec obudził się wcześniej i wyciągnął przeszkody z frontowego gabinetu, tam gdzie Jack kiedyś przyjmował pacjentów. Zanim wyszłam na zewnątrz, on już był na arenie i podskakując na jednej nodze, ciągnął przez plac przeszkody w kawałkach. Nie wyciągaliśmy ich, odkąd Nona wyjechała. Sheilę wciąż dzieliły całe lata świetlne od chwili, kiedy będzie w stanie cokolwiek z Capem przeskoczyć. Po prostu nie było po co.

Ale kiedy Patty przyjechała tego dnia, zajrzała na arenę i na jej ustach pojawił się tajemny uśmiech.

- Jaki dziwny zbieg okoliczności - powiedziała, a mój ojciec wzruszył ramionami.

- Tak sobie pomyślałem, że ten twój koń może być znudzony ćwiczeniami na płaskim - powiedział.

Ojciec zwykle nie pozwalał innym ludziom jeździć po arenie, kiedy udzielał lekcji, ale Patty Jo pracowała z Toy Boyem nad skokami, podczas gdy Sheila ćwiczyła showmanship z Acem, a mój ojciec nie protestował. Powoli zaczął dawać jej wskazówki, odwracał się od Sheili i udzielał Patty drobnych porad, korygował sposób, w jaki trzymała ręce, albo zachęcał Toy Boya do skoku.

W krótkim czasie całkiem porzucił Sheilę.

- Kurwa, ten koń to urodzony skoczek! - krzyknął, patrząc na nich, a Patty Jo się rozpromieniła.

To była prawda. Toy Boy był kształtny i umięśniony, brał przeszkody, jakby ich w ogóle nie było. I chociaż Patty jeździła dobrze, płynnie, dobrze siedziała, to jednak umiejętności konia najwyraźniej przewyższały jej własne.

- Musisz mu zaufać - powiedział do niej ojciec, kładąc jej rękę na kolanie, tak że jej twarz się zarumieniła. - Zamknij oczy. Odwracaj twarz przy każdym skoku. - Przesunął rękę po jej udzie. - Poczuj go pod sobą. Uwierz, że on cię przez to przeniesie.

Siedziałam na ogrodzeniu i patrzyłam, jak Patty i Sheila czekają na swoją kolej do mojego ojca, kiwając głową z czcią na każde jego słowo, krążąc wokół niego niczym planety.

- Patty Jo bierze teraz lekcje? - spytałam ojca przy obiedzie.

- Pomagam jej - odparł.

- Ale ona nie płaci.

- Daję jej tylko wskazówki.

Wzniosłam oczy do nieba i udawałam, że się zastanawiam.

- Co? - spytał ojciec.

- Och, tak się tylko zastanawiam, jak musi się czuć Sheila. Ona płaci za każdy drobiazg, a Patty Jo dostaje wskazówki za darmo. Mam nadzieję, że nie powie nic swojej mamie.

Prawda była taka, że Sheila nawet chyba nie zauważyła Patty Jo na arenie, a jeszcze mniej obchodziło ją, że tam jest. Cała uwaga Sheili koncentrowała się na Asie, jej czoło się marszczyło, policzki płonęły w skupieniu. Ostatnia rzecz, która Sheilę obchodziła w kwestii pieniędzy, to kto za co płaci i ile.

Ojciec spojrział na mnie i kanapka z serem w moich ustach zaczęła zamieniać się w cement.

- Biznes jest jak gra, Alice - powiedział i pochylił głowę, wyczerpany. - Każdy ma swoje zasady.

Na rozszerzony angielski chodziło nas niewiele - tylko trzynaścioro. Pierwszego dnia Colleen Murphy zajęła miejsce obok Janice Reardon, a ta pochyliła się do przodu, zasłaniając usta dłońmi, jakby miała coś szepnąć. Kiedy jednak zapytała „Dobrze się czujesz?“, jej głos usłyszeli wszyscy, nawet ja po drugiej stronie sali.

Zerkałam ze swojej ławki, próbując znaleźć ślady na szyi i nadgarstkach Colleen. Ale nie zdołałam dostrzec niczego złego. Po jej próbie samobójczej nie zostały nawet blizny na skórze.

Rozejrzałam się po sali, czekając na dzwonek. Zdjęcie na biurku pana Delmara - kobieta przy wodospadzie - zniknęło. Kiedy wszedł do klasy, opuściłam wzrok, zasłaniając twarz włosami. Tego ranka ubrałam się w połączenie własnych ciuchów i ciuchów Nony. Siedziałam w ławce, czując się niekształtna i nierówna - niektóre części mojego ciała pękały w szwach, a inne zwisały jak gałązki w worku.

Przy sprawdzaniu obecności pan Delmar odczytał moje nazwisko z dziennika, jakbym była kimkolwiek, a ja odpowiedziałam, nie podnosząc wzroku. Nie byłam pewna, co teraz ma się wydarzyć. Mieliśmy sekret. Wiedzieliśmy coś, czego poza nami nie wiedział nikt. Udawanie czegoś innego przyprawiało mnie o łopot serca i mroziło mi krew. Może teraz, kiedy zaczęła się szkoła, wszystko musi się zmienić. Na pewno on nie będzie w stanie nie spać tak późno w nocy, z leniwym głosem i śmiechem na końcu języka. Będzie porządek. Będą zasady.

Ale kiedy zadzwoniłam tej nocy, on odebrał, jakby nic się nie zmieniło.

W szkole przebywaliśmy z dala od siebie, unikaliśmy swojego spojrzenia. A jednak przez zasłonę włosów wyczuwałam niekiedy, że na mnie patrzy. W stołówce czułam, jak jego oczy znajdują mnie w tłumie. Znałam jego gwizd - słyszałam go, jak wyłania się zza rogu albo przechodzi korytarzem pod salą, w której mam zajęcia.

W domu trudziłam się nad każdym zadaniem z angielskiego. Kiedy oddawał prace, czekałam do wyjścia z sali, zanim przejrzałam kartkę w poszukiwaniu jego uwag. Każdy czerwony znaczek odbierałam jako

nóż wbijający się w moje gardło. Wyobrażałam sobie, jak ocenia, widzi błąd i myśli, że jestem głupią dziewczynką, że robię błędy ortograficzne, podstawowe błędy stylistyczne. A wtedy chciałam się zabić.

Ale przez telefon nigdy nie wspominał o szkole, nigdy nie przywołał faktu, że widzieliśmy się ledwie kilka godzin wcześniej, że wylał sobie kawę na koszulę albo że ja się pomyliłam przy literowaniu „hiperboli”, kiedy przyszła na mnie kolej czytania na głos. W ten sposób posunęliśmy się kroczek naprzód. Ja wciąż dzwoniłam, a on wciąż odbierał. I chociaż w głębi duszy nie mogłam myśleć, że robimy coś złego, jakieś miejsce głęboko wewnątrz mnie zaciskało się ze strachu. W jakiś sposób, którego nie umiałam określić, nie przestrzegaliśmy zasad. I kiedyś trzeba będzie za to zapłacić.

Kiedy szłam do domu po lekcjach, widziałam pusty kanał, wyschnięty na popiół po suszy. Uderzyła mnie jałowość kanału bez wody, piasek, trawa i płytkie progi. Z każdym powiewem szeleściły dokoła mnie chwasty, wdychały pustynne powietrze niczym płuca, szeptały nad brzegami kanału. Nie było żadnych białych cieni, żadnych samotnych duchów. I tak jednak czułam, że ona mnie obserwuje, osądza, wie, że nieproszona wtargnęłam w miejsce, które kiedyś należało tylko do niej. „Odejdź” - wyszeptałam po drodze. - „Nic tutaj nie należy do ciebie”.

- Uważasz, że ona jest ładna? - zapytała moja matka.

- Kto? - Zostałam wysłana na górę, żeby się dowiedzieć, czy matka jest głodna, czy niczego nie potrzebuje. Teraz stałam i patrzyłam, a ona siedziała w oknie. Od wyjazdu Jacka i Ruby moja matka pozostała na górze. Ojciec wrócił do pokoju gościnnego, a ona wemknęła się z powrotem w swój świat ciszy, świat, w którym nic się nie wydarzało i nic się nie zmieniało. Ale nawet ten świat nie był bezpieczny. Moja matka miała okno. I wyglądało na to, że nie zamierza trzymać się od niego z dala.

- Ta bogaczka - powiedziała matka, nie odwracając się od okna. - Ta, którą on uczy skakać.

Słońce wpływało przez okno, wypełniając włosy mojej matki tak, że lśniły jak płynna czekolada. Patty Jo, moim zdaniem, była ładna, miała jasną, żywą twarz i ubrania pachnące jak kobiece magazyny, które

Nona czasami kradła z poczekalni u dentysty. Moja matka była młodsza, miała gładką, bladą skórę i delikatne rysy twarzy. Ale jej słabość i izolacja migotały tuż pod powierzchnią, otepiając ją i powoli ją gasząc. W porównaniu z moją matką Patty Jo płonęła jasnym płomieniem, jej siła życiowa buchała ze środka, a jej śmiech brzmiał jak muzyka. Słowo „ładna” było tu w ogóle nie na miejscu.

- Jest w porządku - powiedziałam. - Płaci mnóstwo pieniędzy za trzymanie tu konia.

- On spędza z nią coraz więcej czasu.

Na arenie Patty Jo odwracała twarz zgodnie z zaleceniami mojego ojca, a Toy Boy płynął bez trudu nad przeszkodą. Ojciec wiwatował, a Patty Jo podniosła rękę, machając nią niczym królowa piękności, kiedy Toy Boy galopował w zwycięskim okrążeniu dokoła placu.

- To tylko gra - wyszeptałam, a moja matka odwróciła się od okna. Jej oczy odnalazły moje w poszukiwaniu wyjaśnienia, którego nie mogłam podać. Kiedyś, jak powiedział ojciec, moja matka chciała być potężna. Jeździła, brała udział w zawodach i wygrywała. A potem pewnego dnia przestała.

Nagle zapragnęłam ją pamiętać taką, jak wyglądała w tej chwili - słońce połyskujące w jej włosach, delikatna szyja bez zmarszczek. Próbowałam wypalić ten obraz w swojej głowie, tak żeby po latach móc go sobie przypomnieć. Żebym mogła ją przed sobą zobaczyć tak jak teraz, delikatny, przemijający stan jej piękna, i przypomnieć sobie, kim była, kim mogłaby być, gdyby mieszkała w jakimkolwiek innym świecie.

W dniu przedostatniego konkursu zajęchaliśmy na Teren Grupy Pościgowej z pełną przyczepą. Oprócz Yellow Capa i Darling, które mój ojciec woził co tydzień, by przyciągnąć tłumy, tego ranka załadował również Ace'a i Toy Boya.

Ojciec powiedział, że Toy Boy jest czempionem i że Patty Jo pozbawia go elementarnych praw, trzymając z dala od placu konkursowego. Patty mogła wygrać swoją kategorię z zamkniętymi oczami, tak jej powiedział. Spodziewałam się, że Patty Jo się nie zgodzi, ale ona uznała, że zawody mogą być fajne. Jako dziewczyna jeździła w kilku konkursach. Powiedziała, że były kiczowate.

Reszta Modliszek przyjechała na konkurs wspierać Patty Jo. Podążyły za panią Altman i za mną na trybuny, niosąc ze sobą swoje małe termosy i zapasy papierowych kubków. Kiedy zaproponowały jeden pani Altman, ta zeszywniała i odpowiedziała:

- Nie, dziękuję.

Wysoko na trybunach Modliszki śmiały się, piły i pochylały się ku sobie, wskazując wszystko, co mogło być kiczowate.

- Krawaty kowbojskie! - Jaycee zachichotała do Bitsy, wskazując kilku mężczyzn siedzących nieopodal. - Jakie to, kurwa, przekomiczne!

Policzki pani Altman spłonęły rumieńcem. Odchyliła się od Modliszek, kierując swoją uwagę na tę część areny, gdzie Sheila stała z Ace'em, przygotowując się do pierwszej klasy showmanship.

Przez kilka ostatnich dni razem z ojcem oporządzałam Ace'a, aż wydawało mi się, że skóra mu odpadnie pod naciskiem zgrzebła. Nałożyliśmy mu odżywkę na grzywę i ogon, obcieliśmy wąsy i wkle-paliśmy puder dla dzieci w plamy na bokach, tak żeby wyglądały na białe, a nie na brudnoszare. Pomimo wszystkich naszych wysiłków Ace nadal był sobą, czyli starym koniem, którego kiedyś niemal zatłuczono młotkiem na śmierć.

Tamtego ranka Sheila zaplotła mu grzywę i związała końce różowymi wstążkami, a potem nałożyła mu kantar, który Altmanowie kupili dla Yellow Capa. Był z ciemnej polerowanej skóry ze srebrnymi ćwiekami, które odbijały słońce niczym klejnoty. Kantar wisiał jednak na zniekształconej czaszce Ace'a, a ćwieki wyglądały śmiesznie i groteskowo na tle jego zapuszczonej szarej sierści.

Na placu Ace posłusznie stukotał kopytami u boku Sheili, ustawiając się bez prośzenia i zachowując pozycję, podczas gdy ona obchodziła go, prezentując się sędziemu.

- Cholera - szepnęła Bitsy obok mnie. - To dopiero brzydka!

Ace mógł być najbrzydszym koniem na placu konkursowym, najbrzydszym koniem na świecie, ale ustawił się jak każdy wytrawny koń konkursowy, podążając posłusznie za Sheilą przez kolejne elementy układu. Ostatecznie zajęła drugie miejsce, między Żakiem a Andym Pope, którym identycznie opadły szczęki, kiedy zrozumieli, że zostali rozdzieleni przez Sheilę.

Pani Altman i ja wstałyśmy ze swoich miejsc, wiwatując i klaszcząc, kiwając sobie głowami w spontanicznym tańcu szczęścia. Sheila po raz pierwszy zajęła miejsce powyżej piątego. I oczywiście wybuchnęła płaczem.

Zapłakana wtuliła się mojemu ojcu w koszulę, a on ją uściskał. Płakała w ręce swojej mamy, we własne rękawy, w warkocze, które zaplotła Ace'owi na grzywie. Płakała na moim ramieniu i w czerwoną wstęgę, którą została nagrodzona, kiedy wyszła z areny.

- To najszcześniejsza chwila w całym moim życiu - łkała. Wszyscy się odsunęliśmy, kiedy pani Altman zrobiła serię zdjęć

swoim małym aparatem, uwieczniając tę chwilę dla swojego nieobecnego męża, uwieczniając ją na zawsze.

W czasie przerwy na lunch stałam obok mojego ojca, kiedy on siedział Toy Boya do klasy skoków Patty Jo. Patty za bardzo się denerwowała, żeby zrobić to samodzielnie, weszła więc na trybuny dołączyć do Modliszek na ostatniego drinka.

- Darling wydaje się dzisiaj dość spokojna - powiedział mój ojciec.

- Chyba tak - przyznałam. Stała w upale uwiązana do przyczepy z pochyloną głową. Nie zawracaliśmy sobie głowy myciem jej ani szczotkowaniem, więc sierść miała brudną i poplamioną krwią, potem oraz śladami kopyt.

- Tak sobie myślałem, że może byś chciała pojechać na niej w klasie reining - rzucił.

Przyjrzałam mu się bacznie. Nie występowałam. Nigdy. Nona występowała. Ja wiwatowałam. Tak właśnie zawsze było, tak właśnie zawsze miało być.

- Chyba nie - odparłam.

- To będzie łatwizna - ciągnął. - Słowo daję. Gdyby to było coś trudnego, w ogóle bym cię o to nie prosił.

Moje serce zamarło, małe i skurczone w piersi, bezużyteczny strączek groszku.

- Po prostu musimy zacząć ją oswajać z placem, a ja nie mogę tego zrobić. Będziesz tam zdana na siebie. Zrób ten układ kłusem. Nie musisz robić tego dobrze, nawet nie musisz galopować, jeśli nie chcesz. Chodzi tylko o to, żeby poczuła plac.

Cofnęłam się o krok i mój ojciec zaczął prowadzić Toy Boya na arenę, gdzie czekała Patty, wykręcając z nerwów ręce. Pani Altman podeszła do mnie, z twarzą promieniejącą radością ze zwycięstwa Sheili.

- Wszystko dobrze? - zapytała, a ja kiwnęłam głową, nie odpowiadając. Bałam się, że jeśli powiem choćby jedno słowo, moje serce zamrznie na kamień i już nic ze mnie nie zostanie.

Patty Jo świetnie sobie radziła na parkurze. Z trybun widziałam, jak nie patrzy, skacząc przez przeszkody, jak zamyka oczy albo odwraca wzrok, pozwalając Toy Boyowi wykonać pracę, tak jak mój ojciec nauczył ją w czasie lekcji Sheili.

Miał rację ten mój ojciec. Toy Boy miał idealną sylwetkę do skoków, był kształtny i rzeźbiony, spokojnie wykonywał zadanie. Tak jak Sheila, Patty Jo zajęła drugie miejsce. Ale tym razem to Modliszki zerwały się ze swoich miejsc, krzycząc i wiwatując, wyrzucając nogi w układzie tanecznym.

- Zuch dziewczynka! - wrzeszczała Bitsy obok mnie. - Nasza mała mistrzyni!

Przez resztę dnia chodziłam jak zombie, odliczając minuty do końca. Późnym popołudniem pani Altman pomogła mi się przebrać na tyle przyczepy, zaplotła mi włosy we francuski warkocz, potem upięła go na karku. Zakładała zbłąkane kosmyki za uszy, kiedy chwyciłam się ściany przyczepy, targana nową falą mdłości.

- Nic ci nie jest? - zapytała, a ja w milczeniu pokręciłam głową. - To upał - dodała.

Ruszyłam na zewnątrz, a pani Altman chwyciła mnie za rękę.

- Alice - powiedziała. - Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz.

Spojrzałam na nią, na jej szerokie matczyne oczy i twarz w kształcie serca, i zastanowiłam się, jak by to było, gdyby to była prawda. Jak by to było żyć w świecie, w którym są wycieczki i wakacje, gdzie odgrywanie zaćmienia pokrywkami od plastikowych pojemników jest największą traumą, a rodzice kupują ci konia, kiedy koleżanki są dla ciebie wredne. Trudno było uwierzyć, że pani Altman mieszka po drugiej stronie tego samego miasta. Jej świat był tak daleki od mojego.

- Jeśli chcesz, porozmawiam z twoim tatą - zaproponowała, a ja odsunęłam jej rękę. Prędzej Darling zabije mnie na placu, niż ojciec usłyszy od pani Altman, że byłam zbyt przerażona, by jechać na tej klaczy.

- Wszystko w porządku - powiedziałam. - To nic wielkiego. Kiedy wyłoniłam się zza rogu przyczepy, ojciec i Patty Jo zdejmowali siodło z Toy Boya. Ich palce splatały się na popręgu. Stałam, czekając, aż mnie dostrzegą, aż mój ojciec zabierze rękę, odsunie, ale on nie odrywał oczu od oczu Patty. Już miałam powiedzieć, że jestem gotowa i że, co tam, miejmy to już za sobą. Zanim jednak zdołałam się odezwać,

Patty podniosła dłoń mojego ojca do swoich ust, ściskając zębami koniuszek palca wskazującego.

Strach, który huczał w moich żyłach, nagle stał się zimny i cichy. Patty Jo zobaczyła mnie i zamarła, z bezwładnym nadgarstkiem ojca w dłoniach, z jego palcem w ustach. Ojciec podążył za jej spojrzeniem i cała nasza trójka stała jak skamieniała, z nieruchomym wzrokiem.

- Alice - odezwał się ojciec i wyszarpnął rękę, by wepchnąć palce we włosy.

- Właśnie pokazywałam twojemu ojcu wstęgę - powiedziała Patty i błysnęła ustami pełnymi doskonale białych zębów.

- Drugie miejsce - dodał ojciec z wymuszoną żywością. - Nie najgorzej jak na nowicjusza, co?

Kiedy zaczęła się klasa reining, Patty i pani Altman dołączyły do Modliszek na trybunach. Stałam za ojcem, pusta i led wie się trzymając na nogach. Chwila minęła i teraz się zastanawiałam, czy jej sobie nie wyobraziłam. Ojciec na mnie nie patrzył, nie próbował wyjaśnić, nie przeprosił. Pomógł mi wsiąść na Darling, a potem stał z przodu i trzymał wodze, by się nie ruszyła. Kolejni zawodnicy wjeżdżali na plac i wykonywali poszczególne elementy schematu.

- Widzisz? - mówił ojciec. - To nic wielkiego.

A ja patrzyłam. Tamci wykonywali układ powolnym, pieczołowicie wytrenowanym galopem. Ale ja czułam Darling pod sobą, jej ciepłe żebra przy moich nogach. Staralam się skoncentrować na elementach schematu - spiny i koła, na końcu sliding stop.

Ojciec mówił do mnie przyciszonym głosem, kiedy pozostali jeźdźcy jechali, ale nie mogłam się skupić na jego słowach.

- Wszyscy inni robią proste zmiany nogi - powiedział. - Nie myśl więc sobie, że musisz zrobić coś wymyślnego. - Małe koło w prawo, zmiana nogi. - Możesz pozostać przy kłusie, jeśli chcesz. - Małe koło w lewo, zmiana nogi. Wyjechała Sheila i brama otworzyła się na pusty plac. - Dobra - powiedział ojciec. - Po prostu ją przez to przeprowadź. Ty musisz się tylko utrzymać.

Odwróciłam głowę w stronę trybun, a pani Altman podniosła do mnie kciuki. Patty siedziała obok niej, obojętna i uśmiechnięta.

„Właśnie pokazywałam twojemu tacie wstęgę". Ojciec puścił wodze, a ja poczułam napięcie w krokach Darling, sprężystość w kolanach, lekkość kopyt na ziemi, kiedy szliśmy pod krytą areną. Brama zamknęła się za mną i zostałam sama.

Kiedy tylko rozciągnęła się przed nami przestrzeń areny, poczułam, że ciało klaczy spina się pode mną. I wtedy zrozumiałam: klacze zarodowe, kopniaki i ugryzienia i całe dni okładania - nic nie poskutkowało. Ona się nie uciszyła ani nie spokorniała. Przetrwiała je, tak jak przetrwała te dni, które spędziła związana na słońcu. Nie była niczym zwierzątkiem. Nie będzie kłusowania. Jej matka była koniem wyścigowym i ona pogna. Wszystko miała we krwi.

Klacz pogna, a ja się nie utrzymam. Zrzuci mnie, strati, zabije. Będzie bolało. Czekałam chwilę, czekałam na strach, na przerażenie. Ale nie nadeszło. Jeśli to właśnie chwila mojej śmierci, to trudno. Świat się rozpadł. I trudno.

Nie pamiętam, jak dotknęłam obcasami jej boków. Nie pamiętam, jak poluzowałam wodze. Pomyślałam tylko jedno słowo: „Jedź". I jej ciało pode mną wystrzeliło.

Prędkość mnie powaliła. Przez chwilę bałam się, że Darling wyskoczy spode mnie, zostawiając mnie na końcu areny, skąd będę mogła tylko na nią patrzeć. Czułam, jak siodło prześlizguje się pode mną, jak zatracam się we mgle dokoła. Prędkość zapała mi dech, oślepiła mnie, pozbawiła mnie wszelkiej kontroli, jaką kiedykolwiek miałam. Zniknęła. Cała. Nie było jej. Mnie też. I trudno.

I wtedy to zobaczyłam - punkt pomiędzy jej uszami, gdzie obraz wciąż był ostry, miejsce, w którym widziałyśmy to samo. Wszystko inne zamieniło się w łomot: kopyt, serca, strachu, prędkości. Z ziemi pod nami podniósł się pył, moje nogi złączyły się z bokami Darling. W tamtej chwili byłyśmy jednym ciałem, którego przeznaczeniem było roztrzaskać się i zginąć. Poczułam energię przepływającą przez mój kręgosłup przy jej obrocie, uderzenie jednego punktu jej kopyta, gdy się uniosłyśmy i obróciłyśmy wokół niego, a niebo, ziemia i trybuny zamieniły się w krwawe smugi. Policzyłam w myślach - raz, dwa i pół - i uniosłyśmy się, wyskakując w drugą stronę areny. Pośrodku zwrot i żołądek podjechał mi do gardła, gdy klacz przeniosła ciężar ciała, zmieniając nogę w locie i opadając na przeciwną w jednym zawrotnie szybkim ruchu. Kiedy jechałyśmy wokół areny, poczułam wzbierają-

cą we mnie prędkość i puściłam ją, wszystko puściłam. Nie zostało nic prócz punktu pomiędzy uszami, jądra jej ciała zaciśniętego pod moim. Przez smugę pyłu i gorącą widziałam przed nami ogrodzenie i pomyślałam, że się przez nie przebijemy, wzniesiemy się i wzbijemy w powietrze, do lotu, w cokolwiek, co nadchodzi w chwili, gdy życie się kończy, a zaczyna się to coś, co jest po nim.

Za moimi oczami pojawiło się słowo: Stop. I osiadłyśmy. Jej tylne nogi sunęły przez pył jak płozy sanek po śniegu. Dokoła nas podniosły się kłęby kurzu. Koniec.

Przenicowany świat wrócił na właściwą stronę. Bicie serca, oddech, pył, sędzia, widownia. Nastąpiła chwila ciszy, a potem eksplozja dźwięku, wiwatów, Modliszki stojące na trybunach, wykonujące swój mały taniec, podczas gdy pani Altman podskakiwała obok nich, klaszcząc w dłonie nad głową.

Język miałam suchy i pokryty pyłem, wargi przyschnięte do zębów, tak że musiałam się napracować, żeby je uwolnić. Odwróciłam Darling w stronę bramy, gdzie z ogrodzenia zwisały bliźniaki Pope z rozdziawionymi ustami. Obok nich mój ojciec podskakiwał na zdrowej nodze, machając kulą nad głową i wolną ręką uderzając o metalową poręcz ogrodzenia.

- Moja krew! - krzyczał. - Moja córeczka!

A potem była już zupełnie inna bajka.

rozdział dziesiąty

Następnego dnia zaczęło padać. Rano zerwał się wiatr, niebo pociemniało nad niebieskimi górami na wschodzie, osuwając się pod własnym ciężarem i przybierając postać długich, ciemnych palców, które sięgały do ziemi. Do południa horyzont zniknął za masą szarych chmur, a powietrze drżało słodkim, wilgotnym chłodem. Wszyscy byliśmy w stajni, kiedy deszcz zaczął uderzać w dach niczym garście kamyków, ogłuszając świat pod nim.

Najpierw ruszyliśmy na zewnątrz, by stanąć w deszczu, wstrząśnięci i uradowani ulewą. Modliszki wznosiły toasty swoimi papierowymi kubeczkami, a Sheila i ja chwyciliśmy się za ramiona i skakałyśmy po podjeździe, podczas gdy woda przyklejała nam włosy do czaszki i przesiąkała przez nasze ubrania. Ojciec wykuśtykał na jednej kuli, a potem stał, podniósł twarz do nieba i rękoma ścierał z niej wodę.

- Jeszcze, jeszcze - śpiewała Sheila, tańcząc wokół mnie, wyciągając dłonie do chmur. - Padaj dalej.

I padało. Ziemia nabrzmiewała i nabrzmiewała, aż już nie mogła znieść więcej, aż zamieniła się w ciecz, a drogi płynęły niczym rzeki. Zalało piwnice. Woda zakradła się do stajni, przeciekając przez worki z ziarnem i tworząc kałuże na betonowej podłodze. Sheila i ja skakałyśmy przez kałuże, rozpryskując sobie na nogach brązową wodę, a ojciec za pomocą mioteł i szufli usiłował wypchnąć ją z powrotem na zewnątrz. Na pastwiskach i w zagrodach konie tonęły po kostki w błocie, pochylały zady i opuszczały łby pod niemiłosierną wodą.

Szkołę zalało, najpierw salę gimnastyczną, a potem bibliotekę, tak że musieliśmy wciąż obchodzić wzbierającą wodę. Kiedy zabrakło prądu, na angielskim zapaliliśmy świece i siedliśmy w kręgu na podłodze, podczas gdy pan Delmar czytał na głos opowiadanie o planecie, w której padało cały czas, a słońce świeciło tylko raz na siedem lat. W końcu Janice Reardon wybuchnęła płaczem.

-Jestem po prostu taka... wrażliwa! - wydyszała przez czkawkę, a Colleen poklepała ją jak psa.

- No właśnie - powiedział pan Delmar. - Może już wystarczy. Nie sędzę, żeby mogli was tu trzymać bez prądu. Jesteście wolni.

Klasa zebrała książki i notatki, a ja stałam w mroku i czekałam. Światło świeczki zniekształcało wszystko, nadawało pozory, pełnzące cienie po podłodze i migoczące widmowe wzory na ścianach i tablicach. Kiedy już wszyscy wyszli, pan Delmar podniósł wzrok w ciemność i zobaczył mnie.

- A, cześć - powiedział.

Po raz pierwszy spojrzeliśmy na siebie - całkiem po raz pierwszy, od dnia, kiedy go poznałam, dnia, kiedy weszłam do jego klasy i poprosiłam o listę lektur. Chciałam mu powiedzieć o wodzie, wylewającej się z moich snów na świat. Chciałam mu powiedzieć o moim ojcu i Patty Jo, co może widziałam, a czego nie mogłam wyjaśnić, ani nawet pamiętać dokładnie. Chciałam mu powiedzieć o niebieskiej wstędze spoczywającej w moim tornistrze. W ciągu dnia otworzyłam zamek, by na nią zerknąć, lśniąca jak rozżarzony węgielek, i pogłodzić palcami jej chłodną, jedwabistą powierzchnię. Chciałam mu powiedzieć o skrawkach obrazów, które dygotały w mojej pamięci za każdym razem, kiedy patrzyłam na wstęgę: prędkość, dźwięk, ciasne, dudniące wnętrze, w którym połączyłam się ze zwierzęciem i zniknęłam. Chciałam mu powiedzieć o tym momencie połączenia, momencie zapomnienia, zostawienia całej reszty. Chciałam mu powiedzieć, że przeżyłam to, wyciągnąć niebieską wstęgę z tornistra i obwieścić: „Wygrałam”. A przede wszystkim chciałam mu powiedzieć, że to, co poczułam, kiedy zobaczyłam rękę mojego ojca w ręce Patty Jo, ten skurcz zimnego, mdlącego strachu, który przeszył moje gardło, zęby i język, czaszkę i nasadę paznokci, był niczym, był przeciętny, tak całkowicie nieznaczący w porównaniu z tym, co czułam, słysząc, jak wszyscy klaszczą i wiwatują, obcy ludzie gwizdzą, świat wiruje, kiedy wołają moje imię.

Ale migoczące świece rzucały na ściany upiorne cienie, wilgotny wiatr za oknem płakał jak zagubione dziecko, zalewając szyby strugami łez.

- Będę w domu o piątej - powiedział. Kiwnęłam głową w ciemności i wyszłam z sali.

Potem w ogóle odwołali zajęcia szkolne. W domu arena zamieniła się w jezioro. Matka Sheili jej nie przywoziła - bo i po co? Ale kiedy dotarłam do domu, przed stajnią stał samochód Patty Jo. Zawahałam się, niepewna, czego się po mnie oczekuje, czy mam wejść do domu, czy do stajni. Od czasu konkursu ojciec troszczył się o mnie, uśmiechał się i był dumny, nigdy nie wspominał, że cokolwiek się stało przed reiningiem. Cały dzień w mojej pamięci zamazał się w jedną plamę - Ace i Sheila, mój ojciec i Patty Jo, ja i Darling pędząca przez arenę, prędkość i cisza, wiwaty na końcu.

Od tego czasu ojciec nie prosił mnie o pomoc przy karmieniu czy sprzątaniu, nie mówił mi, że mam się spieszyć rano ani nie wołał mnie na dwór po zmroku.

- Zajmij się trochę sobą - powiedział, kiedy dojechaliśmy do domu po zawodach. - Weź gorącą kąpiel, a ja zrobię kolację.

Tak więc zrobiłam. Powiedział, że mam się nie martwić o karmienie koni, więc ich nie karmiłam. I nie martwiłam się.

Teraz jednak wejść do stajni, wejść, ponieważ to moja stajnia, ponieważ ja tu mieszkam, a Patty Jo nie, ponieważ skoro nic, co do tej pory się wydarzyło, nie zabiło mnie, to już nic mnie nigdy nie zabije.

W środku oni siedzieli na składanych krzesłach. Włosy Patty Jo były mokre, a mój ojciec miał worek do śmieci zawiązany na gipsie.

- Jest nasza gwiazdeczka - powiedziała Patty Jo na mój widok. Stałam w drzwiach bez uśmiechu, nie witając się.

- Czekaliśmy na ciebie - dodał ojciec.

- No to jestem - odparłam.

Patty Jo, cała w uśmiechach, cała szczęśliwa, wstała, odgarniając włosy z twarzy.

- Masz prawdziwy talent, Alice - rozplynęła się. Oparłam się o framugę drzwi, znudzona, niechętna. - Ale talentowi trzeba czasami pomagać - ciągnęła, udając, że nie zauważa. - O ogrody trzeba dbać. Rozmawiałam z twoim ojcem i naprawdę chętnie ci pomogę. Będę zaszczycona, mogąc cię sponsorować. - Puściła oko, czekając na moją odpowiedź.

- Nie wiem, o czym pani mówi - odparłam.

Mój ojciec wstał, opierając ciężki gips na wilgotnej podłodze stajni.

- Masz za małe ubrania - powiedział. - Patty chce ci kupić nowe. Patrzyłam to na jedno, to na drugie, zastanawiając się, co to ma wspólnego z talentami i ogrodami, jak nowe ubrania mogą wspomóc starania o przyszłe błękitne wstęgi.

- Kiedy? - spytałam. Patty zamrugła oczami.

- Kiedy tylko zechcesz. Odstawiłam tornister na puste krzesło.

- Teraz - powiedziałam. - Chcę je od razu.

W samochodzie Patty Jo pachniało perfumami i skórą. Siedziałam z tyłu, przebiegałam palcami po elektrycznych zamkach i szybach, guzikach, które podgrzewały siedzenia i ustawiały zagłówki. Mój ojciec jechał z przodu i chociaż się nie odzywał, czułam, że myśli, rozglądając się po wnętrzu wozu. Podniósł rękę i dotknął paska muszelek zwisających ze wstecznego lusterka.

- To z Hawajów - wyjaśniła Patty, a ojciec cofnął rękę i opuścił ją na kolana, jakby muszelki były bezcenne i delikatne, jakby były dziełem sztuki na ścianie, opatrzonym tabliczką „Nie dotykać”.

- Była pani na Hawajach? - spytałam, a Patty spojrzała w moje oczy w lusterku.

- Tylko dwa razy.

Weszliśmy do centrum handlowego, wytrząsając wodę z włosów. Mokre gumki kul ojca piszczały na kafelkowanej podłodze, a ja szłam za nim, niepewna, co się teraz stanie.

- No - powiedział po chwili. - Idziemy.

Z początku byłam ostrożna, sprawdzałam metki z ceną i wybierałam tylko rzeczy, których potrzebowałam. Ale Patty Jo przetrząsała wieszaki, wyciągając ubrania i składając ich stosy w ramiona ekspedientki. Ojciec stał z boku, skrzepowany i nie na miejscu. Przez chwilę czułam się przerażona. To było złe, inne. Za dużo. Kiedy jednak ojciec mnie zobaczył, jego twarz się wypogodziła i kiwnął głową.

- Ciężko pracowałaś - powiedział. - Zaslugujesz na kilka dobrych rzeczy.

Ładowałam więc naręcza, biorąc wszystko, co wpadło mi w oko, wszystko, co mogło na mnie pasować.

W przebieralni ułożyłam te stosy dokoła siebie, potem zdarłam ubranie i stanęłam w bieliźnie. W lustrze obróciłam się bokiem, wcią-

gnęłam brzuch, tak że żebra sterczały mi pod skórą niczym kościste palce. Włosy zwisały mi na plecach w mokrych splotach. Przeczesałam je palcami, próbując wygładzić.

Całe życie spędziłam w dzinsach i tiszertach, obciętych szortach i kowbojkach, ubraniach, które mogłam brudzić, plamić, rozdzierać i przecierać na kolanach bez poczucia winy, w ogóle bez żadnego poczucia. Ubrania w przebieralni miały guziki i kołnierzyki, koronkowe mankiety albo małe kolorowe kwiatki na rąbku dzinsów. Takie ubrania nosiły dziewczyny w szkole Sheili Altman, które po szkole nigdy się nie oblewały, nie potykały ani nie wygarniały gnoju z boksów. Wciągałam je na siebie, drżąc od ich lekkości, delikatnego, gładkiego migotania tkanin.

Spojrzałam w lustro i zobaczyłam siebie - cała we właściwym rozmiarze, w pięknych ubraniach, które doskonale na mnie pasowały. Przebrałam się w inny zestaw i znowu na siebie spojrzałam, rozłożyłam ręce, obracając się, by zobaczyć swoje ciało pod różnymi kątami. Przykucnęłam, stanęłam na palcach, podniosłam ramiona nad głowę. „Tak wyglądam, kiedy po coś sięgam”. Wypchnęłam jedno biodro i oparłam rękę w tali, tak jak zawsze stawała Nona. Potem siadłam na stołeczku w kącie przebieralni. „Tak wyglądam, kiedy siadam”.

Odwróciłam się i spojrzałam, znowu się odwróciłam i spojrzałam. „Tak wyglądam z prawej strony, tak z lewej, tak z tyłu. Tak wyglądam, stojąc na jednej nodze”. A potem wyobraziłam sobie, że patrzy na mnie pan Delmar. Wyobraziłam sobie, że w nowych ciuchach wchodzę do klasy na angielski, idę przez środek, siadam w swojej ławce. Chłodny dreszcz ekscytacji przebiegł po moich plecach, całe moje ciało na moich oczach z dygotem obudziło się do życia.

Kiedy wyszłam z przebieralni, mój ojciec i Patty Jo stali na zewnątrz i czekali.

- Jak poszło? - spytała Patty Jo.

Ręce miałam ciężkie od ubrań i rzuciłam je w ramiona Patty.

- Chcę to wszystko - powiedziałam. - I chcę buty i kolczyki, a w niektórych chce iść do domu.

Ojciec przyjrzał się stosowi, a potem mojej twarzy. Widziałam, że rozważa to, zastanawia się, czy to nie jest za dużo, czy nie wykorzystuję. Ale wiedziałam, jaki będzie jego wniosek, zanim on do niego doszedł, i stałam obok Patty Jo, czekając, aż on nadaży.

- Coś jeszcze? - spytał z podniesioną brwią, co jeszcze tydzień temu uznałabym za ostrzeżenie.

- Tak - powiedziałam. - Chcę ostrzyć włosy.

W salonie ojciec siadł na uboczu, przestawiając krzesło tak, żeby jakoś umieścić swój niewygodny gips, i kartkował magazyny dla kobiet, nie patrząc na nie. Patty zawiozła nas aż na drugi koniec miasta, gdzie miała swojego fryzjera.

- Moja dziewczyna jest najlepsza - zapewniła.

Stała za mną w lustrze, omawiając, co ma być zrobione.

- Nie chcemy za krótko - powiedziała, a dziewczyna kiwnęła głową. Patty Jo przesunęła palcami po moich włosach, wskazując, jaką powinny mieć długość.

- Obetnij rozdwojone końcówki - poleciła. - I trochę trzeba je odciążyć.

Siedziałam na krześle, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze, podczas gdy one poruszały się za mną, kombinując. „Tak wyglądam z mokrymi włosami. Tak wyglądam, kiedy mrugam, kiedy przelkam, kiedy podnoszę jedną brew”.

- Może trochę pocieniujemy? - zapytała fryzjerka Patty. - Damy im trochę ruchu?

- I ujmij przy twarzy. - Tak!

Ostrza nożyczek błyskały srebrno na tle moich ciemnych włosów, odcinając końcówki i ujmując ciężaru.

- Twoja mama na pewno zna się na włosach - powiedziała dziewczyna, a w lustrze zobaczyłam, że mój ojciec podnosi głowę.

Twarz Patty stężała.

- Och - powiedziała, śmiejąc się nerwowo. - Ja jestem tylko przyjaciółką rodziny.

Wpatrywałam się w swoje odbicie, kiedy fryzjerka Patty śmigała nożyczkami, podnosząc włosy w palcach i puszczając je. Nie pytała o dalsze szczegóły, dlaczego przyjaciółka rodziny miałaby płacić za moje strzyżenie, dawać instrukcje albo wieźć mnie w deszczu swoim słodko pachnącym samochodem. I ja też nie pytałam. Stałam obok Patty, kiedy płaciła za moje nowe ubrania i buty, stosik drobnej migoczącej biżuterii, i kiedy pomagała mi ją wybrać, przykładając do moich uszu i szyi, żeby zobaczyć, co najlepiej wygląda na mojej skórze. W sumie

moja nowa garderoba kosztowała więcej, niż razem z ojcem wydaliśmy na jedzenie przez cały miesiąc, więcej niż kiedykolwiek widziałam w którejkolwiek z białych kopert ojca. Ale Patty otworzyła portfel i wyjęła jedną złotą kartę z całej talii innych, nawet nie patrząc, która to jest.

Robiła to, bo była pod wrażeniem mojej jazdy na zawodach, albo robiła to, bo miała poczucie winy, że ją przyłapałam z ręką mojego ojca w ustach. Albo mnie nagradzała, albo przekupywała. I może to było złe. Może powinnam powiedzieć nie, dziękuję, powiedzieć, że nie potrzebuję jej pieniędzy, jej dobrego gustu ani jej fryzjerki. Kiedy jednak pomyślałam o tym, kiedy naprawdę usiadłam i przemyślałam całą sytuację z góry do dołu, oto do czego doszłam: wygrałam tę klasę reining, wygrałam uczciwie. Pracowałam, pociałam się i czyściłam boksy, jadłam tłuste jedzenie z papierowych serwetek i mieszkałam w domu bez klimatyzacji przez najgorętszą część lata. Nosiłam ubrania, które na mnie nie pasowały, i byłam miła dla ludzi, których nie lubiłam. Zasłużyłam na te dobre rzeczy, na każdą z nich po kolei. Więc niech do mnie płyną.

Po fryzjerze Patty Jo zabrała nas na obiad. Siedzieliśmy trójką w wygodnej wniece, Patty zamówiła butelkę wina dla siebie i mojego ojca, ja zaś popijałam wiśniową colę z prawdziwych wiśni. Deszcz walił w okna, drogi wypełniały się brązową wodą. Ale w środku świece migotały na białych obrusach, a kelnerzy mieli czarne muszki. Nasze steki skwierczały na talerzach, tak delikatne i soczyste, że w zasadzie nie musiałam przeżuwać mięsa przed połknięciem.

Kiedy przyniesiono rachunek, ojciec zerknął na niego.

- O ja pierdziele - szepnął. - Chyba w całym swoim życiu nie zapłaciłem za żaden posiłek więcej niż dwadzieścia dolarów.

Patty Jo zgięła się w pół ze śmiechu.

- Biedny Joe - powiedziała, rozlewając resztę wina do ich kieliszków. - Tylko praca i praca, a żadnej rozrywki. - Sięgnęła po rachunek i przez chwilę jej ręka nakrywała jego, zanim spoczęła na kartce i wysunęła się z jego dłoni. Ojciec spojrział na swoją rękę, na miejsce, w które niemal go dotknęła, i zarumienił się w świetle świec. Ja po drugiej stronie stołu kręciłam głową na boki, słysząc szelest swoich włosów na karku, czystych, lekkich i jedwabistych, i udawałam, że niczego nie zauważam.

W domu rozłożyłam swoje nowe ubrania na łóżku i niespiesznie wkładałam każdy strój przed lustrem, odsuwając włosy z twarzy, potem wygładzając je na policzku, wirując nimi tak szybko, jak mogłam, żeby ułożyć wachlarz na ramionach. W łazience przekopałam szafkę pod zlewem, aż znalazłam walizeczkę z porzuconymi kosmetykami do makijażu Nony, potem usiadłam po turecku na blacie, eksperymentując z maleńkimi tubkami i bladymi, błyszczącymi pudrami.

W ciągu jednego dnia nauczyłam się na pamięć wszystkich powierzchni odbijających w naszym domu, luster w łazience i mojej sypialni, okien, zerkając na zewnątrz przy świetle dziennym i do wewnątrz w ciemnościach. Gablotka z porcelaną miała szklane tafle od frontu, którym daleko było do doskonałości i odbijały moje ciało tylko w zarysie, ale i tak to było coś.

W dniu, w którym wreszcie zaczęła się znowu szkoła, długo się rano przygotowywałam, ostrożnie przebierając w szafie pełnej nowych ciuchów. Deszcz trochę ustał, ale ziemia wciąż była nasiąknięta i błotnista, więc zwiijałam palce w starych butach, nowe zaś niosłam w torbie. W szkole przebrałam się w szatni, po czym schowałam stare, ubłocone buty na dnie szafki.

- O la la - powiedział Zach Pope, kiedy minęłam grupę chłopaków z ósmej klasy. Patrzyłam prosto przed siebie i nie zareagowałam. W klasie angielskiego przeszłam przez salę i zajęłam miejsce tak jak każdego innego dnia. Trzymałam głowę pochyloną, udając, że wykańczam pracę domową. Kiedy jednak pan Delmar wyczytał z listy moje nazwisko, podniosłam wzrok, prosto w jego oczy, i odpowiedziałam. Wszyscy inni w klasie mogli nie zauważyć, ale on przerwał. Nasze oczy się spotkały, a kąćki jego ust uniosły się ku górze w maleńkim, sekretnym uśmiechu. A potem mrugnął. To był moment, może krócej, zanim opuścił wzrok, z powrotem do listy obecności i wywołał następne nazwisko.

Na przedmiotach ścisłych Janice Reardon porzuciła swój palnik bunsenowski, by podejść i stanąć przede mną.

- Szukałam cię - powiedziała.

- No i mnie znalazłaś - odparłam. - Brawo.

Włosy Janice były zebrane w niechlujny koński ogon i związane różowo-niebieskimi pomponami, paznokcie miała pomazane czerwonym pisakiem.

- Wyglądasz inaczej - powiedziała.

Pochyliłam się nad swoim palnikiem, starając się sprawiać wrażenie skupionej na doświadczeniu.

- E, nie - mruknęłam.

Janice skrzyżowała ramiona na piersi, zezując na mnie przez podrapane szkła okularów ochronnych.

- Wiem.

Dreszcz przebiegł mi po plecach, odwróciłam głowę, by poczuć, jak włosy poruszają się mi na karku, lekkie i lśniące. Janice Reardon to pośmiewisko, każdy tak uzna. Jej zdanie nie miało znaczenia.

Postukałam długopisem w otwarty podręcznik.

- Muszę to skończyć - powiedziałam.

Janice zerknęła na zegar, szacując, czy mam dość czasu, potem usiadła na pustym stoliku obok mnie.

- Rozmawiałam ze swoimi przyjaciółkami - powiedziała i przerwała, by znacząco unieść brwi. - Wiesz, Abigail, Sharon i Colleen? Opowiadałam im, że twoja siostra uciekła, mama ma raka, a tata musi jeździć gimbusem, żeby jakoś związać koniec z końcem, a one powiedziały, że byłoby ok, gdybyś zjadła lunch przy naszym stoliku.

Janice odchyliła się, czekając na moją wdzięczność. Wyobraziłam sobie, jak idę przez stołówkę do stolika Polly, siadam na jej krześle, rozmawiam z jej przyjaciółkami. Ale nie miałam pojęcia, czemu miałyby to służyć. Żadna z nich nie spędziła tyle czasu na myśleniu o Polly, co ja. Żadna z nich nie wiedziała o panu Delmarze. Może i siedziały z nią w trakcie lunchu, ale żadna z nich nie знаła jej tak, jak ja.

Poza tym Janice Reardon nosiła sznurki spinaczy w charakterze naszyjników i fioletowe buty z rzepami. Nie potrzebowałam jej miłosierdzia.

- Dziękuję, nie skorzystam - powiedziałam.

Niemal czułam, jak jej umysł pracuje z natężeniem, szukając wytłumaczenia. Moja siostra uciekła. Moja matka miała raka.

- Współczuję ci, Alice Winston - powiedziała w końcu. - Naprawdę.

Po szkole czekałam w łazience dla dziewcząt, aż wszyscy wyjdą, potem przebrałam się z powrotem w stare buty. Do domu szłam nad pędzącym kanałem, wezbranym i obzartym. Wychlupywał wodę ponad brzeg, podczas gdy niebo pomrukiwało w górze.

- Mogę cię podwieźć - zaproponował mi ojciec rano, kiedy wsiadał do autobusu, ale odmówiłam. Teraz brnęłam przez trawy, nie odrywając wzroku od kanału.

Każdego wieczoru w telewizji próbowano oszacować straty, które poniosła dolina. Naprawy, których trzeba było dokonać, kiedy deszcz ustanie, miały zająć pewnie całe lata. Wysoko w górach oderwały się kawały ziemi, powodując lawiny błotne, które spływały po zboczach jak rzeki betonu, wynosząc drzewa i skały, połykając wszystko, co napotkały na swojej drodze. Na obrzeżach doliny rozstrzaskiwały się samochody, niszczyły się domy. Całe fragmenty drogi całkowicie się rozmyły. Najgorsze, mówiono nam, minęło. Za kilka dni znowu zaświeci słońce. Domy zostaną odbudowane, drogi naprawione.

Ale nad kanałem nie było tego widać. Woda pędziła, zawzięta i głodna. Wyobrażałam sobie, jak wzbiera, rozprzestrzenia się po całej dolinie, aż miasto znika pod nią, zatopiony statek stracony na zawsze na dnie oceanu. Może kiedy to się stanie, wypłynę na powierzchnię. Może niebieska wstęga, znoszona i brudna w moim tornistrze, i wspomnienie mnie samej na placu konkursowym - lekkość mojego ciała, czysta, doskonała cisza - wystarczą, by mnie wynieść. I z góry będę zaglądać w podmokłe ruiny miasta, próbując przypomnieć sobie, jak to było tam żyć, rozpoznać miejsce, które było moim domem, zanim spadł deszcz i wszystko, co dawne, zginęło.

- Był pan w czymś kiedyś naprawdę dobry?

- Nie bardzo - odparł pan Delmar.

- A w tenisa? - spytałam.

- E tam - odparł. - Trenowałem w college'u, i tyle.

- Ale trenuje pan drużynę w szkole. - Byłam ostrożna, to była najbliższa wzmianka o Polly Cain, odkąd zaczęła się szkoła. Rozmowa nagle stała się obciążona i krucha. Nie chciałam przekroczyć linii, nie chciałam niczego zniszczyć.

- Taki jest regulamin - powiedział. - Wszyscy nauczyciele muszą prowadzić jakieś zajęcia pozalekcyjne: gazetkę, klub francuskiego, rocznik...

- Rocznik jest naprawdę badziewiasty - przerwałam.

-1 założę się, że mnóstwo z nim roboty - powiedział pan Delmar. - Tenis się odbywa tylko kilka razy w miesiącu i nie mamy kortu z prawdziwego zdarzenia. Dlatego to wzięłam.

To nie pasowało do wyobrażenia, które o nim miałam - wyobrażenia, które miałam o każdym dorosłym, to że może podejmować decyzje, kierując się kryterium najmniejszej ilości pracy. Nagle pomyślałam o Patty Jo, płacącej za drogi obiad w restauracji, o moim ojcu, rumieniącym się na każde wspomnienie jej dotyku. „Biedny Joe, tylko praca i praca, a żadnej rozrywki”.

- Ale lubi pan uczyć, prawda?

- Nie chciałbym tego robić do końca życia.

Oślizgły strach rozpełzł się we mnie na myśl, że może znaleźć coś, co będzie mu się bardziej podobało, że może wyjechać.

- Myślę, że jest pan bardzo dobrym nauczycielem - powiedziałam.

- Lubię uczyć literatury angielskiej. W każdym razie myślę, że to ważne.

Poza widywaniem pana Delmara angielski niewiele zmienił w moim życiu. Rzeczy, których się uczyłam na matematyce, czasami się przydawały. Ale wydawało mi się, że nikogo nie obchodzi za bardzo, jakie książki przeczytałam ani czy odróżniam epitety i metafory.

- To ważniejsze niż zajęcia techniczne - powiedziałam. - Teraz na przykład robimy klatki dla ptaków. Nikt nawet nie ma ptaka.

- To dopiero strata czasu.

- Mnóstwo ludzi robi jedną rzecz całe życie - zauważyłam.

- Wiem. Bardzo mi ich żal.

Próbowałam wyobrazić sobie cokolwiek, co mogłabym robić przez całe życie, cokolwiek, w czym byłabym na tyle dobra, że ktoś mógłby mi za to płacić. Nieustannie mnie chwalono za ładny charakter pisma i za umiejętność gwizdania na palcach, ale te cechy na dłuższą metę raczej nie wydawały się opłacalne.

- Mój ojciec robi jedną rzecz przez całe swoje życie - powiedziałam.

- A co robi? - spytał pan Delmar.

W szafie Nony jej ubrania wisiały na plastikowych wieszaczkach niczym zapomniane duchy. Teraz były już niemodne, nie na czasie. Były tanie.

- Jest profesorem - powiedziałam. - Studiuje gwiazdy.

- No wiesz, jeśli ktoś jest na tyle mądry, żeby robić takie rzeczy, to nie musi się rozglądać za czymś lepszym.

Nade mną plama w kolorze herbaty znaczyła sufit w miejscu, gdzie przeciekał kiedyś dach. Wyobraziłam sobie dom w życiu, w którym mój ojciec jest profesorem, wysokie sufity, brzoskwińowe wykładziny, zielone trawniki i różane krzaki wzdłuż podjazdu.

- Tylko tym się zawsze zajmował - powiedziałam panu Delmarowi. - Tylko w tym jest dobry.

- Jesteś szczęściarą - odrzekł. - Masz dobry rodowód.

Kiedy chmury się w końcu rozstały, słońce zaświeciło i wilgoć wstała jak para, majacząc na horyzoncie i zwijając się w dymne palce w chłodnym porannym powietrzu. Schłodzona i zmieszana, ziemia zaczęła się budzić, grunt zrobił się zielono-purpurowy, powietrze było delikatne i wilgotne. Wiatr pachniał jak kwiaty, drzewa obsypały się różowo-białymi pączkami. W środku października zrobiła się wiosna.

- To właśnie pustynia - powtarzali ludzie, podnosząc ręce do nieba.

- O tak - mruknął mój ojciec. - Kiedy nie wysysa z ciebie ostatniej kropli krwi, to cholernie dobre miejsce do życia.

W domu konie brykały w swoich zagrodach, podnosiły uszy i rżały na wiatr. Nawet źrebaki, które od rozstania z matkami były niezmiennie markotne, teraz podszczypywały się dla zabawy w swojej zagrodzie. Arena wciąż była za mokra do jazdy, a popołudnia dłużyły się leniwie. Można było tylko czekać, aż ziemia wyschnie. Ale Patty Jo i tak przyjeżdżała codziennie.

I przywiozła mi rzeczy: spinki do włosów i pióra, które pisały fioletowym atramentem, skórzany plecak, gładki i delikatny jak ciepłe masło. Nigdy nie robiłyśmy dużo szumu wokół tych prezentów. „Pomyślałam, że to może ci pasować” - mówiła. Albo: „Zobaczyłam to na wystawie i skojarzyło mi się z tobą”. A ja brałam prezent, dziękowałam wzruszeniem ramion i rzucałam go w domu. Dopiero kiedy miałam czas i spokój, by na osobności naprawdę go obejrzeć, przesuwałam palcami po szwach i obracałam metkę w rękę, kręciłam się powoli przed lustrem.

Kiedy po raz drugi Patty zaprosiła nas na obiad, ojciec musiał to przemyśleć. Późno zjeżdżał z trasy i trzeba było nakarmić konie. Wyglądał na małego i zmęczonego na swoich kulach, z przygarbionymi plecami i włosami wilgotnymi aż do nasady. Dwie dziewczynki na trasie często cierpiały na chorobę lokomocyjną.

Patty Jo zarumieniła się pod wpływem jego wahania, podnosząc ręce przepaszająco.

- Czemu nie? - powiedział, zanim się odezwała. - Zasługuję na odrobinę pociechy.

Kiedy po raz trzeci zaprosiła nas na obiad, ojciec nawet się nie zawahał.

- Na pewno będzie lepszy od tego, co mamy w lodówce.

Ona wciąż zapraszała, a on wciąż przyjmował zaproszenia. Zrobił się z tego nowy zwyczaj. Ojciec zjeżdżał z trasy, brał prysznic i przebierał się w czyste ubrania, wychodził na dwór z wilgotnymi włosami i twarzą gładko ogoloną. W restauracjach ja siadałam pomiędzy nimi albo naprzeciwko nich, jadłam creme brulee i zastanawiałam się, jaki nowy prezent czeka na mnie w domu.

Nasze obiady były też kształcące. Patty każdego wieczoru zabierała nas do innej restauracji: sushi, tajskiej, francusko-polinezyjskiej. Ojciec i ja naśladowaliśmy jej maniery, rozkładaliśmy sobie serwetki na kolanach i nie kładliśmy łokci na stole. Z początku ojciec trzymał swój kieliszek z winem, obejmując lampkę dłonią. Teraz trzymał nóżkę w palcach, i zakręcał kieliszkiem, zanim podniósł go do ust. Pomimo wszystkich tych wysiłków efekt nie za bardzo mu pasował. Jego ręce były stwardniałe, paznokcie poplamione od wiecznego brudu. I chociaż zakręcał kieliszkiem i przetykał, jego oczy wciąż wędrowały na Patty Jo, wypatrując jej reakcji. W normalnych okolicznościach ojciec nie był osobą, która jadła sałatkę, nie był osobą, która by tknęła ślimaka, węgorza czy cokolwiek różowego. Ale jeśli Patty Jo to polecała, ojciec wkładał to do ust, przesuwał po języku i przetykał.

W czasie naszych obiadów Patty powiedziała nam, jak nasze jedzenie wypada w porównaniu z posiłkami, którymi raczyła się w innych miastach: ze stekami, które jadła w Nowym Jorku, foie gras w Paryżu, nigiri w Tokio. Kiedy mówiła, ojciec przestawał jeść, odchyłał się na oparcie i patrzył, jak ona wspomina te wszystkie miejsca, w których on nigdy nie był, wszystkie miejsca, w których on nigdy nie będzie. Syn

Patty chodził do college'u w Kalifornii. Opowiedziała nam o swoich wizytach tam, o różnych sklepach i restauracjach, wszystkich tych rzeczach, które nie istniały w Desert Valley.

- Byliśmy w Kalifornii - powiedział mój ojciec, dumny, że ma coś wspólnego z Patty Jo.

- Czyż tam nie jest cudownie? - zapytała, a mój ojciec kiwnął głową. - Gdzie się zatrzymaliście?

- Och. Nie zatrzymaliśmy się. Tylko przejeżdżaliśmy.

Patty przechyliła głowę, zastanawiając się nad jego słowami, a potem skinęła na kelnera, by przyniósł następną butelkę wina.

- Sheila jest z Kalifornii - powiedziałam. - Przeprowadzili się tutaj, żeby jej tata mógł więcej kupić za swoje pieniądze.

Patty wybuchnęła śmiechem.

- Och, kochanie - powiedziała. - To nie są jego pieniądze. -Nie?

- Dobry Boże, nie. Altman to tylko profesor w małym college'u. Nie zarabia prawdziwych pieniędzy. - Patty przechyliła do mnie brodę, podnosząc jedną brew, jakby to było oczywiste. - Całe to bogactwo należy do jego żony. - Zniżyła głos. - Ona pochodzi z dobrej rodziny.

Nie mogłam w to uwierzyć. Pan Altman uczył w college'u, znał się na gwiazdach i planetach i zaćmieniach słońca. Wpatrywałam się w Patty, zastanawiając się, czym są prawdziwe pieniądze i kto je zarabia.

- A pani syn po co jest w college'u? - spytałam.

- Będzie lekarzem - odpowiedziała Patty, wznosząc oczy do nieba, jakby to było coś, co jej syn robi zdecydowanie jej na złość. - Nie zrozumcie mnie źle - dodała. - To szlachetny zawód, ple ple ple. Ale doktorzy to kosmici, mówią innym językiem. Kiedy Alex przyjeżdża do domu, siadają z ojcem i w kółko gadają. A ja nie rozumiem z tego ani słowa.

Mój ojciec wyprostował się w swoim siedzeniu. Przyszło mi do głowy, że w ten sposób reaguje na wzmiankę o mężu Patty Jo. W czasie naszych obiadów w rozmowach nie pojawiały się dwie kwestie: lekarz, który za nie płaci, i moja matka. Ale ojciec wskazał mnie po drugiej stronie stołu.

- Alice mogłaby być lekarzem - powiedział. - Ma łeb na karku. Oczy Patty spoczęły na mnie. Uśmiechnęła się.

- Alice Winston - powiedziała. - Kim będziesz w przyszłości?

W ustach Patty to pytanie zabrzmiało marzycielsko, pełnią możliwości, i chciałam udzielić dobrej odpowiedzi. Romantycznie i wyjątkowo. W szkole dawali nam kwestionariusze, żeby nam pomóc w określeniu naszych zawodów. Spędziliśmy popołudnie, oddając się mrzonkom, by wskazać, jak bardzo lubimy dzieci, przebywanie na świeżym powietrzu i pracę w sklepie. Ostatecznie okazało się, że robiliśmy to na próżno. Na skutek usterki w programie komputer wypułł identyczne odpowiedzi na każdym formularzu, przewidując, że wszyscy uczniowie w całej szkole w dorosłym życiu będą się zajmować biologią morza.

- Naprawdę nie wiem - powiedziałam w końcu, a Patty sięgnęła na drugą stronę stołu, dotykając zgiętym palcem mojego palca.

- To na pewno będzie coś najlepszego - powiedziała. - Nie musisz się spieszyć. Cały świat stoi przed tobą otworem.

Jadłam jedzenie, które zamówiła, i nosiłam ubrania, za które płaciła. Uwierzyłam jej bez trudu.

I tak wyglądała nasza udawana rodzina. Każdego dnia arena schła trochę bardziej. Niedługo wróci Sheila Altman, gotowa do swoich popołudniowych lekcji. Modliszki wyroją się w stajni, nadrabiając stracony czas. Ostatnie zawody sezonu odłożono na czas nieokreślony, ale zostanie wyznaczony nowy termin. Ojciec zgłosił mnie do klasy reining. Będę musiała znowu to zrobić.

Teraz jednak jedliśmy i piliśmy, i rozmawialiśmy o wszystkim prócz tego, kim jesteśmy i dlaczego przyszliśmy tu razem. Jeśli Patty Jo zauważyła podniesione brwi kobiet przy pobliskich stolikach, dwuznaczne spojrzenia kelnerów, kiedy sięgała po rachunek, nigdy nie dała tego po sobie poznać. I ponieważ przyzwyczaiałam się do płóciennych serwetek i kelnerów odsuwających dla mnie krzesło, zaczęło mi się wydawać, że wszystko tak zawsze wyglądało, że tak zawsze miało być.

Więc oczywiście nie mogło tak zostać. Oczywiście, w chwili kiedy przestałam za nią tęsknić, ona wróciła.

rozdział jedenasty

Przy gimbusie mojego ojca stał stary pick-up. Mógł należeć do kogokolwiek.

- Czyje to? - spytała Patty, wjeżdżając na podjazd, a mój ojciec pokręcił głową, tarabaniąc się z kulami z samochodu. Ponieważ nie odpowiadał, Patty zwróciła się do mnie: - Alice?

Pick-up lśnił w świetle reflektorów, turkusowy z białym paskiem.

- Nie jestem pewna - mruknęłam i w ślad za moim ojcem wysiadłam z samochodu.

Przeszliśmy przez drzwi kuchenne i tam na nas czekali, siedząc na naszych meblach i popijając napoje z naszej lodówki. Moja siostra wydała mi się mniejsza, niż ją zapamiętałam. Kiedy objęła mnie na powitanie, poczułam, jak kości jej obojczyka wciskają się w moje gardło, a drabina żeber wystaje spod koszulki bez rękawów.

- Ale urosłaś - wyszeptała.

Za nią, przy stole jadalnym, siedział Jerry z rękoma zaplecionymi na puszcze z napojem.

- Pamiętacie Jerry'ego - powiedziała Nona, a on podniósł wzrok i kiwnął głową w zdawkowym powitaniu.

Nona postawiła krok w stronę ojca, potem przystanąła i zgarbiła się, wpychając ręce do kieszeni. Czekałam, aż ojciec coś powie, zapyta ją, gdzie była, dlaczego nie pisała, i dlaczego po tak długim czasie przyszło jej do głowy, że będzie tu mile witana. Ale on tylko kołysał się na swoich kulach bez słowa.

- Musimy się gdzieś zatrzymać - powiedziała Nona, a ojciec wytrzymał jej spojrzenie tylko chwilę, nim mrugnął na zgodę.

- Nie zapytasz o jego nogę? - wybuchnęłam, a Nona odwróciła się do mnie.
- Upadł - odparła. - Mama mi powiedziała.
- Rozmawiałas z mamą? - Wszystko się działo za szybko. Wszystko było źle.
- Was nie było - wyjaśniła moja siostra.
- Byliśmy z klientką - rzucił ojciec, a ja chciałam wykopać spod niego kule. To, gdzie myśmy byli, miało akurat najmniejsze znaczenie.
- Wiem - rzuciła Nona. - Mama mi powiedziała.

Jerry poruszył się na krześle, a ja spojrzalam się obejrzałam na niego, próbując ocenić, czy coś mu dolega. Ojciec zawsze mówił, że Jerry skręci sobie kark na rodeach, że zostanie kaleką, a Nona wróci do domu bez środków do życia. Ale Jerry popijał napój, nie podnosząc wzroku. Nie wyglądał, jakby miał cokolwiek złamane albo był kaleką.

- Możemy wnieść rzeczy - powiedziała Nona wreszcie, a Jerry wstał.
- Alice może pomóc - rzucił ojciec, nie patrząc na mnie. Sam na sam z moją siostrą mógł przejść do rzeczy, mógł powiedzieć to, co należało powiedzieć. Podążyłam za Jerrym do samochodu.

Nigdy nas sobie nie przedstawiono, nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Czekałam, aż obróci do mnie głowę, żeby powiedzieć, że dużo o mnie słyszał, albo żeby mi podsunąć jakieś wyjaśnienie, dlaczego wrócili. „Twoja siostra tęskniła za rodziną, a ja nie mogłem już jej zatrzymać. Chciała skończyć liceum. Chciała znowu brać udział w zawodach”. Ale on bez słowa wsiadł do furgonetki.

Nie mieli wiele, rozpadający się worek marynarski i kilka kartonów. Oparłam się o gimbus, patrząc, jak Jerry wyrzuca kartony na ziemię, nie proponując mi pomocy. Kiedy odwrócił się plecami do mnie, stanęłam na palcach i zajrzałam przez okno. Szoferka była zaśmiecona opakowaniami po hamburgerach i pustymi paczkami papierosów. Na podłodze leżał zwinięty obskurny koc, a na desce rozdzielczej zmięta mapa samochodowa pod skarpetkami mojej siostry.

Kiedy paka była już pusta, Jerry przeniósł się do kabiny, szeleszcząc śmieciami na podłodze i potrząsając pudełkami po papierosach, aż znalazł jedno, w którym coś zastukało. Jego obcas zaplątał się w koc, zostawiając błotnisty półksiężycowy ślad na przyblakłym różu. Kiedy

się schylił, żeby uwolnić nogę z pułapki, koc przesunął się w bok, odsłaniając czarny pręt. Przez chwilę myślałam, że to laska, i osłoniłam dłońmi twarz, żeby lepiej widzieć przez szybę.

Może jednak Jerry odniósł rany, może miał coś roztrzaskane, i po prostu ukrywał ból, przeszywający jego ciało z każdym krokiem. Ale kiedy mrużąc oczy, zaglądałam do furgonetki, dostrzegłam, że pręt zgina się jak łokieć w gładkie, rzeźbione drewno. To nie była laska, a ja opadłam na pięty, kiedy obraz przedzierał się przez mój umysł.

Przez szybę oczy Jerry'ego spotkały się z moimi. W filmach broń mają mężczyźni dwojakiego rodzaju: bohaterowie i kryminaliści. W ciężarówce Jerry sięgnął na dół, szarpnięciem rozłożył koc z powrotem, a potem wysiadł, zamykając za sobą drzwi na kluczyk. Odwrócił się do mnie twarzą i poczułam, jak w mojej klatce piersiowej niczym lód wzbiera strach. Jerry nie był bohaterem.

Czekałam, aż mi powie, że tylko mi się przywidziało, że to nie moja sprawa, że jeśli powiem komuś choć słowo, wydrze mi serce przez gardło. Ale Jerry się schylił, zebrał wszystkie torby i pudła, po czym ruszył do domu.

Nona i mój ojciec stali po dwóch stronach pokoju, nie patrząc na siebie, milcząc, a Jerry stawiał bagaże przy schodach. Serce mi wirowało w piersi, myśli zamazywały się jak plamy farby. Jerry i Nona nie przyjechali z wizytą. Oni się wprowadzali. Będą jeść przy naszym stole i brać prysznic w naszej łazience. I nagle wszystkie te pytania bez odpowiedzi, wszystkie niewypowiedziane wyjaśnienia zeszły na dalszy plan, kiedy zdałam sobie sprawę, że oni zajmą pokój Nony.

- Muszę mieć telefon - powiedziałam, a cała trójka odwróciła się, by na mnie spojrzeć.

- Co? - spytał ojciec, patrząc na mnie przez przyćmione światło salonu.

- Muszę mieć telefon - powtórzyłam. - W swojej sypialni.

- Chyba mogę przeciągnąć linię z pokoju Nony - powiedział ojciec.

- Ale potrzebowałbym paru rzeczy ze sklepu.

- Muszę go mieć dzisiaj - dodałam. Gdyby ojciec poprosił mnie o wyjaśnienie, powiedziałabym, że rozszerzony angielski jest trudny

- muszę dzwonić do ludzi z klasy po pomoc przy pracy domowej trzy, cztery razy każdego wieczoru. Rozmowy były długie. Przewlekłe. Nie mogłam korzystać z telefonu w salonie - musiałam się skupić.

Ale mojemu ojcu chyba moje żądanie sprawiło ulgę. Dobył kluczyków z kieszeni i ruszył w stronę drzwi.

- Nie zapomnij kupić aparatu - krzyknęłam. - W dowolnym kolorze, tylko nie różowym.

Jerry wyszedł na zewnątrz zapalić, a Nona patrzyła na mnie, splótłszy nitki swoich rąk na piersi.

- Masz tajemnicę - powiedziała.

Uśmiechnęła się, ale jej policzki były zapadnięte, skóra pod oczami szara i workowata.

- Mam całe mnóstwo - odparłam. Wzniosła oczy do nieba.

- Nie wyjechałam na aż tak długo.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Od wyjazdu mojej siostry świat się zmienił. Kupowano i sprzedawano konie. Łamały się kości. Nonę ominęła susza i ominęła ją powódź, a teraz stałyśmy, rozdzielone wąwozem czasu. Nie miałam jak jej powiedzieć, na jak długo wyjechała. Nie miałam jak zacząć.

- Dlaczego wróciłaś? - spytałam, a ona lekko zmrużyła oczy.

- Bo tak - odparła. - Jakiś problem?

- Nie. Tylko myślę sobie, że powinnaś mieć lepszy powód.

Potem moja siostra spała całymi dniami, wychodząc z pokoju o nieregularnych porach, żeby przygotować sobie talerz jedzenia albo usiąść nieprzytomna na huśtawce na ganku, palić papierosy i wpatrywać się przed siebie. Mój ojciec oprowadził Jerry'ego po stajni, pokazując, gdzie trzymamy jedzenie, uprzęż i zgrzebła. Jerry sunął za nim niedbałym krokiem, nie odzywając się, z rzadka tylko rzucając „Tak, proszę pana”.

- My tu się zajmujemy konkursami - powiedział mój ojciec. - Nie chcę tu widzieć żadnego gówna z rodeo.

- Tak, proszę pana.

Jerry był równie chudy, jak jego dziewczyna, miał marne ramiona i krzywe nogi. Przy szerokich ramionach mojego ojca wyglądał jak niedożywiony, i trochę jak owad.

- Nasi klienci to ludzie z klasą - dodał ojciec. - Więc ma tu być czysto.

- Tak, proszę pana.

- To chyba wszystko - rzekł wreszcie ojciec, patrząc na Jerry'ego z ukosa, co wskazywało na to, że ani go nie lubi, ani mu nie ufa. - Jeśli masz jakieś pytania, Nona ci pomoże. Ona wie, co i jak.

Ale Nona nie postawiła nogi w stajni. Popołudniami czasem wstawała z łóżka, potem wędrowała z zamglonymi oczami i splątanymi włosami do pokoju mojej matki, gdzie opierała bosc stopy o stolik nocny i paliła za oknem. I chociaż za dnia ledwie patrzyła na Jerry'ego, nocą on wchodził do niej po schodach. Leżałam w swoim łóżku, słuchałam ich oddechów, sapnięć i westchnień, które wznosiły się falami po drugiej stronie ściany, i zastanawiałam się, co takiego zmusiło ich do powrotu.

- Jak długo oni zostaną? - zapytałam ojca.

- Nie wiem - odparł. - Jakiś czas. Myślałbym, że się ucieszysz, że ona jest.

Myśli kręciły mi się w głowie. Moja siostra wyjechała i zostawiła po sobie pustkę. Ale jej nagła obecność wydawała mi się równie zła jak nieobecność, coś się wcisnęło na nie swoje miejsce, jak gimbus przed stajnią.

- Co oni tu robią? - spytałam, a ojciec westchnął.

- Nie mają gdzie mieszkać - odrzekł. - Co miałem im powiedzieć? Nie? Idźcie pod most?

Jerry miał furgonetkę. Nocleg na gołej ziemi zupełnie im nie groził.

- Oni uprawiają seks w naszym domu. Wiedziałaś o tym? Ojciec podskoczył, jakbym go oblała zimną wodą.

- Jezu Chryste, Alice! Nie chcę się zastanawiać nad takimi rzeczami.

- Ja też nie - odparłam. - Więc myślę, że powinieneś im powiedzieć, żeby zamieszkali gdzie indziej. Jerry może być seryjnym zabójcą, nic o nim nie wiemy. Nona może mieć wyprany mózg, jak Patty Hearst⁷.

Patty Hearst - dziedziczka imperium prasowego Hearsta. 4 lutego 1974 została porwana przez członków paramilitarnej terrorystycznej organizacji lewicowej SLA. Porywacze nie uwolnili jej, choć spełniono ich żądania, a sama Patty po dwóch miesiącach wydała oświadczenie, że dobrowolnie przystąpiła do grupy. Brała udział m. in. w napadach na banki. Aresztowana we wrześniu 1975 roku, podczas procesu twierdziła, że do wydania oświadczenia ją zmuszono, a w napadach brała udział, ponieważ poddano ją praniu mózgu. Skazano ją na 7 lat więzienia (prezydent Jimmy Carter, korzystając z prawa łaski, skrócił ten wyrok do 2 lat) (przyp. tłum.).

No wiesz, dlaczego tak długo nie mieliśmy od nich wiadomości?

- Ojciec wyciągnął rękę, uciszając mnie przed sformułowaniem następnego pytania.

- Są tutaj - powiedział. - I tylko taką dostałem odpowiedź. Ponieważ nikt nie oferował innego wyjaśnienia, zaczęłam sobie

wyobrażać własne odpowiedzi. Odgrywałam je w głowie jak filmy, wszystkie scenariusze, na których końcu Jerry i Nona wsiadali do swojej poobijanej furgonetki i jechali przez odkryte przestrzenie kraju aż pod nasze drzwi kuchenne.

Po południu uchylałam drzwi pokoju Nony, patrząc, jak jej pierś unosi się przez sen. Brzuch miała zapadnięty pod skrajem koszulki, pępek zatopiony w białej misce miednicy. To był szaleńczy, głodny sen - usta miała otwarte, język smakował stęchłe powietrze sypialni, przesuwał się w ustach. Obudzona, moja siostra była zamroczona i apatyczna, wolno reagowała i łatwo się zapominała. Schodziła na dół w staniku i majtkach, po czym stała, wpatrując się tępo w otwartą lodówkę. Ale jej sen był wypełniony zmartwieniem, ciało się rzucało, usta drżały. To nie był sen dziewczyny, która wróciła do domu z rocznej podróży poślubnej. To nie była siostra, która rysowała uśmiechnięte buźki na marginesach swoich listów.

Tak więc przyszły mi do głowy narkotyki. Wyobraziłam sobie, że Nona i Jerry zadali się ze złymi ludźmi z rodeo i spędzali noce w ciemnych pokojach, wstrzykując sobie heroinę i marniejąc niczym Sid Vicious⁸ i Nancy Spungen. Wyobraziłam sobie, że jakiś inny kowboj zakochał się w mojej siostrze, a Jerry pijany i groźny, w przyływie zazdrości skrzył mu kark. Wyobraziłam sobie, że razem obrabowali bank i jechali przez kraj jak Bonnie i Clyde, zatraceni w orgii zbrodni i whisky, a strzelba leżała pomiędzy nimi jak dodatkowa kończyna.

- Tak strasznie chciałybyśmy zobaczyć twoją tajemniczą siostrę

- powiedziała mi w stajni Bitsy. Modliszki w końcu wróciły, ale że

⁸ Sid Vicious (1957-1979), basista punk rockowego zespołu Sex Pistols. Pod koniec 1978 roku został oskarżony o zamordowanie swojej ukochanej Nancy Spungen (1958-1978), schizofrenicznej group-pie, uzależnionej od heroiny. Para poznała się w roku 1977 i pokochała się od pierwszego wejrzenia. Ich toksyczny związek, wypełniony heroiną, bójkami i awanturami, spowodował między innymi rozpad zespołu Sex Pistols. 13 października 1978 roku w Hotelu Chelsea znaleziono ciało Nancy, zaszytowanej przez Sida. On sam nie doczekał procesu, zmarł kilka miesięcy później, w przeddzień rozprawy, na skutek przedawkowania heroiny (przyp. tłum.).

arena wciąż była za mokra na jazdę, stały dokoła, pijąc z papierowych kubków i wężąc w poszukiwaniu rozrywek.

- Ona ciągle tylko śpi - powiedziałam.

- Hm - szepnęła Bitsy i rzuciła pełne uwielbienia spojrzenie na tył stajni, gdzie Jerry wyrzucał trociny z boksu Toy Boya. - On ją musi nieźle męczyć.

Jeśli chodzi o podstawowe czynności, Jerry pracował jak maszyna. Każdego popołudnia, nim wróciłam ze szkoły, już przećwiczył konie sportowe i wyczyścił wszystkie boksy. Był mały, umięśniony, ale podnosił bełę siana jak piórko, niósł po jednej w każdej ręce i wrzucał je z takim samym wysiłkiem, z jakim ja bym przekładała poduszkę z jednej strony łóżka na drugą.

- Najwyraźniej ma mnóstwo energii - dodała Jaycee, a reszta Modliszek zachichotała do swoich papierowych kubków.

Patty Jo stała z dala od tej konwersacji, segregując swoje przyrządy do oporządzania i patrząc na drogę przed stajnią. Ponieważ Jerry zajmował się końmi, mój ojciec wziął dodatkową robotę, woził drużyny sportowe na zawody i odbierał wycieczki szkolne przed pocztą. Czasami nie wracał do domu aż do wieczora.

- Chyba skończyły im się pieniądze - powiedziała Bitsy lekkim tonem, a ja się wyprostowałam, czekając na jej rozumowanie. Może Jerry był tylko poślednim kowbojem, którego wygrane nie wystarczały na pokoje hotelowe i steki. Może paskudny i porywczy charakter wyгнаł go z toru.

Zanim jednak Bitsy zdołała przedstawić swoje argumenty, Patty Jo odwróciła się, mierząc nas wzrokiem.

- Chyba to nie twoja sprawa.

Modliszki zamilkły, ich oczy biegały w tę i z powrotem, tysiąc cichych spojrzeń.

- Hm - powiedziała Bitsy z wymuszoną lekkością. - Śruty pierduty - i rozmowa zeszła płynnie na inny temat.

- Może twoja siostra jest chora - powiedziała Sheila następnego dnia. Po raz pierwszy przyjechała do stajni, odkąd zaczęło padać, i podobnie jak konie wydawała się niespokojna i marudna z powodu tak długiego zamknięcia w kojcu. Chodziła dokoła Capa, patrząc wilkiem na jego splątaną grzywę. - Miałam nadzieję, że będziecie o niego dbać, kiedy mnie nie ma.

- Na co Nona może być chora? - spytałam. Choroba nie przyszła mi do głowy. Sheila stanęła na palcach i wytknęła język, próbując rozplątać grzywę palcami.

- Ludzie dużo śpią przy mononukleozie - powiedziała. - Można się nią zarazić przez całowanie.

- Skąd wiesz? - spytałam.

- Mówili nam w szkole.

No oczywiście. Sheila chodziła do lepszej szkoły niż ja. Nam w szkole mówili tylko o zachodzeniu w ciążę.

- E, to nie może być to - powiedziałam. - Jerry jest zdrowy, a tylko od niego mogłaby to złapać.

Sheila przerwała czyszczenie zgrzebła i ściągnęła brwi w namyśle.

- A wiesz to na pewno?

Sheila jeszcze nie widziała Nony, ale czułam, że odruchowo jej nie akceptuje, uważa się za lepszą właścicielkę Capa. W mojej głowie zrodziła się jednak nowa koncepcja, Nona całująca się z kowbojami na prawo i lewo, łapiąca choroby, przyjeżdżająca do domu, żeby zaspać się na śmierć.

- Ona wie, prawda? - spytała Sheila, zerkając na konia. - O mnie i Capie?

Wydawało mi się, że stajnia będzie pierwszym miejscem, do którego Nona się skieruje, kiedy wysiądzie z furgonetki Jerry'ego, że pobiegnie do boksu Yellow Capa, zanim wejdzie do domu. Ale minęło osiem dni, a jej noga jeszcze nie postąpiła w stajni. Jeszcze o niego nie zapytała.

- Zresztą to nie ma znaczenia - powiedziała Sheila, kiedy nie odpowiadałam. - Ona i tak go zostawiła. Nie ma powodu oczekiwać, że wciąż do niej należy.

- Słyszał pan o mononukleozie?

- Chorobie pocałunków? - spytał pan Delmar.

Moje myśli popłynęły do uczty pościgowców, do smaku języka Zacha Pope'a, smaku kurzu i piwa, szorstkich popękanych ust przyciśniętych do moich. Najwyraźniej tak właśnie rozprzestrzeniła się choroba, obcy całowali się z obcymi, aż wszyscy udawali się do swoich sypialni, zamykali drzwi, zasuwali zasłony i zasypiali, zostawiając

świat wreszcie samemu sobie. Ale uczta pościgowców odbyła się ponad miesiąc temu, a u siebie nie zauważyłam zwiększonej potrzeby snu. Poza tym Zach Pope nie był ani specjalnie błyskotliwy, ani specjalnie przystojny. Pewnie byłam jedyną osobą, która go w życiu pocałowała.

- Można na to umrzeć? - spytałam.

- Po prostu dużo się śpi - powiedział pan Delmar. - A czemu pytasz?

Próbowałam myśleć, jak mam mu powiedzieć o siostrze, o tym, jak wyjechała, a potem wróciła ospała i skurczona, obciążając nasze życie groźną obecnością mężczyzny, dla którego nas opuściła. Pan Delmar zdołałby to wyjaśnić. Przyszłyby mu do głowy pomysły, na które ja nie wpadłam, pomysły, na które może nigdy sama nie wpadnę. Ale nie wiedziałam, jak wyjaśnić, jak choćby zacząć wplatać historię Nony w swoje nowe życie, które dla siebie zmyśliłam, które zmyśliłam dla niego.

- Ty na to nie chorujesz, prawda? - spytał.

- Nie - odparłam, ale na tę sugestię oblałam się rumieńcem. Zdaniem pana Delmara mogłam być dziewczyną, do której chłopcy stoją w kolejce do całowania. W tamtym innym życiu, w którym mój ojciec badał gwiazdy, a matka jeździła na spotkania w interesach, rosłam, nosząc drogie ubrania i płacąc zawodowcom za strzyżenie i modelowanie włosów. Polly Cain i ja nocowałyśmy u siebie nawzajem, do późnej nocy gadając o chłopcach, którzy naszym zdaniem są mili albo słodcy, albo mają gęste rzęsy, całowałyśmy się dla wprawy po rękach, przygotowując się do życia, którego żadna z nas nie będzie miała.

- To niebezpieczny świat - powiedział. - Musisz być ostrożna.

- A pan jest?

Milczał, zasyczała zapalka, kiedy zapalał papierosa.

- Jeśli wziąć wszystko pod uwagę, to można powiedzieć, że jestem bardzo nieostrożny.

Pan Delmar czytał książki i trenował tenis. Kiedy zadawałam pytanie, on zawsze miał odpowiedź. To nie była nieostrożność. Nieostrożni ludzie poślubiają obcych. Zapominają, ile lat mają ich dzieci. Trzymają broń, albo coś, co na broń wygląda, na podłodze furgonetki, ukrytą pod brudnym kocem. Chodzą nad wodą w bezwietrzny dzień i ześlizgują się, spadają i umierają w samotności.

- Nie wierzę panu - powiedziałam.

Westchnął, a ja poczułam, że coś się zmienia pomiędzy nami, smutek rozlewa się po kablu mojego nowego telefonu.

- Nie znasz mnie tak dobrze - powiedział w końcu, a mój żołądek wypełnił się ołowiem.

- Wiem, że jest pan bystry - odparłam. - I miły. I zabawny. Wiem, że jest pan dobrym człowiekiem.

Słyszałam, jak wzdycha po drugiej stronie, jak powietrze przechodzi przez jego usta, przesuwa się po języku, wpada mu do gardła i płuc, a potem zamienia się w ciszę, kiedy je tam zatrzymuje, myśląc.

- Jesteś cudowną dziewczyną - powiedział w końcu. Zamknęłam oczy, czekając, aż te słowa uformują się po wewnętrznej stronie powiek w łagodne, różowe litery: „Cudowna dziewczyna”. - I wiem, że jesteś samotna.

Litery zdrząły, zmieniając kształt i kolor, z różu powstała wilgotna szarość. „Cudowna” i „samotna” miały nawet tyle samo liter.

- Obserwuję cię w szkole - powiedział cicho. - Siedzisz sama, do klasy idziesz sama.

Nasze dziewczyny siedziały grupkami, pochylały się nad ławkami, żeby sobie przekazywać liściki albo wplatać koraliki i wstążki we włosy. Śmiały się z otwartymi ustami z żartów koleżanek, krzyczały ucieszone z sukcesów koleżanek, płakały w ramię koleżanek nad każdym wspólnym nieszczęściem. Oczywiście że pan Delmar to zauważył. Ja nie miałam żadnej takiej grupy, do której mogłabym się wkręcić.

- Od ostatniej wiosny było ci ciężko - powiedział, a w przerwach między słowami poczułam ciężar tego, co zostało niewypowiedziane: było mi ciężko od czasu, kiedy straciłam najlepszą przyjaciółkę, od czasu kiedy Polly Cain umarła i zostawiła mnie samą. - Ale jesteś zbyt wyjątkowa, żeby żyć w osamotnieniu. Potrzebujesz przyjaciół.

Dawna Alice Winston nigdy nie potrzebowała przyjaciół. Szkoła zawsze oznaczała robotę, odbijanie karty, odsiadkę, odbijanie karty. Moje dziecięce życie obracało się wokół stajni, mojego ojca i siostry. Nona wyjechała i zostawiła dziurę, ale pusta przestrzeń pogłębiła się od chwili jej wyjazdu, zmieniła kształt. Teraz Nona wróciła, moja cała rodzina znowu była pod jednym dachem. Nawet kiedy moja siostra zaczynała dołączać do świata żywych, spędzając mniej czasu na spaniu, a więcej na bezcelowym snuciu się po domu, wiedziałam, że nigdy

nie wrócimy do życia, które mieliśmy przed jej wyjazdem. A nawet gdybyśmy mogli, ja już tego życia nie chciałam.

Pan Delmar widział moje życie takie, jakie powinno być, pełne możliwości. W jego oczach byłam bystra. Byłam cudowna. Wyjątkowa. Jeśli jego zdaniem potrzebowałam przyjaciół, to znajdę sobie jakichś.

Następnego dnia Kelly i Rachel zaprosiły mnie na lunch do ich stolika. Przeszłam za nimi stołówkę, kołysząc włosami na boki i ignorując ciężar spojrzenia Janice Reardon, podążającego za mną z drugiej strony sali.

Zdumiewająco łatwo było mieć dobre stosunki z cheerleaderkami. Musiałam tylko wyglądać na znudzoną wszystkim, co mówią, a one mnie uwielbiały.

- Przesłuchania skończyły się dawno temu - powiedziała Rachel.

- Ale może zdołamy dla ciebie nagiąć zasady. Umiesz zrobić gwiazdę?

Żułam swój rozmokły hamburger i wyobraziłam sobie siebie ubraną w małą czerwono-białą spódniczkę i w koszulkę jednego z graczy futbolowych w szkole w dniach zawodów, bo tak robiły pozostałe cheerleaderki. Stoję w grupce z nimi, zawijam włosy na palec i marszczę nos na pozostałych uczniach, jakby byli powoli roznoszącą się chorobą. Wyobraziłam sobie, jak w czasie rozgrywek pan Delmar z trybun obserwuje mnie na boisku wśród innych cheerleaderek.

Oto Alice przed wami stoi i każdy na pewno się mnie boi!

Byłam absolutnie pewna, że nie umiałabym zrobić gwiazdy, ale wzruszyłam ramionami, nie zobowiązując się ani do gwiazdy, ani do zainteresowania przystąpieniem do drużyny.

- Nieważne zresztą - powiedziała szybko Kelly. - Ale masz lśniące włosy.

Rankami spędzałam ponad godzinę w łazience, susząc włosy suszarką i stylizując końcówki lokówką elektryczną, którą Patty Jo kupiła mi w swoim salonie - „dobrej jakości”, powiedziała. „Hej, księżniczko

- wołał Jerry waląc w drzwi łazienki. - Ruchy, bo muszę się odlać”.

Ale ja dalej nakładałam błyszczący na usta, obracałam się, żeby zobaczyć swoje włosy z każdej strony. Chociaż nasze obiady się skończyły,

Patty Jo wciąż przynosiła mi prezenty, wciskała pudełeczka z kolczykami do ręki, kiedy inne Modliszki były zajęte, przywoływała mnie gestem do siodłami, żeby dać mi nową bluzę, srebrną bransoletkę, różowe skarpetki z koronkowymi mankietkami.

- Gdzie robisz zakupy? - spytała Rachel, kiedy się przebierałyśmy na gimnastykę.

Prawda była taka, że nie miałam pojęcia, skąd pochodzi większość prezentów od Patty, wiedziałam tylko, że ubrania są gładkie w dotyku i pachną jak bogata kobieta.

- Moja mama podróżuje służbowo - powiedziałam. - Większość rzeczy kupuje mi w Kalifornii.

- Ale masz szczęście, dziwko! - wykrztusiła Rachel. Czułam, jak mięśnie twarzy napinają mi się pod skórą - nikt nigdy nie nazwał mnie dziwką. Ale oczy Rachel lśniły aprobatą, więc uśmiechnęłam się, uznając jej zazdrość za komplement.

- To dziwne, że dotąd nigdy cię nie zauważyłyśmy - powiedziała Amy a reszta cheerleaderek kiwnęła głowami. - No bo wiesz, z daleka widać, że jesteś jedną z nas.

Z bliska cheerleaderki nie różniły się tak bardzo od całej reszty. Miały ładniejsze włosy i nosiły mocniejszy makijaż niż większość siódmoklasistek, ale kiedy się siedziało z nimi przy stoliku albo stało za nimi w kolejce, nietrudno było znaleźć niedoskonałości, które były niezauważalne z daleka. Amy miała szeroko osadzone oczy i za długi nos - próbowała to ukryć, mocno malując się różem i szminką, by odciągnąć uwagę. Pod bryłą podkładu Rachel miała niewielką konstelację pryszczycy na brodzie i czole, a Kelly miała gruby brzuch, który wylewał się znad paska dżinsów, kiedy zapominała go wciągnąć. Moim zdaniem, jedyną prawdziwą różnicą pomiędzy cheerleaderkami a dziewczynami, z którymi nie rozmawiały, było miejsce zajmowane w czasie lunchu.

- Cóż - powiedziała Rachel, obejmując mnie ramieniem, kiedy wychodziłyśmy z szatni. - Może cię wcześniej nie zauważyłyśmy, ale lepiej późno niż wcale, prawda?

Nie bawiłam się najlepiej w ich towarzystwie, nie wydawały mi się szczególnie zabawne ani interesujące, ale kiwnęłam głową. Przez wszystkie te lata byłam niezauważalna, chowałam się za włosami, garbiłam ramiona, samotnie szurałam po korytarzu. Nie można było

cofnąć tego czasu, więc nie było sensu o tym myśleć. Ważne było dzisiaj, jutro i pojutrze. Ważna była świadomość, że jedyne, co muszę robić, żeby być lepszą od innych ludzi, to zachowywać się tak, jakbym była lepsza.

W piątkowy wieczór ojciec dostał wiadomość, że ostatnie zawody sezonu zostały przeniesione na następny weekend, i w sobotni poranek zebrał nas wszystkich w stajni, żeby omówić, co musimy zrobić w ramach przygotowań. Ojciec był niemal oszołomiony, śmiał się z odchyłoną głową, kiedy rozmawiał z panią Altman, żartował z Bitsy i Jaycee z powodu tańca, który odstawiały na trybunach za każdym razem, kiedy ktoś z nas zajmował punktowane miejsce albo wygrywał.

- Mam nadzieję, że trochę przeciwiczyłyście swój układ - powiedział do nich. - Mam przecucie co do tych ostatnich zawodów.

Oparłam się o drzwi siodłami, patrząc, jak ojciec sunie przez stajnię na swoich kulach, żartując i uśmiechając się. Oczywiście, że miał dobre przecucie co do ostatnich zawodów. Nona wróciła.

Modliszki się naradzały, porządkując uprzęż i zgrzebła. Patty Jo stała wśród nich, kiwając głową ze śmiechem. Ale jej oczy śledziły mojego ojca, patrzyły, jak rozmawia z panią Altman o cenie lekcji w następnym sezonie.

Kiedy moja siostra weszła do stajni, wszyscy zamilkli. Tłuste włosy miała związane w kitek, stopy bose. Stała przez chwilę, zaglądając do boksu Capa, gdzie Sheila opierała się o jego bark, głaszcząc końce grzywy palcami. Nona popatrzyła na jedną z kartek, które Jaycee powiesiła na ścianie stajni o wrażliwych zatokach Heathcliffa, i zapaliła papierosa.

- Kazałeś mi tu przyjść - powiedziała do ojca, kątem ust wydmuchując wstążkę dymu.

Jeśli ojciec zauważył spojrzenia, dziwne milczenie, które zapadło w stajni w chwili wejścia mojej siostry, to nie dał tego po sobie znać.

- Świetnie - uśmiechnął się szeroko. - Wszyscy w komplecie. Przedstawił Nonę i Sheila nagle zrobiła się nieśmiała, wpatrywała się w swoje stopy i rzucała ukradkowe spojrzenia na moją siostrę.

Ojciec odwrócił się do Sheili i pani Altman, wyjaśniając swój nowy plan. Nona da Sheili kilka lekcji przed ostatnim konkursem. Znała

Capa lepiej niż wszyscy, powiedział. Może pomóc z showmanship. Pani Altman patrzyła, jak Nona pali papierosa, i jej uśmiech stężał.

- No cóż - powiedziała po chwili. - Będzie dobrze.

- Co ty na to? - spytał ojciec Nonę.

Jej oczy spoczęły na ozdobionej monogramem derce Capa, na kantarze ze złotymi literami. W boksie Sheila stała ze spuszczonym wzrokiem, jej blond włosy były rozdzielone pośrodku i przytrzymane błyszczącymi spinkami.

- Wszystko jedno - powiedziała Nona i ruszyła z powrotem do domu.

Tłum się rozszedł, a ja podążyłam za swoją siostrą na schodki ganku. Oparłam się o poręcz, a ona usadowiła się na huśtawce, zapalając nowego papierosa od starego, zanim rzuciła niedopałek na trawnik.

- Czemu oni pierdolnęli na wszystkim jego imię? - zapytała. Obejrzałam się na stajnię, denerwując się, że pani Altman jest na tyle

blisko, że mogłaby nas usłyszeć - nie chciałyby, żeby Sheila brała leq'e od osoby, która używa słowa „pierdolić” w jakiegokolwiek postaci.

- Tata kupi ci nowego konia - powiedziałam, a Nona podniosła wzrok, patrząc mi prosto w oczy. Chciałam, żeby płakała, krzyczała, wpadła w złość w czystym Nonowym stylu, żeby była osobą, którą pamiętałam. Ale ona patrzyła tylko na mnie zimno, z nieruchomą twarzą.

- Nie obchodzi mnie to - powiedziała. - Skończyłam z tym wszystkim.

- Z zawodami nie.

- Ze wszystkim. Wszystkim - powtórzyła.

- To dlaczego tu jesteś? - spytałam.

Nona pochyliła głowę do przodu, przymknęła oczy, jakby nawet wysiłek potrzebny do trzymania głowy prosto był dla niej za duży.

- Tam się zrobiło ciężko, Alice - powiedziała w końcu. - Naprawdę ciężko.

- Tu też było ciężko - powiedziałam, a ona pokręciła głową.

- To nie to samo.

Chciałam zaprotestować. Nona nie wiedziała, jak to jest patrzeć, jak na dokumentach Capa pojawia się nazwisko Altmanów. Nie wiedziała, jak patrzyli na nas członkowie grupy pościgowej, jak trzymali swoje dzieci z dala ode mnie po jej wyjeździe, jakbym była zarażona jakąś

chorobą, która mogła się rozprzestrzenić, wytwarzając całą społeczność dzieci, które uciekają, zanim dorosną, zostawiają swoje rodziny z pracą, długami i wielką, głodną dziurą. Nie wiedziała o Polly Cain, która umarła, wierząc i walcząc w mętnej brązowej wodzie kanału, metr od trasy, którą pokonywałam codziennie w drodze do domu, ani o naszym ojcu, który podniósł jej ciało i niósł je na suchy grunt trzy dni za późno, żeby ją uratować.

Ale zanim zdołałam otworzyć usta, zanim zaczęłam w ogóle układać słowa, ona podniosła rękę.

- Nie rozumiesz - powiedziała. - Tam jest inaczej. Uwierz mi.

I na tym rozmowa się skończyła. Nie miałam szansy powiedzieć jej o Patty Jo ani Modliszkach, wprowadzających się do stajni, biorących ją w posiadanie, wplątujących swoje życie w nasze, tak że teraz, kiedy się rozglądam, widzę, że nic tutaj nie zdoła mnie nigdy uszczęśliwić, nic nigdy nie będzie dla mnie dość dobre. Nie w tym rzecz, że jej nie wierzyłam. Wierzyłam jej całkowicie. Tam musiało być inaczej. Po prostu musiało.

Kiedy ojciec osiodłał Darling i zabrał mnie na jazdę, na arenie wciąż leżało błoto. Powiedziałam ojcu, że nie będę ćwiczyć reiningu, kiedy Patty i Sheila są na placu, budził mnie więc wczesnym rankiem, zanim ktokolwiek przyjechał do stajni.

Spędziłam całe tygodnie przed ostatnim konkursem, przeżywając na nowo klasę reining w głowie. Moje mięśnie napinały się na wspomnienie prędkości i zjednoczenia, ekstazy triumfu. Teraz jednak nogi Darling były czarne od błota, grzywa szara od deszczu. Jechała nieuważnie i z błędami, zadzierała głowę, nogi się ślizgały, pryskając błotem na moje dzinsy i buty, kiedy próbowałam nią manewrować po placu.

Wodze ślizgały mi się w palcach, a stopy wysuwały ze strzemion. Kątem oka widziałam, jak Jerry opiera się o ogrodzenie i patrzy, a mój umysł wpadał w czarną, pustą panikę. Spiny Darling się rozłaziły, a kiedy się zatrzymywała, ja zjeżdżałam na przód siodła.

- Dobra, dobra - mówił ojciec, aż w końcu rzucił kule w błoto i krzyknął: - Do licha, Alice, rusz ją!

Nie rozplakałam się. Nie przed ojcem, nie przed Jerrym. Zacisnęłam zęby, próbując sobie przypomnieć, co robiłam inaczej na konkursie,

próbując odtworzyć przestrzeń, która wtedy wypełniała moją głowę. Zamknęłam oczy i wysłałam pamięć w podróż powrotną do tamtego dnia. Dłoń mego ojca na ustach Patty Jo, wyraz jego twarzy, szeroka, rozciągająca się pusta arena, otwarta i piaskowa, pomiędzy uszami Darling. Teraz jednak to wspomnienie było zafałszowane i zniszczone, zarzucone prezentami i obiadami w ciepłych restauracjach z kelnerami, którzy mówili do mnie „panienko”, „kochanie”, „ślicznotko”. Otworzyłam oczy i ziemia była mokra, niebo poznaczone białymi bawełnianymi chmurami, widownię wiwatujących obcych ludzi zastąpił Jerry, który patrzył spokojnymi oczami i miał zaciśnięte zęby.

Nie umiałam kontrolować konia, nie mogłam utrzymać ciała nieruchomo na jej chybotającym się ciele. Cokolwiek odkryłam tamtego dnia na placu, jakkolwiek tajemną moją część, która tak długo pozostawała w ukryciu, teraz wycofała się ona z powrotem w głąb moich kości, w moje wnętrzości. Schowała się przede mną, czyniąc mnie na powrót bezużyteczną i niewartą zapamiętania.

Kiedy w końcu zsiadłam z konia, ojciec wziął wodze, nie patrząc mi w oczy. Przekazałam mu Darling, czekając, aż mi powie, że nie warto się tym przejmować, że nie ćwicyłam przed ostatnim konkursem i proszę, jak mi dobrze poszło. Ale on wykuśtykał z areny na jednej nodze, prowadząc Darling z powrotem do stajni, nie mówiąc ani słowa. Podążyłam za nim, opuszczając głowę, tak że kiedy mijałam Jerry'ego, nie widziałam wyrazu jego twarzy.

Podążył kilka kroków za nami, słyszałam, jak jego stopy zanurzają się w błocie. Ale nie odwróciłam się, żeby uznać jego obecność, nie zwolniłam, tak żeby mógł mnie dogonić. Przeszłam przez stajnię, a kiedy dotarłam do domu, moja siostra w piżamie paliła papierosa na frontowym ganku.

- Jak poszło? - spytała.

Jerry podszedł za mną i oparł łokcie na balustradzie.

- Było ok - powiedział.

Nona podniosła nagą stopę do ręki Jerry'ego, balansując na drugiej. On uśmiechnął się lekko, uszczypnął ją w palec, zanim ona ją mu zabrała i padła na skrzypiącą huśtawkę.

- Wielki dzień zaplanowany? - zapytał.

Nona przeciągnęła się, cienie jej sutków przycisnęły się do naprężonej bieli podkoszulka. Odwróciłam wzrok, zakłopotana.

- Mam dzisiaj pracować z bogatą dziewczynką. - Ziewnęła. - Pomóc jej, żeby nie za bardzo schrząniała, kiedy będzie występować na moim koniu.

Jerry przechylił się przez balustradę ganku, wyciągając brodę do jej papierosa. Nona na piętach podprowadziła huśtawkę, wyciągając ramię z papierosem do ust Jerry'ego. Zaciągnął się trzema szybkimi machami, a moja siostra podniosła nogi i puściła huśtawkę, która odchyliła się od niego.

- To nie jest twój koń - powiedział Jerry. - Twój tata sprzedał go Sheili.

Wzrok Nony skierował się na stajnię.

- Jest mój - powiedziała. - Był mój, jeszcze zanim go zobaczyłam. Będzie mój na zawsze.

- Nie ma koni niezastąpionych - wtrąciłam, a Nona skrzywiła usta.

- Dzięki, tатku.

Jerry wszedł po stopniach ganku i usiadł obok niej na huśtawce. Usadowiła się tak, żeby zarzucić mu nogę na udo.

- Poza tym - dodałam - Sheila kocha go do szaleństwa. Nie odsprzeda go.

Jerry położył dłoń na kolanie Nony, kiedy ona przytknęła mu papierosa do ust, żeby się zaciągnął.

- Nieważne, czyje nazwisko jest w dokumentach - powiedziała. - Ona nawet nie umie na nim jeździć.

- Skąd wiesz? - spytałam.

- Mama mi powiedziała.

Ręka Jerry'ego powędrowała w górę jej nogi, kciukiem masował wewnętrzną stronę uda. Nona przymknęła oczy i oparła głowę o huśtawkę. Wpatrywałam się w nich, czekając, aż mnie zauważą, aż zdadzą sobie sprawę, że nie są w swojej sypialni, aż przestaną. Ale Jerry patrzył tylko na Nonę, pracując kciukiem na jej udzie, patrząc, jak jej usta otwierają się i zamykają, szybko połykając powietrze.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle pytasz mamę - powiedziałam, czując, jak podłóg rozchodzi się po mnie tysiącami lodowatych ukłuc. - Ona nawet nie schodzi na dół.

Nona wzruszyła ramionami, nie otwierając oczu.

- Zeszła na dół dla dziadków, prawda? - spytała. - Udawała przed nimi, że jest dobrą żoną, udawała, że jest dobrą matką?

Twarz mi płonęła, wbiłam palce w dłonie. Tak, matka zeszła na dół. Siedziała przy stole, kiedy jedliśmy, kiwała tępo głową, kiedy rozmawialiśmy. Ale nie było udawania. Nie było żadnej dobrej żony. Ani dobrej matki.

Chciałam zapytać, dlaczego Nona nagle tak się przejmuję tym, co matka mówi. Zanim uciekła z Jerrym, nie spędzała z matką więcej czasu niż ja. Nosila jej na górę talerze z jedzeniem. Zasłaniała zasłony. Wykonywała absolutne minimum obowiązków, tak jak my wszyscy.

Zanim jednak zdążyłam zwrócić na to uwagę, czoło Jerry'ego zmarszczyło się w namyśle.

- To byli starzy twojej matki? - zapytał, a Nona pokręciła głową.

- Ojca.

- Nasza matka nie ma rodziców - dodałam ostro.

Nona otworzyła oczy i podniosła głowę, by spojrzeć na mnie.

- Oczywiście, że ma rodziców, Alice. Jak to sobie wyobrażasz? Że wyrosła na drzewie?

Jerry parsknął, a ja zmierzyłam go wściekłym wzrokiem.

- No to kim oni są? - spytałam.

- Jej matka była nauczycielką - powiedziała.

- A ojciec?

- Odszedł, kiedy ona była mała. Po prostu wyszedł w środku nocy, nie mówiąc ani słowa. To jeden z powodów, z których ona taka jest.

- A jaka jest? - spytałam. Nona przechyliła głowę.

- Popieprzona.

- Ona nie jest popieprzona! - zaoponowałam. Słyszałam, jak mój głos się wznosi, drapie mnie w gardle jak gwałtowny wiatr. - Tylko smutna.

- Świetnie - powiedziała Nona. - To jeden z powodów, dla których jest smutna.

Zamknęłam oczy, próbując się skupić, powstrzymać drżenie palców, które zaczęło się na arenie.

- Nie, to nie jest jeden z powodów.

Nona siadła wyprostowana, spychając nogi na ziemię, tak że ręka Jerry'ego zawisła w powietrzu.

- Jezu, Alice, chcesz się kłócić o każde słowo?

Wzruszyłam ramionami, a Nona zdmuchnęła grzywkę z czoła.

- Ja tylko mówię, że ona nie wychodzi z sypialni - powiedziałam. - Ona nie ma pojęcia, co się tu dzieje.

Kąciki ust Nony uniosły się w szachrajskim uśmiechu.

- Ona wie, że się zabujałaś - powiedziała, a krew w moich żyłach zamieniła się w lód. - Wie, że całymi nocami gadasz z nim przez telefon, o miłości i poezji.

- Mama jest szalona - wyszeptałam.

Dolna warga Nony wydeła się szyderczo, a ona wyciągnęła rękę i poklepała mnie po głowie jak małe dziecko.

- Nieceee - powiedziała słodziutkim głosem. - Ona jest smutna. Wyszarpnęłam się spod jej dotyku.

- Co ty w ogóle wiesz? - syknęłam. - Nawet cię tu nie było. Wstała i pokręciła nade mną głową.

- A co ty wiesz o smutku? - zapytała. - Jesteś jeszcze dzieckiem.

- Wiem, że nie trzeba mieć do niego powodu - odparłam, ale drzwi trzasnęły. Już była w środku.

Papieros Nony palił się w ustach Jerry'ego. Podniósł rękę, wyjął go, gryząc się w wewnętrzną stronę policzka, żeby się nie uśmiechnąć. Poczułam się przed nim naga i nieprzyzwoita, jakby słowa Nony zdarły nablonek oddzielający mnie od reszty świata. Kiedy byłam dzieckiem, Nona mnie chroniła, stała pomiędzy mną a wszystkim, co mogło mnie zranić. Zakrywała mi oczy, kiedy trzeba było uśpić konia, pozwalała mi spać w swoim łóżku w czasie burzy, ściągając na siebie uwagę ojca w tych rzadkich sytuacjach, kiedy był na tyle na mnie wściekły, że coś mogło z tego wyniknąć. Ale jej wyjazd coś zniszczył. Coś zniknęło.

- Co? - warknęłam.

Jerry przejechał grzbietem dłoni po ustach, ścierając uśmiech jak płamę.

- Zabujałaś się, co? - zapytał.

Chciałam doskoczyć do niego i wbić mu w twarz paznokcie, żeby krzyczał i płakał, i błagał o litość, zapełził z powrotem do swojej rozwalającej się furgonetki i nigdy nie wrócił.

- Dla twojej wiadomości - powiedziałam - mam chłopaka. I jest o wiele starszy ode mnie.

- Naprawdę?

- Naprawdę - powiedziałam. - I jeśli go poproszę, to przyjedzie tu i porachuje ci twoje krzywe zęby.

Jerry się uśmiechnął.

- A co tatuś myśli o twoim starszaku?

- Może nie zauważyłeś - powiedziałam - ale mojego ojca nie za bardzo obchodzi, co robię.

- Zauważyłem.

Cała się gotowałam, parowałam. Patrzyłam na niego piorunującym wzrokiem, żeby dać mu znać, że nie obchodzi mnie, co on myśli, że to, że moja siostra wyszła za niego w jakimś zasranym urzędziku w Kansas, że się z nim kochała w swojej sypialni, nie znaczy jeszcze, że się nim przejmuję. Nie był moim bratem, nie był moją rodziną. Mógł sobie zauważać wszystko do woli.

- Jeśli coś zostawiasz - powiedziałam ściszym głosem, żeby matka nie mogła mnie usłyszeć zza ściany - a potem po to wracasz, to czy to coś nadal jest twoje?

- To zależy - powiedział pan Delmar. - Musisz sprecyzować. Pomyślałam o ostatnio ocenianym eseju, który oddawał w klasie,

i się skuliłam. „*Zabić drozda* to bardzo dobra książka, w której dzieje się mnóstwo interesujących rzeczy”. Czerwony atrament jego odręcznej uwagi ranił margines: „Precyzyjniej”. Głupia Alice Winston i jej głupie, niesprecyzowane szczegóły.

- Powiedzmy, że mam plecak - zaczęłam, a potem się zastanowiłam. - Powiedzmy, że mam zielony plecak w fioletowe groszki i zostawiłam go ostatniego dnia szkoły. Kiedy wrócę jesienią, czy wciąż będzie mój?

- Jeśli nie wziął go ktoś inny - odrzekł.

- A jeśli wziął?

- Ktoś ukradł ci plecak?

- Nie. Niech pan odpowie na pytanie.

- To zależy - rzekł. - Czy po prostu zapomniałaś wziąć go do domu? Czy też zostawiłaś go, bo już go nie chciałaś?

- A to jakaś różnica? - spytałam.

- Chyba tak. Jeśli coś zostawiasz, bo tego nie chcesz, to po sprawie. Ale jeśli coś gubisz, cóż, to należy do ciebie już na zawsze. Bez względu na to, czy to jeszcze kiedyś zobaczysz, czy nie.

A więc na tym polegała różnica.

- Moja siostra z mężem przyjechała do nas - powiedziałam panu Delmarowi.

- Nie wiedziałem, że masz siostrę.

- Nie mieszkała z nami - wyjaśniłam. - Wyjechała, kiedy wyszła za męża. Nie widziałam jej rok.

Po drugiej stronie zapadła cisza, trzask otwieranych drzwi lodówki, pęknięcie tacki z lodem, kiedy skręcał ją w rękach, potem wrzucił kostki do pustej szklanki.

- Dlaczego tak długo jej nie było? - zapytał.

Na to pytanie nikt nie znał odpowiedzi. Moja siostra była zajęta, była zaabsorbowana, zdana na własne siły w ciemnym lesie bez telefonu ani poczty. Zażywała heroinę, rabowała banki, zabijała obcych ludzi w miastach po całych Stanach Zjednoczonych. Uprawiała seks.

- Jej mąż dostał się do szkoły medycznej w Kalifornii - powiedziałam. - To dużo roboty i nie mieli jak się wyrwać.

- O rany - powiedział, powoli pijąc ze szklanki, kostki lodu zastukały mu o zęby.

- Szkoła medyczna.

- Teraz robi sobie przerwę. Potrzebowali trochę wolnego.

- Trudno się dziwić.

- Nie lubię go - wyznałam.

- Dlaczego? Zastanowiłam się.

- Zawsze przygląda się wszystkiemu, co robię - powiedziałam w końcu. - Ale prawie się do mnie nie odzywa.

- Może jest po prostu nieśmiały - zasugerował pan Delmar. Wyobraziłam sobie Jerry'ego siedzącego obok Nony na huśtawce na

ganku, jego rękę przesuwającą się po jej nodze, kwadratowe, mięsiste wnętrze dłoni niemal zakrywające jej udo. Robił to na moich oczach. Sprawiał, że odchyłała daleko głowę. Że zamykała oczy.

- Może - powiedziałam.

- Ludzie, którzy wykonują taką pracę - powiedział - ludzie, którzy pracują tak ciężko, chyba tak się na niej koncentrują, że wydają się czasem nieco dziwni, trochę niezainteresowani całą resztą świata.

Jerry pracował ciężko, co do tego nie było wątpliwości. Był umięśniony i niestrudzony, wstawał wcześniej, a kładł się późno. Raz na

jakiś czas zastawałam go, jak odpoczywał wpatrzony w drogę przed domem. Patrzył na nią, jakby oczekiwał, że coś zrobi. Ale te krótkie przerwy były rzadkie. Na ogół wygarniał ściółkę, podnosił bele siana, pocił się, dyszał i ignorował wszystkich dookoła.

- Tak sobie myślę, że od każdego człowieka, nawet od kompletnego dupka, możesz się czegoś nauczyć - powiedział pan Delmar. - Nikt nie jest kompletną stratą czasu.

- Naprawdę?

- Nie wiem. - Roześmiał się. - Ale nie zaszkodzi tak myśleć. Nie zaszkodzi rozstrzygnąć wątpliwości na korzyść ludzi.

Zastanowiłam się nad tym. Ja miałam same wątpliwości - żadnych korzyści.

- Może powinnaś dać temu gościowi szansę - powiedział pan Delmar, czytając mi w myślach. - Popytaj go trochę. Może odkryjesz, że nie jest taki zły. Może się czegoś nauczysz.

Chciałam się nie zgodzić, powiedzieć, że Jerry ma krzywe nogi i złośliwy wyraz twarzy, że je palcami i czka, kiedy pije, że pewnie nic o niczym nie wie. Ale dla pana Delmara spróbuję. Przebiorę się w stare dzinsy i tiszert i wezmę widły po raz pierwszy od tygodni. Posprzątam boksy z mężem mojej siostry. Wypytam go. Spróbuję się czegoś nauczyć.

I oczywiście pan Delmar się nie mylił: Jerry, jak się okazało, wiedział wszystko o Elvisie.

Pierwsze pół godziny, które spędziliśmy, czyszcząc razem boksy, upłynęło w napięciu spowodowanym naszym pełnym skrepowaniem milczeniem. Zapytałam o rodzinę, a on odrzekł, że nie ma. Zapytałam o rodeo, a on odrzekł, że rodeo to rodeo. Zapytałam, skąd pochodzi, a on powiedział, że w zasadzie znikąd. Ale wtedy zapytałam go o przeczytane książki. I już za żadne skarby nie chciał się zamknąć.

Od Jerry'ego dowiedziałam się, że Elvis zrobił trzydzieści trzy filmy i wydał sto pięćdziesiąt albumów oraz singli. Jerry był w Graceland dwanaście razy, widział, gdzie Król spał i siedział, i jadł śniadanie.

- Tam jest mnóstwo ludzi, którzy zapewniają, że mogą ci opowiedzieć o Elvisie - wyjaśnił Jerry - że znają wszystkie sekrety. Ale to są ludzie, którzy zajmują się rozdmuchiowaniem, skupiają się na skandalu, pieniądzu albo narkotykach. - Pokręcił głową, podnosząc widły rozmokłej słomy na taczkę. - Elvis to było coś o wiele więcej.

- Był naprawdę wielką gwiazdą - powiedziałam w końcu, podając jedyną znaną mi informację o Elvisie Presleyu.

- Był więcej niż gwiazdą - odparł Jerry.

Jerry znał nie tylko karierę Elvisa, ale też znał jego życie. Przeczytał o nim dziesięć książek. „Dziesięć!” - powiedział i odstawił widły, by pokazać mi wszystkie palce.

Elvis urodził się biedny. Chociaż był gwiazdą, był samotny. Nikt go tak naprawdę nie rozumiał. Zatrzaszczył się o swoją matkę. Miał bliźniaka, który umarł.

- Zabrałeś Nonę do Graceland? - spytałam.

- Dwa razy. Myśleliśmy, żeby się tam pobrać, ale twoja siostra powiedziała, że to byłoby tandetne. Chyba rozumiem jej punkt widzenia, tylu turystów tam łązi.

Przez całe swoje życie ani razu nie słyszałam, żeby moja siostra choćby napomknęła coś o Elvisie Presleyu. Pomysł, że mogłaby wziąć ślub na jego podwórku, był jeszcze dziwniejszy niż urząd stanu cywilnego w Kansas.

- Jak tam jest? - spytałam, a Jerry zatrzymał się na chwilę, opierając się o drzwi boksu, żeby zapalić papierosa.

- Niewiarygodnie - wyznał. - Ale smutno. Tam jest tak, jakby on wciąż tam mieszkał. Chodzisz tam, gdzie on chodził, widzisz to, co on widział. I naprawdę dociera do ciebie, że jego już nie ma. To całe wielkie życie... skończyło się.

Jerry mówiąc, patrzył w ziemię, trzymał papierosa między kciukiem a palcem wskazującym. Toy Boy zarżał, a Jerry, nie patrząc, wyciągnął rękę i poklepał go po szyi.

- Znałam dziewczynę, która umarła - powiedziałam, a Jerry podniósł brwi.

-Tak?

- Miała na imię Polly - dodałam. - W zeszłym roku utonęła w kanale.

- Była w twoim wieku? - zapytał, a ja kiwnęłam głową. - Kumplo-wałyście się?

- Od przedszkola chodziłyśmy razem do szkoły. Codziennie wracałyśmy do domu tą samą drogą. - Jerry pykał papierosa, słuchając. Stojąc tam w swoich starych brudnych ciuchach, z włosami ściągniętymi w nijaki koński ogon, znowu poczułam się jak dziecko. Nie jak daw-

na Alice, tępa, słaba i w niczym niedobra. Ale jak jakiegokolwiek dziecko, gdziekolwiek. - Nie - powiedziałam. - Nie kumplowałyśmy się.

Toy Boy stał z przymkniętymi oczyma, drobne stęknienia wydobywały się z jego pyska, kiedy Jerry drapał go po piersi.

- To chyba nawet gorzej, no nie? - zapytał Jerry, a kiedy na mnie spojrzał, poczułam szarpnięcie połączenia pomiędzy nami, wtyczkę do gniazdka.

- Dlaczego tu przyjechaliście? - wyszeptalam.

Jerry rzucił papierosa na ziemię, wdusił go w słomę czubkiem buta.

- Świat jest popierdzielony siostrzyczko - powiedział. - Dlaczego w ogóle ludzie cokolwiek robią?

Popołudniami, kiedy ojciec już zjechał z trasy, pracował z Patty Jo nad skokami, podczas gdy moja siostra pracowała z Sheilą. Nawet ze złamaną nogą ojciec ożywiał się, kiedy dawał lekcje, sunął obok albo podskakiwał na środku areny.

Nona miała swobodniejsze podejście. Siadała na ogrodzeniu, paląc papierosy, i patrzyła znudzona, podczas gdy Sheila i Cap ćwiczyli przed nią showmanship. Nigdy nie przejęła inicjatywy, nigdy nie demonstrowała ani w ogóle nie posunęła się do dotknięcia Capa choćby palcem. Ale Sheila zdawała się tego nie zauważać. Patrzyła szeroko otwartymi oczyma wypełnionymi szacunkiem i zapisywała w pamięci każdą najmniejszą uwagę, którą Nona rzuciła. Zaczęła zwijać blond włosy w niechlujny kok, a kiedy nie pracowała, stawała z biodrem wysuniętym do przodu, naśladowując Nonę.

- Zobacz, jak on odchyła uszy - powiedziała Nona do Sheili. - Nie zwraca na ciebie uwagi. - I Sheila kiwała głową z czcią, cmokając, by zwrócić uwagę Capa na siebie.

Po każdej lekcji Sheila stała ze mną w stajni, powtarzając wszystko, co powiedziała moja siostra.

- Cap jest wrażliwy - mówiła. - Musi poczuć wyzwanie, żeby mu sprostać. Ja się skupiałam na tym, jak go zmusić, żeby zrobił to, co chcę, kiedy tak naprawdę musiałam myśleć o nas jako zespole, musiałam myśleć o tym, czego on potrzebuje ode mnie. Czy to nie jest najmądrzejsza rzecz, jaką w życiu słyszałaś?

- Pewnie - przyznałam.

Do ostatnich zawodów zostało kilka dni, a ja wciąż nie jeździłam na Darling tak, jak tamtego dnia na arenie. Za każdym razem kiedy próbowałam, mój ojciec krzychał, a Jerry stał i patrzył, podczas gdy Darling potykała się, niekontrolowana, pode mną. Próbowałam wmówić sobie, że to drobiazg, próbowałam przypomnieć sobie, że to nie ma znaczenia, że bez względu na to, co się stanie na ostatnich zawodach, nadal będę miała swój skórzany plecak i swoje drogie ciuchy, nadal mam lśniące włosy i całą drużynę cheerleaderek jako towarzystwo do lunchu. Ale na placu patrzyłam w bok i widziałam twarz Jerry'ego i mój obraz w jego oczach - zajmowałam łazienkę. Nie umiałam jeździć na koniu.

- Twoja siostra jest absolutnie niewiarygodna - ciągnęła Sheila.

- Ona patrzy i od razu rozumie. Widzi to wszystko tak jasno. Robię, co ona mówi, i to działa.

Na arenie Patty Jo zatrzymała Toy Boya, a mój ojciec stanął obok niej i głaszcząc palcami jej kolano, mówił coś do niej. Ona słuchała go, pochylając głowę, jej ręka sunęła po nodze do jego ręki.

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak to jest mieć taką siostrę jak Nona

- rozpływała się Sheila z różową twarzą, kiedy zapinała zamki derki Capa na jego brzuchu, a potem prowadziła go do boksu. - W życiu nie znałam nikogo fajniejszego.

Na arenie palce Patty dotykały palców mojego ojca, potem wsuwały się na jego rękę, dłoń dociskała dłoń.

- Możesz ją sobie wziąć - powiedziałam, a Sheila przystanęła, wychylając do mnie biodro.

-Co?

- Jest twoja - dodałam. - Mój ojciec też. Całe moje życie, możesz je sobie wziąć.

- Alice - powiedziała Sheila, a jej głos stał się nagle słabutki i nerwowy. - Nie szalej.

- Naprawdę. Już ich nie używam.

Na ostatnich zawodach roku wszyscy gapili się na moją siostrę, wytykając ją, kiwając głowami i szepcząc do siebie. „Proszę, proszę”- mówili bezgłośnie. - „A niech mnie”.

Nona stała obok Jerry'ego, udając, że ich nie zauważa. Przed showmanshipem dała kilka ostatnich wskazówek Sheili, potem obeszła ogrodzenie, żeby stanąć tuż za nią, szepcząc instrukcje, kiedy sędzia odsuwał się na tyle daleko, że nie słyszał. Pani Altman siedziała z Modliszkami wysoko na trybunach, a kiedy Sheila zajęła pierwsze miejsce, niemal spadła, tak mocno wiwatowała. Sheila wyszła z placu konkursowego i wybuchnęła płaczem, rzucając się mojej siostrze na szyję.

- Jesteś czarodziejką! - rozpląwała się. - Boginią! Cudotwórczy-nią!

Nona zeszytniała, ale poklepała Sheilę po plecach.

- Dobra - powiedziała.

W czasie klasy skoków Patty Jo zajęła pierwsze miejsce i powtórzyła ten pokaz z moim ojcem, kiedy wyszła z placu, całując go w oba policzki.

- Zmieniłeś moje życie - wyszeptła. - Przysięgam na Boga, nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była tak całkowicie szczęśliwa jak w tej chwili.

Na mnie nikt nie zwracał uwagi, dopóki nie wyszłam z przyczepy ubrana do reiningu. Nona podniosła na mnie wzrok.

- To moje ciuchy - powiedziała.

Tego ranka przechadzałam się obok przyczepy, kiedy mój ojciec ładował Yellow Capa i Darling.

- Nie chcę, żebyś się w ogóle przejmowała - powiedział. - To adrenalina ci wszystko załatwia. Jestem pewien. Staniesz przed tłumem i będzie tak jak ostatnim razem.

Ale to nie była adrenalina. Niemożliwe. Bo adrenalina działała wtedy, kiedy jeździłam na Darling w domu - płynęła w moich żyłach jak rzeka ognia. I niczego nie zmieniała. W domu byłam zdolna przekonać siebie, że zawody nie mają znaczenia, że mam jeszcze szkołę i pana Delmara, i cheerleaderki, którzy tylko czekają, by się ze mną zaprzyjaźnić. Ale teraz, kiedy byłam na zawodach, kiedy patrzyłam na Darling i na trybuny pełne obcych i pościgowców, i klientów, i rodziców uczniów Buda Pope'a, kolana mi zmiękły, a nogi zaczęły drżeć.

Próbowałam wymyślić, jak mogę się z tego wykręcić. Mogę udawać, że jestem chora, mogę sobie skaleczyć rękę kopystką, mogę

spaść z trybun - co pewnie spowoduje tylko złamanie nogi, a nie śmierć.

Nona była spokojna, przyglądała mi się w swoich starych ciuchach, omawiając z Sheilą jej rutynę jeździecką. Ale przed reinin-giem podeszła do mnie, wepchnęła ręce do kieszeni i wbiła wzrok w ziemię.

- Mogę ci zrobić włosy - zaproponowała.

Siadłam między jej nogami, kiedy mnie czesała. Ściągnęła je do tyłu i upięła, wygładzając palcami splątania.

- Proszę - powiedziała, kiedy skończyła. - Wyglądasz świetnie.

- Są za luźne.

- Mają być. Kiedy się na końcu zatrzymasz, zarzuć trochę głową, oni nawet nie zauważą. Włosy ci spadną i będzie wyglądać, jakbyś się zatrzymała tak ostro, że rozplątał ci się warkocz. Zaufaj mi, oni uwielbiają takie pierdoły.

Moje włosy nie będą miały znaczenia. Nona nie widziała mnie na Darling, nie widziała, jak beznadziejnie wyglądamy na placu. Ale Jerry widział i poszedł za mną, kiedy prowadziłam Darling na arenę. Mój ojciec opierał się o ogrodzenie z Patty Jo, nie zwracając na mnie uwagi, a Jerry położył mi rękę na ramieniu. Wzrok miał poważny, twarz skrzywioną w namyśle i przez chwilę myślałam, że powie mi coś nowego o EMSie, coś, co mu umknęło we wcześniejszej rozmowie. Spiorunowałam go wzrokiem, gotowa się wściec.

- Tu nie chodzi o kontrolę - szepnął. - Chodzi o koncentrację. Zsunął rękę po moim ramieniu, aż dotknął palcami mojego biodra.

- Tutaj masz być mocna - powiedział, a potem pogładził się ręką po swoim biodrze, rysując ramkę w przestrzeni pomiędzy kroczeniem a pępkiem. - Cały strach wsadź tutaj. Spychaj to w dół, aż poczujesz węzeł, zimną, twardą pięść zaciskającą się na twoich flakach.

Jerry zacisnął szczękę, ściągnął brwi i wgniół mi pięść w brzuch. Potem wyciągnął rękę i opuszkami palców dotknął środka mojego czoła.

- A tutaj - dodał - ma być pusto. - Czułam dotyk jego chłodnej i suchej skóry. Zamknęłam oczy, próbując wyłączyć myśli. - Patrz pomiędzy jej uszy, nigdzie indziej. Nie myśl. Nie czuj. Niech w twojej głowie będzie pusto jak na letnim niebie. Dobra?

No i proszę - Jerry przedstawił dokładny opis tego, jak zrobiłam to za pierwszym razem. Wyjaśnił dokładnie sposób, w jaki czułam jazdę na poprzednich zawodach i w jaki wygrałam.

- Dobra - powiedziałam, a on wyciągnął rękę i pomógł mi wsiąść na konia.

- Ona sama wszystko zrobi - dodał. - Ty masz się tylko na niej utrzymać.

I miał rację. Brama się otworzyła, a ja siedziałam na grzbiecie Darling, wpychając każdy spazm strachu w głąb swojego brzucha, aż się ubił i stwardniał, a mój umysł wypełnił się zimną pustką. Po raz drugi przemknęłyśmy przez arenę, sunąc przez spiny, wzbijając kłęby pyłu przy zmianie nogi. Na koniec Darling przysiadła pode mną, zatrzymując się z galopu. Zarzuciłam lekko głowę, a moje włosy rozsypały się na plecy. Tłum wydał jedno ciche, oniemiałe westchnienie. Na balustradzie moja siostra wiwatowała i krzyczała obok mojego ojca. Patty Jo przesyłała mi całusa, a Modliszki tańczyły na swoich miejscach.

Wyszliśmy z areny, ojciec wziął wodze Darling, a ja zsunęłam się na ziemię.

- A nie mówiłem? - spytał Nonę, chwytając mnie za ramiona. - A nie mówiłem?

Nona zarzuciła mi ręce na szyję, tańcząc dokoła i podskakując w górę i w dół.

- Jezu Chryste, kurwa mać - dyszała. - Może to jednak kwestia genów!

Sheila z matką i Modliszki zebrały się wokół nas, poklepując mnie po plecach, całując w policzki, podczas gdy ziemia dokoła mnie stawała w miejscu.

- Nie wiem, jak ona to robi - powiedział im ojciec. - Przysięgam na Boga, że nie mam pojęcia.

Przez całe to wiwatowanie, zachłystywanie się i gratulacyjne uściski wciąż czułam ściskanie w środku, potężną, otwartą nicość dzwoniącą w uszach. Każda inna osoba rozdziawiłaby usta ze zdziwienia, pytałaby, jak to zrobiłam, jakim to cudownym talentem zostałam obdarzona przy narodzinach. I chociaż stałam pośród nich, a oni mnie poklepywali i całowali, i mówili, że nikt by tego nie zrobił lepiej, ja nie

mogłam skorzystać z ich doskonałej, donośnej radości, nie mogłam nic sobie nie robić z ich pytań i pochwał, nie mogłam dostarczyć żadnych wyjaśnień. Ponieważ za nimi stał Jerry, nie patrząc na mnie, nie mówiąc nic.

Po zawodach Patty zabrała całą naszą gromadę na obiad. W restauracji zestawiono cztery stoliki, żeby nas wszystkich usadzić. Ja zajęłam miejsce pomiędzy ojcem a Patty Jo, ich ramiona dotykały moich, głowy wychylały się do przodu, by uśmiechnąć się do siebie zdawkowo i tajemniczo. Kiedy reszta towarzystwa była zajęta przeglądaniem menu i zamawianiem drinków, ojciec sięgnął za moimi plecami i pociągnął za luźną nitkę u kołnierzyka koszuli Patty. Jego przedramię spoczęło na moim karku, sunąc po moich włosach. Patty zarumieniała się za menu, jej powieki zmrużyły się, kiedy palce ojca musnęły delikatną linię jej szczęki. To był moment, króciutka chwila, zanim kelnerka zwróciła się do Patty Jo, a ręka ojca opadła z jej twarzy i spoczęła na moim ramieniu. Ojciec uściśnął mnie lekko, tak jakby cały czas to właśnie miał zamiar zrobić.

Kiedy podniosłam wzrok, Jerry przyglądał się nam z drugiej strony stołu. Skuliłam ramiona pod ramieniem ojca, starając się, żeby ten uścisk wyglądał naturalnie, jakby ojciec obejmował mnie cały czas, jakby w tym, że kładzie mi rękę na ramieniu, nie było nic krępującego ani szczególnego.

Ale na ustach Jerry'ego pojawił się półuśmiech. „Płynna jazda” - powiedział bezgłośnie. Kilka dni wcześniej syknęłabym, ale teraz poczułam, że pod wpływem tej pochwały ciepły rumieniec rozchodzi się po mojej szyi.

„Dzięki” - odpowiedziałam bezgłośnie, ojciec znowu zajął się swoim menu, zdejmując ze mnie ramię.

W czasie obiadu Sheila przypięła niebieską wstęgę na przedzie koszuli, tak że zwisała jak krawat, a pani Altman zamówiła szampana dla wszystkich. Przynieśli kieliszki, w tym dla Sheili i dla mnie. Wznosiliśmy toast za lato, za sezon zawodów, za powodź. Za Patty Jo, Sheilę i za mnie, za ojca i za naszą stajnię - najlepszą stajnię w mieście.

W domu odstawiliśmy konie, a ojciec sunął po domu na kulach, mrużąc coś pod nosem. Ale Nona i Jerry ociągali się na dworze,

a ja zostałam z nimi. W głowie mi się trochę kręciło, czułam lekkość od prędkości, zwycięstwa, szampana, i chwiałam się na obcasach, podążając za nimi przez stajnię. Nona przyłożyła mi do twarzy moją niebieską wstęgę.

- Pasuje ci do oczu - powiedziała, a potem zatoczyła się i chwyciła się moich ramion. - Przepraszam - zachichotała. - Jestem trochę pijana.

Jerry podszedł do mnie od tyłu i jednym ruchem podniósł mnie do góry, wciągnął mnie sobie na ramiona bez wysiłku, tak samo jak podnosił beły siana. Nona pochyliła się do przodu, zaśmiała, a Jerry wywijał kółka, galopując przez stajnię i drąc ziemię w kierunku Nony jak dziki koń. Chwyciłam go za włosy, śmiejąc się i krzycząc, kiedy on gonił moją siostrę w ciemnościach.

Na round penie źrebak Ginger kłusował tam i z powrotem z postawionymi uszami i zadartym ogonem, witając Darling, która zarżała do niego z drugiej strony drogi. Nona oparła się o ogrodzenie, łapiąc oddech. Jerry zdjął mnie z ramion, odstawił obok siostry i całą trójką usiedliśmy na ogrodzeniu, patrząc, jak młody przechadza się w świetle księżyca.

- To urodziwy koń - powiedział Jerry, a Nona się uśmiechnęła.

- Jest wierną kopią naszego ostatniego ogiera - powiedziała.

- Jak ma na imię? - spytał Jerry, a ja zakryłam twarz dłońmi, wciąż oszołomiona po gonitwie.

- Richard - odparłam, a moja siostra wybuchnęła śmiechem.

- Strasznie! - krzyknęła.

- Royal Red Richard - uzupełniłam, a Nona oparła się o mnie, chichocząc w moje włosy, podczas gdy Jerry kręcił głową.

- To najbardziej gówniane imię dla konia, jakie w życiu słyszałem - powiedział.

- A słyszałem sporo gównianych imion.

- Nie mogę uwierzyć, że tata zdecydował się na nowy model - powiedziała Nona. - Nie znosił Barta.

- Jak go nazywacie? - spytał Jerry, a ja wzruszyłam ramionami.

- To ogier - odparłam. - W ogóle go nie nazywamy.

- Ten mały będzie wypasionym koniem, jak dorośnie - oznajmił Jerry. - Patrzcie na jego głowę - stałam między nimi, opierając się o ramię Nony. - Ale musi mieć lepsze imię.

W świetle księżyca źrebak Ginger przekłusował przez wybieg, prężąc załążki mięśni i tętniąc kopytkami.

- Jest śliczny - powiedziałam, dostrzegając to, co Jack musiał widzieć jak na dłoni: siłę, moc, doskonały łuk szyi.

- Jest gwiazdą rocka - przyznała Nona, a Jerry pochylił się do przodu, uśmiechając się do niej szeroko.

- King - powiedział.

Nie było w tej chwili nic oficjalnego, niczego nie zapisano, nie podpisano ani nie opieczętowano. Ale nie miało to znaczenia. Jerry wypowiedział te słowa i one już zostały. Nie mając pewnie takiego zamiaru, Jerry nadał mu imię. I do końca swego życia King będzie należał do Jerry'ego.

Tamtej nocy w moim śnie deszcz uderzał cicho o okno, w górze lśniło srebrne niebo, jak jezioro zawieszone w powietrzu. Szłam ciemnymi korytarzami przesiąkniętego snami domu, bosą po puszystej wykładzinie, minęłam pokój matki i gościnny, w którym spał mój ojciec, oddzielony od żony wodnistymi ścianami zalanyymi potokami połyskujących kropel deszczu.

W tym śnie dotarłam do pokoju Nony. Drzwi były otwarte, światło włączone. Jej łóżko kołysało się jak tratwa na oceanie, przechylając się i dryfując po podłodze sypialni, dotykając ścian, a potem odpływając na drugą stronę. Nona siedziała na nim po turecku, liżąc babeczkę z różową polewą, a Jerry spał obok niej, nagim ramieniem obejmując jej gołe udo. Nie czekając na zaproszenie, weszłam do łóżka i Nona uskoczyła na krawędź, zapraszając mnie na środek. Czulałam dotyk miękkiej i ciepłej pościeli, a Jerry przesunął się, przez sen, wyciągnął przede mnie ramię, by dotknąć doskonale białej kostki mojej siostry. Oparłam głowę o jej ramię, jej włosy pachniały jak lukier, a skóra była gładka i lekka w dotyku. Łóżko pływało po pokoju, odbijając się od ścian, a moje ciało rozmiękło na materacu, głowa zapadła w słodko pachnącą stertę ich poduszek.

- Jestem taka zmęczona - wyszeptałam do Nony, a ona zlizwała różową polewę z palców, zanim dotknęła moich włosów.

- Powinnaś zasnąć - powiedziała. Przysunęła się do mnie i podniosła nad nami narzuty, odcinając nas od światła. W ciemności mojego snu ona i Jerry sięgnęli do siebie przede mnie, dotykając się nogami pomiędzy moimi nogami, wplątując palce w moje włosy. Ich

ramiona wplątywały się w moje, aż wszyscy troje skłębiliśmy się jak ludzki gąszcz, tak że nie umiałam powiedzieć, gdzie kończę się ja, a oni zaczynają.

rozdział dwunasty

Po zamknięciu sezonu konkursowego podejście Nony do lekcji Sheili się zmieniło. Na ogół siadła sobie jednego ze Staruszków i wraz z Sheilą jechała podjazdem, na drogę, i dalej, wlokąc się w powolnym spacerze. Nona powiedziała, że jazda na Staruszkę po drodze nie liczy się tak naprawdę jako jazda - że nadal jest na emeryturze. Powiedziała, że to dobre ćwiczenie dla Sheili, chociaż nie mówiła tego z najmniejszym nawet przekonaniem. A mój ojciec wzruszył ramionami na zgodę, i już tylko ćwiczył z Patty Jo na arenie.

Każdego popołudnia Nona i Sheila wędrowały wiejskimi drogami na swoich koniach. Czasami znikaly na godzinę. Czasami na trzy. Kiedyś wróciły z nareczem dzikich szparagów, które zebrały nad kanałem. Innym razem wróciły z shake'ami mlecznymi.

- Jezu - powiedziała Nona, opierając się łokciami o słupek, kiedy Sheila prowadziła Capa do stajni po jednej ze swoich lekcji. - Jej życie.

- Co z jej życiem? - spytałam.

- Była w Egipcie - wyjaśniła Nona. - Wiedziałaś o tym? No wiesz, kurwa, w Egipcie!

- Jej tata jest profesorem. Jeżdżą patrzeć na gwiazdy.

- To musi być fajne - powiedziała Nona.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nona przez ostatni rok podróżowała, jeździła w miejsca, w których ja nigdy nie byłam, widziała rzeczy, których ja nie widziałam.

- Pewnie tak - odparłam.

- Dla takich ludzi życie jest takie łatwe - ciągnęła moja siostra. - A oni nawet o tym nie wiedzą.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć jej o przyjaciółkach Sheili, tych, które kazały jej jeść samej i przekazywały wszystkim w klasie liściki, żeby z nią nie rozmawiali. Ale patrzyłam, jak twarz Nony ściąga się w namyśle, i uznałam, że tym nie zdołam jej przekonać.

- Ty byłaś w bardzo wielu miejscach - przypomniałam jej.
- Nigdy nie pojedę do Egiptu, Alice - powiedziała.
- Skąd wiesz. Życie jest długie.
- Wiem. Dobra? Wiem i już.

Zastanowiłam się nad własnym życiem, wyobraziłam sobie, jakie będzie: ósma klasa, szkoła średnia, a potem długi, zamglony tunel, który może prowadzić donikąd, drogą w nicość. Moje życie jeszcze się nie ukształtowało, wciąż stanowiło bezkresną zagadkę. Jak można było wiedzieć cokolwiek?

- Ile musi płacić matka tej dziewczyny, żebyś z nią połączyła? - zapytał Jerry a Nona posłała mu ponure spojrzenie.

- Wystarczy na twoją kolację - odparła.

Jerry zacisnął zęby i zmrużył oczy, ale Sheila wyłoniła się w podskokach zza rogu stajni, oni zaś odwrócili się od siebie, przybierając obojętny wyraz twarzy.

Cały świat wydawał się zachowywać lepiej, kiedy Sheila się pojawiała. Zupełnie jakby wszyscy rozumieli, że ona jest świeża, nietknięta. Nikt nie chciał pierwszy jej pokalać.

- O czym rozmawiacie? - spytała Sheila i wystawiła biodro, stając obok mojej siostry niczym jej cień.

- O problemach tego świata - odrzekł Jerry, a Nona pacnęła go w głowę.

Jerry i Nona tacy byli wobec siebie - szorstcy i brutalni. Obserwowałam ich całe dni, jak sobie docinają i warczą na siebie, gromiąc się wzrokiem.

- Twoja siostra i jej mąż to najszłodsza rzecz, jaką w życiu widziałam - powiedziała do mnie Bitsy, a reszta Modliszek zebrała się dokoła.

- Nie wiem, czy między nimi jest tak dobrze - powiedziałam, a one wybuchnęły śmiechem.

- Och - powiedziała Patty Jo - taka właśnie jest młoda miłość.
- Jaka? - spytałam.
- Sprzeczki, utarczki i właśnie to wszystko napięcie seksualne - wyjaśniła Jaycee.

- Zgadza się - dodała Bitsy. - Można powiedzieć, że aż z nich bucha.

Wieczorem, kiedy konie były nakarmione, a Modliszki się rozjeżdżały, ojciec szedł do domu, a Nona przestawiała radio w stajni ze stacji klasycznej na starocie. Siadała z Jerryem na składanych krzesłach, palili papierosy i pili piwo z lodówki w siodłami. W ciągu dnia byli dla siebie obcy. Ale wieczorem, w stajni, z muzyką skrzypiącą z głośników i nocnymi odgłosami koni niosącymi się przez stajnię, moja siostra i Jerry wydawali się zadowoleni ze swojego towarzystwa. Odpreżali się, a ich głosy stawały się lekkie od śmiechu.

Odrobiwszy lekcje, szłam sobie do stajni i siadałam obok nich, podkradając łyeczki piwa z ich butelek i słuchając świerszczy. W ciągu dnia Jerry rzadko odzywał się do kogokolwiek. Wieczorem gadałyśmy z siostrą, a on słuchał.

- No to kto o mnie pytał? - spytała Nona, ja zaś przesunęłam ręką po stole, podkradając piwo.

- Nie wiem - odparłam. - Chyba parę osób.

- Dokładnie. - Uśmiechała się, policzki jej poróżwiały. - Nazwiska i szczegóły.

- Jerry poruszył się na krześle i zwilżył dolną wargę językiem, patrząc na nią.

- Pytała o ciebie Valerie Hayes - odpowiedziałam. - Mówiła, że twój wyjazd wywołał skandal.

Nona uśmiechnęła się szeroko i klasnęła w dłonie.

- Skandal - powtórzyła i mrugnęła do Jerry'ego. - Ho ho, nieźle. Kąciki ust Jerry'ego uniosły się trochę, a ja zapragnęłam opowiedzieć coś jeszcze.

- Dokładnie powiedziała „zajebisty skandal” - dodałam. Nona odrzuciła głowę, śmiejąc się do sufitu. Znowu sięgnęłam po jej piwo i żadne z nich nie drgnęło, żeby mnie powstrzymać.

- To przekomiczne - powiedziała Nona. - Kto jeszcze?

Nie przychodził mi do głowy nikt inny, kogo obie znałyśmy, nikt taki, że Nona uwierzyłaby, że ze mną rozmawiał.

- Ruby pytała - powiedziałam w końcu - kiedy byli tu z Jackiem. Dolna warga Nony wydeła się w udawanym dąsie.

- Co? Żaden chłopak o mnie nie pytał?

Jerry spojrzął jej prosto w oczy, zwisając niedbale w krześle i wyciągając przed siebie obcasy swoich kowbojskich butów, tak że zadudniły

na betonowej podłodze. Nona zachichotała. Nie byłam pewna, co się dzieje, ale nagle rozmowa wyparowała w szarawe nocne powietrze i żadne z nich nie patrzyło na mnie.

Jerry podniósł rękę, obrócił ją dłonią do góry, zagiął palec i kiwnął nim na moją siostrę. Wstała, kącki jej ust wygięły się w uśmiech, kiedy podeszła do niego. Przez chwilę patrzyli tylko na siebie, potem Nona postawiła krok do przodu i stanęła nad Jerrym okraciem. On objął ją w pasie i opuszczył się na kolana. Palcami przesunął po jej talii, aż dłonie spoczęły na tylnych kieszeniach i przyciągnęły ją. Opuściła głowę, by go pocałować, a jej żółte włosy opadły do przodu, zamykając się jak kurtyna, zostawiając mnie z drugiej strony.

- Wiedział pan, że Elvis Presley miał bliźniaka? - zapytałam.

- Jessego Garona - odparł pan Delmar. - Urodził się martwy. Wydawało się wprost niemożliwe, że zarówno Jerry, jak i pan

Delmar znają taki szczegół. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, ich życie rozciągało się w przeciwnych kierunkach.

- Skąd pan to wie? - spytałam.

- Powszechna wiedza o kulturze - rzekł. - A ty? Zastanawiałam się, czy opowiedzieć o Jerrym, o mojej siostrze, o tym

jak wrócili i mieszkali w naszym domu i prawdopodobnie właśnie w tej chwili uprawiali seks. Ale on myślał, że mój ojciec jest profesorem, a szwagier studiuje medycynę. Nie wiedziałam, jak powiedzieć o Jerrym i jego wiedzy o Elvisie, nie demaskując swojego kłamstwa.

- Z tego samego powodu - odparłam.

- Nie przyszłoby mi do głowy, że jesteś taką fanką Elvise.

- No cóż - powiedziałam ostrożnie - on był taką wielką gwiazdą.

- Największą. Pierwszym wielkim amerykańskim symbolem seksu.

Pomyślałam o Elvisie, o jego nazelowany-ch czarnych włosach i kiwających się biodrach, białych skarpetkach i lśniące gitarze. Chyba wszystko się sprowadzało do seksu.

- Dużo razy uprawiał pan seks? - zapytałam, a na drugim końcu linii pan Delmar zakrztusił się drinkiem.

- Nie jestem pewien - odrzekł, kiedy doszedł do siebie. - Co znaczy „dużo“?

- Nie wiem. Ile razy pan to robił?
- Razy? Pytasz, ile razy?
- No to z iloma osobami?
- Dżentelmen nie rozmawia na takie tematy, Alice.
- A pan jest dżentelmenem? - spytałam.
- W pewnym zakresie - odparł. - Tak wystarczy?
- No dobra - skapitulowałam. - Ile miał pan lat za pierwszym razem?
- Alice, przez ciebie się rumienię. -Ile?
- Dość późno straciłem cnotę.
- Piętnaście?
- Jezu Chryste - parsknął. - Ja jestem z Michigan!
- Osiemnaście?
- Mniej więcej.
- Dziewiętnaście?
- Dwadzieścia - skapitulował. - Zadowolona?

W szkole mówili nam o seksie, o zachodzeniu w ciążę i zarażaniu się AIDS. „Nie uprawiajcie seksu”. Na zajęciach z wychowania seksualnego pani od zajęć z gospodarstwa domowego wyjaśniła, gdzie mamy jajowody i że w momencie narodzin miałyśmy już w sobie wszystkie nasze jajeczka.

- Ja będę uprawiać seks dopiero po ślubie - zadeklarowała Janice Reardon po lekcji, podczas gdy ludzie odwracali wzrok, żeby nie musieć jej słuchać. - Chcę się dostać do dobrego college'u.

-A co to ma ze sobą wspólnego? - zapytałam, zanim sobie przypomniałam własną zasadę, że nie wdaję się w rozmowy z Janice Reardon.

- Kiedy dziewczyna zaczyna uprawiać seks, ma słabsze oceny z matematyki - odpowiedziała Janice porozumiewawczo.

- To idiotyczne.

- Robiono badania, Alice Winston. To dobrze udokumentowane. Całą tę rozmowę powtórzyłam cheerleaderkom przy lunchu, a one

pochyliły się do przodu, chichocząc w swoje corn dogi¹. Kelly i Rachel miały chłopaków w ósmej klasie i chociaż nie poszły z nimi na całość, wiedziały o takich rzeczach, jak malinki i petting. Kiedy już Rachel

opanovała śmiech, zademonstrowała całemu naszemu stolikowi, jak należycie obciągnąć, a za rekwizyt posłużył jej corn dog. Najważniejsze, wyjaśniła, to otworzyć gardło i zasłonić zęby wargami - nie chcecie go przecież ugryźć. Patrzyłam wraz z resztą cheerleaderek, one klaskały i gwizdały. Ale nie byłam do końca przekonana, że to jakikolwiek dowód. Obciąganie nie było uprawianiem seksu w ścisłym tego słowa znaczeniu, a jeśli nawet, to większość cheerleaderek robiła niższy kurs z matematyki, ucząc się jeszcze ułamków i dzielenia przez liczby wielocyfrowe. Poważne uszkodzenia mózgu pewnie by nie wpłynęły negatywnie na ich oceny.

- Ile ona miała lat? - spytałam pana Delmara. - Dziewczyna?

- Tyle samo.

- I dla niej to też był pierwszy raz?

- Tak powiedziała.

- A myśli pan, że mówiła prawdę?

- Wtedy tak myślałem.

- Ale teraz pan tak nie myśli?

- Już nie wiem, w co wierzyć - powiedział.

- Dlaczego miałyby kłamać w takiej sprawie? - spytałam, a on zaciągnął się zapalonym papierosem.

- Nie wiem. Dlaczego ludzie w ogóle kłamią?

Kiedy byłam w drugiej klasie, powiedziałam nauczycielce, że moja mama zginęła w wypadku na łódce. To nie było jakieś najlepsze kłamstwo. Nawet nie mieliśmy łódki, a gdybyśmy mieli, mieszkaliśmy na pustyni - niewiele tu było sposobności do wypadków żeglarskiej natury. Ale moja nauczycielka była młoda i niedoświadczona w pracy z dziećmi. Poruszył ją mój ciężki los. Przez ponad tydzień, nim poznała prawdę, zadała sobie wiele trudu, by wynagrodzić mi fakt, że moja matka nie żyje. Dała mi dodatkową złotą gwiazdkę na sprawdzianie ortograficznym, a w czasie przerw zaplatała mi warkocz. W czasie czytania bajek trzymała mnie na kolanach. Tylko mnie jedynej spośród wszystkich uczniów w klasie mama zginęła w wypadku na łodzi - stałam się ulubienicą nauczycielki.

Ale Desert Valley było niewielkim miastem i nie trwało długo, nim nauczycielka dowiedziała się, że moja mama nie umarła. Zadzwoiła

do nas do domu i rozmawiała z moim ojcem, który powiedział jej, że mam żywą wyobraźnię, że ostatnio oglądałam biografię Natalie Wood w telewizji i prawdopodobnie ona mną wstrząsnęła.

To wyjaśnienie ani trochę nie wystarczyło. W szkole nauczycielka powiedziała mi, że prawda jest święta, że człowiek jest tyle wart, ile jest warte jego słowo. I że powinnam wiedzieć, jak źle mają inni ludzie. Na świecie są dzieci, których nie stać na szkołę ani na jedzenie i ubrania, dzieci, których rodzice są chorzy albo umierają, albo wsadzają ręczki swoich dzieci do pieca, kiedy są na nie źli. W Chinach, powiedziała mi nauczycielka, noworodki płci żeńskiej topi się w wiadrach tylko dlatego, że są dziewczynkami, a nie chłopcami. Kiedy na świecie dzieje się tyle straszliwych rzeczy, dlaczego udawałam, że moja mama, która jest zdrowa, żywa i w tej chwili siedzi w domu, nie żyje? Zmyślanie takich historii przynosi pecha, to zła karma. Kusiłam los. Co rzucisz za siebie, znajdziesz przed sobą.

Powiedziałam więc, że mi przykro, że nie wiedziałam o noworodkach topionych w wiadrach, nigdy nie słyszałam o rodzicach, którzy wsadzają swoim dzieciom ręczki do gorących piecyków. Nie chciałam kusić losu. Ale moje słowa nie miały znaczenia. Nauczycielka nigdy już nie zaplotła mi włosów ani nie wzięła mnie na kolana. Kiedy zdobywałam maksymalną liczbę punktów na teście ortograficznym, dostawałam jedną złotą gwiazdkę, tak jak wszyscy. Wtedy wydawała mi się najpiękniejszą kobietą na świecie, miała rude włosy i zielone oczy i skórę w piegi koloru dyni. Dałabym wszystko, żeby tylko na mnie spojrzała, żeby spędziła choć sekundę na rozmowie ze mną, żeby się uśmiechnęła, kiedy nasze oczy się spotkają. Ale to były sprawy, których nigdy nie zdołałabym wyjaśnić. I koniec końców nie miały one znaczenia. Kiedy teraz o niej myślę, nie pamiętam nawet, jak miała na imię.

- To dopiero była beka - powiedziała Nona, śmiejąc się do swojego piwa, kiedy opowiedziała Jerry'emu tę historię. - Tata odebrał telefon i powiedział „Na łodzi?!“.

Jerry pokręcił głową, patrząc na mnie ze swojego krzesła.

- To zupełnie pojebane - powiedział, a ja się oblałam rumieńcem. - Dlaczego tak powiedziałaś?

Zagryzłam wargę, próbując wymyślić odpowiedź. „Moja mama naprawdę nie żyje. Moja mama nigdy nie żyła“. Ale tego zupełnie nie

mogłam powiedzieć, tego nikt absolutnie nie chciałby usłyszeć. Zanim wymyśliłam coś lepszego, Nona rozwiąła pytanie papierosem.

- Alice zawsze wygadywała pomyłone rzeczy - powiedziała do Jerry'ego. - Nawet kiedy była malusienka, nigdy nie wiedzieliśmy, co wyjdzie z jej ust.

Jerry podniósł na mnie wzrok, próbując to zrozumieć. Ja uciekłam wzrokiem, zajmując się zdrapywaniem etykiety z butelki Nony.

- To dlatego, że ona jest taka bystra - wyjaśniła moja siostra, głosem bełkoczącym od alkoholu. - Świat nigdy nie nadał za jej rozumem.

Zaczęłam się uśmiechać na ten komplement, ale kiedy podniosłam wzrok, Jerry nadal na mnie patrzył.

- Może to dlatego, że była dzieckiem - powiedział. - Może próbowała jakoś wyjaśnić, dlaczego jej mama nigdy nie wychodzi na dwór.

Nona wyprostowała się na tę sugestię, wyciągnęła nogi i podniosła głowę. Siedziałam naprzeciwko niej i czułam, jak moje ciało sztywnieje. Wolno nam było rozmawiać o matce, o tym, jak wygaduje dziwne rzeczy i trzyma się z dala od świata, jakby miała na niego alergię. Ale nikt inny nie mógł tego robić. Milczenie pomiędzy Jerrym a Noną nagle wypełniło się napięciem i ciężarem, a ja rozumiałam, że chociaż są mężem i żoną, Jerry nie został przyjęty do klubu. Nie wolno mu było mówić o naszej matce.

- Nie zawsze tak było - powiedziała w końcu Nona głosem opanowanym i ostrożnym, ważąc słowa w głowie, zanim je wypowiedziała. - Kiedyś była normalna. A w każdym razie normalniejsza niż teraz.

Patrzyłam na jej twarz, próbując ocenić, czy to prawda, czy też ona zwyczajnie wymyśla, tak żeby Jerry nie doszedł do wniosku, że ma żonę z wariactwem we krwi. Ale oczy Nony były zamglone wspomnieniem, jej myśli odbiegły tak daleko, że nie mogłam ich rozszyfrować.

- Kiedyś moi rodzice wychodzili razem - ciągnęła. - Jak już zrobili wszystko, wsiadali do ciężarówki i po prostu jeździli po dolinie, słuchając radia, patrząc w gwiazdy, znajdując parcele, które chcieli kupić, kiedy będą bogaci. Wracali do domu cali uśmieśni, rozmawiając o domu, który sami zbudują, stajni, która będzie tylko ich. On ją trzymał za rękę, a ona opierała mu głowę na ramieniu, i tańczyli razem po salonie, a on wskazywał wszystkie rzeczy, które zostawia: stare meble, poplamioną wykładzinę, dom, który zbudował Jack.

Nona przerwała, upiła piwa, oczy się jej zaszklily, głos zadrzał.

- Pamiętasz, jak oni tańczyli razem? - zapytała, a kiedy na mnie spojrzała, jej twarz się zmieniła. Zdała sobie sprawę, że nie pamiętam, nie mogę pamiętać. Wszystko dobre pomiędzy moimi rodzicami istniało, zanim się urodziłam. Odwróciła wzrok, zmartwiona, że chełpiła się przede mną swoimi szczęśliwymi wspomnieniami.

Ale ja nie chciałam jej żalu.

- To już nieważne - powiedziałam. - Oni i tak się już nie kochają. Piwo przechyliło się w rękę Nony. Patrzyłam na szyjkę, czekając, aż się wyleje.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytała. Wpatrywałam się w nią.

- On nawet na nią nie patrzy - powiedziałam. - Nawet nie rozmawiają.

Nona pokręciła głową.

- Ty nie rozumiesz - powiedziała, a ja wstałam.

- Wyjechałaś. - W gardle zbierał mi się napięty i zduszony głos, głos obcego.

- Niektóre rzeczy się nie zmieniają - powiedziała Nona. - Ani w ciągu roku, ani w ciągu dziesięciu lat.

- A co się potem stało? - spytał Jerry, a Nona spojrzała na niego.

- Zrobiło się ciężko - wyszeptała. - Wszystko się rozleciało.

- To się nie dzieje w ciągu jednej nocy - powiedział Jerry, a Nona pokręciła głową. On nie rozumiał.

- Mieliśmy kiedyś kota - powiedziała, biorąc kolejny powolny łyk piwa. - Poszarpanego stajennego kota, Hama.

- Nie pamiętam - powiedziałam. Nasze stajenne koty zawsze były po prostu kotami. Nie nadawaliśmy im imion.

- Ciebie jeszcze nie było na świecie - powiedziała Nona i spojrzała na mnie spode łba, zdenerwowana, że jej przerwałam. - Ja miałam chyba pięć lat. Nieważne. Ten kot zachorował. Cały wychudł i był oślizgły od śmierci, miał szkliste oczy i wrzody na całym ciele.

- Umierał - powiedział Jerry, a Nona skinęła głową.

- Nie mieliśmy pieniędzy. W ogóle, żadnych. Więc tata po prostu wziął go za kark jedną ręką, w drugą rękę wziął drag i poszedł z nim za stajnię. Usłyszałyśmy jedno głośnie trzaśnięcie i było po wszystkim. Nie było już Hama.

-1 odbiło wam? - zapytał Jerry.

- Mnie nie - odparła Nona. - Nie tak bardzo. Ale mamie. - Wtedy jej oczy podniosły się i spoczęły na mnie, a pomiędzy nami przeszedł dreszcz, zrozumienie. Nasza matka.

- Co zrobiła? - spytał Jerry. Oczy Nony patrzyły chwilę na mnie, a potem wróciły do Jerry'ego.

- Po prostu zwariowała. Krzyczała i płakała, i rzucała się na niego, wbijała mu paznokcie w klatkę piersiową i w twarz, łkała, jak bardzo go nienawidzi. - Znowu spojrzała na mnie. - Rozleciała się.

- A potem upadła - powiedziałam. -1 nigdy nie wstała.

- To był pierwszy raz? - spytałam.

Ramiona Nony opadły, jej twarz stała się płaska i pusta.

- Tak myślę - powiedziała. - Jeśli tak się działo wcześniej, to ja nie pamiętam.

Jerry wstał, podszedł do Nony po papierosy.

- Chyba nie nadążam - powiedział.

Nona odrzuciła włosy do tyłu, otrząsając się ze wspomnień.

- To nieważne - powiedziała i wstała, krzesając zapałkę, by zapalić Jerry'emu papierosa. - To tylko stare głupie rzeczy, które nikogo już nie obchodzą.

W dniu, kiedy ojcu zdjęto gips, wrócił do domu i podkasał nogawkę, by pokazać nam nogę. Była chuda jak makaron, mięśnie zanikły, skóra wisiała wokół kości goleni i kolana. Wcześniej miał nadzieję, że kiedy zdejmą mu gips i odda kule, wszystko będzie tak, jakby złamania nigdy nie było. Ale bez gipsu i kul ojciec wydawał się mniej mobilny niż wcześniej. Żeby przejść przez stajnię, musiał przystawać, opierając się o ścianę i schylając, żeby pomasować kolano i biodro. Nie mógł kucać, żeby czyścić koniom kopyta albo naprawiać zrzucone podkowy. Nie mógł utrzymać równowagi, żeby nosić bele z sianem albo pchać taczkę. Nie mógł wsiąść na konia.

- Do głowy by mi nie przyszło, że będę facetem, który musi chodzić o lasce - powiedział do Patty Jo, kiedy ta zasugerowała, że laska by mu pomogła.

- Nie na zawsze - odparła, ściskając mu ramię znacząco. - Tylko na jakiś czas. Dopóki mięśnie nie wrócą do normy.

I tak jak kiedyś zabrała mnie do miasta po nowe ubrania, tak teraz zabrała mojego ojca, żeby kupił laskę - jakąś zwyczajną i nierzucającą się w oczy. Elegancką. Wyjechali razem samochodem Patty i nie było ich bardzo długo. Patty wybrała laskę z drewna bukowego, o przeszywanej skórzanej ręczce.

- Jak ci się podoba? - spytał ojciec, kiedy przyłapałam go, jak wpatruje się w swoje odbicie w szklanych drzwiach naszej gablotki. Moim zdaniem, laska zupełnie nie pasowała do spranych dżinsów i poplamionego tiszerta.

- Patty uważa, że dzięki tej lasce wyglądam dostojnie - dodał.

- Wygląda na drogą - powiedziałam.

- Była droga.

- Możesz ją pobrudzić? - zapytałam, a ojciec odwrócił się bokiem, by oszacować swój profil.

- Pewnie nie powinienem.

- To na co ci ona? Jeśli nie możesz jej używać w stajni? Ojciec wzruszył ramionami.

- I tak nie mam tam za dużo roboty - odparł. - Jerry wszystkiego pilnuje.

Mój ojciec robił w stajni coraz mniej, a Jerry robił coraz więcej, sprząając boksy i ćwicząc konie sportowe. Nigdy nie narzekał ani się nie skarżył na dodatkową robotę. Jak miał czas wolny, stawał się nerwowy, więc kiedy już wykonał całą pracę, przechadzał się po stajni, szukając jeszcze czegoś do zrobienia. Uporządkował siodlar-nię i zamiótł podłogę stajni, przenosząc pojemniki z ziarnem, żeby posprzątać za nimi.

- Siedź spokojnie - warknęła na niego Nona. - Wkurwia mnie, jak się tak kręcisz.

Ale Jerry nie mógł usiedzieć spokojnie. A w dniu, kiedy wyniósł kantar na round pen Kinga, podążyłam za nim i wspiełam się na ogrodzenie, żeby popatrzeć. King uciekł przed Jerryem, kiedy ten otworzył bramę. Jerry stał w środku całkowicie nieruchomo, z rękoma opuszczonymi i kantarem zwisającym z palców. Na drugim wybiegu stała Darling z uszami sterczącymi do przodu i patrzyła.

Minęły minuty i King postawił kilka niepewnych kroków w stronę Jerry'ego, z rozdętymi chrapami obwąchiwał powietrze wokół niego. Jego kopyta stukotały po piasku, aż stanął na odległość ramienia, ale Jerry nadal nie wykonywał żadnego ruchu. King wyciągnął szyję, nosem niemal dotknął ramienia Jerry'ego, a jego oddech poruszył kołnierzykiem koszuli. Jerry powoli podniósł rękę, dłonią do góry, trzymając ją tak, żeby King mógł poczuć jego zapach. Żrebak odskoczył na bok, a potem podkradł się z powrotem. Siedziałam na ogrodzeniu, wstrzymując oddech, a ten taniec trwał, naprzód, w tył, aż się dotknęli.

Jerry powoli pogłaskał szyję i pierś Kinga. Za każdym razem, kiedy koń się odsuwał, Jerry nieruchomiał, czekając, aż mały z powrotem podejdzie. W końcu podniósł kantar, dotknął nim pyska Kinga, żeby ten go powąchał. Następnie powoli wycofał się z round pena, zamykając za sobą bramę.

- Co robisz? - zapytałam.

- Ktoś musi zacząć z nim pracować, zanim się zrobi za duży - odparł. - Inaczej się zmarnuje.

- Tacie się to nie spodoba - powiedziałam, a Jerry wpatrywał się we mnie chwileczkę, zanim odwrócił się i ruszył do stajni.

- No to chyba dobrze, że go tu nie ma.

Sheila Altman miała przesłuchania do gminnego przedstawienia *Dźwięków muzyki* i dostała rolę Luizy - tej rozpuszczonej, jak mi wyjaśniła. Powiedziała, że próby będą intensywne. Dopóki nie przygotują przedstawienia, nie będzie miała tyle czasu na stajnię. Spodziewałam się, że ojciec zaprotestuje, powie jej, jak ważne jest ciągle trenowanie, ćwiczenie na przyszły rok. Ale on wydawał się ucieszony tymi wiadomościami, powiedział jej, że powinna zrobić sobie trochę wolnego, teraz kiedy sezon się skończył, i że oczywiście wszyscy przyjedziemy obejrzyć przedstawienie.

Mając tyle wolnego czasu, ojciec spędzał go więcej z Patty, pracując nad jej skokami albo wyjeżdżając z nią popołudniami, w poszukiwaniu rzędu⁹ i wyposażenia. Nigdy nie wrócili z nowym rzędem ani wyposażeniem, ale jeśli ktokolwiek oprócz mnie to zauważył, to nie wspomniał o tym.

Ponieważ lekcje Sheili już nie zajmowały Nonie czasu, szwendała się ona po stajni, plotkując z Modliszkami albo patrząc, jak Jerry wyrzuca ściółkę z boksów,

⁹ Rząd - kompletny osprzęt umożliwiający jazdę konną wierzchem (przyp. red.).

nie proponując mu pomocy. Każdego popołudnia Jerry pracował z Kingiem na round penie. Po kilku dniach mógł mu założyć kantar, potem go poprowadzić. Wreszcie przyczepił mu lonżę i stał na środku zagrody, cmokając i poklepując się końcem lonży po udzie, żeby King truchtał dokoła niego.

- Jedyna znacząca część tego konia to fiut - powiedziała Nona do Jerry'ego. - Marnujesz czas.

- To daj mi go marnować w spokoju - odparł.

Nona zmrużyła oczy, gotowa do walki. Ale Jerry już zajmował się tylko Kingiem. Moja siostra odczekała chwilę, a potem się wycofała. Oparta o płot zagrody Darling, paliła papierosa i patrzyła spode łba na Jerry'ego.

- Nie zaszkodzi przyuczyć go do kantara - powiedziałam do siostry.

- No wiesz, do stanówki i tak trzeba będzie mu go założyć.

Nona pokręciła głową, a ja weszłam na ogrodzenie obok niej.

- Nie kumam, czemu Jerry to robi - parsknęła. - To nie jego sprawa. Co go to w ogóle obchodzi?

W ciągu dnia moja siostra i jej mąż coraz częściej sprawiali wrażenie ludzi, którzy nie mogą na siebie patrzeć. Ale wieczorem, kiedy pili razem w stajni, łagodnieli, ocierali się o siebie, dotykali się kolanami, splatali swoje palce. Tańczyli i całowali się. A potem wchodzili po schodach do sypialni Nony i zamykali za sobą drzwi, znikając w ciemnych odgłosach, które dobiegały z ich pokoju do mojego, w drżących jękach i szaleńczych westchnieniach. Tak naprawdę nie darzyli się nienawiścią

- tak właśnie powiedziały mi Modliszki. To była tylko energia seksualna. To była młoda miłość.

- Może on się nudzi - powiedziałam. - Może tęskni za rodeo. Nona odrzuciła głowę na bok, patrząc mi prosto w oczy.

- Może powinnaś pilnować własnego nosa.

Nigdy wcześniej tak nie było, żeby Nona złościła się na wszystko i na wszystkich. Zawsze były kłótnie. Przed jej wyjazdem ciągle z ojcem na siebie wrzeszczeli, tupali i nie odzywali się do siebie całymi dniami. Ale zawsze był w tym element gry, łagodności. Kiedyś uważałam, że po prostu należą do ludzi, których bawi dobra walka od czasu do czasu. Teraz jednak było inaczej. Coś wewnątrz Nony

zdawało się wzdragać na wszystko dokoła niej, w tym na Jerry'ego. I na mnie.

Darling wystawiła łeb za ogrodzenie, a ja podrapałam ją za uchem. Patrzyłam, jak przymyka oczy, a jej chrapy drżą z rozkoszy. Ze stajni dobiegł nas wybuch piskliwego śmiechu Modliszek, a Nona opuściła podbródek na pierś, masując skronie kciukami.

- Te dziwki doprowadzają mnie do szaleństwa - powiedziała. - Nie mogę uwierzyć, że tata tak sprostytuował naszą stajnię, żeby wpuścić tu obcych.

- Musieliśmy zapłacić rachunki - zauważyłam.

- Nie - powiedziała i kiwnęła głową na Darling. - On musiał kupić zabawkę.

Już chciałam powiedzieć, że kiedy ojciec kupował Darling, nie wiedział, że złamie nogę, że wciąż była niewielka szansa, że Sheila zaskoczy i stanie się supergwiazdą, która uratuje nas od nędzy. Ale oczy Nony były zamglone, więc powiedziałam:

- Bez względu na powód, potrzebowaliśmy pieniędzy.

- Ale ci ludzie - powiedziała Nona. - Nie cierpię takich ludzi.

- Jakich ludzi? - spytałam, a Nona zapaliła kolejnego papierosa.

- Tępych bogaczy.

- Tacy ludzie zawsze tu byli - zauważyłam.

- Tak - przyznała. - Dobra, no to teraz mnie to wkurza. Te wszystkie kobiety - one mają wszystko. I wszystko jest największym pieprzonym dramatem. Buuuu, nie mogą w tym roku jechać do Grecji. Auuu, czyjś mąż zdradza żonę.

- Kto? - zapytałam. - Czyj mąż?

Nona obejrzała się na mnie, jakby zapomniała, że tu jestem.

- Pan Altman. - Uśmiechnęła się pogardliwie. - Tatuś Sheili. Zeszłam z ogrodu i stanęłam przed nią.

- Skąd o tym wiesz?

- Patty Jo mi powiedziała. Widziała go z jakąś inną kobietą. To dlatego on tu nigdy nie przyjeżdża.

- Pani Altman wie?

- A kogo to obchodzi? - spytała. - Dla niej to nie koniec świata. Nadal będzie miała pieniądze, dom i swoją doskonale śliczną buzię.

- Może ona go kocha - powiedziałam.

Nona zaciągnęła się powoli, potem rzuciła niedopałek na ziemię.

- Może - przyznała. - Ale tacy ludzie mają tyle innych rzeczy. Miłość aż tyle dla nich nie znaczy.

Cofnęłam się o krok, próbując przetworzyć tę informację.

- Słuchaj - powiedziała Nona, zeskakując z ogrodzenia. - Patty Jo lubi robić za duszę towarzystwa. Pewnie to wszystko w ogóle zmyśliła. Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

Na drugim round penie King truchtał swobodnie dokoła Jerry'ego, a Nona stanęła, wystawiając szczękę na bok i patrzyła.

- Tyle lat tata nienawidził Barta - powiedziała. - A potem co robi? Leci i zastępuje go Juniorem.

- To Jack - powiedziałam, a ona parsknęła.

- No jasne.

- Robił też inne rzeczy. Naprawił klimatyzację i pompę wodną. Zapłacił za rejestrację wszystkich nowych źrebaków.

Nona wystawiła jedno biodro, taksując mnie wzrokiem.

- To Jack zatłukł Ace'a prawie na śmierć - powiedziała. Moje ciało wywróciło się na lewą stronę, a z całej ziemi wyszło powietrze.

- Kłamiesz - powiedziałam.

- Nie jesteś już małą dziewczynką. - Głos Nony był lodowaty. - Jesteś na tyle duża, by znać prawdę. To się stało, kiedy tata był dzieckiem. Jack próbował przybić Ace'owi podkowę, a on go kopnął. Jack tylko warknął i dał mu wycisk, kiedy on był przywiązany do słupka. Niemal go zabił.

Chciałam sobie zatkać uszy. Ale było za późno. Słowa wypełniły moją głowę jak dym, wewnątrz mojej czaszki tworzyły się obrazy: Jack, jego kwadratowe piegowate ręce. Młotek, gładki i ciężki. Ace, jeszcze młody i doskonały, kulący się pod ciosami, kopyta drapiące beton, krew i włosy, głębokie, wilgotne odgłosy poddającego się ciała. Łamiące się kości. I mój ojciec, dziecko, patrzy, co się dzieje.

Zemdliło mnie, w gardle zrobiło mi się zimno i ślisko. Nie musiałam w to wierzyć. Ta informacja... nie musiałam jej przyjąć. Historie z upływem czasu się wypaczały. Wspomnienia zmieniały kształt. Moja siostra nie była świadkiem niczego, o czym mówiła. To nie musiała być prawda, jeśli nie będę chciała, żeby była. Ale została. To wydarzenie zostało w mojej głowie, blizna na czymś, co jeszcze przed chwilą było bez skazy. Zostanie tam na zawsze.

Spojrzałam w oczy mojej siostry, takie spokojne, puste, i nienawidziłam jej.

- Ty nic nie wiesz - syknęłam. - Wracasz tu i udajesz, że rozumiesz. Ale nic nie widziałaś. Jack i Ruby przyjechali i kiedy tu byli, wszystko było lepsze. Wszyscy razem jedliśmy obiady. Nikt nawet nie mógł się zbliżyć do żrebaków, więc Jack poszedł tam i już, zakochały się w nim.

- To wszystko może być prawda - powiedziała Nona. - Jack w czasie wizyty mógł się zachowywać jak anioł. Ale jest porywczy jak mało kto i niemal zabił Ace'a. - Wskazała na Darling. - I teraz tata przez całe życie ćwiczy bogate mężatki i ofiary losu. Jak myślisz, co by na to powiedział Fred?

- Fred?

- No wiesz, ten psychoanalityk, który uważał, że wszystko ma ukryte znaczenie.

Moja siostra nigdy nie była dobrą uczennicą, nie zapamiętywała nazwisk, dat ani wzorów. Nie uczyła się ani nie ćwiczyła, ani jej to w ogóle nie obchodziło. Nie czytała książek. Czulałam się, jakbym się wznosiła ponad swoją głowę, prostowałam się, wydłużałam, aż wpatrywałam się w nią z wysoka. Aż była tylko punktem. Nona mogła sobie być lepszym jeźdźcem. Ale ja zawsze będę tą mądrzejszą.

- Freud! - powiedziałam.

- Och, wybacz, Alice - warknęła. - Nie jestem uczonym. Jak może pamiętasz, rzuciłam szkołę, żeby wyjść za męża.

- Tak - powiedziałam. - I jak ci się układa?

Twarz Nony się skurczyła, usta wykrzywiły, oczy wypełniły się łzami. I nagle zobaczyłam, że moja siostra wygląda staro. Skóra wokół jej oczu była cienka i zmęczona, linie policzków się wyostriły.

- Nie było cię tu - wyszeptalam w końcu. - Jack i Ruby to dobrzy ludzie.

Nona pochyliła ramiona.

- Nie - powiedziała. - To zwyczajni ludzie. Tacy jak ty i ja, i jak wszyscy inni.

W stajni Modliszki oporządzały swoje konie, a Patty Jo stała z nimi, szczotkując grzywę Toy Boya i czekając, aż mój ojciec zjedzie z trasy.

- Cześć - powiedziałam.

- No cześć - powiedziała Patty i przyłożyła rękę do mojego policzka. - Jesteś rozpalona, Alice. Co się stało?

Wszystko się stało, cały świat się rozleciał i wszyscy na tym świecie. Wszystko było źle. Czułam na twarzy chłodną i gładką dłoń Patty, a kiedy podniosłam wzrok i spojrzałam jej w oczy, poczułam, że zbiera mi się na płacz. Ręce mi się trzęsły, stopy zdrewniały w drogich butach, które mi kupiła.

Patty Jo powiedziała mojej siostrze o panu Altmanie, więc pewnie powiedziała też pozostałym Modliszkom. Pewnie powiedziała mojemu ojcu. Jeśli moja siostra wiedziała, że Jack tłukł Ace'a młotkiem, to moja matka też wiedziała. Pomyślałam o niej, jak siedzi w ciemnej sypialni, i zastanowiłam się, ile widzi przez swoje okienko, ile słyszała przez cienkie jak papier ściany. Przez wszystkie te lata myślałam, że ją chronimy, zasłaniamy przed brzydkim zewnętrznym światem. Ale teraz spojrzałam w doskonale wyrzeźbioną twarz Patty Jo, jej zakręcone rzęsy i proste białe zęby, i zastanowiłam się, jak mogło mi w ogóle kiedyś przyjść do głowy, że kogokolwiek przed czymkolwiek chronię. Świat był, jaki był. Nie było tajemnic. Były tylko rzeczy, o których się nie mówiło.

- Wiem, co cię uszczęśliwi - wyszeptała Patty i kiwnęła na mnie palcem, prowadząc mnie do siodłami. W środku włączyła światło i pchnięciem biodra zatrzasknęła drzwi.

- Przywiozłam ci pewien drobiazg.

Podawała mi plastikową torbę na zakupy. Zajrzałam do środka i zobaczyłam zieloną zamszową kurtkę, którą miała na sobie tego dnia, gdy przywiozła Toy Boya do stajni.

- Wiesz, co to jest? - zapytała, a ja kiwnęłam głową.

- To twoje.

- Miałam to na sobie, kiedy cię poznałam - powiedziała. Wyciągnęła kurtkę z torby i strząsnęła ją, by wygładzić zagniecenia.

- Chcesz ją oddać? - spytałam.

- Chcę, żebyś ty ją miała.

Stałam z rękoma sztywnymi u boków, kiedy Patty wsuwała na mnie kurtkę i poprawiała kołnierz.

- Wyglądasz pięknie - wyszeptała. - W tym kolorze twoje oczy wyglądają jak światełka.

Wzięłam tę kurtkę, bo tak było łatwiej, niż jej nie przyjąć, bo pasowała mi do oczu, ponieważ w niej wyglądałam pięknie. Wzięłam ją, bo pachniała jak Patty - pieniędzmi i możliwościami - jak wszystkie miejsca, w których nigdy nie byłam, i wszystkie rzeczy, których nigdy nie widziałam. Wzięłam ją, ponieważ świat był taki, jaki był, i nieprzyjmowanie zamszowej kurtki, która tak doskonale do mnie pasowała, niczego by nie zmieniło.

rozdział trzynasty

Sheila Altman powiedziała, że *Dźwięki muzyki* będą najlepszym przedstawieniem, jakie widziała Desert Valley. W tych nielicznych dniach, kiedy przychodziła do stajni trenować z Capem, ćwiczyła przede mną piosenki, tańczyła po stajni z ramionami w górze i wykonywała wymachy nóg, śpiewając o pasterzu kóz i szarotce. Zaplotła swoje blade włosy w warkocz i zwinęła je na głowie.

- Jak ci się podoba? - zapytała mnie. - Wyglądam jak mała austriacka dziewczynka?

- Wyglądasz jak ty - odparłam. - W warkoczach. Sheila zachmurzyła się i palcami rozplotła włosy.

- Kostiumy pomogą - powiedziała. - Mój szyje mama, więc na pewno będzie dobry.

Oczywiście, że pani Altman umiała szyć, jakże by inaczej. Pewnie przygotowywała jej każdy kostium na Halloween i na każdy konkurs szkolny. Oczywiście, że kostium Sheili będzie dobry. I gdyby kiedyś ktoś w to zwątpił, całe mnóstwo zdjęć rozwiałoby jego wątpliwości.

- Tata też pomaga? - spytałam.

- Nie - odparła. - Mógłby pewnie pomóc z dekoracjami. Ale on ma bardzo dużo pracy.

Przyglądałam się jej twarzy, próbując ocenić, czy w niej jest jakiś cień podejrzania, jakaś wątpliwość. Nona powiedziała mi, że pan Altman ma dziewczynę, i wydawać by się mogło, że skoro wie o tym ktoś, kto go nie widział na oczy, to jego własna córka powinna coś przeczuwać. Ale Sheila wirowała na palcach wokół Capa, z zarumienioną twarzą i migoczącymi oczami śpiewała: „Me - to »ja«, »mi« albo »mnie«, Far - to gdzieś daleko stąd...”

- Musi dużo pracować - powiedziałam.

Sheila zatrzymała się w połowie obrotu, skrzywiła usta w złości

- Przez ciebie się zgubiłam - burknęła.

- Przepraszam.

- Mój tata, owszem, dużo pracuje - powiedziała. - Dlatego właśnie mam ładny dom i ładne ubrania, i takiego pięknego konia jak Cap. Tata zarabia mnóstwo pieniędzy.

Spojrzałam jej w oczy badawczo. Skoro Patty Jo wiedziała, skąd pochodzą pieniądze Altmanów, na pewno wiedziała też to ich córka. Ale Sheila tylko na mnie patrzyła, czekając, aż ta rozmowa się skończy, tak żeby mogła wrócić do śpiewania. Sheila mieszkała pod jednym dachem ze swoją mamą i ze swoim tatą, widziała, jak się wobec siebie zachowują, słyszała, o czym rozmawiają. I w ogóle ich nie znała.

- Tak sobie tylko myślałam, że to musi być ciężkie, że on jest taki zajęty pracą - powiedziałam wreszcie, a Sheila przechyliła głowę.

- Cóż, nie jest.

Kiwnęłam głową, a Sheila znowu wspięła się na palce.

- Słuchaj - odchrząknęła. - „Zacznijmy od początku, to dobre miejsce, by zacząć...”

Sheila wyznała mi kiedyś, że jestem jej najlepszą przyjaciółką. Najlepsi przyjaciele, pomyślałam, mówią sobie wszystko. Tak właśnie sobie wyobrażałam swoją przyjaźń z Polly Cain - szepczemy sobie we dwie na korytarzach, w klasie przekazujemy sobie liściki, dzielimy się wszystkim o sobie, aż każda historia, każdy strach i nadzieja mieszają się ze sobą i każda z nas jest po prostu przedłużeniem tej drugiej, dwa ciała dzielące jedną pamięć, jedno życie. I w tamtym życiu, którego nie było, na pewno powiedziałabym swojej najlepszej przyjaciółce, że ludzie gadają o jej ojcu, że ludzie mówią, że ma dziewczynę, że zdradza swoją żonę.

Ale kiedy patrzyłam, jak Sheila Altman tańczy po stajni, wiedziałam, że nie łączy nas taka przyjaźń, jaką mogłabym mieć z Polly. Nie byłam jej winna żadnego powtarzania plotek. Poza tym samo to, że Patty Jo powiedziała coś mojej siostrze, jeszcze nie znaczyło, że to prawda. W świecie istniejącym po drugiej stronie doliny, gdzie trawniki były zielone, a chodniki obsadzone kwiatami, co pan Altman robił, a czego nie robił w wolnym czasie, nie miało najmniejszego

znaczenia. Liczyło się tylko to, że Sheila miała wszystko. A pani Altman miała Sheilę.

- Nie mogę uwierzyć, że ta Sheila jest taka rozpuszczona - powiedziała Nona wieczorem. Mój ojciec i Patty Jo przed kilkoma godzinami pojechali kupować strzemiona i jeszcze nie wrócili. Niebo było ciemne, stajnia spokojna, a Nona i Jerry pili piwo w stajni, kiwając głowami do muzyki, która płynęła z głośników nad nami.

- E tam - powiedział Jerry, zaciągając się papierosem. - Wydaje się całkiem miła.

Nona spiorunowała go wzrokiem.

- Skąd wiesz? Nie gadałeś z nią nawet przez minutę.

- Nie mam powodu z nią gadać - odparł Jerry. - To nie mnie płacą za to, że ją uczę jeździć. - W jego głosie zabrzmiał znaczący ton, a wzrok wpił się w moją siostrę. Nie musiał mówić, że Nona tylko jeździła sobie z Sheilą, że niczego jej nie uczyła. Jego oczy już to powiedziały.

- No więc gdybyś rozmawiał z nią choć chwilę - zaczęła Nona, ignorując spojrzenie, które posłał jej z drugiej strony karcianego stolika - wiedziałbyś, że ona przez całe swoje życie dostaje wszystko, czego chce. Powiedz mu, Alice.

Patrzyłam to na jedno, to na drugie, czując temperaturę ich złości, niewypowiedziane słowa nabrzmiewające w powietrzu jak dym. Jerry powoli napił się piwa i zapalił następnego papierosa.

- Nie wiesz nic o tej dziewczynce - powiedział do Nony. - Jesteś zazdrosna, bo teraz Yellow Cap należy do niej.

Widziałam, jak serce Nony przyspiesza pod jej tiszertem, jak żyły się jej napinają na szyi.

- Może jej mama i tata za niego zapłacili - wyszeptała - ale on jest mój.

Czekałam, aż Jerry jej ustąpi, aż przeprosi, wyprostuje sprawy między nimi. Ale on wytrzymał jej spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

- Nieprawda.

Nona zdusiła niedopałek na podłodze stajni i wstała.

- Jeśli mi nie wierzysz - wyszeptała - pokażę ci.

Przeszła przez stajnię do boksu Capa i cmoknęła na niego. Jego złoty łeb pojawił się w wejściu, a Nona otworzyła drzwi.

- No chodź - powiedziała.

- Nie! - krzyknęłam, ale ona się nie zatrzymała.

Cap postawił kilka kroków do przodu, aż całkiem wolny stał pośrodku stajni. Podskoczyłam, blokując wyjście, tak żeby nie mógł uciec. Jerry stanął obok mnie, wyciągając ramiona na boki.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - zapytał.

Nona stanęła przy głowie Capa i podniosła ramiona, jakby trzymała niewidzialny uwiąż. Kiedy ruszyła, koń szedł obok niej, dostosowując do niej krok.

- Whoa! - powiedziała cicho moja siostra, a Cap stanął. Nona wydała ciche dźwięki językiem, szepcząc słowa, których nie słyszałam. Cap zastrzygł uszami, a jego ciało się poruszyło, kiedy przestawiał nogi, ustawiając się idealnie w elementy układu showmanship. Nona cofnęła się o krok, by go nam zaprezentować, a Jerry i ja opuściliśmy ramiona.

- Ta dam! - powiedziała, nagradzając oklaskami swój wyczyn.

- Szalenie imponujące - powiedział Jerry cichym głosem. - Ale teraz odstaw konika na miejsce.

Nona znowu podniosła ręce, jakby trzymała uwiąż, i znowu Yellow Cap podążył za nią. Minęła go, a on zawrócił na pięcie i szedł obok niej przez stajnię i z powrotem do boksu. Kiedy już był w środku, Nona zamknęła drzwi i wyciągnęła do nas ręce. Nie dotknęła go ani razu.

- Słucham - powiedziała spokojnie. - Powtórz no, co jest moje, a co nie.

Jerry padł na krzesło, otwierając nowe piwo.

- Jeśli ten koń jest dla ciebie taki ważny, może nie powinnaś go była zostawiać, żeby sprzedano go obcym.

Twarz Nony się ściągnęła, jej policzki i szyja pociemniały od czerwonych plam.

- Alice, powiedz mu - wyszeptwała. - Powiedz mu, że Cap należy do mnie.

Sheila Altman mogła ćwiczyć do końca życia i nigdy nie byłaby w stanie zrobić tego, co zrobiła moja siostra. Yellow Cap nigdy nie pójdzie za nią ślepo, nigdy nie zatańczy dla niej na rżesach. Ale mój wzrok powędrował w stronę boksu Capa, gdzie na haku wisiał jego ozdobiony monogramem kantar. Jeśli Altmanowie kiedykolwiek wyprowadzą się z miasta, zabiorą Capa ze sobą. Moja siostra nigdy go już nie zobaczy. I nie będzie miało znaczenia, co on dla niej robi, a czego nie.

Moja siostra czekała chwilę, a skoro nic nie powiedziałam, wybuchnęła płaczem. Szloch wstrząsał jej ramionami, usta miała wykrzywione i otwarte. Jerry i ja spojrzeliśmy po sobie, zdumieni nagłym wybuchem emocji.

- Możecie oboje iść w cholerę - czknęła Nona i ruszyła do domu. - W cholerę i nie wracać.

Jerry i ja siedzieliśmy chwilę, niepewni, co się stało.

- To twoja wina - powiedziałam w końcu, podnosząc jedną rękę w przysiędze. - Ona wcześniej taka nie była. Przysięgam na Boga, że nie była.

Jerry opadł na oparcie krzesła.

- Późno się robi - powiedział, nie odrywając wzroku od ściany przed sobą. - Chyba już musisz do łóżka.

Spiorunowałam go wzrokiem, ale to była strata ekspresji. On nawet na mnie nie zerknął.

- Świetnie - powiedziałam i ruszyłam do wyjścia. - Chyba sam pójdziesz dzisiaj w cholerę.

- Słodkich snów - rzucił, a ja ruszyłam gniewnie do domu.

Po tym zajściu Nona i Jerry nie rozmawiali ze sobą kilka dni. Jedli posiłki o różnych porach, stojąc nad zlewem w kuchni albo siedząc samotnie przy stole. Wieczorem Jerry pił sam w stajni, podczas gdy Nona przeglądała szafę, przymierzając ciuchy przed lustrem i wpatrując się tępo w swoje odbicie.

Późną nocą słyszałam kroki Jerry'ego na schodach, jak szedł do łóżka mojej siostry. Po drugiej stronie ściany leżałam, słuchając szelestu jego ubrań, kiedy się rozbierał, łomotu butów, po kolei uderzających o podłogę. Ale nie skrzypiały już sprężyny łóżka, nie dobiegały mnie sapanie ani rozedrgane oddechy. I noc po nocy czekałam, aż jedno z nich ustąpi drugiemu, przeprosi albo wynagrodzi. Ale noc po nocy była tylko cisza.

- Ostatnio zrobiło się tu z lekka chłodnawo - powiedziała do mnie Patty Jo. Pory roku się zmieniały, powietrze było mroźne, zieleń zaczęła znikać z pejzażu. Ale Patty kiwnęła głową w stronę domu i wiedziałam, że nie mówi o pogodzie. Moja siostra paliła papierosa na ganku, a kiedy Jerry wszedł na stopnie, odchyliła się w drugą stronę. Wszedł do środka bez słowa, trzaskając za sobą siatkowymi drzwiami.

- Oni się kłócą - powiedziałam.

- Tak też sobie właśnie pomyślałam.

Mój ojciec przewoził po południu drużynę zapaśniczą szkoły średniej na rozgrywki, a Patty Jo błąkała się po stajni, czekając na niego. Sunęła palcami po ścianach i przystawała, by popieścić konie, kiedy wystawiały łby nad drzwiami boksów. Sheila siedziała po turecku na podłodze, polerując swoje siodło sportowe i nucąc pod nosem. Nie zauważyła, co się dzieje pomiędzy Noną a Jerrym.

- Oni nawet ze sobą nie rozmawiają - powiedziałam do Patty Jo. Westchnęła.

- Tak to się zaczyna.

- Co się tak zaczyna?

Patty oparła się o ścianę stajni, patrząc na czubki swoich czarnych butów.

- Wiesz, co bym zrobiła, Alice, gdybym mogła wszystko zacząć od nowa? Wiesz, czego bym chciała?

Jej głos był cichy i poczułam bezruch dokoła nas, ciężar w słowach, które miała powiedzieć. Zerknęłam na Sheilę, ale jej usta poruszały się bezgłośnie słowami piosenki - „Na razie, czołem, Auf wiedersehn, dobranoc” - Jej umysł krążył po innym świecie.

- Co? - spytałam.

- Jakieś małe mieszkanie, z moimi własnymi rzeczami, gdzieś gdzie bym mogła siedzieć, czytać i robić, co chcę. Chciałabym być sobą, po prostu sobą.

- A co z pani mężem? - zapytałam, a Patty Jo podniosła wzrok.

- Co z nim?

Rozmowa stała się nagle niebezpieczna i niedobra. Wpatrywałam się w oczy Patty Jo, czekając, aż sobie przypomni, kim jestem.

- Nic lubi pani być mężatką?

Wytrzymała spokojnie moje spojrzenie, po czym odpowiedziała cicho i z powagą.

- Małżeństwo to najdroższy bilet donikąd.

- Tak pani tylko mówi.

Jej brwi uniosły się w doskonałe łuki.

- Zobacz, dokąd zawiodło twoją siostrę - powiedziała. - Dokąd zawiodło twojego ojca.

Zimny strach wkradł się do mojego gardła i nagle poczułam się przed nią naga, jakby przejrzała wszystkie moje sekrety, wszystkie kłamstwa, jakie kiedykolwiek wypowiedziałam.

Na podłodze Sheila zdmuchnęła grzywkę z czoła.

- Wszyscy się pobierają - powiedziała.

Oczy Patty Jo nadal skierowane były na mnie, zawzięte i nieustępliwe.

- Małżeństwo to żadne rozwiązanie, Alice. Rozumiesz mnie? To żadne wyjście. Język mi zdrętwiał, usta zamarły. Ale kiwnęłam głową. Tak. Zrozumiałam.

- Niektórzy ludzie uwielbiają żyć w małżeństwie - powiedziała Sheila wszystkimwiedzącym tonem. - Na przykład moi rodzice. Pobrali się piętnaście lat temu i ciągle są totalnie szczęśliwi.

Gdzieś na dnie oczu Patty Jo przeszła burza i widziałam, jak przez jej twarz przemknęła podłość, skurcz obrzydzenia. Położyła jednak dłoń na głowie Sheili i zamknęła oczy.

- No to mają wielkie szczęście, kochanie - powiedziała łagodnie. - I bardzo się z tego cieszę.

Iw

- Chce pan się ożenić? - zapytałam.

- Nie sądzisz, że powinnaś skończyć szkołę, zanim zaczniesz składać takie propozycje? - odparł pan Delmar.

To było to: ta wąska linia, którą przekroczyliśmy w pewnym momencie. Nie wiedziałam, co to znaczy, ale poczułam mrowienie w brzuchu i zarumieniłam się do słuchawki.

- Wie pan, co mam na myśli.

- Tak. Wiem, co masz na myśli.

- No więc chce pan?

- Nie wiem - odparł. - Może kiedyś. - Syk. Papieros. - Kiedyś byłem zaręczony.

Nie udało się.

- Z tą kobietą ze zdjęcia? Tego, którego nie ma pan już na biurku?

- Jakaż jesteś spostrzegawcza - powiedział. - Tak, z nią.

- Dlaczego pan się z nią nie ożenił? Przerwał, by się zaciągnąć.

- Ona kończyła szkołę w Michigan, a ja uczyłem tutaj. Za bardzo się oddaliliśmy.

- Kochał ją pan? - zapytałam, chociaż znałam już odpowiedź, już wiedziałam, że to przez nią głodował i głupiał, że to ona mówiła, że nigdy nie będzie z nikim innym, tylko z nim.

- Tak - odrzekł.

- Co się stało?

- Poznała kogoś innego.

- Kiedy pan był w niej wciąż zakochany? -Tak.

- A kiedy to się skończyło, to zabiło pana?

- Zabiło - powiedział. -1 byłem martwy.

- A potem co się stało?

- Zadzwoił telefon.

W szkole Janice Reardon nie chciała mieć ze mną nic wspólnego od czasu, kiedy odrzuciłam zaproszenie, by siąść z nią w czasie lunchu. Kiedy podeszła więc do mojej ławki po angielskim, myślałam, że próbuje zerknąć na stopień, który dostałam z ostatniego wypracowania. Przyłożyłam kartkę do piersi, żeby schować czerwone „5” w nagłówku, a Janice wzniosła oczy do nieba.

- Nie próbuję od ciebie ściągać, jeśli o to się martwisz.

- Nie o to - mruknęłam i wsadziłam kartkę do swojego segregatora.

- Piątka, co? - spytała Janice, wychylając się, by zajrzeć. - Ja dostałam szóstkę.

- No to brawo - odparłam. - Czego chcesz?

Janice miała na sobie różowe skrzydła wróżki, te same, co na uczcie pościgowców, a tornister zarzuciła na jedno ramię, przez co skrzydła zjechały jej na bok.

- Organizuję seans spirytystyczny - powiedziała. - Wszyscy przychodzą.

- Karen Carpenter też będzie? - spytałam, a Janice zmrużyła oczy.

- Będzie Abigail, Sharon i Colleen - powiedziała. -1 chyba wiesz, kto jeszcze. Polly.

- Pewne pytania wymagają odpowiedzi - powiedziała Janice, podnosząc brwi dla zwiększenia dramatyzmu. - O tamtym dniu.

Dniu, w którym utonęła.

- O tym, co się stało. Spadła czy skoczyła?

Po drugiej stronie sali pan Delmar zmazywał tablicę. Czułam, że jego uwaga kieruje się na nas. Nagły ogień przemknął przez mój umysł. Polly Cain należała do naszego świata, jego i mojego. Gdyby Janice Reardon wypowiedziała przy nim na głos to imię, gdyby ktokolwiek to zrobił, zaklęcie przestałoby działać. Świat by się rozpadł. Ona była moją najlepszą przyjaciółką. To wyłącznie dzięki mnie mógł ją odzyskać.

- Dobra - powiedziałam.

- Dobra co? - spytała Janice.

- Dobra, przyjdę.

To była ciężka próba, oczywiście. Janice Reardon zachowywała się, jakby planowała inwazję w Normandii, ze wszystkimi swoimi listami, datami i przygotowaniami. Okazywało się, że w pewne dni lepiej się kontaktować ze zmarłymi niż w inne - ani chybi chętniej reagują wtedy na wezwania.

- Ty masz przynieść świeże kwiaty - powiedziała Janice kilka dni później. Twarz miała czerwoną i widziałam, że ciśnienie pozycji, którą sobie przydzieliła, przyprawi ją o napad furii.

- Dlaczego? - spytałam.

- Na seansie spirytystycznym muszą być kwiaty.

- To śmieszne.

- Jestem śmiertelnie poważna, Alice Winston - powiedziała. - Jeśli chcesz to zrobić dobrze, musimy mieć świeże kwiaty. - Janice pochyliła się, by wyszeptać mi do ucha, rozglądając się na boki, na wypadek gdyby ktoś chciał sobie zawracać głowę podsłuchiowaniem nas. - One przyciągają duchy.

Nie rozumiałam, jak Janice wyobraża sobie, że znajdzie świeże kwiaty jesienią na pustyni, ale kiedy o tym wspomniałam, odparła, że jestem bystra i mam fantazję, więc na pewno podołam wyzwaniu.

- Muszę jechać do kwiaciarni - powiedziałam do Patty Jo. - Możesz mnie zawieźć?

Zakołysała ramionami i klasnęła w dłonie.

- Co to za okazja?

- Muszę się dzisiaj skontaktować z umarłymi. Twarz Patty zwiotczała, więc się poprawiłam:

- Jutro są urodziny mojej najlepszej koleżanki i chcę jej zanieść kwiaty do szkoły. Zawieziesz mnie?

Patty była zachwycona. Powiedziała, że związki, które dziewczynka ma ze swoimi przyjaciółkami, są najważniejsze w życiu, i że jeśli będę o nie dbać, to nigdy nie pożałuję. Powiedziała, że kupowanie kwiatów to cudowny gest i moja najlepsza przyjaciółka będzie najszczęśliwsza w szkole, kiedy dostanie bukiet. U florysty Patty wskazywała wszystko, co zawierało wypchane zwierzątko albo balon.

- Jak ci się podoba? - pytała, a ja wzruszyłam ramionami. Kwiaty to kwiaty, myślałam. Martwi ludzie pewnie nie są tacy wybredni.

Kiedy zobaczyłam bukiet białych róż zawiniętych w srebrny papier, sięgnęłam do ramienia Patty. Nie wiedziałam o Polly prawie nic, ale wiedziałam, że na pogrzebie jej mama miała białą różę.

- Te - wskazałam.

- Och, kochanie - powiedziała Patty. - Te są piękne. Naprawdę piękne. Ale nie są... no wiesz... zabawne. Nie sądzisz, że coś takiego byłoby lepsze? - wskazała bukiet czerwono-fioletowych kwiatów w kubku z niedźwiadkiem. W dymku o kształcie serca nad głową misia widniał napis „Mi się kochamy po grób”. - A kiedy kwiaty zwiędną - powiedziała Patty - twojej przyjaciółce zostanie ładny kubeczek.

Wróciłam do białych róż.

- Te - powtórzyłam.

I chociaż Patty wydawała się nieprzekonana, sięgnęła po portfel.

- To twoja przyjaciółka - uśmiechnęła się. - Na pewno znasz ją lepiej.

W domu Patty Jo pospieszyła na arenę ćwiczyć skoki przed moim ojcem, a ja popędziłam na górę schować róże do szafy. Kiedy wróciłam na dół, Nona piła z Modliszkami w stajni. Sheila stała z boku z głową opuszczoną i skrzyżowanymi na piersi ramionami.

- Patty powiedziała, że zawiozła cię do kwaciarni - powiedziała bezbarwnym i nadąsanym głosem.

-I?

- Na urodziny twojej najlepszej przyjaciółki.

Na arenie Toy Boy płynął nad przeszkodą, a Modliszki wiwatowały w stajni, gwizdząc przez zęby. Patty Jo stała w strzemionach, machając do nich, a mój ojciec kiwał się na lasce, by klaskać. Ale Sheila nie odrywała ode mnie pytającego wzroku. „Najlepsza” znaczyło „ulubiona” - przyjaciółka, którą lubię bardziej niż ją.

Wzruszyłam ramionami, żeby jej pokazać, że nie ma o czym mówić, a potem poszłam do Modliszek. Sheila stanęła obok mnie, przełykając smutek i udając, że patrzy, jak Patty skacze, tak żeby nie musiała patrzeć na mnie. Tak więc wszyscy dokładnie widzieliśmy, co się stało.

Na placu Toy Boy się potknął. To było nieznaczne, lekkie zacięcie w kroku, ale Patty Jo się przestraszyła, otworzyła oczy i spojrzała prosto na przeszkodę przed sobą. Zawahała się, nie wiedząc, czy go powstrzymać, czy popędzić, w efekcie zaś rękoma ściągnęła wodze, a nogami go ponagliła. Ciało Patty podniosło się do skoku, a Toy Boy opadł, by się zatrzymać. Od drzwi stajni wydawało się to rozgrywać w zwolnionym tempie. Patty wychyliła się do przodu, Toy Boy stanął dęba. Czubek jego łba popędził w stronę jej twarzy. Zderzyły się i rozległ się trzask kości i dźwięk, który brzmiał, jakby półmisek rozbijał się o beton. Sheila krzyknęła nad moim uchem.

Resztę pamiętam w urywkach: obok mnie niczym duch pojawił się Jerry, potem popędził do domu, ojciec, kuśtykając, biegł przez arenę do Patty. Kiedy wyciągał ją spod konia, krew wsiąkała w przód jej koszuli. Zarzuciła mu ramiona na szyję, rozsmarowując krew na jego twarzy i szyi. Lała się z jej policzka na ziemię, w niej zaś nogi Patty żłobiły smugi, kiedy ojciec po części niósł ją, po części ciągnął do stajni.

Patty podniosła rękę do ust i wtedy pojawił się Jerry, chwytając ją za nadgarstek, zanim dotknęła ust.

- Lód - powiedział i podał jej torbę z mrożonym groszkiem, zawiniętą w tiszert mojej siostry.

- O Jezu - wybulgotała Patty. Dziko zatoczyła oczami, stopy się jej ślizgały, tak że Jerry i mój ojciec musieli cały czas ją podtrzymywać, żeby nie upadła. - O Jezu, Jezu.

Słodkawy lepki zapach krwi wypełnił stajnię. Patrząc na Patty, trudno było powiedzieć, skąd dokładnie ta krew płynie. Tryskała, ciemna

i gęsta, sącząc się z jej nosa i kącików oczu, wylewała się z ust i lała po brodzie. Jej twarz wyglądała źle, nos był przesunięty na bok, na środku zgięty pod dziwnym kątem. Kiedy otworzyła usta, zobaczyliśmy potrzaskane kawałki złamanych zębów, ziejące krwawe dziury. Modliszki z trudem łapały powietrze i płakały stłoczone, zasłaniając palcami oczy.

- Co? - wydusiła Patty. Modliszki odwróciły się, płacząc, nie mogąc znieść jej widoku.

- Co?! - krzyknęła i odwróciła do siebie twarz mojego ojca, smarując jego szyję krwią. Jej nos był za wysoko, powieki opuchły tak, że oczy skryły się w szczelinach.

- Szpital - rzucił Jerry do Jaycee. Ona patrzyła na niego z otwartymi ustami. - Samochód. - Chwycił ją za ramię i potrząsnął nią lekko. - Musisz ją zawieźć. - Jaycee zerwała się i pobiegła po kluczyki.

- Już dobrze - powiedział mój ojciec, a Patty zacisnęła ręce na jego karku, smarując mu włosy krwią.

- O Jezu, Jezu.

Sheila, stojąc obok mnie, wychyliła się do przodu i zwymiotowała sobie na ręce.

- Już dobrze - powtórzył ojciec, przesuwając się tak, by podeprzeć Patty.

- Jestem brzydka? - łkała Patty. - O Jezu, będę brzydka? Modliszki dotykały jej ramion, odwracając wzrok od jej twarzy, uciszając ją i pocieszając.

Jaycee zajechała przed stajnię, a mój ojciec posadził Patty na przednim siedzeniu. Bitsy wsiadła do tyłu i zatrzasnęła drzwi na pasie bezpieczeństwa, trzaskając nimi raz za razem, nie sprawdzając, dlaczego nie chcą się zamknąć. Jerry się przechylił, podał jej torbę z mrożonym groszkiem, po czym wsadził zapięcie pasa do środka. Drzwi się zamknęły i samochód odjechał.

Ojciec odwrócił się i pokuśtykał po wąż, po czym zaczął spłukiwać krew i wymioty z podłogi stajni. Konie chodziły i rżały w swoich boksach. Pozostałe Modliszki błąkały się za ojcem, zbierając torebki, podnosząc rzeczy, które zostawiły koleżanki. Cementowa podłoga stajni była mokra i bezbarwna, dowód płynął strumykami za drzwi i formował kałuże na ziemi, wsiąkając w nią i barwiąc ją na czerwono. Jedna po drugiej Modliszki dotykały palcami swoich twarzy, wymacu-

jąc usta i zęby, grzbiet nosa. Powietrze wydawało się słodkie i mdlące, kiedy tamta chwila powracała, przechodząc z jednego umysłu do drugiego.

Wsiadły do swoich samochodów, kierując się do szpitala, bąkając, że zadzwonią, że będą nas zawiadamiać na bieżąco. Nona podeszła do nich.

- Powiedzcie Patty... - zaczęła i zamilkła. Spojrzała na nas, żebyśmy pomogli jej wypełnić tę lukę. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale mój język dotknął czubkiem zębów, wyczuł równość, delikatną kość biegnącą po sklepieniu ust. Ojciec lał wodę z węża, z zaciśniętą szczęką, krwawe ślady zaczęły zasychać i łuszczyły się z jego twarzy i szyi, kiedy splukiwał ręce Sheili pod wodą. Nona nie dokończyła więc swojego zdania. Nie mieliśmy nic do przekazania.

Zanim pani Altman przyjechała po Sheilę, powietrze napięło się od zimna, zapach dymu drzewnego sączył się w niebo. Kiedy tylko pani Altman wysiadła z samochodu, Sheila zaczęła płakać. To był pierwszy dźwięk, jaki wydała. Jerry podszedł do pani Altman i wyjaśnił jej, co się stało z Patty Jo. Mówił prosto, zwięźle, podając surowe, bezbarwne szczegóły. I tak jednak oczy pani Altman otworzyły się szeroko, ręce podniosła do ust i przycisnęła dłonie do warg.

- Mój Boże - wyszeptała.

Kiedy odjechała z Sheilą, siadłam na stopniach ganku, a Nona zajęła miejsce obok mnie. Słońce zaczynało zachodzić i przez wydłużające się cienie stajni patrzyliśmy, jak mój ojciec i Jerry w milczeniu rozsiodlują Toy Boya, a potem wracają na arenę, by zasypać piaskiem bryły krwi, błyski połamanych zębów. Moja pamięć skoczyła jak kamień przez jezioro, wypełniając czaszkę dźwiękiem - dźwiękiem tłuczonego szkła, rozlewającej się krwi i krzyku kobiety: „Będę brzydka?”. Mój żołądek się skręcił, kiedy wyobraziłam sobie, jak moja twarz rozpada się na fragmenty, rozszczepia się jak kawałek drzewa, zniszczona i połamana na zawsze.

Nona potarła wargi palcami, a potem pokręciła głową i wstała.

- Chcesz się stąd wynieść? - zapytała.

- Jasne.

Nie powiedziałyśmy nikomu, że odjeżdżamy. Nona chwyciła torebkę i kluczyki do pick-upa Jerry'ego. Przez jakiś czas po prostu jechałyśmy. Nona paliła przez okno, a ja oparłam się o drzwi pasa-

żera, patrząc, jak otwarta przestrzeń mija w fioletowym zmierzchu. Wydarzenia popołudnia zmieszały mi się w głowie, mroźne, słodkie powietrze kwaciarni, kałuże krwi na podłodze stajni, odgłos rozpadającej się twarzy Patty Jo.

- Okropne, że to się stało - powiedziała w końcu Nona. - Ale przynajmniej przydarzyło się jej.

- Bo jej nie lubisz? - spytałam.

- Bo ona ma pieniądze.

Zastanowiłam się nad tym. Mąż Patty Jo był lekarzem. Ona dostanie wszystko, co najlepsze, wszystko, na co stać medycynę.

- Gdyby coś takiego przydarzyło się tobie albo mnie - powiedziała Nona - wiesz, co by z nami było?

- Byłybyśmy brzydkie.

- Rozjebane - powiedziała.

I w ten sposób powiedziałam sobie, że całe szczęście, całe szczęście, że to się stało Patty, a nie mnie. O nią zadbają, naprawią ją i odbudują. Wszystko można naprawić.

- Myślisz, że Patty Jo wróci do stajni? - zapytałam.

Nona wyrzuciła niedopałek za okno, kierując jedną ręką, by zwolnić drugą.

- Jeśli mózg jej wybiło razem z zębami.

- Ty wróciłaś.

- Ja nie miałam wyboru.

Furgonetka podskoczyła na gruntowej drodze, a u moich stóp strzelba Jerry'ego załomotała pod zwiniętym kocem. Wyciągnęłam nogi i wymacałam lufę palcem od nogi. Niebo ciemniało i ostatni skrawek światła słonecznego zniknął za górami. Tam w stajni Jerry zauważy, że nie ma jego żony i samochodu. Nakarmi konie albo zje obiad nad kuchennym zlewem, i może będzie się martwił. Może pomyśli, że ona tym razem jego zostawia.

- Co się stało? - zapytałam.

- Zabił się jeden dzieciak - odparła. Zamknęłam oczy, czując nierówność drogi pod samochodem, długość strzelby przesuwającej się po mojej stopie. - Jeździł na mustangach, jak Jerry, na tym samym torze. Widywaliśmy go codziennie. I potem umarł.

Przycisnęłam łuk stopy do strzelby, kołysząc but na lufie.

- Ktoś go zabił - wyszeptałam.

- Zleciał - powiedziała Nona. - Uderzył o ziemię i skręcił kark. Umarł, zanim ktokolwiek do niego dobiegł.

Otworzyłam oczy. Ta historia nie miała nic wspólnego z Jerryem, nic wspólnego z Noną, pieniędzmi ani sekretami. - I? - zapytałam.

- No, widywaliśmy go codziennie - powtórzyła. - A potem pewnego dnia on po prostu odszedł. Wiesz, jakie to uczucie?

- Tak.

Papieros Nony zadrżał między jej palcami.

- To mógł być Jerry - wyszeptała.

- Ale nie był.

- Ale mógł być.

- Więc on po prostu zrezygnował? - zapytałam. - Przestraszył się i wycofał? - To nie pasowało do mojego wyobrażenia o Jerryem.

Powieki Nony poczerwieniały, wargi zwilgotniały.

- A gdybym go straciła? - wyszeptała. - Gdyby pewnego dnia umarł i zostałabym sama? - Zerknęła w bok, by spojrzeć mi w oczy. - Nie mogłabym bez niego żyć - powiedziała. - Umarłabym bez niego.

- Ty mu kazałaś zrezygnować - powiedziałam.

- A gdybym go straciła? - powtórzyła. Pomyślałam o milczeniu, o pustce.

- Teraz go tracisz - powiedziałam, a z jej oczu popłynęły łzy.

- Wiem.

Kiedy wróciliśmy do domu, Nona zawróciła na podjeździe i odwróciła się twarzą do mnie.

- Kiedy go poznałam - powiedziała - podszedł do mnie i wiesz, co powiedział?

Pokręciłam głową.

- Powiedział, że jestem wcieleniem Priscilli Presley. - Nona pochyliła głowę, by otrzeć oczy rękawem, a kiedy podniosła wzrok, jej twarz wydawała się łagodniejsza, oczy zagubiły się we wspomnieniu pierwszego spotkania. Po raz pierwszy od powrotu mojej siostry zobaczyłam ją naprawdę szczęśliwą. Nie powiedziałam jej więc, że wcielić się można tylko w martwą osobę. Nie powiedziałam jej, że Priscilla Presley wciąż żyje.

Jeny czekał na moją siostrę na podjeździe i kiedy tylko spojrzała na niego, uśmiech zniknął z jej twarzy szczęśliwe wspomnienie uleciało. Jerry chwycił ją za ramię i potrząsnął nią.

- Gdzieś ty była, do cholery? - zapytał.

Nona się wyszarpnęła, gromiąc go wzrokiem spod połysku swoich włosów.

- U przyjaciółki - powiedziała.

- Której? - Jerry nie ustępował.

- Boże - jęknęła. - Burej. U dziewczyny, którą znałam.

- Okłamujesz mnie - powiedział.

Nona wpadła do stajni, a Jerry ruszył za nią. Zostałam, patrząc, jak się kłóca, i zastanawiając się, dlaczego moja siostra nie powiedziała mu po prostu prawdy: że nie byliśmy nigdzie, z nikim się nie spotkałyśmy. Nie miała powodu kłamać. Jerry znowu ją chwycił za ramię, tym razem delikatnie, ale ona uderzyła go w rękę. Wiedząc, że nie mogę iść za nimi, odwróciłam się i zostawiłam ich, kłócących się o wszystkie te rzeczy, które nie mają znaczenia.

Już miałam wejść do domu, kiedy zobaczyłam mojego ojca na ganku. W atramentowej ciemności ledwie mogłam rozpoznać jego sylwetkę. Laska stała oparta obok niego, siedział, wpatrując się w stajnię, z piwem w jednej ręce i papierosem w drugiej. Przez chwilę myślałam, że patrzy na Nonę i Jerry'ego, ale nawet w ciemności mogłam wyczuć, że zupełnie się nimi nie interesuje.

- Dzwonili ze szpitala? - zapytałam w końcu, a krzesło pod nim skrzypnęło, kiedy pokręcił głową.

W stajni Nona i Jerry krążyli wokół siebie pod lampami, ich głosy wznosiły się w słowach, których nie mogłam rozszyfrować, ciała naprężone i wymierzone niczym broń. Siadłam obok krzesła ojca, przyciągnęłam kolana do piersi i zastanawiałam się, co powiedzieć, co bym chciała usłyszeć, gdybym była na jego miejscu.

- Możesz tam pojechać - powiedziałam. - Do szpitala. Możesz tam pojechać i się z nią zobaczyć.

W ciemnościach ojciec odchrząknął.

- Nie sądzę.

- Nic jej nie będzie - powiedziałam, a ojciec położył mi rękę na głowie. - Jej mąż jest lekarzem.

- Wiem - odparł. - Jest w dobrych rękach.

W stajni Jerry opuścił głowę na znak porażki. Wyciągnął ramię do mojej siostry, ona zastanawiała się chwilę, a potem podeszła do niego i zaczęła swoje palce o jego. Równie szybko, jak wybuchła, kłótnia się skończyła. Ojciec siedział z dłonią na moich włosach i bez słowa patrzyliśmy, jak ich ciała kołyszą się pod stajennymi lampami, tańcząc do muzyki, której z tej odległości nie słyszeliśmy.

Zaczekałam, aż ojciec pójdzie spać, wyciągnęłam róże z szafy i zsunęłam srebrny papier, by na nie popatrzeć. Zwiędły trochę, płatki na krawędziachabrały lekko brązowego koloru. Ale było ciemno. Nikt nie zauważył. Ostrożnie pokonałam schody, wyszłam na zewnątrz i skrzywiłam się, kiedy moje buty zachręściły na żwirze.

Księżyc był schowany za chmurami, a ja szłam ciemną drogą z zimnymi łydźkami róż w rękę i papierem szeleszczącym na wietrze. Kiedy dotarłam do kanału, słyszałam obok siebie wodę, sączącą się przez kraty i uderzającą o trawiasty brzeg. Kanały były teraz niskie i spokojne, z każdym dniem woda opadała coraz bardziej. Ziemia wyschła, a trawa wędła od zimna, które nadchodziło w nocy. Niedługo przyjdzie zima i kanały będą puste po raz drugi w tym roku.

Janice i Sharon pokłóciły się trochę przy wyborze miejsca, w którym powinien się odbyć seans. Sharon uważała, że należałoby się spotkać bliżej szkoły, gdzie znaleziono plecak Polly. Ale Janice chciała się spotkać bliżej mojego domu, gdzie ostatecznie znaleziono ciało. Abigail i Coleen milczały, nie chcąc się opowiadać po żadnej ze stron. Ja więc byłam rozstrzygającą. Poprzedniego dnia podeszły do mnie w czasie lunchu, w połowie przerywając Rachel opowieść o tym, jak ukrywała malinki przed matką za pomocą golfów i chustek.

- Pytanie brzmi - wyjaśniła Janice w napięciu - jak długo człowiek pozostaje w wodzie żywy. To absolutnie konieczne, żeby być blisko miejsca jej śmierci.

Pragnąc jak najszybciej zakończyć rozmowę, poszłam na kompromis. Powiedziałam, że powinnyśmy się spotkać pomiędzy tymi dwoma miejscami. Tak było najlepiej. Po ich odejściu Rachel podniosła brwi pytająco.

- Taki referat - wyjaśniłam. - Z angielskiego.

- Boże - powiedziała. - Jeśli mądre laski muszą się zadawać z takimi dziwadłami, to ja wolę być niedorozwojem.

Zgodziłam się z nią entuzjastycznie, wyjaśniając, że nie rozumiem ani słowa z tego, co one mówią, że jestem absolutnie pewna, że trafiłam do tej klasy wyłącznie w wyniku pomyłki administracyjnej. Ale teraz, idąc nad wodą do miejsca, które uzgodniłyśmy, próbowałam wyliczyć, ile człowiek może żyć, po tym jak wpadnie do kanału. Woda poruszała się szybko pod płaską powierzchnią, wciągając się w rury i kraty, kotłując się. Ona na pewno wymachiwała ramionami. Walczyła. Pół mili dzieliło miejsce, w którym wpadła, od miejsca, w którym ją znaleziono. Prawdopodobnie większość tego dystansu pokonała już martwa.

One już się ustawiały, pałac świeczki i rozkładając koc na ziemi przy wodzie.

- Spóźniłaś się - powiedziała Janice, a Sharon posłała mi nieufne spojrzenie. Położyłam kwiaty na środku koca i udawałam, że nie zauważam.

Janice spojrzała na białe róże, potem siadła na piętach, kiwając głową.

- Tego właśnie ona by chciała - powiedziała cicho, a ja spojrzałam na inne dziewczęta, czekając, aż przypomną Janice, że nie była przyjaciółką Polly, że zapewne nie może wiedzieć, czego ona by chciała. One jednak nic nie powiedziały. Jakimś sposobem Janice Reardon stała się ich przywódczynią.

Siadłyśmy w kręgu na kocu, rozkładając pomiędzy sobą róże. Wiatr poruszał naszymi włosami, gasił świeczki, a Janice pochyliła się do przodu, zapalając je ponownie tylko po to, by zaraz znowu wiatr je zgasił. Spojrzała więc w niebo i kiwnęła głową, jakby przyjęła milczący komunikat od siły wyższej.

- Ona chce, żeby było ciemno - wyszeptała Janice i usiadła, wrzucając zapalki do plecaka.

Janice nauczyła nas, że mamy chwycić się za ręce i zamknąć oczy. Siedziałam między Sharon a Colleen. Dotknęłyśmy się dłońmi. Ich palce były zimne.

- A teraz - wyszeptała Janice, kiedy już wszystkie trzymałyśmy się za ręce - naprawdę się skupcie. Myślcie o niej. Dotrzyjcie do niej swoimi myślami.

Powietrze było chłodne, a woda kanału bulgotała obok nas. Ale próbowałam się skoncentrować. Zacisnęłam mocno oczy i napięłam całe ciało. „Polly Cain, Polly Cain, Polly Cain”. Wyobraziłam ją sobie, jak się pochyla nad instrukcją obsługi w czasie zajęć technicznych, jak mruży oczy, w skupieniu patrząc na poszczególne części, i palcami zakłada brązowe włosy za uszy.

- Polly Cain - wyszeptała Janice, a dźwięk jej głosu sprawiał, że chciałam wyskoczyć ze skóry. - Jesteśmy tu, czekamy. Przyjdź i powiedz nam to, co chcemy wiedzieć.

„Polly Cain, Polly Cain, Polly Cain”.

- Czuję ją - wyszeptała Janice. - Jest tutaj.

Cisza przeszła mnie i czekałam, czekałam, żeby poczuć cokolwiek oprócz wiatru i chłodu ciągnącego od wody. I wtedy poczułam. Obok siebie poczułam drżenie, drobne, ciche falowanie, kiedy Colleen Murphy zaczęła płakać. Nie wydała żadnego dźwięku, ale jej ramię trzęsło się obok mojego, a ręka poruszała się w moich palcach, tak że przytrzymałam ją za nadgarstek. Opuszki moich palców ślizgały się na kościach nadgarstka Colleen, delikatnym, żyłkowanym ciełe u nasady dłoni. I poczułam je, małe zgrubienia zabliźnionej tkanki, niewidoczne dowody, że chciała umrzeć.

Polly Cain nie przyszła do nas tej nocy, nie odezwała się ani nie ukazała z sinymi ustami, włosami pełnymi połamanych ciątek jętek. Zebrałyśmy swoje rzeczy, zwinęłyśmy koc i załadowałyśmy świece z powrotem do plecaka Janice. Colleen otarła oczy wierzchem dłoni i nikt nie powiedział ani słowa. Tylko ja wiedziałam, że płakała.

Powiedziałyśmy sobie dobrej nocy. Czwórka skierowała się w jedną stronę, z powrotem do domu Janice, żeby spędzić tam noc. Ja ruszyłam w drugą stronę. Czekałam, aż dźwięk ich głosów zniknął w ciemności, potem wrzuciłam białe róże do kanału. Poryw wiatru przeleciał po mojej twarzy, zwał mi włosy na oczy, chmury się rozdzieliły, odsłaniając srebrny księżyc. Róże podskakiwały na niskiej wodzie kanału, ich główki odbijały się w nikłym skrawku księżycowego światła jak gasnące żarówki, zanim zsunęły się pod powierzchnię i zniknęły.

W domu w stajni było ciemno. Jerry i Nona poszli do łóżka, a dom patrzył na mnie ciemnymi oczami swoich okien. Weszłam cicho po stopniach ganku, ostrożnie otworzyłam drzwi kuchenne i wsunęłam

się do środka. Ruszyłam na górę i zatrzymałam się. U szczytu schodów zamigotało coś białego. Powietrze w moich płucach zamieniło się w lód. Janice Reardon ją czuła, powiedziała, że ona tam była. A teraz stała tu, drżąc w ciemnościach z rozpuszczonymi ciemnymi włosami. Szła za mną. Przyszła zabrać to, co do niej należało.

- Kochanie.

- Mama? - zapytałam.

- Gdzie byłaś?

Moja matka stała w koszuli nocnej, trzymając się poręczy. Wspięłam się do niej po schodach.

- Nigdzie - powiedziałam. - Tylko na dworze. Wyciągnęła rękę i pogładziła mnie palcami po włosach.

- Tak długo cię nie było - powiedziała. - Martwiłam się.

Za nią widziałam otwarte drzwi jej sypialni, niebieskie światło migotało z milczącego telewizora. Dolna warga matki drżała. Ujęłam ją za łokieć i wprowadziłam do pokoju. Ściągnęłam narzutę i wygładziłam prześcieradła, podczas gdy ona stała za mną, potem cofnęłam się, by mogła się w nie wśliznąć. Ale matka, zamiast ruszyć do łóżka, wyciągnęła ręce i otoczyła palcami moje nadgarstki.

- On się w niej zakochał - wyszeptła.

Próbowałam się cofnąć, ale matka zacisnęła swoje ręce na moich.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziałam.

- Wiesz.

Wszystkie wydarzenia dnia zderzyły się w jedno w mojej głowie, białe róże i atramentowa krew, woda, strzelba, gąbczaste blizny na nadgarstku Colleen Murphy, głos mojego ojca, głuchy i pusty, kiedy na ganku mówił do mnie: „Jest w dobrych rękach”. Zamknęłam oczy, próbując oddzielić jedną myśl od drugiej, próbując sobie przypomnieć, gdzie jestem.

- Powiedz mi prawdę. - Matka przesunęła dłonie po moich ramionach, przyciągając mnie do siebie, tak że czułam jej wilgotny oddech na swojej szyi. - Czy on nas opuści?

Tej nocy, kiedy Polly Cain nie wróciła ze świata umarłych, zostawiłam moją matkę w niebieskim świetle telewizora, stojącą przy łóżku, jakby było grobem. Już u siebie rozejrzałam się po wszystkich kawałkach swojego życia, schludnych i uporządkowanych na półeczkach, po moich ubraniach i książkach, po telefonie, butach i spinkach do

włosów, i próbowałam się nimi przejąć. „Moje, moje, moje”. Ale to były tylko rzeczy, przedmioty, które mogły należeć do kogokolwiek innego. Zasnęłam w ubraniu, myśląc o duchach, kłamstwach i ciszy, o wszystkich prawdach, które nigdy nie zostaną wypowiedziane, o wszystkich pytaniach bez odpowiedzi.

rozdział czternasty

Oto prawda o rzeczach: jeśli weźmiesz coś, co nie jest twoje, nigdy nie będzie należało do ciebie. Możesz się starać to zatrzymać, ale kiedyś to i tak ci się wymknie z rąk. Coś, co nie miało być twoje, nigdy twoje nie będzie. Bez względu na to, co zrobisz, żeby to zatrzymać.

Kilka dni po wypadku Patty wylałam napój winogronowy na swój skórzany plecak. Przemyłam go wilgotnym ręcznikiem papierowym, ale została lepka plama. Po tym jak poszłam na seans spirytystyczny Janice Reardon, uznała ona, że jestem jej przyjaciółką. Wołała mnie na korytarzu i snuła się przy moim stoliku w czasie lunchu. Czułam, jak cheerleaderki są niezadowolone, jak się zastanawiają, dlaczego toleruję Janice w jej tiarach i z wrózkowymi skrzydełkami. Nie było jednak sensu lekceważyć jej ze względu na nie. Nigdy nie zamierzałam być cheerleaderką. Moje włosy już zaczynały wyglądać niechlujnie. Niedługo wyrosnę ze swoich drogich ciuchów, a że nikt mi nie kupi nowych, wśliznę się z powrotem w poprzednią skórę: zwyczajnej dziewczyny ze zwyczajnymi włosami, która nie umie zrobić gwiazdy.

Modliszki nie wróciły jeszcze do stajni, a Sheila miała próby, więc popołudnia mijały w ciszy i spokoju. Kiedy mój ojciec nie jeździł autobusem, siedział w domu. Jerry sprzątał boksy, potem pracował z Kingiem na round penie, podczas gdy moja siostra i ja snułyśmy się po stajni, próbując zgadnąć, co się stanie z tymi wszystkimi końmi, które do nas nie należą, i jak będziemy zarabiać pieniądze, kiedy ich już nie będzie.

- To przejściowe - powiedziałam siostrze.

Modliszki pewnie miały dyżury w szpitalu. Kiedy sprawy się unormują, wrócą. Uwielbiały swoje konie, powiedziałam, kochały te popołudnia jazdy konnej i plotek.

- Nigdzie nie pójdą.

Ale dni mijały, a one nie wracały. Nikt nie przyjechał i nikt nie wyjechał. Kiedy więc usłyszeliśmy opony na żwirze, Nona, Jerry i ja wyszliśmy ze stajni zobaczyć, kto to.

Samochód był czarny, okna przyciemniane. Mogłam tylko rozpoznać sylwetkę osoby za kierownicą, ale Nona odwróciła się do Jerry'ego i powiedziała:

- Doktor Patty Jo.

Wysiadł z samochodu i stał chwilę, patrząc nad oprawkami ciemnych okularów. Jego oczy spoczęły na gimbusie, głowa przechyliła się lekko, a usta zacisnęły.

- Lepiej leć po tatę - powiedział do mnie Jerry, ale kiedy się odwróciłam w stronę domu, ojciec już schodził z ganku.

Oparł się na lasce, wyciągając rękę do powitania, ale doktor podniósł jeden palec, wskazując, że ojciec powinien poczekać, podczas gdy on spojrzał w niebo, a potem kichnął.

- Więc to tu właśnie trafiają kobiety, kiedy uciekają z domu - powiedział, a ręka mojego ojca opadła. - Przyjechałem w sprawie konia.

Czekałam, aż ojciec powie, że koń należy do Patty, że może go odebrać sama, że będzie się umawiał tylko z nią. Ale on spuścił wzrok i kiwnął głową.

- Koń jest w stajni.

- Jak się czuje Patty? - zapytała Nona, a doktor zerknął na zegarek.

- Ma twarz roztrzaskaną w kawałki - powiedział. - Jak może się czuć twoim zdaniem?

- Jeśli możemy cokolwiek dla państwa zrobić - odezwał się mój ojciec - to bardzo chętnie.

- Już dość pan zrobił - odparł doktor.

Twarc ojca poczerwieniała, oddech mu przyspieszył. Na filmie w tym właśnie momencie wyciągnięto by broń, padłby cios. Patrzyłam to na jednego, to na drugiego, zastanawiając się, kto by wygrał, gdyby doszło do walki. Mój ojciec miał niesprawną nogę, ale ręce doktora były delikatne i gładkie. Nigdy nie podniósł niczego ciężkiego, nigdy nie pachniał potem. Nigdy się nie bił. Ale doktor spojrzał na mojego ojca przeciągle i twardo i poczułam, jak my wszyscy kurczymy się przy nim, stajemy się mali i nieznaczący. On wygra każdą walkę, w którą się wda.

- Co się stanie z Toy Boyem? - spytałam.

Doktor skierował na mnie wzrok, a ja widziałam swoje bliźniacze sylwetki, podłużne i nieproporcjonalne, w soczewkach jego ciemnych okularów.

- Będzie musiał znaleźć sobie nowy dom - powiedział. - Ona nie chce go nawet oglądać.

Mój ojciec podkuśtykał o lasce.

- Jest zdenerwowana - powiedział. - Potrzebuje czasu, żeby wyjść z szoku.

Ale doktor podniósł rękę i mój ojciec zamilkł.

- Cokolwiek moja żona tutaj robiła, nie będzie to kontynuowane - powiedział. - To było tylko hobby, panie Winston. A teraz się skończyło.

Wyciągnął portfel, wyciągnął banknoty, które wcisnął ojcu do ręki.

- To powinno pokryć koszty, dopóki go nie sprzedam.

Ojciec wsunął banknoty do kieszeni, nie patrząc nawet, ile ich jest. Doktor odwrócił się, by odjechać, nagle zatrzymał się, opuścił trochę okulary na nosie, żeby na mnie spojrzeć ponad nimi.

- Masz na sobie naprawdę ładną kurtkę. Mam nadzieję, że będziesz o nią dbać.

Potem Toy Boy został sam w boksie. Nikt na nim nie jeździł ani go nie oporządzał, nawet nikt w ogóle nie zwracał na niego specjalnej uwagi. Skończyły się trociny, a ojciec nie pojechał po następne. Więc Jerry wrzucił do boksu Toy Boya słomę, jakby był zwyczajnym koniem.

W wieczór przedstawienia Sheili stałam na stopniach ganku, patrząc, jak mój ojciec i siostra palą w milczeniu.

- Jedziecie na to przedstawienie Sheili? - zapytałam. - Na tę sztukę?

Żadne z nich nie odpowiedziało, więc odwróciłam się i powędrowałam do stajni.

Jerry był na round penie, kładł czaprak na grzbiecie Kinga i przytrzymywał go nieruchomo, tak żeby koń go nie zrzucił.

- Dzisiaj odbywa się to coś, na czym powinnam być - powiedziałam. - Ta sztuka, w której Sheila występuje. Jest dzisiaj wieczorem, a ja powiedziałam, że przyjdę. Nie mogę znaleźć nikogo, kto by mnie zawiózł.

Jerry przyglądał mi się chwilę, potem splunął w bok.

- Nie śpiewają tam aby?
- Nie - skłamałam. - Nie sędzę.
- Mogę cię chyba zabrać.

Kiedy wjechaliśmy na parking, rodzice Sheili wysiadali z samochodu. Pani Altman pomachała na nas i cień przemknął przez jej twarz. Podniosła palce do ust.

- Słyszeliście coś o Patty? - zapytała. Pan Altman obok niej zeszywniał.

Pokręciłam głowę, a pani Altman wyciągnęła rękę i dotknęła moich włosów.

- Sheila bardzo się ucieszy, że przyszedłaś - powiedziała. - Powinnaś usiąść z nami.

Jerry zaszurał nogami na chodniku, zerkając na swoje brudne dżinsy i zdarte buty. Pan Altman miał krawat i marynarkę sportową. Pani Altman miała buty na wysokich obcasach.

Na widowni siadłam między Jerryem a panem Altmanem. Orkiestra stroiła instrumenty przed sceną, a Jerry spojrzał na mnie spode łba.

- Nie śpiewają, co?

W trakcie sztuki Jerry poruszył się na swoim siedzeniu, a pan Altman zerknął na zegarek. Na koniec wszyscy wstaliśmy i klaskaliśmy, pani Altman zaś wychyliła się zza męża, kiedy w teatrze zaczęły się włączać światła. Policzki miała mokre od łez. Uścisnęła moją rękę.

- Jak ci się podobało?

- Naprawdę dobre - powiedziałam, a ona pokraśniała.

- Tak - dodał Jerry. - Musieli strasznie się napracować, żeby się nauczyć tych wszystkich piosenek.

- To prawda - przyznała pani Altman. - Biedna Sheila tyrała jak szalona.

- No, ale już po wszystkim - powiedział pan Altman, ruszając ku drzwiom. Twarz jego żony pociemniała, kiedy spojrzała mu w oczy, a on podniósł rękę. - Miałem na myśli, że Sheila może wreszcie odpocząć - dodał szybko.

Czekaliśmy z Altmanami w foyer, a kiedy Sheila w końcu wyszła, jej twarz była jasna i jaskrawa od makijażu, policzki pomalowane na czerwono, oczy obwiedzione czarną kredką. Zarzuciła mi ramiona na szyję, a ja przez wilgotną tkaninę jej kostiumu czułam szalone bicie jej serca.

- Za kulisami szaleństwo - wysapała. - Maria i zakonnice robią zdjęcia!

- Wielki Boże - powiedziała pani Altman.

Kiedy już znaleźliśmy się w furgonetce, Jerry odpalił i oparł dłonie na kierownicy. Obejrzał się na mnie i pokręcił głową bez słowa.

- Teraz to ja chyba muszę się napić - powiedział.

- Dobra.

Na stacji Jerry kupił sześciopak, a na jednej z dróg zjechał na bok. Zrobiło się zimno, Jerry wyciągnął koc z tylnego siedzenia i okrył mnie nim, kiedy wspięliśmy się na dach szoferki.

- Chyba przez całe życie nie widziałem nic tak dziwnego - powiedział Jerry po chwili.

- Bo to było mocno dziwaczne - przyznałam. - A widziałeś zakonnice? Zakonnice dopiero były dziwaczne.

- Filmy Elvise były musicalami - powiedział, otwierając piwo i podając mi je. - Ale innymi.

- Jakimi? - zapytałam. - Bez zakonnice? - Czekałam, aż Jerry się roześmieje, ale jego twarz była poważna.

- Był jeden z zakonnice. Ta zakonnica zakochała się w Elvisie i na końcu musiała wybrać, czy zostać zakonnice, czy być zakochaną.

Zakrzusilałam się i wychyliłam, by wypłuć piwo na ziemię.

- Musiała wybierać między Jezusem a Eh/iselem?

- Tak - uśmiechnął się. - Mocne, co?

- Kogo wybrała?

- Film tak się kończy, że nie wiadomo.

- Och. - Spojrzałam w niebo, czyste i zimne, migoczące gwiazdami, i pomyślałam o kowboju, tym, którego śmierć zakończyła karierę Jerry'ego. - Tęsknisz za rodeo? - zapytałam.

Jerry wyprostował nogi, krzyżując je w kostkach, i szorując przy tym obcasami po daszku.

- Robiłem to, odkąd skończyłem piętnaście lat - odrzekł. Odwróciłam się, czekając na konkretną odpowiedź. - Tak - powiedział w końcu.

- Tęsknię.

- Ale zrezygnowałaś. Dla niej.

- Nic nie trwa wiecznie - powiedział. Milczał chwilę, popijając piwo.

- Wiesz, co się stało z Priscillą? - zapytał.

- Wiem, że wciąż żyje.

- Opuściła go - powiedział Jerry. - To właśnie się stało. Jedyna kobieta, którą w życiu kochał. I odeszła.

- Ja jestem zakochana - powiedziałam cicho. Czekałam, aż Jerry powie mi, że jestem za młoda, że to niemożliwe, żebym czuła choć po części coś takiego, jak on, osobiście, do mojej siostry. Ale on patrzył na swoje piwo w oszronionej puszcze.

- Jebie w mózg, co?

Pomyślałam o panu Delmarze, który głodował i wylatywał z college'u, stracił kobietę przy wodospadzie na rzecz innego mężczyzny. „To mnie zabiło - powiedział. -1 byłem martwy”. Pomyślałam o mojej matce, która przeczekiwała życie w swojej sypialni, patrząc z okna, jak mój ojciec zakochuje się w innej.

- Dlaczego Priscillą od niego odeszła? - zapytałam.

Jerry milczał, a ja czułam, że jego umysł szuka odpowiedzi, analizując wszystkie przeczytane książki, wszystkie obejrzone filmy i odbyte podróże.

- Tak się dzieje - powiedział w końcu. - Czasami nawet nie wiadomo dlaczego.

Następnego dnia weszłam na angielski, a na miejscu pana Delmara stała zdenerwowana blondynka o czerwonych paznokciach i ze zbyt grubą warstwą szminki. Sprawdzała obecność wysokim, załamującym się głosem, a lista drżała jej w dłoniach.

- Gdzie jest pan Delmar? - zapytałam bez podnoszenia ręki, a ona zmrużyła oczy przez grudki maskary.

- Nie ma go tu? - powiedziała. Skrzywiłam się, nie wiedząc, czy ona pyta, czy oznajmia. - Nie... hm... nie mógł dzisiaj przyjść? Więc zadzwonili po mnie? - Zwróciła się do reszty klasy, a kąci jej ust skrzywiły się znowu w bolesnym uśmiechu. - Na pewno będziemy się razem świetnie bawić.

Kiedy tylko lekcja się skończyła, pobiegłam na dół do automatu i wykręciłam jego numer. Dzwonił i dzwonił. Był chory - miał chory żołądek czy coś. Spał. Oczywiście nie odbierze telefonu. Zadzwoniłam raz jeszcze w czasie lunchu i raz jeszcze po ostatnim dzwonku. Potem pobiegłam do domu nad kanałem i dzwoniłam ze swojego pokoju: o trzeciej, czwartej, o piątej. Telefon dzwonił i dzwonił, i dzwonił.

W nocy rzuciłam się na łóżku, sięgałam po telefon i wybierałam jego numer w ciemności, wytrącając się z niespokojnego snu i zapadając weń z powrotem, kiedy telefon dzwonił przy moim uchu.

Minęły cztery dni, a ja wmówiłam sobie, że coś się wydarzyło w jego rodzinie, ktoś poważnie zachorował albo zmarł, jakiś daleki wujek albo kuzyn w trzeciej linii, ktoś, kto nie był mu straszliwie bliski, ale i tak musiał się pokazać. Musiał wrócić do Michigan. I oczywiście się ze mną nie skontaktował. Nie miał mojego numeru. Cały czas to ja do niego dzwoniłam.

Piątego dnia na angielskim przyszedł do naszej klasy dyrektor i stanął obok zastępczyni, odchrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Pani Lee poprowadzi lekcje z wami przez jakiś czas - powiedział.

- Pan Delmar w tym roku już nie wróci. - Moje serce zmniejszyło się do rozmiarów łuski.

- Dlaczego? - spytała Janice Reardon.

- Wyniknęła pewna sprawa - odrzekł dyrektor. - Pan Delmar wraca do Michigan.

To ona, kobieta przy wodospadzie. Zadzwoiła do niego, zabrała go z powrotem. On odebrał telefon, myśląc może, że to ja. A potem ona zaczęła płakać. „Popelniłam największy błąd w moim życiu

- mówiła. - Tylko ty się liczysz, tylko ty zawsze się liczyłeś". I teraz on do niej jedzie. W tej właśnie chwili jest w domu, pakuje pudła. W college'u przez nią głodował. A teraz zostawia pracę, dom, życie. Zostawia mnie.

W domu zaczęłam, aż ojciec wróci z trasy. Było zimno, niebo miało kolor siniaków, a ja drżałam w swojej zamszowej kurtce, chowając palce w mankietach.

- Potrzebny mi transport - powiedziałam, kiedy wjechał gimbusem na podjazd. Patrzył na mnie przez chwilę, potem wyciągnął rękę i otworzył drzwi. Wsiadłam i zajęłam miejsce za nim. Odkąd ojciec przyprowadził ten autobus do domu, pierwszy raz znalazłam się w środku.

Znałam drogę na pamięć, wiele razy śledziłam drogę z mojego domu do jego, przebiegając palcem linie na planie w książce telefonicznej, aż poczułam się, jakby od urodzenia pokonywała tę trasę codziennie. Ojciec zatrzymał się przy jego domu, a ja przeszłam na drugą stronę domu i zajrzałam do środka. Zasłony były zaciągnięte, ale samochód

stał na podjeździe, mały i przerdzewiały ze starości. Samochód, w którym płakał, kiedy widziała go Janice Reardon.

- Nie musisz czekać - powiedziałam, ale ojciec wyłączył silnik. Kiedy zapukałam, po drugiej stronie nie rozległ się żaden dźwięk,

więc zapukałam mocniej. Drzwi się otworzyły i przede mną stanął pan Delmar, blady i chudy. Włosy miał tłuste, a koszulę wyciągniętą ze spodni. Minęłam go, nie czekając na zaproszenie.

Dom był ciemny i pogrążony w cieniu, ściany puste, korytarz wypełniony częściowo pustymi pudłami. Stałam przez chwilę, przyglądając się. Ile razy wyobrażałam sobie jego dom, próbując stworzyć sobie obraz otaczającego go świata, kiedy rozmawiał ze mną przez telefon? Wymyślałam sobie, że mieszka w domu wypełnionym książkami, z dziełami sztuki na ścianach, z ciemnymi politurowanymi meblami. Ale kanapa pana Delmara była zniszczona i zapadnięta, dywan upstrzony plamami. Zwinęłam palce w butach i wbiłam wzrok w podłogę.

- Cieszę się, że przyszedłś - powiedział. - Chciałem się z tobą pożegnać.

- Mógł pan odebrać telefon. Kiedy telefon dzwoni, można go odebrać.

Wskazał miejsce po drugiej stronie pokoju, gdzie stał telefon obwinięty kablem, odłączony z gniazdka. W najgłębszym zakamarku umysłu poczułam się, jakbym spadała. On naprawdę wyjeżdżał. Nawet o mnie nie pomyślał.

- Wyjeżdża pan - wyszeptałam. - I nie zamierzał się pan pożegnać.

- Przepraszam - powiedział.

Wargi zaczęły mi drżeć, więc zakryłam usta dłonią, mówiąc przez palce:

- Nasza zastępczyni jest okropna. Powiedziała, że ludzie, którzy czytają za często *Buszującego w zbożu*, zamieniają się w seryjnych morderców.

Uśmiechnął się, a ja poczułam przebłysk nadziei, wążutki cień szansy. Złapałam go w samą porę. Mogłam go wybawić od wyboru, którego miał dokonać, życia, do którego właśnie miał odejść. Żadna blondynka przy wodospadzie nie zatroszczy się o niego tak jak ja. Nigdy nie zobaczy w nim tego, co ja widzę. Nie potrzebowała, nie mogła potrzebować go tak, jak ja.

- To pomyłka - wyszeptałam. - Ja to wiem.

- Już po wszystkim - powiedział. - Jestem spakowany. Wyjeżdżam. Po wszystkim.

- Może się pan rozpakować - powiedziałam, a łzy zaczęły piec mnie w oczy.

- Alice - powiedział łagodnie.

- Może pan zmienić zamiar.

- Nie. Nie mogę.

Czułam, jak płacz wzbiera w mojej piersi, ściany się kurczyły, cały świat zamieniał się w wilgoć.

- Zakochałam się w panu - wyszeptałam, a on opuścił głowę.

- Nieprawda. - Otworzył oczy, a one były miłe, delikatne, wypełnione łagodnością. - Alice, tak ci się tylko wydawało.

I to rzeczywiście była prawda. Nic nie było tym, czym mnie się wydawało.

Serce mi się ścisnęło, obraz zamazał.

- Czeka cię tyle dobrych rzeczy - powiedział. - Całe życie. - Wyciągnął rękę i dotknął moich włosów, jego palce zsunęły się po nich do końca i tam zatrzymały na chwilę. Rękę trzymał blisko mojej twarzy, czułam zapach jego skóry, jak zapach mokrej trawy i dymu papierosowego. Wystarczyłoby, żebym przechyliła głowę, a dotknęlibyśmy się.

Ale ja się odwróciłam. Głowę miałam lekką i pustą, jakby każda istotna część mnie nagle wyparowała. Tu nie było dla mnie miejsca. Nigdy nie było.

Wytarłam oczy mankietem zamszowej kurtki i podeszłam do drzwi.

- Czy to szkolny autobus? - zapytał.

- To mój ojciec - powiedziałam. - Jest kierowcą gimbusa. Mogłam powiedzieć mu resztę. Nie byłam najlepszą przyjaciółką

Polly, nie byłam w ogóle jej przyjaciółką. Nie wiedziałam o niej nic. „To wszystko było kłamstwem. Od samego początku”. Ale już i tak za dużo było prawdy, wirowała wokół mnie, wzbierała w mojej głowie. Jeszcze trochę i utonąłabym w niej.

Kilka dni później pan Delmar wyjechał. Bez pożegnania. Nigdy go już nie zobaczyłam.

Zrobiło się zimno. Ziemia zamarzła, a niebo przybrało kolor grafitowy. On wyjechał, a ja nic nie mogłam na to poradzić, nikomu o tym powiedzieć. Ból krzyczał we mnie, wydierał się ze mnie jak coś z zębami i pazurami. Ale moje ciało nie pękło ani nie krwawiło. Nie miałam siniaków, nie utykałam, nie miałam blizn. Brnęłam przez kolejne dni - śniadanie-obiad-kolacja - z rozdartymi i postrzępionymi wnętrznościami, moje całe ciało było odrapane i zdruzgotane. Nikt nic nie zauważył.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio było tak zimno - powiedziała Nona, kręcąc termostatem w salonie. - A ty?

Wzruszyłam ramionami. Pogoda to pogoda. Nie umiałam przejąć się nią na tyle, by ją zapamiętać.

- Zeszłej zimy widzieliśmy z Jerry'm burzę lodową w Illinois - ciągnęła, skoro nie odpowiadałam. - Wszystko się zrobiło śliskie i srebrne, ulice, chodniki, nawet drzewa. To było niesamowite.

Przede mną na stole leżała moja praca domowa, a ja siedziałam, wpatrując się w nią, bez poczucia najmniejszego zainteresowania ani obowiązku, żeby zacząć.

- Skoro takie to było niesamowite - powiedziałam - może trzeba było tam zostać. Nona obróciła się twarzą do mnie.

- Jaki, kurwa, masz problem, Alice? Szukasz zaczepki? - Oczy miała ściągnięte, usta też, a ja poczułam lodowaty dreszczyk w brzuchu - walka. Chciałam krzyknąć, bić i gryźć. Chciałam zmusić ją do płaczu, do krzyku. Może zdołam ją rozwścieczyć na tyle, żeby mnie zraniła. Może zdołałabym ją rozwścieczyć na tyle, żeby mnie zabiła.

- Zachowujesz się, jakby twoje życie było takie ciężkie - powiedziałam -jakby wszystko ci się tak źle wiodło. A wszystko jest dla ciebie takie łatwe. Zawsze było.

Nona wstała, patrząc na mnie.

- Mówisz poważnie?

- Jerry zostawił całe swoje życie - powiedziałam - tylko dlatego, że go o to poprosiłaś. Tata traktował cię, jakbyś była jego słońcem. Przez całe życie dostajesz, co chcesz, a ciągle tylko narzekasz.

Twarz mojej siostry była biała jak ściana, dłonie zacisnęła w pięści. Przez chwilę myślałam, że ruszy do mnie i mną potrząśnie, że zaciśnie mi ręce na gardle i będzie trzymać, aż ostatni strumyk

powietrza opuści moje ciało. Proszę bardzo, pomyślałam. Śmiało. Ale Nona się odwróciła, podeszła do małej szuflady, w której ojciec trzymał swoje białe koperty. Schyliła się i przetrząsała je, aż znalazła tę, której szukała. Wyciągnęła ją do mnie, podchodząc bliżej, tak że mogłam przeczytać, co ojciec na niej nagryzmołił: „Alice - college”.

- Myślisz, że ja też taką mam? - zapytała. - Myślisz, że kiedykolwiek na którejs z nich było moje imię?

Wpatrywałam się w kopertę, czekając, aż coś poczuje: szczęście, zaskoczenie, podniecenie. Ale patrzyłam tylko na zniszczony papier, który ojciec musiał dotykać tyle razy, i nie czułam nic.

- Ile tam jest? - zapytałam, a Nona zajrzała i przeliczyła.

- Cztery.

- To za mało nawet na początek - powiedziałam. - Za mało nawet na najbardziej główniany college.

Pochyliła głowę i przez chwilę myślałam, że się roześmieje. Ale kiedy podniosła na mnie wzrok, jej twarz lśniła od łez.

- Wybaczam ci - wyszeptała. - Jesteś moją siostrą i wybaczam ci te wszystkie rzeczy, których nie rozumiesz.

Poszła na górę do swojego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi, a ja siedziałam sama przy stole. Ojciec odjechał autobusem, a Jerry pojechał pick-upem po siano. Kiedy przybyła Sheila Altman na swoją popołudniową lekcję, tylko ja mogłam ją powitać. Wsiadła z samochodu matki, jedząc nektarynkę, a wiatr zwiewał jej na twarz jasne włosy. Sięgnęła do tyłu jedną ręką i trzymając włosy na karku, a owoc w zębach, związała je w nieporządny kok.

- Gdzie są wszyscy? - zapytała.

- Wszyscy odjechali - odparłam. - Teraz jesteśmy tylko my. Sheila osiodłała Capa, a ja Darling.

- Nie powinniśmy poczekać na Nonę? - zapytała, kiedy wsiadłam na Darling na podjeździe i ruszyłam w kierunku drogi.

- Czekaj, jeśli chcesz. Ona nie przyjdzie.

Darling na drodze była nerwowa, zносиło ją na jezdnię, drapała mi kolana o ogrodzenie i skrzynki pocztowe. Sheila trzymała się na Capie kilka stóp za mną, oglądając się przez ramię na samochody.

- Powinniśmy wracać - mówiła za każdym razem, kiedy Darling ryła kopytami albo się płoszyła.

Dotarliśmy nad kanał. Łóżysko było suche, dno piaszczyste i gładkie. Skierowałam Darling w dół, a Sheila za mną głośno wciągnęła powietrze.

- A jeśli pojawi się woda?

- Skąd? - zapytałam. - Jest zima.

Sheila nie wyglądała na przekonaną, ale skierowała Capa w ślad za mną, jedną ręką trzymając się lęku.

- Pościgamy się - powiedziałam.

- Nie chcę.

- Gotowa?

- Powiedziałam, że nie chcę.

Dotknęłam obcasami boków Darling, a ona wyskoczyła spode mnie. Nie miało znaczenia, czy Sheila spróbuje, czy nie - nie miała szans mnie dogonić. Świat dokoła nas śmigał w szarych plamach, ciemne cienie zimy zlewały się w jedno nad brzegiem kanału. Pozwoliłam, by wodze prześlizgiwały się między moimi palcami, dając Darling luz i pozwalając jej się rozpedzić. Czułam, jak jej ciało rozciąga się pode mną, czyste, tętniące pragnienie pędu. Piaszczyste łóżysko kanału toczyło się pod nami, wyginając się i skręcając. Skręciłyśmy i przed nami pojawił się most, miejsce, gdzie kanał zniknął w zardzewiałym stalowym tunelu, by przejść pod szosą.

Próbowałam zebrać wodze, ciągnąc je do siebie i zapierając się nogami w strzemionach. Ciężar Darling przesunął się pode mną, ślizgając po piaszczystym podłożu. Na szosie nad nami stęknął ciągnik siodłowy, a Darling na ugiętych nogach wycofywała się z tunelu, miejsca, gdzie kanał opuszczał miasto i ciągnął się do rzeki, gór i świata za nimi. W innej porze roku znalazłybyśmy się pod wodą. Byłybyśmy martwe.

- O mój Boże - powiedziała Sheila, a ja odwróciłam się w siodle. Przytruchtała do mnie na Capie i dotknęła mojego ramienia. - Nic ci nie jest?

- Wygrałyśmy - powiedziałam.

Sheila zajrzała do zardzewiałego tunelu, potem w górę na szosę. - Ja wracam - powiedziała. - Nie obchodzi mnie, czy ty jedziesz, czy nie.

W milczeniu prowadziłyśmy konie wzdłuż kanału. Sierść Darling była pokryta pianą, ja oddychałam szybko i ciężko. Wciąż zerkałam

w bok na Sheilę, czekając, aż ona się roześmieje albo uśmiechnie na znak, że wszystko w porządku. Ale jej szczęka była napięta, nie odrywała wzroku od drogi przed sobą.

- Powiem twojemu tacie - oświadczyła.

W domu ojca nie było. Zeskoczyliśmy z siodeł na podjeździe i Sheila stała chwilę, aż ktoś wyjdzie ze stajni i zapyta, gdzie byliśmy.

- Tutaj wszyscy wariują - powiedziała w końcu.

- To przez pogodę - wyjaśniłam.

- To przez Patty Jo - odparła.

- Patty Jo wyzdrowieje - zapewniłam ją. - Jest w dobrych rękach

- Nie to miałam na myśli. - Sheila skrzyżowała ręce. - Twój tata spędzał z nią za dużo czasu - powiedziała głosem sztywnym i przemądrzałym. - Przekroczył granicę. A teraz tutaj się wszystko psuje. Wszyscy wiedzieli, że to się stanie.

-1 kto to mówi? - odparłam, a ona wytrzeszczyła na mnie oczy. - Ile razy w tygodniu twój tata ma nocną pracę? Jej twarz zamarła w głupawym uśmiešku.

- O czym ty mówisz? - zapytała.

Z jakiegoś odległego miejsca widziałam siebie, słyszałam słowa które mam wypowiedzieć. Chciałam je powstrzymać. Naprawdę chciałam.

- Twój tata już nie kocha twojej mamy - powiedziałam. - On ją zdradza. '

- Kłamiesz.

Powiedziała to cieniutkim głosem, ledwie szeptem. Wbiła wzrok w ziemię, wysunęła szczękę do przodu, zmarszczyła czoło. Kiedy podniosła na mnie wzrok, żyły na szyi miała napięte, usta wygięte w dół. W głowie składała wszystko w całość, wszystkie chwile, których ja nie widziałam, wszystkie drobne starcia, o których ja nie wiedziałam. I w tamtym momencie zobaczyłam jej oczy: to, co powiedziałam, było prawdą. I już nie dało się jej cofnąć.

Jej ciało zeszywniało, a ja stałam, czekając, aż ona zacznie krzyczeć albo płakać, uderzy mnie, ugryzie, pociągnie za włosy. Ale jej oczy były suche, twarz bez wyrazu. Potykając się, cofnęła się kilka kroków potem rzuciła wodze Capa i odeszła.

Ruszyłam za nią, potem sięgnęłam po Capa. Sheila siadła przed stajnią ze wzrokiem skierowanym na drogę, a ja prowadziłam konie

obok niej i przywiązałam je do słupka. Zająłam się zdejmowaniem siodła z Capa i nakładaniem nań derki, czekając, aż Sheila wstanie, odpędzi mnie od swojego konia i zrobi to sama. Ale ona tylko siedziała, wpatrując się w drogę. Wprowadziłam Capa do boksu, a potem wyszłam na zewnątrz i siadłam obok Sheili. Minęła godzina, potem następna. Niebo pociemniało, zrobiło się zimno. Ale Sheila ani drgnęła, nie odezwała się, nie spojrzała na mnie. Kiedy na podjazd wjechał minivan jej matki, wsiadła na przednie siedzenie i zapięła pas. I odjechały.

Boksy w naszej stajni pustoszały jeden po drugim. Modliszki nie przyjeżdżały osobiście po swoje konie. Przysyłały przewoźników z przyczepami. Heathcliff pojechał pierwszy, sprzedany - powiedział jego przewoźnik w przerwie na papierosa - ludziom w Vermont.

- Nie powinien pan przy nim palić - powiedziałam. - On ma bardzo wrażliwe zatoki.

Kilka dni później kolejna przyczepa zabrała Sierę, do Teksasu. Toy Boy pojechał ostatni. Przyjechali po niego, kiedy byłam w szkole, a kiedy wróciłam, boks był pusty. Nikt mi nie powiedział, gdzie go wysłano.

Mój ojciec coraz więcej czasu spędzał w domu. Zrobiło się zimno, powietrze było naładowane energią nadchodzącej burzy, a mój ojciec czuł zmianę w kolanie, krzywiąc się z bólu z każdym krokiem. Zdawał się nie zauważać procesji drogich przyczep, kiedy konie Modliszek zniknęły ze stajni. Nie zauważył, że Sheila Altman przestała przyjeżdżać na jazdy. W stajni stał tylko Cap. Krążył po swoim boksie i rżał cicho.

- Nikt po ciebie nie przyjeżdża - powiedziałam do niego. - Nikt cię nie kocha.

Kiedy klientki zniknęły, Jerry przeniósł do stajni Darling i Kinga.

- Pytałeś tatę? - zaczęła go Nona, a Jerry kiwnął głową na niebo.

- Niedługo spadnie śnieg.

- To pustynia - odparła Nona. - Tu nie pada śnieg.

Ale Jerry wykonywał całą robotę, więc on podejmował decyzje, doglądając stajni jak własnej. Popołudniami pracował z Kingiem,

podczas gdy ja jeździłam na Darling po arenie. Dzień po dniu pędziłam ją po całej długości areny, szukając ulgi, szukając strachu.

- Co ty tu, do licha, wyrabiasz? - zapytał Jerry.

- Ćwiczę - odparłam.

- Jeździsz brawurowo - powiedział. - Jak będziesz tak jeździć, zrobisz sobie krzywdę.

Kiedy Darling pędziła, ja zamykałam oczy, zrzucałam strzemiona, pędziłam ją w stronę ogrodzenia, ale ona nigdy w nie nie uderzała, a ja nigdy nie spałam. Nie mogłam sobie zrobić krzywdy, nawet gdybym chciała.

- Nie żartuje! - powiedział Jerry, potrząsając moim ramieniem, kiedy zesłam z areny. - Tracisz kontrolę.

Ale ja nie czułam się, jakbym traciła kontrolę. Nie czułam nic.

- Zmarnujesz tego konia i poterri nie da rady oduczyć ją złych nawyków. Nikt jej nie kupi.

-1 co z tego?

- Jak myślisz, co się dzieje z tymi, których nikt nie kupuje? Konie to zwierzęta użytkowe, Alice. Ale jest ich więcej niż dobrych ludzi, którzy je kochają. Więc co się dzieje z resztą?

Poczułam dygot, dziesięć tysięcy owadnich skrzydełek na skórze, i chciałam pokazać mu, że znam ciemność i okrucieństwo, znam ból. Próbował mnie przestraszyć, ale mnie nie można było przestraszyć.

- Głoduja - powiedziałam. - Są bite do nieprzytomności albo przerabiane na żarcie dla psów, albo zostawia się je na pustyni, żeby umarły samotnie.

Jerry chwycił mnie za ramiona, pochylając się do przodu, tak że czułam na twarzy ciepło jego oddechu. Szczękę miał zaciśniętą, oczy ściągnięte i wściekłe, ale ja i tak nie patrzyłam. Chciałam, żeby wiedział, że nie jestem jakimś głupkiem leśnym, nie jestem małą dziewczynką. Chciałam wbić w niego paznokcie, podrapać mu całą twarz, żeby krwawił, żeby czuł ból. Tymczasem go pocałowałam.

Przycisnęłam usta do jego warg i wsunęłam mu język do ust, aż trafiłam na gąbczasty koniuszek jego języka. Jego ręce opadły z moich ramion, ciało rzuciło się do tyłu, zataczając się.

- Dlaczego to zrobiłaś? - Jerry dotknął palcami warg. Jego twarz na tle ciemniejącego nieba była biała jak kreda.

- Bo mogłam.

Nie powiedział mojej siostrze. To był błąd, powiedział, głupi błąd. Wszyscy popełniają błędy. Ale zanim odszedł, wyciągnął do mnie palec wskazujący i rzekł cicho:

- Nigdy więcej. Nigdy. Potem zachęcał Nonę, żeby więcej czasu spędzała w stajni, Pytał ją o radę w sprawie karmy albo uprzęży, przywoływał, a za każdym razem, gdy ruszała w stronę domu. W dniu, w którym po raz pierwszy osiodłał Kinga, powiedział mojej siostrze, że to ważna okazja i że wiele by dla niego znaczyło, gdyby została i popatrzyła.

Jerry wyprowadził Kinga na arenę, a ja zatrzymałam Darling na środku. Moja siostra weszła na ogrodzenie i zapaliła papierosa.

- No to jedziemy - westchnęła.

Jerry od wielu dni ćwiczył z czaprakiem i siodłem, kładąc je na grzbiecie Kinga, żeby się przyzwyczaił do ich wagi, nie zapinał tylko popręgu. Teraz jednak sięgnął pod jego brzuch, ciągnąc popręg, by go zapiąć. King zastrzygł uszami, rozdał chrapy, ale stał, kiedy Jerry

klepał go po szyi.

- Co ty na to? -zawołał Jerry do mojej siostry.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała i zeskoczyła z ogrodzenia, kierując się do stajni.

- Czeka! Chcesz go dosiąść? Nona się roześmiała.

- Nie bądź głupi. On jest za mały.

- Nie masz na nim jeździć - odparł. - Tylko żeby poczuł wagę. Ja jestem za ciężki, ale ty możesz.

Nona pokręciła głową.

-Zapomnij.

- Ja na nim pojedę - oznajmiłam, a oni spojrzeli na mnie oboje. -Alice nie pojedziesz - powiedziała Nona.

Zsunęłam się z Darling i poprowadziłam ją do Jerry'ego, podczas gdy moja siostra przeszła przez ogrodzenie, stając pomiędzy nami.

- Powiem tacie - zagroziła.

- Powiem tacie, powiem tacie - przedrzeźniałam ją, a Nona spojrzała nerwowo na Jerry'ego.

- Nie pozwól jej - wyszeptwała.

- Nie pozwól jej, nie pozwól jej.

Nona obróciła się do mnie gwałtownie.

- Dobra, super - powiedziała i wyciągnęła ramię. - Skręć sobie, kurwa, kark. Proszę cię uprzejmie.

Jerry nie pozwoliłby mi dosiąść konia. Rozmyśliłby się, wykrecił, powiedziałby „nie”. Ale zanim zdołał to zrobić, usłyszeliśmy trzask bramy areny, a kiedy się odwróciliśmy, za nami stał ojciec.

- Co tu się dzieje? - Twarz miał białą, kłykcie zaciskał na rączce laski.

- Tato - zaczęła Nona. Ulżyło jej, że przyszedł. Ojciec pokuśtykał do Jerry'ego.

- Chciałeś wsadzić moją córkę na tego konia? - zapytał.

- Nie - odrzekł Jerry, ale mój ojciec nie słuchał. Wyrwał wodze z ręki Jerry'ego i pociągnął Kinga do siebie.

- Co ja mówiłem na temat ogierów? - zapytał ojciec z poczerwieniałą twarzą.

- Ja go tylko przyzwyczajałem do siodła - wyjaśnił Jerry. - Nikt nie zamierzał na nim jeździć.

- Ja zamierzałam - powiedziałam, a ojciec podniósł na mnie wzrok. Chciałam, żeby był wściekły, żeby na mnie krzyczał, żeby zobaczył, że to moja wina. Ale odwrócił się do Nony.

- Co w ciebie wstąpiło? - wrzasnął. - Miałas pilnować siostry!

- To nie moja wina - warknęła Nona. - Alice zachowuje się jak szalona. Zglupiała z miłości do jakiegoś koleśia ze szkoły.

- To nie jest żaden koleś - powiedziałam. - To nauczyciel. I już nieważne, bo on wyjechał.

Powietrze stężało, kiedy wszyscy troje odwrócili się do mnie. Niebo nad nami ciemniało, niskie i gęste od chmur.

- Coś ty zrobiła, Alice? - zapytał mój ojciec. Zamrożony oddech zwijał się przed nim jak dym.

- Nic - odparłam.

- To ten nauczyciel angielskiego? - zapytał. - To tam, gdzie cię zawiozłem? Do domu tego dupka?

Oczy mojej siostry były czerwone. Wytarła nos grzbietem dłoni, słuchając nas.

- On był dobrym nauczycielem - wyszeptałam.

- Był pijany - odrzekł ojciec. - Wjechał samochodem w słup telefoniczny, a potem próbował uciec przed policją. Hank z grupy pościgo-

wej zna całą historię. W biurku tego gościa znaleźli butelkę szkockiej. Wylali go.

Wszystko się rozlatywało, moje stawy zmiękły, jakby były z wosku, cały świat rozpadał się pode mną w kawałki.

- Co ty tam wiesz? - powiedziałam. - Ty tylko jeździsz gimbussem.

- Alice - wyszeptał Jerry, ale było za późno. Coś się rozpadło. Coś się otworzyło i nie mogłam tego zamknąć.

- Nawet rachunków nie umiesz płacić.

Ojciec jeszcze nigdy mnie nie uderzył. Kiedyś widziałam, jak spoliczkował Nonę, i wtedy miał taki sam wyraz twarzy jak w tej chwili. Szaleńczy. Niekontrolowany. Jego całe ciało wydawało się występować z ram, przez co wyglądał na większego niż był w rzeczywistości. Wszystko we mnie w środku było zimne i puste. „Zrób to”.

I zrobiłby. Ale zanim postawił krok w moim kierunku, King wyciągnął pysk i ugryzł mojego ojca w ramię. Nie mocno, to było takie figlarne ugryzienie, żrebaka proszącego o kostkę cukru. Moja siostra, zaskoczona, roześmiała się. I w tym jednym momencie, zanim świat się rozpadł, podniosła ręce do ust, próbując wtłoczyć ten dźwięk z powrotem.

Ale było za późno. Ojciec się odwrócił, a jego ręce poruszały się jak błyskawica, uderzając drzewcem laski o pierś Kinga. Dźwięk rozciął powietrze, a ja poczułam pieczenie na dłoni, kiedy Darling cofnęła się przed tym dźwiękiem, wyrrywając mi wodze z ręki.

King skrzyżował przednie nogi, ruchem tak zgrabnym, jakby się kłaniał, ale kiedy padł na ziemię, wszyscy usłyszeliśmy drugi trzask, jednoznaczny, kiedy kość przedniej nogi rozłupała się, a ziemia zatrzęsła się pod jego ciężarem. Krzyk wydobył się z każdego zakątka umierającego świata. Z mojej siostry. Ze mnie.

Próbował wstać, ale noga dygotała mu pod dziwnym kątem i padł do przodu na łopatki, pyskiem zderzył się z piaskiem, tylne nogi kopały ziemię, szaleńczo próbując wstać. Ojciec puścił wodze, cofając się. Żrebak wciąż próbował wstać, kość wystawała ze stawu barkowego, wyzierała przez skórę kolana. Ojciec stał bez ruchu. Powietrze krzyczało. I pojawił się Jerry ze strzelbą.

Nona popędziła go powstrzymać, uwiesiła mu się u ramienia, odciągając broń na bok. Na chwilę jej ustąpił, ale wtedy żrebak krzyknął, szkło drapiące o metal, pysk wykrzywiony z bólu, nozdrza zatkane

piaskiem, kiedy włókł się po ziemi. Przednia noga zgięła się pod nim jak złamane źdźbło. Jerry odtrącił Nonę, a ona padła na ziemię, zakrywając twarz dłońmi. Kiedy Jerry podniósł strzelbę, spadały pierwsze płatki śniegu. Koń włókł się po ziemi, pył przylepiał się do piany na jego pysku, pot parował z jego ciała w mroźnym powietrzu. Jerry wymierzył, a żreback podniósł łeb. W swoim ostatnim ziemskim oddechu próbował wstać.

Nie odwróciłam głowy, kiedy to się stało. W chwili gdy dźwięk rozdarł ziemię, ciało żrebaka podskoczyło po raz ostatni, w jednym potężnym, rozkołysanym wstrząsie. Krew wylała się spod jego głowy, kiedy świat stawał w miejscu. Potem pode mną rozpadła się ziemia. I nie było już nic.

rozdział piętnasty

I spadł śnieg. Pokrył niebieskie góry na wschodzie, czerwone góry na zachodzie, aż nie zostało nic, po czym można by rozróżnić jedną stronę doliny od drugiej, aż cały świat został pogrzebany pod białą ciszą.

To Jerry zadzwonił tamtego wieczoru, podał wskazówki, jak trafić do naszego domu, i szczegóły: wypadek, złamanie, broń. Kiedy się rozłączył, powtórzył, co mu powiedziano: dzisiaj za późno, żeby coś zrobić. Przyjadą po ciało rano.

A śnieg padał.

Wypełniła się nim droga. Dach ugiął się pod jego ciężarem. Desert Valley nie miała wyposażenia na zimową pogodę. Nie było pługów ani piaskarek. Nikt nawet nie miał łopaty do śniegu. Następnego ranka drogi zostały zamknięte, szkoły nie działały. Nikt po niego nie przyjechał. Nikt nie mógł przyjechać. Leżał na arenie osiem dni i przez ten czas nikt nie przyjechał ani nie odjechał.

Po latach moja siostra nadal utrzymywała, że nogę można było wyleczyć. Żrebak był w końcu młody, miał silne kości i dużą odporność. Coś można było zrobić. A jeśli nawet nie, decyzję mógł podjąć weterynarz. Ktoś, kogo ona nie знаła, mógł wypowiedzieć te słowa i wykonać tę czynność. Igła, powiedziała. Można to było zakończyć ukłuciem.

Tak, przyznawałam jej rację, kiedy tak mówiła. Bo można było.

Od chwili gdy Jerry pociągnął za spust, moja siostra nie dzieliła z nim łoża. Nie mogła znieść dotyku jego ciała, zapachu jego skóry na pościeli, niskich pomruków, które wydawał, śpiąc. Nie mogła na niego patrzeć. Tej nocy, kiedy umarł żrebak, Nona spała w moim łóżku. I następnej nocy. I jeszcze następnej.

Trzy tygodnie później Jeny wyjechał. Słońce świeciło, topiąc śnieg w chrupkie placki, a ziemię pod spodem czyniąc luźną i rozmokłą. Po raz drugi stałam na podjeździe, kiedy Jerry ładował pudła na pakę swojej furgonetki. Znowu patrzyłam, jak wsiadał do szoferki i odjeżdżał. Ale tym razem załadował tylko swoje rzeczy. Tym razem, kiedy odjechał, już nigdy miał nie wrócić.

Czas, jak mówią, leczy wszystkie rany. Puszczą w niepamięć. Co się stało, to się nie odstanie. Ale dni mijały, potem tygodnie, potem miesiące, lata, a ludzie dalej gadali o tamtej śnieżycy. „Boże wszechmogący - wykrzykiwali ludzie w spółdzielni. - Całe życie mieszkam na tej pustyni i nigdy nie widziałem takiego śniegu". Nazywali go zrzędzeniem losu, cudem niepojętym, przypominali sobie, jak dzieci lepiły nierówne bałwany i używały worków do śmieci jako sanek. „Taka jest właśnie pustynia" - mówili, powierzając ją naturze, Bogu, niedoskonałemu światu i wszystkim jego nieoczekiwanym możliwościom.

Mój ojciec przez resztę życia nigdy nie wspominał o burzy, zimnie, nocy, w której śmierć spadła z nieba, ukrywając pod sobą świat. Moja siostra i ja, kiedy wreszcie o tym zaczęłyśmy rozmawiać, nie mówiłyśmy o cudach ani niezwykłościach. Nie rozmawiałyśmy o Bogu. Mówiłyśmy natomiast o zimie, o drzewach łamiących się pod naporem śniegu i wodzie zamarzającej w rurach. Mówiłyśmy, że czas zatarł nasze wspomnienia, przyćmił szczegóły i zamazał wydarzenia, tak że nie mogłyśmy dokładnie oddzielić jednego momentu od drugiego, nie mogłyśmy sobie przypomnieć, kto co powiedział. Nieważne, mówiłyśmy do siebie, czyja to wina. Co się stało, to się nie odstanie.

A prawda, proszę bardzo, wygląda tak: moje wspomnienia nie są zatarte. Szczegóły nie są zamazane. To mój ojciec zadał cios. Jerry wystrzelił. Ale to ja go zabiłam. I życie, pełne i doskonałe, zakończyło się na moich oczach. Rzeczywiście nieważne, czyja to wina, choćby dlatego, że niczego to nie zmienia.

Tej nocy, kiedy umarł, leżałam w łóżku obok ciepłego ciała mojej siostry. W ciemnościach czułam świeży, pulsujący ból w dłoni, i podniosłam ramię nad pościel, zaniepokojona bólem. Powoli sobie przypominałam, trzask bukowego drewna na kości, pierwszy ruch jego upadku, jedna słaba noga stojąca przed drugą, kiedy pochylił się ku ziemi. A potem przypomniałam sobie pieczenie w miejscu, gdzie

szarpięta gwałtownie skórzana wodza oparzyła mi dłoń, klacz stającą dęba, uciekającą przed dźwiękiem, wyrrywającą wodze z mojej ręki. Do tamtej chwili nie pomyślałam o niej. Nikt z nas nie pomyślał. Zostawiliśmy ją tam. Z nim.

Na dworze nie wyglądało na noc ani na dzień, ani na cokolwiek mi znanego. Śnieg padał w gęstych, puszystych bryłkach, wypełniając za mną ślady stóp. Niebo było zabarwione na pomarańczowo. Zanim dotarłam na arenę, po żrebacku został tylko biały pagórek pośrodku.

Klacz stała na drugim końcu placu z zablokowanymi kolanami i zwieszonym łbem. Spojrzałam w jej niedobre oczy i chłód przeszył moje ciało jak wiatr. Zniosła całe dnie związana pod brutalnym oślepiającym słońcem, tygodnie nękania przez klacze zarodowe, ale godziny, które spędziła w ciemności i śniegu zrobiły to, czego wcześniej nie zdołał zrobić żaden człowiek ani zwierzę.

Po kilku miesiącach klacz została sprzedana. Kupiła ją miła rodzina z dwójką miłych dzieci. Zapłacili trzy razy więcej niż ojciec na aukcji, chwając go za jej wyjątkowe wytrenowanie i słodkie usposobienie.

- Ta klacz jest solidna jak skała - powiedział im mój ojciec. - Można jej odpalić z armaty nad uchem, a ona nawet okiem nie mrugnie.

A potem odjechała, zabrana do innego życia, życia, w którym była wspaniała i doskonała, życia, w którym nikt nie wiedział, że kiedyś uwielbiała pędzić, że kiedyś była nieujarzmiona.

Cóż po przeprosinach? Cóż po ubolewaniu? Wróciłam po nią, ale było za późno. Spędziła noc, wdychając zapach jego krwi i strachu, lekko pachnącej paniki unoszącej się jak para w zimnym powietrzu, kiedy próbował się podnieść. Słyszała, jak trzasnęła kość, jak rozdarła się skóra, szaleńcze, drobne krzyki, które wyrwały się z jego szeroko otwartego pyska. I widziała, jak odchodzimy, zostawiając jego rozbite ciało na noc, zimną, głęboką, niewiadomą ciszę ziemi znikającej pod śniegiem. Zanim po nią wróciłam, jej oczy stały się puste, oddech powolny. Sięgnęłam po wodze, a ona odwróciła się do mnie, bierna, posłuszna, doskonały zwierzak domowy.

A śnieg padał.

Jak sen, deformował kształty i barwy, ukrywając wszystko, co znajome, grzebiąc wszystko, co prawdziwe. Gdzieś w oddali była stajnia, dom, świat mojego dzieciństwa. Ale śnieg wirował dokoła mnie jak miliony małych owadów, i żadnej z tych rzeczy już nie widziałam.

I nagle przez zadymkę dojrzałam jakiś ruch w otwartej bramie. Biały cień przesuwiał się przez śnieg w kierunku środka areny. Kiedy się zbliżył, rozpoznałam sylwetkę - wąskie ramiona, szczupłe ręce, ciemne włosy nakrapiane bielą. Znieruchomiałam, a klacz stanęła obok mnie. Wodze zeszywniały od zimna w moich palcach. Zamknęłam oczy. To był sen - to wszystko. Jak woda, która wcześniej wypełniała moją sypialnię, śnieg zniknie, kiedy otworzę oczy. Słońce będzie świecić. Wszystko jeszcze można naprawić.

Ale inaczej niż w świecie moich snów, czułam zimne powietrze poruszające się dokoła, śnieg piekący w policzki, wsypujący mi się do butów, moczący skarpetki i znieczulający stopy. A kiedy otworzyłam oczy, ona nadal tam była, blada dziewczynka pośród wirującej bieli. Zatrzymała się przy ciele żrebaka, spojrzała na srebrny pagórek. Niespełna miesiąc wcześniej próbowałyśmy przywołać ją z zaświatów, a ona nie zareagowała. Wprowadziłam swoją ścieżkę na tę, która powinna należeć do niej, kłamstwem wdarłam się w jej wspomnienia, ukradłam jej życie, którym nigdy nie żyła. Weszłam w świat, który nigdy nie był dla mnie przeznaczony, a teraz ten świat legł w gruzach. Więc oczywiście teraz przyszła. Oczywiście to jej duch będzie go pilnował.

Nie spojrzała w moim kierunku, wydawała się nie zauważyć ani nie przejmować tym, że jestem z nią, że to moja wina. Chciałam się do niej odezwać, przeprosić ją, wyjaśnić, ale kiedy próbowałam wyartykułować jakieś słowa, żadnych nie znalazłam. Cóż po przeprosinach? Cóż po ubolewaniu? On odszedł. Żadne słowa nigdy nie wyjaśnią dlaczego.

I nagle pośród kłębow wirującego śniegu usłyszałam szept: - Marian.

Uniosła głowę na dźwięk głosu mojego ojca. Gdy tylko to imię zostało wypowiedziane, zakłęcie prysło i zobaczyłam ją taką, jaka była naprawdę. To nie była - nigdy nie była - utopiona dziewczynka.

Ojciec przeciął arenę powolnymi, drobnymi krokami, na zimnie kulał bardziej. Po tym jak uderzył laską w pierś żrebaka, rzucił ją na ziemię i leżała, jak wszystko inne, zagubiona pod śnieżną kołdrą. Stali przez chwilę, nie dotykając się, milcząc. Ojciec opuścił głowę, przymknął oczy, a moja matka odwróciła się, patrząc na jego twarz przez śnieg. Podniosła jedną rękę, palcami zsunęła mu włosy z czoła. On otworzył oczy, a ona pochyliła się ku niemu, zarzuciła mu rękę na

szyję, żeby ją podniósł. Jej bosc stopy były różowe od zimna, wilgotna koszula nocna odsłaniała drążki ciała pod spodem: biodra, sutki, ramiona, żebra. Ruszył z powrotem ku bramie, krokami powolnymi i drżącymi unosił ją z dala od ciała, z dala od śmierci i zimna, przez stajnię, z powrotem do domu, gdzie było jej miejsce.

Tej części historii nigdy nie opowiedziałam mojej siostrze, nigdy nikomu jej nie opowiedziałam. Tę część historii zatrzymałam dla siebie - to, jak stali razem nad ciałem, dzieląc przez chwilę potężny, nienazwany żal nad wszystkimi rzeczami, które się stały, wszystkimi dokonanymi wyborami, wszystkimi niewypowiedzianymi słowami. I w tamtym momencie zobaczyłam ich nie jako matkę i ojca, ale jako ludzi, którymi byli dla siebie po tylu latach splątanego życia, ludzi, którymi się stali. Zobaczyłam kobietę, która zawsze będzie dzieckiem, i mężczyznę, który zawsze będzie ją nosił.

Po wyjeździe Jerry'ego ojciec wrócił do stajni. Konie trzeba było karmić i ćwiczyć, zepsute rzeczy trzeba było naprawiać. Zawsze będzie praca i ktoś zawsze będzie musiał ją wykonywać.

Sheila Altman wróciła do stajni i mój ojciec dalej ją trenował, dalej ją zachęcał, żeby przyproceedziła koleżanki. Kiedy pojawiła się w stajni po raz pierwszy od śnieżycy, myślałam, że przyjechała tylko po swoje rzeczy, ale ona wysiadła z minivana swojej matki i skierowała się do boksu Capa tak jak każdego innego dnia.

- Wróciłaś - powiedziałam.

- Sezon konkursowy nadchodzi. - Podniosła siodło i przystanąła, ramieniem odsuwając włosy z twarzy. - I chyba jestem coraz lepsza.

- To prawda - powiedziałam.

Minęło ledwie kilka tygodni, odkąd ją widziałam, ale wyglądała na starszą, długonogą i swobodną. Przeniosła ciężar ciała, równoważąc siodło na biodrze. I w tamtej chwili wyglądała jak każda zawodniczka, jakby robiła to od zawsze.

- Poza tym - dodała - co Cap by beze mnie począł? - Uśmiechnęła się do mnie niepewnie, podnosząc oczy do sufitu, żeby się z siebie ponabijać.

- Byłby naprawdę samotny.

Sheila obejrzała się przez ramię, patrząc w kierunku areny po drugiej stronie stajni. Areny czystej i wilgotnej od stopniałego śniegu.

- Cicho tutaj - powiedziała.

- Jerry wyjechał.

Sheila kiwnęła głową, ani posmutniała, ani zaskoczona.

- To pewnie nie wszystko. -Nie.

Patrzyłyśmy na siebie przez sekundę, a ja poczułam, jak w mojej piersi wzbiera fala żalu - wszystkie te rzeczy, które chciałam jej powiedzieć. Zanim jednak zaczęłam dobierać słowa, ona wysunęła jedną stopę do przodu, dotykając czubkiem swego buta czubka mojego buta.

- Nie musisz mi mówić. - Jej głos był łagodny, oczy pełne zrozumienia. - To właśnie robimy dla ludzi, których kochamy.

- Co? - wyszeptałam.

- Dotrzymujemy ich tajemnic.

Ze wszystkich rzeczy, które w życiu zrobiłam, to, co zrobiłam Sheili, wciąż jest najgorsze. To jedyny mój postępek popełniony z czystego okrucieństwa. A ona mi wybaczyła. O tak, wybaczyła. Dalej będzie jeździć w naszej stajni, dalej będzie mnie zapraszać na każde swoje piżama-party. Nigdy nie zapyta o Jerry'ego ani o pusty round pen, na którym kiedyś trzymaliśmy żrebaka Ginger. Ja nigdy nie zapytam o jej ojca. Trzy lata później Sheila i jej matka wróciły do Kalifornii. Zabrały ze sobą Capa. Przez jakiś czas Sheila przysyłała listy, opowiadając o nowym domu i nowej szkole, załączając zdjęcia, na których jedzie na Capie po plaży.

- Jezu Chryste - powiedziała Nona na ich widok. - Szkoda, że one nie kupiły mnie.

Chociaż moja siostra powiedziała mi kiedyś, że umarłaby bez Jerry'ego, w końcu zajęła się innymi mężczyznami. Tej nocy, kiedy spała z obydwoma bliźniakami Pope, weszła do mojego łóżka po zmroku, żeby opowiedzieć mi wszystko ze szczegółami.

- Jednocześnie? - zapytałam.

- Nie bądź śmieszna - odparła. - To było, no wiesz, w odstępie kilku godzin. Myślę, że jeden z nich był prawiczkim.

- Który?

- Nigdy nie umiałam ich odróżnić. Który ma wyszczerbiony ząb?

- Zach.

- No to on. W każdym razie było świetnie. Przez cały czas obaj patrzyli na mnie jak usychające z miłości psy. Byli tacy cudowni. Od dzisiaj sypiam tylko z młodszymi.

Zanim Nona upatrzyła sobie męża numer dwa i spróbowała w końcu rozwieść się z Jerrym, okazało się to zupełnie zbędne. Moja siostra miała siedemnaście lat, kiedy wychodziła za mąż w tamtym urzędzie, co okazało się nielegalne w stanie Kansas. Skłamała w kwestii swego wieku, udając, że ma lat dziewiętnaście. Małżeństwo było nieważne od samego początku, umowę anulowano i uznano za niebyłą.

Mąż numer dwa był żołnierzem piechoty morskiej, a kiedy się oświadczył, moja siostra wirowała po stajni z rękoma nad głową. Jak nam powiedziała, mieszkał on już wszędzie i zabierze ją do Kalifornii, na Hawaje i do Nowego Jorku!

- Myślisz/że to potrwa? - zapytałam ojca.

- Wiele bym dał, żeby powiedział ci to ktoś inny - odrzekł - ale twoja siostra ma ptasi mózdzek. - Jego usta wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu, ale kiedy odwrócił się do mnie, jego twarz złagodniała. - Mam nadzieję - powiedział. - Naprawdę mam taką nadzieję.

Miałam siedemnaście lat, tyle samo, co Nona, kiedy Jerry podszedł do niej na rodeo i powiedział, że jest ona wcieleniem Priscilli Presley. Zanim wyjechała ze swoim marinem, pocałowała mnie w oba policzki i powiedziała, że mam się nie poddawać, że mój bilet nadejdzie. Pewnego dnia mnie też ktoś zabierze.

- Postaraj się być mniej nieprzyjazna - zasugerowała. - I może podwiązuj włosy.

Kilka tygodni po tym, jak Nona wyjechała z marinem, mój bilet przybył nie pod postacią mężczyzny, ale w kopercie zaadresowanej do mojego ojca. Otworzył ją, a potem stał, bezgłośnie otwierając i zamykając usta.

- To dla ciebie - powiedział w końcu, trzymając pasek papieru pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, tak żebym mogła go zobaczyć.

Czek był wypisany na mnie i ziemia się rozpląnęła pod moimi stopami, kiedy policzyłam zera.

- To pomyłka - wyszeptałam.

- Nie sądzę - powiedział i wskazał podpis: „Patricia Johansson”.

- Patty Jo? - zapytałam, a ojciec kiwnął głową. - Dlaczego miałyby to zrobić?

Obrócił czek w dłoni, pogładził palcami sumę, a potem podpis, zanim wsunął go do mojej dłoni.

- Pewnie uznała, że zdołasz zrobić z tego użytek.

- Przysłała list? - zapytałam, a ojciec wetknął ręce do kieszeni i odwrócił się ode mnie, by wyrzeć za okno.

-Nie.

Stałam obok niego, patrząc na przednie pastwisko. Przez lata nasze klacze jedna po drugiej umierały ze starości. Po śmierci żrebaka ojciec nie kupił nowego ogiera. Nawet jeśli mieliśmy pieniądze, by kupić nowe klacze, nie mieliśmy takiej potrzeby. Teraz przednie pastwisko było puste, zarośnięte trawą i chwastami. Zacisnęłam rękę na złożonym czeku, czekając, aż się rozpadnie w proch w moich palcach.

- Ciągle o niej myślisz? - wyszeptałam, a jabłko Adama mojego ojca zadrżało.

- Czasami.

Kiedyś ojciec rumienił się za każdym razem, kiedy doprowadzał ją do śmiechu przy obiedzie, kraśniał po każdym skoku, który wykonywała. To było coś, co jej dał, to poczucie latania, tę wolność.

- Ona nie chciała cię skrzywdzić - powiedziałam, a ojciec się uśmiechnął.

- Życie to nie bajka - odrzekł. - Chęci nie mają tu nic do rzeczy. Spojrzałam na czek i wyobraziłam sobie, jak ręka Patty Jo skreśla

sumę, u dołu wpisuje jej nazwisko. Była gdzieś tam, w szerokim świecie. Zostawiła nas, ale nie zapomniała.

- To mnóstwo pieniędzy, tato.

- To mnóstwo pieniędzy dla ciebie - dodał. - Dla niej to tylko cena konia.

- Moglibyśmy pomalować stajnię. Moglibyśmy pojechać na aukcję. Ale ojciec odwrócił się ode mnie, kuśtykając do kuchennych drzwi.

- Ona chciała, żebyś ty je miała. Są twoje.

Może w ten sposób Patty Jo przepraszała, w ten sposób wynagradzała za to, że wmieszała swoje pokręcone życie w nasze, za to, że nigdy się nie pożegnała. A może naprawdę kochała mojego ojca. Może powiedział jej o małej białej kopercie z moim imieniem, o pieniądzach, którymi nigdy jej nie wypełni. Może skoro nie mogła ocalić mojego ojca, uznała, że przynajmniej ocali mnie.

Więc je wzięłam. Oczywiście, że tak. Wzięłam pieniądze i wyjechałam.

Za każdym razem kiedy przyjeżdżałam do domu, dolina mniej przypominała tę z moich wspomnień. Pieniądze wędrowały ze wschodu na zachód i ziemia dokoła naszego domu zaczęła się wypełniać drogimi domami i zraszaczami, restauracjami i centrami handlowymi. Koniec końców ojciec się poddał i sprzedał stajnię. Z każdym rokiem noga bardziej go bolała. Robota była za ciężka, powiedział, a pieniądze, które proponowano za ziemię, za dobre, żeby ich nie przyjąć. Całe życie spędził, pracując ciężko, a tylko patrzył, jak wszystko rozpada się na kawałki. Przejście na emeryturę, jak mi powiedział, to co innego niż kapitulacja. To nie była słabość. To była tylko akceptacja.

Dzieciństwo nigdy się tak naprawdę nie kończy. Nowi właściciele wyburzyli dom, zrównali z ziemią stajnię i podzielili całość na parcele. Ale miejsca, z których pochodzimy, nie opuszczają nas równie łatwo, jak my opuszczamy je. Pustynia to ziemia, której nikt nie może posiadać, nikt nie może kontrolować, nie można o niej zapomnieć. To miejsce tak wyjątkowe, że wciąż, po tylu latach, czasami czuję jej przyciąganie.

Wieczorna bryza się podniesie, łagodna i ciepła, jak pustynia jesienią, i przez chwilę to wszystko wyda się takie bliskie: tamte wieczory, kiedy stajnia lśniła pod różanym światłem zachodu, a mój ojciec i ja obchodziliśmy zagrody, rzucając siano koniom i wypełniając wiadra ziarnem. Na tylnym pastwisku Staruszki podnosiły łby na dźwięk kroków mojego ojca, stukotały ku niemu na swoich skrzypiących nogach. Zbierały się wokół niego, zamykając oczy i jęcząc w krótkich westchnieniach doskonałej rozkoszy, kiedy ojciec drapał ich uszy i szyje, szepcząc do nich pod nosem. W tamtych dniach, kiedy wciąż postrzegał mnie jako przedłużenie siebie, ojciec czasami pozwalał mi stać obok, kiedy opowiadał ich historie, wskazując ich mocne strony, wyjaśniając, kim każdy z nich mógłby być: koniem pokazowym, barrell racerem, cutting horse'em, skoczkiem. I to w tych momentach pamiętam go wyraźnie, dźwięk jego głosu, kiedy wypowiadał ich imiona, delikatność jego dotyku, i to, jak kochał, naprawdę kochał, każdego z nich: każdą z tych niedotrzymanych tajemnic, każde z tych niespełnionych marzeń.